11

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XV. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LIX.

TOM III. — ZESZYT III.

Wrzesień.

WARSZAWA.

1890.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

Zeszyt niniejszy zawiera arkuszy 15.

Druk ukończono dnia 6 września 1890 r.



Ludwik Sztyrmer.

Przed trzema laty, po śmierci Sztyrmera, dostały mi się od jego rodziny, za pośrednictwem p. Aleksandra Walickiego, rękopisy po głośnym tym swojego czasu powieściopisarzu i publicyście. Znajdowały się wśród nich pamiętniki, pisane nadzwyczaj szczerze w wieku młodzieńczym, dzienniki, notatki, listy, które do poznania charakteru, trybu wykształcenia i stosunków literackich człowieka niepospolitego przyczyniały się w wysokim stopniu, a prócz tego rzucały światło na tak mało znane nam życie wewnętrzne szkół wojskowych w Królestwie przed rokiem 1830 (korpusu katedów w Kaliszu, szkoły aplikacyjnéj w Warszawie). Nakreślić na téj podstawie wizerunek interesującego wysoce pod względem psychologicznym charakteru, dać poznać otoczenie kadetów, wśród których się rozwijał i kształcił, przypomnieć niesłusznie dziś zapomnianego pisarza, który w dziejach literatury zajmuje właściwe sobie, odrębne stanowisko, uważałem za rzecz i potrzebną i mogącą zająć—i obecnie, spełniając ten zamiar, podaję zarys niniejszy.

I. Temperament i charakter.

Temperament Sztyrmera składał się z dwu pierwiastków: buntującéj się ciągle, lecz nigdy na razie niepokonywanéj nieśmiałości oraz z czułości skrytéj, zamkniętéj w sobie, mającéj znamiona wyraźnie samolubne. Dwa te pierwiastki, pod wpływem bardzo wcześnie rozwiniętéj skłonności umysłu do refleksyi, wytworzyły jego charakter. Objawiał się on już w najwcześniejszéj młodości; tak, że cechy jego zasadnicze nigdy w dalszém życiu nie uległy zmianie.

Składniki owego temperamentu były widocznie odziedziczone

po rodzicach i misternie ze sobą skombinowane, a więc częściowo zmienione.

Ojciec, Jakób Stürmer, pochodzenia niemieckiego, może dopiéro za czasów pruskich przybyły, był lekarzem wojskowym. Odznaczał się surowością, mało rozwiniętém uczuciem, brakiem wychowania i nabytym w wojsku nałogiem pijaństwa. Zbrzydziwszy sobie pierwszą żonę, rozwiódł się i ożenił z wdową po Kraszewskim, Julianną, z domu Linkowską, mówiącą źle po polsku, jak powiada jéj syn, ale tak mile, że „niepodobna było się oprzéć jéj słowom“. Przy całéj „prostocie swojéj“ miała ona „niepojęty urok“ w twarzy, coś niewypowiedzianie miłego i słodkiego w swych rysach“. Uważana raczéj za niewolnicę jak za żonę, chociaż czasami obsypywana czułościami, ustępowała wszystkim słabościom męża, znosiła w milczeniu jego często twarde i srogie postępowanie, wstawiala się za nim u przełożonych i kilka razy zachowała mu usuwającą się już posadę. „Czułość jéj była nadzwyczajną; najmniejsza okoliczność wzbudzała w niéj potoki łez“; mała słabość jednego z dzieci o mało nie wpędziła jéj do grobu.

Ludwik, urodzony za czasów Księstwa Warszawskiego, 30 kwietnia 1809 r. w małém naówczas miasteczku Płońsku, miał trzy siostry: Józefinę, która „przejęła czułość matki, ale razem i popędliwość ojca“, Teofilę, skrytą, z silną, namiętną uczuciowością, z postacią „zachwycającą i czarującą“, oraz Leokadyę najmłodszą z rodzeństwa, któréj charakterystyki nie znamy.

W synu srogość ojca wyrobiła przedewszystkiém nieśmiałość i pewne przytępienie uczucia, nie wylewającego się nazewnątrz, zamkniętego w sobie i tylko pod wpływem refleksyi dającego oznaki istnienia. Skrytość i obłuda już w dziecinném serduszku się wytwarzały. Jedno zdarzenie z lat wczesnych, gdy miał 11 czy 12 lat, jaskrawo rys ten oświetli.

Było to w Siedlcach, dokąd ojciec Ludwika wraz z batalionem weteranów, których był lekarzem, już za czasów Królestwa się przeniósł. Oddany do szkół tamtejszych za dyrektorstwa Holewińskiego, mało się czego nauczył, woląc się błąkać sam jeden (bo znajomości z rówieśnikami zabiérać nie lubił) po ogrodzie Aleksandrowskim, albo w pieczarach kaplicy Ogińskich, lub w samotności kościelnych lochów albo po polach. W domu nudziło mu się, chociaż doznawał pieszczot matki, chociaż jego jednego z całéj rodziny, bez wyłączenia ojca, lubiła babka. Babka ta prawie przed samemi Zielonemi Świątkami, sama sobie śmierć przepowiedziawszy, nagle skonała. Ludwik, wychodząc do szkoły, zostawił ją żywą, za powrotem zastał martwą i cały dom w żałobie. „Pamiętam—opowiada on w 25-ym roku życia—jakgdyby

się to dziś zdarzyło, że strata ta bardzo mało mnie obeszła i że zupełnie nie miałem ochoty płakać, ale rozbierając w umyśle skutki takiéj obojętności, lękając się, aby mnie nie nazwano niewdzięczném, wyrodném dzieckiem, na siłę zacząłem łez dobywać i udawać największe strapienie. Już wtenczas byłem zimnym, obojętnym i myślącym. Gdy by się ta okoliczność dziś zdarzyła, możebym nie inaczéj postąpił, tak mało się zmieniłem w charakterze. Wtenczas już miałem nasienie wszystkich moich skłonności, czas je tylko rozwinął, uczynił silniejszemi i jaśniejszemi“.

Wnosić atoli z tego faktu, że Ludwik był przewrotnym i fałszywym, bynajmniéj nie należy, jak z faktu wałęsania się w czasie godzin szkolnych, że miał wstręt do nauki. Był on w gruncie duszy prawym, ale nieśmiałość, lęk przed opinią najbliższego czy dalszego otoczenia, nie dozwalał mu się w danéj chwili wypowiedzieć ze swemi myślami lub uczuciami i zmuszał do udawania; w nauce zaś robił wielkie postępy, gdy chęć do niéj z niego samego wychodziła, gdy nie była narzucona i obowiązkowa.

Nieśmiałość jego wynikła zapewne najprzód z właściwéj organizacyi nerwowéj; utrwalała się zaś wskutek srogości ojca, niezręczności i niezgrabności w towarzystwie. Bawiąc się z kolegami, zawsze czuł się od nich niższym fizycznie, zrażał się do nich i do zabawy. Brakło mu przytomności umysłu na razie, tak jak Roussowi; dopiéro gdy sam został i gdy idąc za swą refleksyjną skłonnością, zaczął się zastanawiać nad położeniem, znajdował potrzebne i trafne odpowiedzi, gniewał się na siebie, że ich we właściwym czasie nie użył — i na drugi raz robił tak samo. Każde spotkanie z nieznajomemi osobami przejmowało go lękiem; potrzebował obcować zbliska i długo z ludźmi, ażeby nabrać z niemi niejakiéj pewności siebie. A i wtenczas łatwo go było opanować, i nim powodować, choć się zżymał i słabość sobie wyrzucał.

Bo ta nieśmiałość miała swe właściwości. W duszy był Ludwik hardém i butném chłopięciem, tylko nie mógł rozciągnąć władzy nad swemi nerwami. Jestto wogóle charakterystyką natur, nie mających zdolności ekspansywnéj, zamkniętych w sobie i skrytych. Oto przykład z pobytu 14-letniego chłopca u wuja w Łęczycy, opowiedziany własnemi jego słowami.

„W mieście zaczęto wyrzucać wujowi, że mnie nigdzie nie wprowadza; namawiał mnie przeto, aby odwiedzić niektóre osoby: ale tak wielką była nieśmiałość moja do kobiét, taka bojaźń wizyt w obcym domu i tak silne prośby, aby mnie zostawił spokojnym, że nareszcie śmiejąc się i gniewając, uległ memu kaprysowi. Powoli zaczęto

mnie w całém mieście nazywać małym filozofem, co mnie niewiele obchodziło. To jednak jest godném uwagi, że nie chcąc wchodzić w towarzystwa, w niedziele jednak i w inne dnie chodziłem w mundurze do kościoła, nie żeby się modlić, ale żeby mnie widziano; zdawało mi się, że wszyscy na mnie tylko patrzą; stawałem zawsze przy ławkach dam a dość było, aby w którym domu była młoda panna, żebym tam nie poszedł — tak byłem nieśmiały. Na ulicy szukałem sposobności, aby się kobietom natrącić. Było to młode, żywo już wtenczas odzywające się przywiązanie do całéj płci, które czas tylko wzmocnił do tego stopnia, że dziś mogę powiedzieć, że żadnéj kobiéty tyle nie kochałem i kochać nie będę, jak wszystkie razem... Moje zatrudnienia, przechadzki ponad wodą, po polach, błąkania się po ulicach wieczorem gdy kobiety spacerowały, rozkosz, którą czułem patrząc tylko na nie; wszystko to sprawiło, że czas niezmiernie szybko mi upływał. Prawie przed samym końcem wakacyi, po wielkich trudach namówiono mnie, abym z wujostwem poszedł do publicznego ogrodu. Bałem się kobiét — poszedłem jak na śmierć, przekonany, że w czasie spaceru którakolwiek ze znajomych przyłączy się do nas. I nie omyliłem się, bo ledwie weszliśmy w pierwszą aleję, na zakręcie, gdzie się ta rozdzielała na dwie inne, wujenka zobaczywszy znajomych, poszła ku nim; ja zaś dla uniknienia tego, pociągnąłem wuja w drugą, alcż, o nieszczęście! ledwie kilka kroków zrobiłem, widzę kilka nadchodzących kobiét naprzeciw nas; pytam się wuja, czy znajome, odpowiada z uśmiechem, że znajome; chciałem uciec, ale odwróciwszy się, spostrzegłem wujenkę, która z swoją kompanią szła za nami. Tak tedy okrążony ze wszech stron, zarumieniony, zmieszany, stanąłem, oddając się w opiekę losu. Ledwie odeszły, prosiłem wuja, żeby jaknajprędzéj wyjść z ogrodu“.

Przemógł w sobie w latach późniejszych tę obawę przed nieznajomymi; ale przy pierwszém spotkaniu, zwłaszcza z kobiétami, drżał na całém ciele, lubo tak samo jak w Łęczycy, lubił przed niemi paradować w mundurze, sądząc, że ściągnie oczy na siebie.

Uczuciowość, zamknięta w sobie, z mocnym odcieniem samolubstwa, przejawiała się z początku całkiem biernie w zamiłowaniu do samotnego wałęsania się po lasach, i polach, po cmentarzach i zakątkach, i do całkiem nie określonego marzycielstwa, które mu jednak nieopisaną rozkosz sprawiało. Pragnienie swobody było w nim tak wielkie, że mu władza rodziców nawet, nietylko przełożonych, ciążyła, i wesół bardzo dom opuszczał, czy to gdy go oddawano podczas wakacyi w Siedlcach na pensyą dziewcząt do pani Filemonowiczowéj, czy gdy jechał do szkół do Kalisza, czy gdy się do wuja do Łęczycy wybiérał.

A przecież nie była to bynajmniéj jakaś obojętność względem rodziców, a zwłaszcza względem matki i sióstr, bo tęsknił do nich i z rozrzewnieniem ich witał po długiém niewidzeniu, czując, że jest kochanym; była to jedynie wczesna chęć użycia woli własnéj, zrzucenia bodaj najlżejszych pęt zależności. Zakaz budził w nim nieprzepartą żądzę sprzeciwienia się; ojciec zabraniał mu przyjaźnić się z niejakim Rejnholdem, synem wdowy lekkomyślnéj i żyjącéj nad stan, wielkim wisusem, ale Ludwik dlatego właśnie, że mu zabraniano, lubił z nim obcować i biegać wszędzie.

Życzenie posiadania przyjaciela jest zwykłym objawem wśród dzieci i młodzieży. Ludwik bardzo wcześnie poczuł to życzenie. Pierwszym wybrańcem jego, w Siedlcach, był Wincenty Glinojecki; nazywał go przyjacielem, „nie wiedząc jeszcze znaczenia tego wyrazu“ i czuł „niczém niezatrutą słodycz przyjaźni“. Ale był bardzo drażliwym i dotkliwym na doświadczony od wybranych zawód. Jego uczucie przyjaźni nie było całkowitém oddaniem się pociągowi sympatyi; rozmyślał on nad niém, chciał, żeby przyjaciel zawsze mu coś zawdzięczał, bolało go, gdy jego milczącego zachowania się nie rozumiano, gdy go nie odgadywano. Nawet w przyjaźni lubił postawić na swojém; jeśli go przyjaciel opuszczał, starał się o powrócenie chociaż na czas krótki dawniejszego stosunku, ażeby już sam mógł go zaniedbać.

Wielkie na dalszy rozwój swych uczuć znaczenie przypisywał 25-letni Sztyrmer zawodowi, jakiego doznał od pierwszego silniéj pokochanego przyjaciela, gdy miał lat 14-e, będąc w korpusie kadetów w Kaliszu. Wziętość, którą zjednała mu biegłość w matematyce, zbliżyła do niego Rudolfa Hasforta, „prawdziwego Niemca co do postaci i charakteru“. Stosunek ich zmienił się wkrótce w silne przywiązanie do tego stopnia, że się razem uczyli, razem spacerowali, razem wstawali zrana, słowem byli z sobą nierozłączni.

„Z jakąż rozkoszą — powiada Ludwik — w przechadzkach, któreśmy odprawiali za miastem, błądziłem z nim po pierwszych śniegach, szukając z zapałem ostatnich kwiatków jesieni, skrzepłych od mrozu zimy! Ileż słodyczy miały w sobie nasze rozmowy w czasie tych przechadzek! Były to zwykle marzenia przedwczesne o przyjaźni, o sławie, o talentach, o przyszłości. Duszę moją byłbym przelał w niego w tych chwilach, ale niestety! on był zbyt zimny, aby płomienne moje czucia, aby tę wielką, c h o c i a ż u k r y t ą w e m n i e myśl szczytności mógł ze mną podzielić! Ach, gdyby ten piérwszy człowiek, do któregom się mocno przywiązał, stał się dla mnie przyjacielem, gdyby otworzył mi swe łono i pokazał choć chęć przywiązania i dowiódł, że przywiązanie to jest szczerém, nie miałżebym dziś innych wyobrażeń

o ludziach? Od tego jednego człowieka zależało w owéj chwili uczucie moje dla wszystkich ludzi. Długo ważyłem swoje o nim zdanie, i zawsze sobie powtarzałem tajnym głosem mego serca, że jeżeli pierwszy przyjaciel mnie nie zdradzi, znajdę ich więcéj między ludźmi. Hasfort był zbyt skryty, obojętny i chytry, abym się długo uwodził jego przyjaźnią. Starał się przejąć moje wiadomości, szukał zdarzeń, aby korzystać z małego światła, i nadto jeszcze skrycie połączył się z moimi przeciwnikami i zrobił mi kilka nieprzyjemności przez trzecią osobę. Poznałem się na tém. Pierwsza podobna chwila w życiu jest okropną dla człowieka czującego! Wylałem wiele łez, postanowiłem z nim zerwać; wstrzymywała mnie nieśmiałość i żal; napisałem do niego karteczkę z czułemi wyrzutami, odpisał na nią, tłómacząc się; za nią druga, trzecia i t. d.; nareszcie pogodziliśmy się, i — za tydzień zobojętniony dla niego zapomniałem o nim na zawsze".

I bezpośrednio po tych słowach, Sztyrmer, mimowiednie charakteryzując naturę swego uczucia, któremu zawsze o przodkowanie, o zwycięstwo chodziło, nawet tam, gdzie, jak powiada, tak silnie był przywiązany; pisze, co następuje:

„Głębokie uczucie zdrady Hasforta, która zależała na tém, że będąc z natury zimnym i chytrym, nie mógł się zgodzić z człowiekiem, który przewrócone i młodociane mając natenczas wyobrażenia, należał raczéj do kraju poetów, niż do ziemi, uczucie to, mówię, tak mocne na mnie zrobiło wyobrażenie (!), że przez kilka dni prawie ciągle płakałem na ustroniu, zastanawiając się nad jego niewdzięcznością. Wreszcie żal ten przemienił się stopniami w słodką melancholią; chodziłem pod murami, zapomniałem o Hasforcie, ale inne myśli zbyt mocno mnie zajmowały. Wystawiałem sobie, że kiedyś w przyszłości będę miał ogrodzony samotny domek w lesie; w nim pełno książek matematycznych — i nic więcéj. Zdało mi się, że nie można być szczęśliwszym w życiu. Gdy się zbliżyła niedziela, chodziłem cały dzień, pieszcząc się jedynie tą myślą. Wyszliśmy raz na spacer za miasto; była to dolina otoczona małemi pagórkami i przerznięta strumykiem; pamiętam dotąd, że biegałem po niknącym już śniegu, jak szalony, rozmawiałem sam z sobą; płakałem wspomniawszy, że na tém samém miejscu pierwszy raz przechadzałem się z Hasfortem, i że słodkie chwile pierwéj znikły jak śnieg zimy. Ach! wtenczas już serce moje było na téj saméj stopie jak późniéj w dojrzałych latach. Płakałem; łzy te szły od wzburzonego serca przeciwko woli umysłu, który zawsze był obojętnym na wszystkie wypadki życia".

Inny przykład, z czasu, gdy Ludwik miał już lat 15 jeszcze ja-

skrawiéj oświetli tę właściwość duszy młodzieńca, pragnącego przyjaźni, ale zarazem nie chcącego, żeby ktokolwiek nad nim panował, żeby go w czém uprzedził, żeby go pozbawił swobody zdecydowania się na tę lub owę stronę. Żył w wielkiéj poufałości i sympatyi z Knakem, człowiekiem „dość zwyczajnym“, z którym go złączyła niechęć wspólna do jednego z kolegów. Ponieważ sprawa niechęci téj podzieliła całą klasę na dwa obozy, ponieważ przełożeni szkoły patrzyli przychylnie na przeciwników Knakego, ten postanowił zrobić z siebie ofiarę i powiedział Sztyrmerowi, że chce przestać z nim obcować, ażeby mu przyjaźnią swoją i wspólną walką z przeciwnikami nie psuć opinii szkolnéj. Pożegnał go ze łzami, uściskał i wprzód nim Sztyrmer zdołał mu odpowiedzieć, oddalił się.

„Ledwiem przyszedł do siebie — opowiada Ludwik — spostrzegłem delikatność jego postępku i postanowiłem walczyć z nim o palmę wspaniałomyślności. Pobiegłem go szukać, chciałem z nim mówić i odwrócić go od przedsięwzięcia, ale unikał mnie widocznie, a przy wszystkich nie chciałem tego pokazać. Zamiar mój jednak nie zmienił się; pisałem do niego przez trzecią osobę bileciki, przedstawiając mu moje uwagi, odpisywał mi, lecz z stałém przedsięwzięciem (!) dokonania swego przedsięwzięcia (!); nareszcie po dwóch tygodniach, utrudzony, przystał z niechęcią na moje żądanie, — i tryumf mój był zupełny. Oddałem się nanowo, przyjaźni ale wdzięk jéj nigdy już nie był tak silny. Chociaż jego ofiara była skutkiem wspaniałomyślności, ale pokazał że się może obejść beze mnie; — zresztą może skutkiem dziwnego mego charakteru, przyjaźń ta ostygła“, bo, kiedy wyjeżdżali razem z Kalisza, byli dla siebie jakby zgoła nieznajomi.

Nieśmiałość i hardość, bojaźliwość i upór, uczuciowość i refleksya, szukanie przyjaźni i ocenianie jéj z samolubnego stanowiska; brak niemal zupełny bezpośredniości w wylewie uczuć wobec innych, a potoki łez w samotności: oto bojujące wiecznie w duszy już dziecięcéj pierwiastki, które mu radości trwałéj dać nie mogły, ale téż i smutek jego a cierpienie czyniły przemijającemi, do żywego nie raniąc, ponieważ filtrowały się raczéj przez wyobraźnię, niż przez serce. Po wszelkiém przejściu bolesném, odczuwał on przykrość „ale samym tylko umysłem“, gdy serce jego bywało zupełnie już obojętne. „Każde nieszczęście — mówi on — w mojém życiu podobnie na mnie działa: w pierwszéj chwili jestem w rozpaczy, pierś mi ledwie nie pęknie z żalu i boleści: ale niech tylko jedna noc przejdzie, już całe moje nieszczęście zostaje tylko w umyśle; jak poruszona struna, tak serce moje wraca do stanu obojętności i robak gryzący zostaje tylko w mym umyśle. Dla-

tego-to nigdy w mém życiu nie pamiętam tygodnia zmartwienia z jednéj przyczyny".

Z takiém-to usposobieniem, uzdolniającém do życia samodzielnego w wysokim stopniu, Ludwik sam jeden w świat wyprawiony został zaledwie 13-ty rok rozpocząwszy.

II. W korpusie kadetów (1821 — 1825).

Jako lekarz wojskowy, miał prawo ojciec Ludwika, umieścić syna na koszcie rządowym w korpusie kadetów. Matka miała go odwieźć do Warszawy. Gdy zajechała bryczka, Ludwik tak był uradowany i nowością w jednostajném życiu i myślą oswobodzenia się od władzy rodziców, że nie pożegnawszy się ani z ojcem, ani z siostrami, wybiegł z domu, aby się coprędzéj w niéj usadowić; dopiéro „srogi głos ojca i płacz siόstr" przypomniał mu jego omyłkę. W drodze, ubrany po wojskowemu, grał rolę opiekuna matki, ośmielał ją, zapewniając; że się im nic złego nie zdarzy. Matka śmiała się patrząc na 13-letniego rycerza. W Warszawie pożegnała go, gdy zabrawszy tłomoczek, wsiadł do dyliżansu, który go miał zawieść do Kalisza. Bez żadnéj opieki, nie zbliżając się nawet bardzo do jadącego w tę samą stronę i w tym samym celu Juliana Borcharda, mając 20 złp. w kieszeni, za które zdawało mu się, że świat cały można było kupić, doświadczył narazie tylko uczucia swobody i niezależności, tak, że pierwsze chwile do „czarownych" zaliczył. Życzył sobie, aby podróż trwała jaknajdłużéj. Po dwu dniach stanął wreszcie na miejscu; wziął swój tłómoczek i chcąc jeszcze kilka minut korzystać ze swéj niepodległości, chodził z nim po całém mieście, nakupił różnych drobnostek i nareszcie wszedł do kadeckiego gmachu na rogu ulic Kolegiackiéj i Marienstadt położonego, by się zameldować komendantowi Ignacemu Mycielskiemu. Stało się to 24 sierpnia 1821 roku.

Korpus katedów, była-to szkoła cztero-klasowa o bardzo szczupłym programie naukowym. Wojskową, praktyczną stronę wykształcenia, jako téż nadzór nad karnością, spełniali prócz komendanta, kapitanowie: Grzegorz Pluciński i Józef Paprocki, czteréj porucznicy: Józef Paszkowski, Onufry Misiewicz, Jan Krotochwil i Józef Pełzucki, wreszcie dwaj podporucznicy: Aleksander Orowski i Jan Kwiatkowski. Lekarzem był Jan Wodnicki. Strona wykształcenia naukowego pozostawała pod kierunkiem Józefa Regulskiego pułkownika. Matematyki w niższych dwu klasach uczył Stefan Wierniewicz, w wyższych—wraz z elementarnym i z konieczności pobieżnym kursem fizyki i chemii, Józef Frankowski; historyę i geografię wykładał Jan Frit-

sche; język polski—Stanisław Borodzicz; język ruski—Andrzéj Pigulewski, język francuski — Ludwik Gravin, język niemiecki — Henryk Bernardowicz. Rysunków nauczał Antoni Jasiński, kaligrafii—Jan Toporski, fechtunku — naprzód Karol Oudot, potém Adryan Schmidt, a wreszcie Ludwik Fatoo, kapelanem korpusu i nauczycielem religii był ks. Paweł Świątkowski. Na r. 1822/3 do powyższéj grupy nauczycieli, przybyli jeszcze dwaj oficerowie: Władysław Zdanowski, uczący fortyfikacyi, „człowiek ze wszech miar godny, ale prosty, rządzący się odrębnemi maksymami i dziwak", oraz Łukasz Szczepkowski wykładający artyleryę; na r. 1823/4— drugi nauczyciel francuskiego Józef Dejean [1]).

Gmach korpusu był dwupiętrowy: na dole mieściła się jadalnia i kaplica; na 1-ém piętrze klasy i lazaret, na 2-ém — sale sypialne. Ogólna liczba uczniów wynosiła 240. Dzielili się oni na dwie kategorye: jednę stanowili zamożniejsi, kosztem własnym utrzymujący się; zwano ich „patrycyuszami", drugą biedniejsi, na funduszu rządowym będący, stanowiskiem do plebejuszów, czyli „gminu" byli podobni. W tym gmachu i wśród takiego otoczenia przepędził Ludwik lat cztery. Wszedł wprawdzie do klasy 2-éj; ale w pierwszym roku nic się nie uczył, nie dlatego, żeby nie miał ochoty, tylko że „wcale o tém nie myślał, iż trzeba się było uczyć!" Tęsknota do domu, do rodziców teraz dopiéro w sercu jego czy wyobraźni zagościła; chodził jak błędny, sam nie wiedząc czego mu brakowało; pierwszy raz poznał niedogodne strony samotności, braku opieki, braku serca, przed któremby się mógł otworzyć. Towarzysz jego podróży do Kalisza, Borchard, znalazł zaraz znajomych, a on pozostał sam jak na puszczy. Tęsknota odziałała na organizm, ból gardła przymusił go wejść do lazaretu, gdzie wyborne piérogi i bezczynność tak mu zasmakowały, że potem „na udane choroby, albo téż sypiąc sobie wapno w oczy", przesiedział w nim prawie cały ten pierwszy rok. Był ostatnim w klasie; nauczyciele patrzyli nań niechętnie z powodu jego lenistwa, oficerowie— z powodu jego nieochędóstwa; towarzysze w liczbie 40 pogardzali nim niemal, będąc wszyscy starsi latami. „Odstręczony zewsząd zbliżył się do niższéj klasy, do młodszych i z umysłem już nie dziecinnym, zaczął się bawić jak dziecko, choć i tu doznawał upokorzenia; dla niezgrabności, jaką w grze w piłkę okazywał, zwano go „dzieckiem ołowianém". Niejaki Jeska z 1-éj klasy, który mu okazał cokolwiek dobroci, stał się dla niego nieocenionym; zawsze byli z sobą razem,

[1]) Zob. „Rocznik woyskowy Królestwa Polskiego" za r. 1822, 1823, 1824, str. 168—170, 170, 171.

oddając się lenistwu i zdrożnościom, podkopującym zdrowie. Nadwerężenie wzroku wskutek sypania wapna do oczu było tak wielkie, że już w 18-ym roku życia trudno było Ludwikowi rozpoznać kolory; naruszenie zdrowia, osłabienie pamięci, wzrastająca nieśmiałość do ludzi, były skutkiem ówczesnego zachowywania się.

Na wakacye w sierpniu pojechał do Łęczycy, do wuja, w którym w pierwszéj chwili dostrzegł część téj dobroci i czułości, jakie odznaczały jego matkę, i który istotnie okazywał mu serdeczną miłość. Wujenka była dla niego obojętną, a z ich synem bardzo żywym, on flegmatyk, Ludwik, zżyć się nie mógł. Bawiąc się, nigdy zabawie téj nie mógł się oddać z całego serca; zawsze z jakąś obojętnością, powagą i z jakąś wyższością moralną nad towarzyszem, który mu jéj darować nie mógł; zbyt był dla niego rozważnym, choć jeszcze o żadnym określonym przedmiocie nie myślał. Kiedy się w niedzielę ubrał w mundur i kaszkiet, szedł ulicą „jak generał, który kilkanaście kampanij odprawił“; w kościele wszystkich oczy, zdawało mu się, że na niego są zwrócone. Raz tak dobrze grał swoją poważną rolę, że jakiś całkiem nieznajomy starzec w kontuszu przyszedł winszować jego wujowi, że ma tak pobożnego i dobrze wychowanego siostrzeńca; omylił się starowina polegając na oznakach zewnętrznych, bo Ludwik nigdy mniéj nie był pobożnym jak wtenczas.

Chociaż na razie rozczarował się, bo sądził, że wuj mieszka w dużym murowanym domu, a zastał nędzny, drewniany, tę mający tylko zaletę, że był w rynku; chociaż od czasu do czasu wstydził się stanu swego wuja i jego mieszczańskiego pokrewieństwa, wakacye przecież przebył wogóle bardzo przyjemnie. Lubiany od wszystkich, pieszczony przez wuja i uważany za człowieka, który kiedyś uświetni swoją rodzinę, był zadowolony sam z siebie i uwierzył w końcu w to, czego sobie życzono. W tych to chwilach zadowolenia i slodkich marzeń o przyszłości, błysnęła mu pierwsza iskierka określonéj rozwagi w umyśle; nie potrzeba lub korzyść, których przewidywać jeszcze nie umiał, lecz wyobrażenie sławy przejęło go zapałem do nauk. Odtąd rozkoszą jego było błądzić wokoło „starożytnych murów Łęczycy, chodzić samotnie po polach, drzéć się aż na szczyt zamku, aby tylko chwilę być wyżéj nad ludzi, siedziéć samemu w pokoju“ wreszcie. Gdy wuj zatrwożony temi objawami, pytał go o przyczynę, nie umiał jéj oczywiście wypowiedziéć; wujenka dała mu na noc jakichś kropli, które mu bardzo pomogły... do dobrego snu.

Mając głowę nabitą myślami o rozwinięciu talentów i sławie, wsiadał do bryczki w końcu wakacyi i z największą ochotą wracał do Kalisza.

Innym się téż pokazał i w szkole i wśród kolegów. Po trzech miesiącach w całym korpusie, między profesorami, oficerami i kadetami mówiono tylko o nawróconym na drogę nauk nieuku i wielkim jego do matematyki talencie. Wśród kolegów uczucia były podzielone; większość, nie zajmująca się naukami, a więc obojętna na czyjeś postępy, dziwiła się tylko; w téj zaś części towarzyszy, co goniła za laurami, wielu pożerała zazdrość, a niektórych nienawiść. On sam był najszczęśliwszy. Zajęty wyłącznie tylko matematyką, całemi dniami kréślił koła i trójkąty; godziny upływały mu niespodziewanie w tém „miłém zajęciu“ i nigdy nie miał dosyć czasu. Postać jego nabrała jakiejś godności; zaczął chodzić mierzonym krokiem, poważnie i w zamyśleniu.

„Wyniosłem się — powiada on — nad stan obojętnego i nic nie znaczącego w towarzystwie człowieka, do którego już nigdy wrócić nie mogłem; zacząwszy grać swoję rolę między kadetami, musiałem ją potém grać w świecie między ludźmi“.

Odstręczył się od towarzystwa i wśród 240 młodzieży postanowił być pustelnikiem. Wkrótce jednak, spostrzegłszy znaki przywiązania ku sobie w Janie Krukowskim i Franciszku Oborskim, którzy lubo starsi wiekiem, w niższéj byli klasie, przywiązał się do nich, a on, chcąc im dopomódz w nauce, obrał ich za swych uczniów, jak tylko skończył swoje zatrudnienia, biegł natychmiast do nich. Charaktery ich zupełnie były odmienne: Krukowski zimny, powolny, pracowity, stały w przywiązaniu, Oborski lekki, wesoły, starający się więcéj jaśnieć powierzchownością, niż posiadać coś gruntownie, zapominający niekiedy Sztyrmera, lecz za to gdy po takiém zapomnieniu wracał do niego, pieszczoty jego miały w sobie coś nierównie milszego, niż stała przyjaźń Krukowskiego. Oborski nic prawie nie skorzystał od Sztyrmera, a co nabył, to tylko na chwilę; Krukowski zaś, zapaliwszy się do nauk przy pomocy przyjaciela, stanął między pierwszymi uczniami, lubo zdatność posiadał niewielką, to też tkliwie, mocno, z całego serca, chociaż bez pieszczot, był do swego przewodnika przywiązany. Przechadzki z tymi dwoma przyjaciółmi i uczniami, stanowiły główną rozrywkę i szczęście 14-letniego młodzieńca.

Oddalenie się od reszty kolegów, a zwłaszcza celowanie w naukach, osiągnięcie pierwszego miejsca w klasie, budząc w młodych sercach zawiść, spowodowały w końcu prześladowanie.

„Dotąd jeszcze—pisze w 25 roku życia Sztyrmer — chociaż czasy te dawno minęły, nie mogę wspomnieć bez odrazy dwóch moich kolegów, Filińskiego i Kurzewskiego, którzy, choć ich najbardziéj unikałem, tysiączne mi zadawali nieprzyjemności, biorąc przewagę nad

nieśmiałym moim charakterem. Inni znów, nieprzyjaźni mnie, starali się starszych nieuczących się patrycyuszów podburzać przeciwko mnie. Raz wchodząc do klasy, byłem niezmiernie zdziwiony i przestraszony razem, widząc wszystkich powstających i okrążających mnie; nie słyszałem tylko najzelżywsze wyrazy, robiono mi występek z Krukowskiego i Oborskiego. Wśród trosków tak burzliwego życia, gdy mi wypadało unikać podstępów z jednéj strony, a napaści z drugiéj, dwaj moi uczniowie byli jedyną dla mnie pociechą; przed niemi odkrywałem swoje cierpienia, i to mnie tylko smuciło, że i oni dlatego, że byli ze mną związani, musieli znosić wiele przykrości, mniéj jednak jak ja, bo byli daleko śmielsi, a śmiałość i pewna moc charakteru jest nieodzowną w każdém towarzystwie—między dziećmi i między ludźmi. Najwięcéj mnie to bolało, że nie widząc żadnéj przyczyny, między 240 młodzieży nie miałem tylko dwa serca dla mnie otwarte; reszta jak chodzące posągi mijała mnie, albo jeżeli się w którym odezwał znak moralnego życia, to tylko dlatego, aby mi przykrość wyrządzić“.

Spotkała go natomiast nagroda od przełożonych, która go postawiła „na najwyższym szczeblu szczęśliwości“ chwilowo przynajmniéj. Stary dyrektor nauk Regulski, który był naturalnie bardzo niezadowolony ze Sztyrmera w zeszłym roku szkolnym, czując zapewne, jak silnie przemawia do młodego serca pochwała, publicznie, w czasie lekcyi, wobec kolegów oświadczył mu najwyższe swoje zadowolenie i w najpochlebniejszych wyrazach zachęcał do wytrwania.

„Zarumieniłem się cały z wewnętrznéj radości — opowiada Ludwik—miłość własna ogarnęła czarownym urokiem najskrytsze zakątki mego serca, spojrzałem dumnie po swoich rówiennikach i ledwiem rozumu nie stracił z ukontentowania. Jestto jeden z momentów najżywszéj rozkoszy w mojém życiu, dlatego może, że był pierwszym; nigdy potém po otrzymaniu dwóch nagród w korpusie, ani kiedym wychodził do Szkoły Aplikacyjnéj, ani kiedym awansował na oficera, radość moja nie była tak silną; było-to pierwsze zadowolenie rozkwitającego rozumu“.

Szczęście to jednak nie trwało długo; zawiść pomnożyła liczbę przeciwników Sztyrmera i podwoiła ich prześladowania. Pewnego dnia rozgniewany Filiński uderzył go; było to tak rażącém, że stojący obok starszy o 4 lata kolega Felicyan Szmidecki, ujął się za nim; przykra tą chwila zjednała mu przyjaciela. Widząc Szmideckiego, biorącego jego stronę, przywiązał się do niego, pokochał go, zwłaszcza, że widział w nim coś szczególnego a nawet „jedynego w swoim rodzaju“. Otwarty, szczery, zawsze zgodny ze swemi przekonaniami, choćby go to najwięcéj kosztowało, szkodzący sobie nawet często

przez ścisłe ich trzymanie się; mówiący prawdę bez względu na osoby i okoliczności, w oczy i za oczy, surowy przestrzegacz wszystkich obowiązków, pobożny, chociaż nie bigot, zapalał się do wszystkiego, co szczytne i wzniosłe. Wstręt do kobiét był w nim nadzwyczaj silny i w późniejszym nawet wieku bardzo mało osłabł; nie lubił o nich rozmawiać i rozmową taką najprędzéj można go było obrazić. Jeżeli mu się zdarzyło spotkać na ulicy kobiétę, odwracał oczy w drugą stronę, aby na nią nie patrzyć, w gniew go to wprawiało. Jego twardy i nieugięty charakter mocno oddziałał na nieśmiałego Sztyrmera, powodował téż nim jak dzieckiem; wolę jego uważał Ludwik za wyrok a jego pochlebném zdaniem o zdolnościach swoich jeszcze więcéj zagrzewał się do matematyki.

Zajęcie się to naukami matematycznemi tak go pochłaniało, że kiedy towarzysze grali w piłkę i bawili się, on poważnie, spokojnie leżąc pod cieniem drzewa rozwiązywał zagadnienia planimetryczne i był szczęśliwy. Gdy się zbliżał egzamin, całą rozkosz przyszłą wypił Sztyrmer naprzód w marzeniu, jak to publicznie wobec kolegów i zdumionych gości, uczestniczących w akcie uroczystym, odniesie tryumf, okaże swoje zdolności, jak na wakacyach nowe go spotkają uwielbienia wuja, jak po wakacyach dostawszy nagrodę, będzie, zwyczajem ówczesnym, umieszczony w gazetach; wystawiał sobie, jakie będzie zdziwienie ojca, matki, wuja, znajomych — i nie posiadał się ze szczęścia. Rojenia te spełniły się całkowicie, ale urzeczywistnienie ich już mu takiéj rozkoszy nie sprawiło.

I podczas wakacyi w Łęczycy zajmował się ciągle matematyką, i przykro był dotknięty listem ojca, który go monitował, że tak mało dotąd nauczył się pisać! on zajęty tak głębokiemi rzeczami, jak matematyka, miał zwracać uwagę na drobnostki kaligrafii!... Gdy wrócił do Kalisza, zanim lekcye się zaczęły, było jeszcze kilka dni odpoczynku, które prawie całe przepędzali kadeci na spacerach, zwyczajnie zaś wychodzili w każdą niedzielę, sobotę, a czasem i środę. Oto obrazek tych wycieczek, nakreślony przez Sztyrmera, bardzo niemi uszczęśliwionego:

„Naprzód przy odgłosie bębnów przechodziliśmy przez miasto, gdzie zawsze spodziewałem się jaką damę zobaczyć na ulicy, która raczy spojrzéć na mnie. W ślad za nami szła karawana ciastkarzy,— o jaka przykrość dla każdego, który mając 6 groszy w kieszeni, musiał iść w szeregu do samych rogatek, nie mogąc korzystać ze swego kapitału. Za rogatkami rozchodziliśmy się. Wtenczas-to formowały się kółka; każdy sobie obiérał towarzyszów małéj podróży — dla mnie nieodstępny Krukowski. Okolice Kalisza, jako to: Rypinek, Rajsków,

Kościelna wieś, Tyniec etc. są czarujące. Rzeka Prosna rozlewa się na wiele odnóg i formuje małe strumyki, które w dolinach otoczonych pagórkami, pełnych gaików i lasków, czynią widok zachwycający. Widok wsi jest jeszcze czarowniejszy, przynajmniéj nic dotąd w naturze milszego na mnie wrażenia nie uczyniło. Ta cichość, spokojność i wolne szczęście wieśniaków, ich domki porządne, oznaczające dobry byt, sady owocowe tuż przy domach, z których jadłem najsmaczniejsze jabłka w mém życiu, ule pełne pszczół; te wielkie buki, ocieniające ławeczkę przed domem i pies wierny, leżący przy niéj. Kościołek i cmentarz i jesień i zżółkłe liście w sadzie i sadzawka, wszystko to tak żywo przemawiało do mojéj duszy, że dotąd pamiętam każdy krok mojéj nogi, każde stąpienie na téj szczęśliwéj ziemi. Nigdy bez wzruszenia tam myśl moja nie wraca, nigdy bez westchnienia chwil tych nie wspomnę. Był-to jedyny peryod w mojém życiu, w którym wewnętrznie byłem sam z siebie zadowolniony, i wszystkie zdarzające się przykrości w moment były zapomniane. Nie znałem co to nudy, nie pomyśliłem, żeby czas ten prędzéj się skończył i że mi późniéj będzie lepiéj—byłem zupełnie spokojny, nie myśląc o przyszłości; jedna tylko myśl mnie zajmowała, to jest żeby wyjść do Szkoły Aplikacyjnéj“.

Gdy się rozpoczęły nauki, otrzymał Sztyrmer z rąk dyrektora Regulskiego ową nagrodę, o któréj przed wakacyami jeszcze tak słodko marzył. Była-to Geometrya Lacroix w języku francuskim. Krukowski zaś dostał dwie książki i zaledwie wyszedłszy z pokoju dyrektora, przybliżył się do Sztyrmera i oświadczając mu, że nagrodę tę odebrał jedynie wskutek jego trudów, prosił, żeby jednę z książek przyjął. Sztyrmer odrzucił propozycyę; uścisnęli się, przywiązanie ich powiększyło się w dwójnasób. Zajęcie się matematyką spotęgowało się jeszcze w tym roku. Przeglądając swą nagrodę i widząc, że dość dobrze rozumie matematyczny język francuski, rzucił się Sztyrmer z całym zapałem do czytania książek w tym języku branych z biblioteki korpusowéj. Bellavène, Legendre, Francoeur, Lemoine, Clairault, Euklides, Leonhardy i t. d. przelecieli szybko przez jego ręce. Zebrał zeszyt zagadnień z różnych autorów i uważał go za skarb nieoceniony. Koledzy uwierzyli także, iż w nim znajdować się muszą nader mądre rzeczy—i stąd nowa biéda! Trzeba było chować zawsze ten zeszyt, pilnować go, nosić z sobą, aby go kto nie wykradł. Drobnostka ta wywołała ze strony towarzyszy mnóstwo manewrów, przebiegów, podstępów, przymilania się i szpiegostwa. Szczególniéj Sobieski i Gostkowski wyczerpywali wszystkie środki i podburzali innych, żeby zeszyt dostać do rąk. Przez półtora roku t. j. aż do opu-

szczenia korpusu, nie miał Sztyrmer spokoju z tego powodu, a jednakże notatek swych nie zniszczył...

Nauczyciel matematyki w III i IV klasie, Józef Frankowski, zwrócił oczywiście uwagę na pilnego ucznia i pobudził go do tém gorliwszéj pilności.

„Był to człowiek — mówi Sztyrmer w swych wspomnieniach — prawdziwie stworzony do prowadzenia młodzieży: delikatny, miły w zapytaniach, nigdy a przynajmniéj rzadko pokazujący swój gniew i to bardzo umiarkowany, — jeden, między wszystkiemi przełożonemi, który prawdziwie był poważanym, którego się nawet patrycyusze bali, chociaż im rzadko przykre słowo powiedział. Frankowski stanowi dla mnie wyjątek ważny bardzo. Wielu szacunku godnych ludzi znałem w mojém życiu, ludzi zasłużonych, przyjemnych, miłych, posiadających tysiące zalet, ale baczne zastanowienie późniejszych lat pokazało mi w każdym z nich jakąś wadę mniejszą lub większą; wtenczas zaś Frankowski był dla mnie człowiekiem, który posiadał wszystkie przymioty w mojém zdaniu. Kochałem go więcéj jak ojca, poważałem go, pewny byłem, że był najzdatniejszym człowiekiem w Europie. Kiedy mi się zdarzyło pierwszemu rozwiązać zagadnienie, pokazywałem mu go (!) na tabliczce drżącą ręką, a kiedy przejrzawszy go (!) na znak zadowolenia kiwnął głową, byłem w nieopisanym stopniu radości. Jego twarz była tak miłą, tak pełną rysów geniuszu, dobroci, łagodności i miłego charakteru, jego głos tak słodko brzmiący, jego postawa tak poważna, że nietylko kadeci, ale wszyscy oficerowie z największym dla niego byli szacunkiem“.

Nie tylko ciche, spokojne uznanie, lecz i głośne pochwały otrzymywał Sztyrmer w klasie, ale niezawsze wychodziły mu one na dobre; często wywoływały przykrości. Zapisało się szczególniéj w pamięci Ludwika jedno zdarzenie, o którém opowiada:

„Nie mogę nie wspomnieć porucznika Szczepkowskiego, profesora artyleryi, najlepsze mającego serce, ale słabego zbyt charakteru; wszyscy nim rządzili, nawet kadeci. Nieostrożna jego pochwała sprawiła mi raz wiele nieprzyjemności. Miałem mówić lekcyę; Szczepkowski, kontent zawsze ze mnie, chcąc innych pobudzić do uwagi zawołał: Słuchajcie, panowie! p. Sztyrmer będzie mówił o składzie saletry. Poraziło to wszystkich moich kolegów; wszystkich oczy obróciły się na mnie i w téj chwili przeczucie zatruło mi uniesienie ambicyi. Chwilę tę opłaciłem tygodniem różnych przykrości“.

W każdym razie, pomimo takich chwilowych zajść nieprzyjemnych i ciągłych nagabywań z powodu owego zeszytu matematycznego, rok ten trzeci pobytu w korpusie kadetów przeszedł bardzo przy-

jemnie i szybko. Wakacye po raz ostatni spędzone u wuja w Łęczycy, mignęły się tylko. Po powrocie do Kalisza otrzymał Sztyrmer w nagrodę pilności wieniec srebrny, naszyty na wstążeczkę ręką pułkownikowéj Regulskiéj, prawdziwie pięknéj kobiéty, co nie mało znaczyło w oczach czułego na wdzięki niewieście kadeta. Mniéj mu atoli wieniec sprawił radości, niż pierwsza nagroda, a jeszcze mniéj, niż pierwsza pochwała dyrektora, gdyż był pewny, że go dostanie.

Wypadki na większéj widowni życia słabo przenikały do zakątka korpusowego i to o tyle tylko, o ile dotyczyły osób z korpusem w jakikolwiek sposób związanych. Podczas czteroletniego pobytu w Kaliszu we wspomnieniach Sztyrmera dwa jedynie tego rodzaju wypadki utkwiły: „deces“ generała Stuarta w Warszawie i „wyjście na reformę“ dyrektora Regulskiego.

Synowie Stuarta, Władysław i Konstanty, wychowywali się w korpusie kadetów. Przed katastrofą, która spotkała ojca, proszeni codzień na kawę do komendanta Mycielskiego, na podwieczorek do kapitana Plucińskiego, na niedzielę, — w mieście, pieszczeni, chodzący we własnéj bieliźnie, utracili te wszystkie przywileje po śmierci nieszczęśliwego rodzica r. 1824; ujrzeli się opuszczonymi, wzgardzonymi, zapomnianymi nareszcie od wszystkich. Władysław, mający wtenczas około 14-tu lat, czuł dobrze swoje położenie i często samotny opłakiwał los ojca. Widząc jego smutek, Sztyrmer wszedł myślą w jego położenie, wzdrygnął się z oburzenia „przeciwko podłości ludzkiéj“, i pokochał go mocno. Zbliżył się do niego, zaczął mu pomagać w naukach i osładzał jak mógł dolę chłopca. Ciągnęła Ludwika ku niemu jakaś niepojęta sympatya; czuł „tak słodką rozkosz w jego rozmowie“, tak mocno go kochał, że każde jego poruszenie „posiadało jakiś nieokreślony powab“ dla niego. Prawie dzieckiem jeszcze będąc, nie mógł zajmującéj prowadzić rozmowy, a jednak Sztyrmer przekładał jego towarzystwo nad inne, był niejako „przykuty duszą do niego“, wśród strapień postronnych, przychodził odetchnąć przy nim i odpocząć w miłém jego obcowaniu. Wogóle Ludwika „każdy młodzieniec skromny, nieśmiały, przyjemnéj twarzy, zbliżający się charakterem do płci pięknéj ujmował zawsze „i wiązał do siebie częścią tego uroku“, który mu „tak miłém i czarującém czyni towarzystwo kobiét“.

O powodach dymisyi powszechnie lubianego pułkownika Regulskiego chodziły w korpusie widać pogłoski tylko; Sztyrmer zapisał te jedynie słowa: „Nagle przyszedł rozkaz, że zostaje oddalony od powinności dyrektora nauk na reformę; była w tém jakaś ważna przyczyna, może nawet jego charakter przeciwny okolicznościom; pokryto ją jednak pozorem, że lekcye języka polskiego były zbyt wolne. Pamię-

tam, że człowiek ten był żałowany od całéj młodzieży, co wiele znaczy. Żona jego, miła jak anioł, była przedmiotem jeszcze większego politowania. „Łzy kadetów towarzyszyły mu do saméj bramy, kiedy wyjeżdżał... Na jego miejsce przyjechał wkrótce podpułkownik kwatermistrzowstwa Koss, człowiek młody, godny bez wątpienia, ale zbyt popędliwy“.

Te dwa wypadki ogólniejszego znaczenia zajmowały korpus chwilowo tylko. Sprawy drobne, ale własne, z życiem szkolném ściśle związane, stanowiły naturalnie, jak i lat poprzednich główne tło zdarzeń. Pomiędzy niemi najważniejszém było podzielenie się korpusu na dwie koteryę“. Udział Sztyrmera w jednéj z nich o mało co nie rozstrzygnął o jego przyszłości.

Główną jego ambicyą było pójść do Szkoły Aplikacyjnéj, bo naprzód była to korona wszystkich usiłowań naukowych w zakresie wojskowości w Królestwie, a powtóre chciał się on połączyć ze Szmideckim, który już tam od roku bawił i z którym ciągłą utrzymywał korespondencyę. Sztyrmer był prawie pewnym, że będąc pierwszym w naukach ścisłych i nie mając złéj kréski ze sprawowania, zostanie wysłanym w liczbie kilku innych. Nagle pewność ta wielce się zachwiała, a przyczyną była jedna z tych burz szkolnych, jakie zwłaszcza w zakładach zamkniętych, zdarzały się często.

Niejaki Maryan Wachowicz „czysta baba, który się tylko plotkami trudnił, który mężczyzną będąc, przez 9 lat pobytu w korpusie, ciągle miał kochanków i lepiéj znał kokieteryę jak modna aktorka, który wreszcie w dojrzałym wieku w Szkole Podchorążych kawaleryi, utrzymywanym był przez jednego z swoich adoratorów i nakoniec po rewolucyi ożenił się z szynkarką w Łowiczu, będąc synem pułkownika polskiego i oficerem“ — miał swoją w korpusie koteryę, która intrygując, pobudziła dwie klasy do jeneralnéj bitwy na kije, cyrkle i noże. Po skończonéj utarczce strony wojujące spostrzegły, że główną przyczyną ich zatargów był Wachowicz i jego mała koterya; gniéw tedy cały zwrócił się na nich, a nienawiść stawała się tém sroższą, im więcéj obie strony odczuwały nierozsądek swego postępku. Nagle stronnicy Wachowicza popadli w powszechną pogardę; przezwiska ubliżające, piosenki dotkliwe, satyry, a nawet i uderzenia spadały na nich; każdy z wyrządzania im przykrości robił sobie zasługę. „Niepodobna sobie wystawić—mówi Sztyrmer— z jaką zaciętością wszyscy przeciw nim powstali; zdaje się, że gdyby nie bojaźń przełożonych, żaden-by z nich nie został przy życiu. Malutkie dzieci powstały nawet przeciwko nim. Okropnie było patrzéć na nierozerwane małe kółko wzgardzonych i odepchniętych od łona towarzystwa, na ludzi młodych, któ-

rych wszyscy omijali, nie śmiejąc słowa z niemi przemówić. Sobieski pokazał w tym czasie pierwszy dowód zatwardziałego swego charakteru; będąc pierwéj z Wachowiczem w ścisłych związkach, obił go okropnie dlatego tylko, aby pokazać, że związki te są zerwane. Pomimo ogólnéj nienawiści, nie miano tego za dobre".

Koterya Wachowicza, chcąc sobie zyskać poparcie u zwierzchności, wyzyskała ówczesny nastrój dewocyjny, narzucony szkołom przez ministra Stanisława Grabowskiego i rzuciła się do bigoteryi. Kapelan korpusu ks. Paweł Świątkowski, o którym Sztyrmer mówi, że „niezbyt odpowiadał swemu powołaniu", wziął ją pod swoją opiekę —i odtąd sprawa jéj „wzmocniona intrygami księdza, poszła w górę u przełożonych, a opadła niżéj jeszcze u kolegów". Wachowicz, który nigdy przedtém nie mówił pacierza, chodził wybladły od postu, codzień rano po korytarzu, odmawiając pacierze, więcéj mu jednak szło o to, aby uniknąć prześladowań spółtowarzyszy. Cała jego koterya wałęsała się „jak cienie wyciągnione z grobów". Przełożeni, podburzani przez księdza, srogo karali prześladowców; mimo to nic nie potrafiło zmienić raz powziętéj opinii, tak, że opuszczając korpus, unieśli przyjaciele Wachowicza przekleństwo i szyderstwa kolegów.

Sztyrmer, siedzący nad swoją matematyką spokojnie, nie myślał z początku brać udziału w zaczepkach, sam doświadczywszy w pierwszym roku życia korpusowego, jak ciężko jest być przedmiotem prześladowania. Dopiéro gdy osobiście przez koteryę owę został dotknięty, gdy niejaki Kwilecki powiedział mu głośno przy stole jakąś nieprzyjemność, postanowił wstąpić w szranki, gdyż inaczéj ściągnąłby na siebie wzgardę wszystkich. A że siłą nie mógł się mierzyć z przeciwnikiem, trzeba było walczyć dowcipem.

Pewne zamiłowanie do literatury miał Ludwik już i dawniéj. Jeszcze w Siedlcach, siedząc nad brzegiem stawu w jednéj z najpiękniejszych alei ogrodu Aleksandrowskiego czytywał „Inkasów" Marmontela, których nawet zrozumiéć natenczas nie mógł. Tamże, ucząc się raz z wypisów francuskich powieści o Iwanie Wasilewiczu, powziął myśl ułożenia z niéj tragedyi, nigdy nie bywszy w teatrze. Tragedyę tę miał z przyjacielem swoim Glinojeckim, i jego siostrami przedstawić; wykonał ją nawet w części prozą, ale potém zarzucił. Zajęcie się następne w Kaliszu matematyką, zwróciło jego myśli w innym kierunku i dopiéro potrzeba obrony za pomocą dowcipu, nanowo go ku literaturze popchnęła, zbliżając go do dwu kolegów, którzy krakowiakami satyrycznemi i innemi wierszami najwięcéj koteryi Wachowicza dokuczali; gdyż wszyscy je śpiewali pod nosem wroga, a na każdy dzień nowe.

Tymi kolegami byli: Ropelewski i Knake. Oto ich charakterystyka według Sztyrmera:

„Władysław Ropelewski w młodości okazywał wiele pięknych przymiotów, czego późniejsze lata nie zawiodły. Zdrowie jego podkopane znacznie przez jeden z najszkodliwszych nałogów, nie odpowiadało wcale téj energii i téj żywości, która cechowała jego duszę. Wtenczas już z pod pióra jego wychodziły pełne gustu utwory lub tłumaczenia poezyi, której się zupełnie oddawał. Imaginacya jego wyprzedzała lata, i nie znając jeszcze świata, miał już zdrowe o nim wyobrażenie. Piękności natury żywo przemawiały do jego serca, zwisła powieka, pokrywająca mdłe jego oko, wznosiła się nagle i ogień zapału błyszczał w jego źrenicy, kiedy malował swoje przywiązanie do wiejskiéj zaciszy; zaledwie oddechem władał, kiedy przedeklamował kilka wierszy. Pamięć jego była nadzwyczajna. Głębokie czucie ukrywało się w jego łonie; na pozór flegmatyk, opuszczony, poprostu gap', jak go zwyczajnie nazywano, był jednym z liczby tych ludzi, którzy mogą uświetnić swój kraj. Powié kto, że przesadzam; o nie! może zamało powiedziałem; ktokolwiek go znał tak, jak ja go znałem, nie posądzi mnie o stronność. Ktokolwiek się do niego zbliżył, przejmował jego gusta, tyle miał powabu, z takim wdziękiem umiał je przedstawiać... Knake rzucił się do poezyi w jego ślady, ale zbyt daleko od niego odstał; zresztą charakter jego dość zwyczajny nie mógł sympatyzować z Ropelewskim".

Sztyrmer wszedłszy z nimi w zażyłość, zajął się z taką zaciętością krakowiakami, że często w nocy przebudziwszy się, wstawał z łóżka, aby choć dwa wiersze napisać. Niewiele one były warte [1]), ale autor ich nie posiadał się z radości, słysząc swoje utwory śpiewane przez kolegów. Trzéj tedy poeci okolicznościowi, wziąwszy się pod ręce chodzili naokoło placu zabawy kadetów, wyśpiewując wspólne piosenki „z dziką radością". Noce przepędzane za karę w areszcie nie zrażały ich wcale; zdawało się, że chwała i cel jakiś wyższy zachęcały ich do wytrwania. „Pamiętam—powiada Sztyrmer—że raz siedząc z Knakem w areszcie cały dzień w niedzielę, czytaliśmy „Nocy Younga" i winszowaliśmy sobie, że cierpimy za niewinność; byliśmy pewni, że jesteśmy szczęśliwsi, jak potężna protekcyą starszych koterya Wachowicza. Rzecz szczególniejsza, że obie tu strony wysta-

---

[1]) I sam autor tak się o nich odzywa i wyciągnąć można taki wniosek z poezyj jego późniejszych, drukowanych i rękopiśmiennych, które nie posiadając polotu poetyckiego, okazują zarazem, że i łatwości rymowania Sztyrmer wyrobić sobie nie mógł.

wiały sobie, że cierpią za niewinność — mały obraz zdarzeń między ludźmi dojrzałymi.“

Bądźcobądź towarzystwo Ropelewskiego ożywiało w Sztyrmerze zamiłowanie do literatury; jego rozmowy pełne zapału, wiersze, które mu często czytał, Plutarch, którego mu zalecił i który stał się nie ulubionym wprawdzie, ale „przyjemnym“ dla niego autorem, pokonały jego uprzedzenia i dowiodły, że nietylko matematyka, lecz także i literatura i język francuski mogą się na coś przydać. Literatura francuska Józefa Zielińskiego, profesora liceum warszawskiego, wydana w r. 1823 (trzy tomy) i dzieła Krasickiego były całym ich ówczesnym zapasem w poezyi; poznanie francuszczyzny, z którą się już z powodu podręczników matematycznych spoufalił, przyszło Sztyrmerowi z łatwością. Z Ropelewskim lubił się sprzeczać, i zawsze z tego starcia myśli wielką wynosił korzyść. Zaczął czytywać romanse. Wpadła mu w rękę „Meluzyna“, lecz nie podobała się. Potém „*Les chevaliers du lion*“, pierwsza francuska powieść, którą napól zrozumiał, zachwyciła go. „Samotnik“ i „Nieznajoma“ d'Arlincourt'a sprawiły na nim szczególne wrażenie: chciał być samotnikiem albo Woldemarem; ciągle przez parę tygodni miał niemi zaprzątnioną głowę. Brak nowych romansów przerwał mu jego marzenia o zamieszkaniu w lesie...

Czytanie i rozmowy osładzały mu przykrości, na jakie się narażał uporczywą walką z koteryą Wachowicza. Ropelewski w walce téj ostygł; Sztyrmer więc tylko i Knake pozostali na placu. Wówczas przełożeni na nich już prawie wyłącznie zwrócili uwagę, ażeby położyć koniec niesnaskom. Przed świętami wielkanocnemi 1825 r. Kapitan Paprocki, w którego kompanii Sztyrmer się znajdował, wyjechał. Przybył właśnie wtedy do Kalisza Holewiński, dawny rektor szkoły Siedleckiéj i prosił byłego ucznia swego do siebie. Zastępujący miejsce kapitana porucznik pozwolił Sztyrmerowi wychodzić na miasto; ale zaledwie kapitan wrócił, urlopy te zostały odebrane, co niezmiernie dotknęło ambitnego młodzieńca, bo za każdym razem gdy Holewiński przychodził do kurpusu, „musiał“ Sztyrmer przed nim kłamać i szukać coraz to innych wymówek, aby się usprawiedliwić, dlaczego nie był w niedzielę. Przywiedziony do rozpaczy, poszedł do kapitana i prosił go, ażeby go rozdzielił z owym wrogiem Kwileckim, przy którym sypiał i przeniósł do innéj sali; przyczém przyrzekał poprawę t. j. zaniechanie dokuczliwych dla koteryi Wachowicza postępków.

„Byłem mocno wzruszony — opowiada Sztyrmer — łzy mi się sączyły z oczu, czekałem wyroku, jak zbrodniarz, pewny prawie, że wy-

pełni moje żądanie. Tymczasem kapitan wysłuchawszy mnie, odpowiedział surowo: Ja Waćpana pod komendę oddam panu Kwileckiemu! — Było to okropnie! ukłoniłem się tylko i wyszedłem w milczeniu. Wściekłość mnie prawie ogarnęła: przedsięwziąłem poprawę, chciałem wejść na dobrą drogę, chciałem wszystko zapomnieć i żyć jak pustelnik nie mieszając się do niczego, ze łzami prosiłem o tak małą rzecz— i téj mi tak twardo odmówiono! Na żadną niesprawiedliwość w życiu nie byłem tak czułym; serce moje zatwardziało na wypadki życia, gdy mi pierwszy raz odmówiono — litości... Zdawało mi się, że wszystko się sprzysięgło, aby mi przeszkodzić do porzucenia niesnasek i upamiętania się“.

Położenie to pogorszyło się jeszcze wskutek wybryku, srogo ocenionego przez kapelana. Ksiądz Świątkowski wykładał życie Chrystusa. Charakter księdza — jak mówi Sztyrmer — „loczki i ubiór zbyt staranny zupełnie nie odpowiadały stanowi duchownemu i téj wyniosłéj nauce, którą ogłaszał. Nie miałem dla niego wiele szacunku, a gdy mi się udało zmieszać go cokolwiek moją dysputą, zachęciłem się do tego tak, że potém ciągle na lekcyach z nim się sprzeczałem. Nareszcie raz, bez zastanowienia się, prosto przez kaprys, powiedziałem, że i o ewangelii możnaby wątpić. Ks. kapelan nie pomnąc na to, że to było zdanie powiedziane bez rozwagi, przez 16-letniego młodzieńca, zagrzmiał nademną jak towarzysz Pizarra nad cesarzem peruwiańskim: Heretyku! napiszę do naczelnego kapelana, żeby cię wyklął. Rozśmiałem się, zamiast uczuć swój błąd. Posadzono mnie do aresztu, wziąłem z sobą Krasickiego“.

Nadzieja zatém dostania się do Szkoły Aplikacyjnéj usuwała się z przed myśli młodzieńca. Miał on wprawdzie wielce przychylnych sobie profesorów, Frankowskiego, Zdanowskiego, który za nim zawsze obstawał wobec oficerów korpusowych, daléj nauczyciela francuszczyzny, Ludwika Gravin, i in., ale opinia ks. kapelana, częste areszty za prześladowanie koteryi Wachowicza mogły tę przychylność przeciwważyć. Zimny pot występował na czoło dumnego młodzieńca, gdy pomyślał sobie, że zamiast do Szkoły Aplikacyjnéj, może wyjść na podoficera do wojska i „zapomniany, przygnębiony“ przygotować sobie „okropną przyszłość“.

Przyjechał właśnie podpułkownik Kołaczkowski egzaminować i wybierać kadetów do Szkoły Aplikacyjnéj. W wilią egzaminu był już Sztyrmer pod drzwiami aresztu, ale go przecie kapitan uwolnił. Egzamin był piśmienny; zresztą podpułkownik poległ zupełnie na opinii Frankowskiego i wyjechał do Warszawy, nie wyjawiwszy ani jednego z liczby wybranych. Sztyrmer prawie był pewnym, że złe zda-

nie oficerów o jego postępowaniu i opinia kapelana przeszkodzą mu w wyjściu do szkoły; spuścił się na los, chodziło mu tylko o zmartwienie rodziców. Napisał tedy list do ojca a „używając całéj wymowy i kłamstwa", uskarżał się „na zgorszenie wieku, w którym protekcya więcéj stanowi jak zasługa". List ten tak był czuły i tak przenikający do serca, że—jak się później Sztyrmer dowiedział, „wszystkie damy znajome w Siedlcach płakały nad nim", litując się nad nieszczęściem młodziana zdolnego i pracowitego.

Załatwiwszy tę sprawę, oddał się całkowicie literaturze, zaniechał prześladowania Wachowicza, błądził znów pod murami korpusowemi w ogrodzie kadeckim, i dzięki swemu refleksyjnemu usposobieniu, został jeżeli nie zupełnie szczęśliwym, to przynajmniéj spokojnym i obojętnym, chociaż od czasu do czasu wracał mu ból, gdy go z różnych stron, a mianowicie od prof. Gravin dochodziły wiadomości, że do Szkoły Aplikacyjnéj się nie dostanie, że szczęśliwymi wybrańcami byli: Brauner, Doney, Gostkowski, Sobieski.

Wtém przyjechał generał Hauke z pułkownikiem Meciszewskim na egzamin publiczny. Ks. kapelan uważał sobie za obowiązek—jak w kilka lat późniéj dowiedział się Sztyrmer od podpułk. Kołaczkowskiego — udać się natychmiast do Meciszewskiego i ostrzedz go o grożącém młodzieży polskiéj nieszczęściu zupełnéj herezyi, przedstawiając swego krnąbrnego ucznia jako strasznego herezyarchę. Szczęściem, Meciszewski „tyle złośliwy w innych razach", okazał się w tym wypadku bardzo wyrozumiałym i odpowiedział księdzu, że dla młodzieńca z talentami, zawsze jest dosyć czasu do poprawy.

Jeden z kolegów, Doney, któremu ojciec doniósł listownie, że choć niezawodnie wyjdzie do Szkoły Aplikacyjnéj, dla wszelkiego jednak bezpieczeństwa radził prosić o pytania prof. Frankowskiego, aby egzamin lepiéj poszedł, raptem zbliżył się do Sztyrmera, może chcąc skorzystać z jego wiedzy matematycznéj. Była to pierwsza znajomość młodzieńcza, którą scharakteryzował Sztyrmer przymiotnikiem „optyczna", dlatego, że patrząc na dwu młodzieńców, można było przypuszczać, że wiązała ich przyjaźń najserdeczniejsza, gdy przeciwnie ze strony Sztyrmera nie było nawet szacunku dla towarzysza; chodził z nim i rozmawiał „przez grzeczność" jedynie. Doney ubolewał nad Ludwikiem, że nie został wybranym, przyrzekał przysyłać mu książki z Warszawy i zapewniał, że nigdy go nie zapomni. Sztyrmer nie dał się złudzić tém zachowaniem się; był pewny, że kolega jego kłamie.

Generał Hauke po skończonym egzaminie wyjechał; wszystko ucichło; kadeci mieli już niebawem wyjść do obozu. Przed samém wyjściem, rozeszła się pogłoska, że Sztyrmer został wybrany do Szko-

ły. Prof. Gravin pierwszy mu to oświadczył jako nowinę z listu gen. Bontemps. Doney winszował Ludwikowi, cieszył się, że razem będą w Warszawie, zapraszał do domu swego ojca... Nakoniec przyszło stanowcze uwiadomienie: Brauner, Gostkowski, Sobieski i Sztyrmer przyjęci! Wszyscy się zadziwili, a Sztyrmer najbardziéj. Doney nic nie mówiąc i nie pożegnawszy się z tym, którego w ostatnich czasach tak niby polubił, wyjechał do Warszawy na wakacye, podobnie jak wielu jego towarzyszy będących na własnym koszcie; reszta weszła do obozu; z niemi Sztyrmer. Radość jego była niezmierna; z głębokiego smutku przeszedł do nieograniczonéj wesołości. Napisał natychmiast drugi list do rodziców, donosząc, że „pomimo fortuny“ został przyjęty do Szkoły Aplikacyjnéj i prosząc o pieniądze, aby się mógł porządniéj ubrać w własne odzienie. Trzeba się było zbliżyć do przyszłych kolegów w Szkole Aplikacyjnéj; uprzedzili go oni, ucieszyło go to, gdyż jemu trudnoby się było zdecydować na krok dla niego przykry, têm bardziéj, że przechadzki z Ropelewskim nad Prosną i w nadbrzeżnym gaju, rozmowy i dysputy o literaturze nabierały coraz więcéj uroku. Ostatecznie jednak wciągnięty do kółka Sobieskiego, Gostkowskiego i Braunera, z krzywdą innych przyjaciół, całe dni z niemi trawił. Podpułk. Koss pozwolił im kléić balon; Sztyrmer obrachował ten wóz powietrzny; zaczęła się robota, Na nieszczęście, zgromadzona publiczność kaliska trzykrotnie przyglądała się niezręcznosci młodych Mongolfierów; trzy razy się nie powiodło; śmiejąc się, składano winę na Braunera, który udawał bardzo zręcznego.

Prof. Frankowski odwiedził swych uczniów w obozie; rozmawiał przyjaźnie ze Sztyrmerem i na drugi dzień przyniósł mu geografię Śniadeckiego na pamiątkę. Ludwik był „najszczęśliwszym z ludzi“; nigdy odtąd nie spojrzał na tę książkę „bez tkliwego wspomnienia“. Na wyjezdném płakał jak dziecko, żegnając ukochanego nauczyciela.

III. Wyjazd do Warszawy. Pobyt u rodziców w Siedlcach.

Kandydaci do Szkoły Aplikacyjnéj mieli jechać razem, na jednéj bryczce. Zgodzono się prowadzić w drodze wspólne gospodarstwo; wkładki były nierówne, ten włożył 20 złp., tamten 26, a Sztyrmer około 50. Nie przeczuwał, jak z niego zadrwią koledzy. Ludwik tak był zajęty wyjazdem i nowymi przyjaciółmi, że nie wiedział późniéj napewno, czy się pożegnał z Ropelewskim, Krukowskim, Oborskim i Stuartem. Gdy wyjechał za bramę gmachu korpusowego, dziękował Bogu, że opuszcza „to smutne miejsce“, niepomny już chwil przyjemnych, jakich w nim doznał. Zdawało się 17-letniemu młodzieńcowi, że mógł się

już uważać za człowieka dojrzałego. W najpierwszéj oberży kupił cygar; zaczął je palić, ale choć je zagryzał karmelkami, nie mógł znieść ich goryczy; głowa mu się zakręciła, uczuł się słabym. A tuż w Sobieskim i Gostkowskim zaszła zmiana; związali się ze sobą ściśle i odrzuciwszy udawanie, przybrali względem Sztyrmera ton rozkazujący. Musiał usiąść tyłem do koni, bo im się tak podobało; musiał za własne pieniądze, złożone u Sobieskiego, jeść i pić to, co oni dysponowali; z przyjaciela i ulubieńca, którego w obozie pieszczotami obsypywali, stał się figurą nie mającą głosu i zmuszoną ulegać cudzym kaprysom. Dotknęło go to okropnie; wyobraźnia jego nawet nie była przygotowana do takiego ciosu. Nieśmiałość znowu go naraziła na upokorzenia; najwięcéj jednak cierpiał na myśl, że z tymi kolegami ma przebyć trzy lata w Szkole Aplikacyjnéj.

Z wypadków podróży do Warszawy, jeden tylko szczegół utkwił w jego pamięci. Prócz tych czterech, co jechali do Szkoły, było jeszcze 40 kilku, co wychodzili do wojska. Młodzież ta, wyjechawszy za rogatki, postarała się o wódkę i tak w niéj zasmakowała, że gdy dojechali na nocleg, połowa prawie była pijana. Sztyrmer ze swymi towarzyszami poszedł na kolacyę; pili wino, co ktoś zobaczywszy, żartem powiedział przed innymi, że „elewi wysoki prowadzą ton“. Koterya Wachowicza postanowiła z tego skorzystać i przedstawiając kolegom, że to jest jawne nimi pogardzanie, z łatwością oburzyła pijanych przeciwko naszym kandydatom. Ledwie wyszli z oberży, otoczono ich — krzyk, wrzawa, każdy gadał, nikogo rozumiéć nie było można; Sztyrmer zapamiętał tylko, że odebrał kilka kuksów; nadbiegły oficer potrafił wreszcie spokój przywrócić.

Za przybyciem do Warszawy nie zastali nasi kandydaci elewów w Szkole Aplikacyjnéj, byli bowiem „na wojażu“ w Kielcach. Sztyrmerowi przykro się zrobiło, że nie mógł widziéć Szmideckiego. Przedstawiony pułkownikowi Józefowi Sowińskiemu, dyrektorowi Szkoły, po rewizyi zdrowia, był u celu swych usiłowań, został elewem. Nazajutrz wrócili wychowańcy „z wojażu“, a więc i Szmidecki. Na rozmowach z nim upłynął tydzień niepostrzeżenie.

Pewnego poranku zawołano Sztyrmera do kancelaryi, mówiąc, że matka jego przyjechała. Pobiegł jak szalony, wchodzi, nie poznaje matki, nie śmié podejść, aby jéj rękę ucałować. Matka ze swéj strony, nie widziawszy go przez 4 lata, była w tym samym zakłopotaniu. W końcu ośmielił się wreszcie Ludwik, pocałował ją w rękę; wyszli do sali, ażeby swobodniéj pomówić. Ledwie weszli, matka odkryła Ludwikowi halsztuk i dopiéro ujrzawszy rodzinne znamię na

szyi, nie wątpiła, że jest jéj synem i obsypała go tysiącem pieszczot, płacząc z radości. Wszystko jakby w staréj komedyi!

Nazajutrz dano Sztyrmerowi urlop; wyjechał do Siedlec, rojąc sobie największą szczęśliwość.

„Jechałem—powiada—z matką, którą zawsze lubiłem nad życie i do któréj przywiązanie powiększyło się jeszcze przez czteroletnią rozłąkę; miałem ujrzéć zadowolnionego ojca; miałem uściskać moje siostry, znajomych; miałem nareszcie powitać pamiątki młodocianego wieku, odwiedzić ogród Aleksandrowski, gdzie tyle przyjemnych chwil spędziłem, pola, las, wody, wszystko — wszystko, co mnie kiedyś nęciło!... Zbliżając się do Siedlec, uczułem mimowolne wzruszenie, drżałem jak liść. Ujrzawszy zdaleka szczyt ratusza, krzyknąłem z radości tak mocno, że się matka przelękła, i wyciągnąłem ramiona chcąc go uściskać, daléj dzwonnicę, daléj wiatrak na polu, przy którym tak często igrałem z rówiennikami lub siostrami. Obarczałem moją matkę pytaniami; a wjechawszy do miasta, nie byłem już panem siebie samego, zeskoczyłem z bryczki i pieszo pobiegłem do domu. Wpadam do pokoju; siostra moja Józefina przelękła się, cofnęła się kilka kroków w tył i zawołała Ludwik! W tym samym momencie już ją ściskałem z zapałem. Młodsza moja siostra Teofila i mała Leokadya ciągnęły mnie za mundur wołając: Ludwik! Ludwik! i płacząc z radości. Potrzeba było, aby matka nas uspokoiła, inaczéj scena ta cały dzień-by trwała. Ojca nie było w domu; jak tylko przyszedł, uściskałem jego ręce i płakałem z rozczulenia. W momencie tak tkliwym, ojciec mój zachował całą swoją surowość; żaden rys jego twarzy się nie zmienił, usiadł, wypytał mię się o wszystko i nakoniec z najzimniejszą krwią dodał: a co też Wasan zrobiłeś z pieniędzmi? Zdałem rachunek, jak mogłem; było w nim niemało kłamstwa; zdziwiło mnie to jednak, jak ojciec nie widząc syna przez 4 lata, może go się w pierwszéj zaraz godzinie wypytywać o rzecz tak suchą“.

Ludwik przepędził 20 dni w domu rodziców. Lubiany od surowego i rachunkowego ojca, pieszczony i prawie ubóstwiany od matki, widząc najczulsze oznaki przywiązania siótr swoich, które przez cały ten czas oczu z niego nie spuszczały, całując go i płacząc naprzemiany, czuł się szczęśliwy nad wszelki opis. Był téż przedmiotem uwielbie- i zazdrości w całém mieście; zewsząd winszowano jego rodzicom, że mają tak „dostojnego“ syna. Wieczorem zbierało się u rodziców kilka osób; a Ludwik zawsze był na pierwszym planie. Nieśmiałość względem obcych, a zwłaszcza płci pięknéj trwała w nim ciągle, lubo marzył słodko o podobaniu się. Razu jednego przybyła na wieczór jakaś panna Maryanna, dosyć przystojna, ale że Ludwik widział obcą

pannę pierwszy raz tak zbliska, wydała mu się „aniołem.“ Nie śmiał ani słowa do niéj przemówić; cieszył się tylko jéj widokiem. Siostra Ludwika prosiła ją, żeby co zagrała na fortepianie; on stanął jak przykuty za krzesłem, połykał i muzykę i wdzięki w jego oczach „niezrównane“; imaginacya jego była w najwyższym stopniu podniecona, czuł się szalenie rozkochanym! Niezgrabność i nieśmiałość ściągnęły nań żarty ojca i sióstr; przepowiadano mu, że nie wielkim będzie rycerzem w salonie. Przez kilka dni pomimo śmiechów i drwinek ciągle był zajęty „Marynią“; wypytywał się o wszystkie dotyczące jéj szczegóły, „ledwie nie umarł z rozpaczy“, dowiedziawszy się, że już jest zaręczoną z jakimś kawalerzystą. Nie osłabiło to jednak jego miłości, a wyjeżdżając zostawił list do siostry i w nim tysiąc komplementów dla „Maryni“, pewny, że siostra go jéj pokaże; z Warszawy nawet jeszcze później kilka razy kazał się jéj kłaniać, gdy na owym wieczorze ani razu do niéj nie przemówił. Na drugi rok dowiedział się, że mąż „Maryni“ rozpił się, narobił długów, żonę traktował po grubiańsku. Zresztą ta jego nieśmiałość i brak przytomności na razie objawiała się dziwacznie i względem mężczyzn. Raz spotkał dawnego swego profesora w Siedlcach, Bazylewicza, i tak się zmieszał, że, nie zastanawiając się, co robi, pochwycił go machinalnie za rękę i pomimo jego kłaniania się i wzbraniania pocałował w nią; po chwili przypomniał sobie niestosowność zachowania się, zarumienił się i odszedł.

We wrześniu dni były bardzo piękne; co wieczór prawie wychodził Ludwik z siostrami odwiedzać pamiątki dziecinnego wieku. Pola, wiatrak za miastem, kamień, który niegdyś był metą ich przechadzek, na którym siadał ojciec z matką, a dzieci u nóg ich wokoło; staw, nad którym godziny całe przepędzał, bawiąc się rzucaniem kamyczków po wierzchu wody; cmentarz, gdzie spoczywały zwłoki babki, którą, przypomniawszy sobie, rzeczywiście szczeremi opłakał łzami; figura Ś. Jana Chrzciciela, kirkut, gdzie tyle razy z towarzyszami szkolnemi przez pustotę zakradał się grać w piłkę,—wszystko to odwiedzał w zachwyceniu, rozmyślając o niezakłóconém szczęściu dzieciństwa. W niedzielę chodzili do Aleksandrowa; Ludwik z rozrzewnieniem oglądał to miejsce, na którém siedząc czytał „Inkasów“ i płakał nad nieszczęściem Peruwian, każdą drobnostkę z owych czasów pamiętając tak dobrze, jakby się to wczoraj zdarzyło.

Wreszcie skończył się urlop; trzeba było jechać do Warszawy. Opuścił dom rodziców ze łzami; ojciec odprowadził go do „cukierni“, zwanéj Wesółką, o 3 wiorsty na szosy i uściskawszy, odszedł. Ludwik jechał pogrążony w smętnych rozmyślaniach.

IV. W Szkole Wojskowéj Aplikacyjnéj (1825—1829).

Gmach Szkoły Aplikacyjnéj mieścił się przy ul. Miodowéj, prawie na rogu Długiéj; z jednéj strony miał szkołę artyleryi, z drugiéj kościół ks. Pijarów. Był dwupiętrowy. Sala jadalna znajdowała się na dole, jak niemniéj klasy, oraz duża sala rysunkowa i mieszkanie komendanta Sowińskiego, „siwego, bez nogi, poważnego, szanownego starca.“ Mieszkania elewów mieściły się na pierwszém piętrze; biblioteka na drugiém, a gabinet fizyczny w gmachu Szkoły Artyleryi. Była to najwyższa szkoła wojskowa w Królestwie. Dyrektorem nauk był Klemens Kołaczkowski, pułkownik inżynierów, „uczony, niezmiernie światowy,“ nawet „fanfaron“; wykładał on fortyfikacyę stałą i geodozyę. Koriot, podpułkownik inżynierów, Francuz z rodu, „fiksat“ był profesorem fortyfikacyi polowéj i geometryi wykreślnéj. Kapitan Feliks Przedpełski, „skąpiec“, był dyżurnym i uczył taktyki, „któréj sam nie umiał.“ Drugi dyżurny kapitan Józef Koszucki, „służbista.“ Trzeci dyżurny kapitan Paszkowski, „dziwak“, był profesorem artyleryi. Pancer, porucznik inżynierów, wykładał architekturę; ks. Rafał Skolimowski—matematykę i religię, Józef Karol Skrodzki z uniwersytetu warszawskiego—fizykę, Krzyżanowski — chemię, Chopin. „Katon śmieszny“—język francuski, Schortius—niemiecki, Kazimierz Werbusz — ruski i kaligrafię, Robert, „brzydki charakter“—rysunki. Lekarzem był Wernery.

Gdy Sztyrmer został wpisany na listę elewów Szkoły Aplikacyjnéj, któryś z jéj naczelników, może Sowiński, a może Kołaczkowski, wciągnął do porubrykowanéj urzędowéj książki [1]), wraz z wiadomościami o jego pochodzeniu i nauce dotychczasowéj następującą charakterystykę 17-letniego młodzieńca: „Twarzy ściągłéj, oczu piwnych, nosa dużego, włosów blond, czoła miernego, wyznania katolickiego. Umysł: mocno obejmujący. Zdatność: wielka. Pamięć: wielka. Okomiar: mierny. Postęp: w matematycznych naukach szczególgólniéj się odznaczał. Rysunki: nie ma zdolności. Języki: francuski, niemiecki gruntownie, z literaturą obznajmiony. Pilność: chęć doskonalenia się wielka; wytrwałość w pracy, ale tylko do przedmiotów obranych. Wysłowienie się: logiczne i łatwe. Charakter. z przedsięwzięciem mocném, niełatwo dającém się powodować, skryty,

---

[1]) Książka ta, do dziejów Szkoły Aplikacyjnéj ważna, znajduje się w bibl. Ord. Kras.

ponury, nieprzystępny. Zręczność: niewielka. Konstytucya: dość mocny.“

Nie trzy lata przebył Sztyrmer w Szkole Aplikacyjnéj, jak sobie myślał, wyjeżdżając z Kalisza, lecz cztery, gdyż za jego już czasów w roku szkolnym 1828/9 utworzono tu klasę czwartą. Niemile i pod względem stosunków zewnętrznych bardzo jednostajnie mu one spłynęły, ale duchowo pchnęły go na nową drogę i dostarczyły upojeń nigdy przedtém niedoświadczonych.

Sympatyi wśród kolegów pozyskać nie umiał i przez całe cztery lata doświadczał nieprzyjemności, przytyków, drwin, upokorzeń ze strony „kwadrumwiratu“, na którego czele stanął towarzysz z Kalisza, Sobieski, rywalizujący z nim w naukach zwycięsko; pokonał go bowiem „fortyfikacyą“ i „rysunkami.“ Z nim stale sprzymierzony był Gostkowski, dwaj zaś inni członkowie kwadrumwiratu byli świeżymi kolegami ze Szkoły Aplikacyjnéj, którzy Sztyrmerowi wdzięczność byli winni. Opowiedzmy tę okoliczność słowami rozżalonego Ludwika:

„Przybyli tu nowi koledzy: Stanisław Wolski i Władysław Trębicki; a że natenczas upłynęło już dwa miesiące kursów, prosił mnie więc pułk. Kołaczkowski, aby nowym kolegom ułatwić drogę do wynagrodzenia straconego czasu. Zająłem się nimi z całą otwartością mego serca, pracowałem, siedziałem dnie i wieczory nad nimi, przywiązałem się do nich i zrobiłem wszystkie wysiłki w téj nadziei, że przez wdzięczność nie będą przynajmniéj memi prześladowcami. Próżność próżności! głupstwo! kto zakłada podobne nadzieje; są to zamki na lodzie, marzenia drugiego świata!... Póki im byłem potrzebny, wszystko szło jakkolwiek; ale ledwie stanęli na równi w kursach, rzeczy wzięły zupełnie niespodziewany kierunek. Sobieski i Gostkowski powiązali się z nimi ściśle i nowy kwadrumwirat z nową mocą obrócił się na mnie. Dziwny to jednak związek, bo oprócz Wolskiego, który ubóstwia, a innych, którzy się boją Sobieskiego lub go głaszczą, wszystkie osoby tego związku nie lubią się między sobą i jeden z drugiego przedemną osobno szydzi; ale niéma nic stalszego jak zgoda ich, gdy się zdarzy okoliczność, w któréj mogą lub chcą mnie dręczyć. Położenie moje arcy-smutne; cały dzień jestem z nimi i cały dzień muszę znosić dotkliwe prześladowanie, silniejsze nawet od tych, którzy mi są obowiązani, jak od dawnych moich nieprzyjaciół; dlatego że uczucie wdzięczności jest dla ludzi podobnych bardzo przykre i zamienia się (!) zwykle nienawiścią... Nietylko ja jestem przedmiotem ich nienawiści, ale i wszystko, co mnie okrąża. Zrobiono mnie guwernerem Szmideckiego (nad którym Sztyrmer wziął teraz górę i pod względem nauki,

i pod względem przewagi moralnéj) i prześladują go dlatego, że jest nieodstępny odemnie, spodziewając się, choć mylnie bardzo, że oburzona miłość własna odezwie się w nim i oziębi go dla mnie... Zdaje mi się, że pierwszy rok pobytu mojego w korpusie wrócił się nazad, z tą różnicą, że dziś więcéj czuję moje położenie, jak w ówczesném uśpieniu mego umysłu. Sobieski dzikim wzrokiem na mnie spogląda, choć tego nie odgaduję przyczyny. Wszyscy tu są tak uczeni, tak dojrzali i filozofowie, że wszelki rodzaj emulacyi uważają za dzieciństwo, — i on to powtarza, a jednak nie może mi darować, że mam pierwsze miejsce, i fałszywie się uśmiecha, gdy mnie najmniejsze spotka upokorzenie... Tego Wolskiego nie mogę pojąć; uśmiecha się, chodzi ze mną najpoufaléj, rozmawia najotwarciéj, głaszcze moję miłość własną, i kiedy ja się na chwilę tym stanem ułudzę, odchodzi i dopiéro co upłynioną rozmowę bierze za cel szyderstwa... ale to się dzieje tak prędko, że ledwie mogę się spostrzedz, kiedy się skończyło głaskanie, a zaczęła ironia; serce ma, zdaje się, dość dobre, i témbardziéj mi to niepojęte, dlaczego bez przyczyny mnie nie lubi i prześladuje.“

Odmalowany tu stosunek Sztyrmera do ogółu kolegów trwał bez żadnéj ważniejszéj zmiany, prócz mniejszego lub większego natężenia nieprzyjaźni, przez całe cztery lata. Ludwik miał bardzo szczupłą liczbę przyjaciół, z którymi myśli i uczucia swe dzielił. Przywiązywał się bardzo łatwo; na inteligencyę wybranych mało zważał, zdaje się nawet, że większe rozwinięcie było mu nie na rękę, bo upokarzało jego miłość własną; wolał młodzieńców cichych, spokojnych, łagodnych; miał dla nich tkliwość prawie niewieścią, robił im drobne przysługi, świadczące o ciągłém jego o nich myśleniu. Przyjaciołmi takimi byli: Szmidecki, Krukowski, Kierwiński, Wasilewski, Stokowski; lecz najmocniéj, czy najczuléj przywiązał się do niejakiego Maciejowskiego, którego poznał w obozie, kolegą jego bowiem w Szkole nie był. Trzeba przytoczyć tu wspomnienia 25-letniego Sztyrmera, ażeby wyobrazić sobie siłę miłości dla tego chłopca:

„Przeżyłem dwa miesiące z Maciejowskim i przywiązałem się do niego jeszcze mocniéj, jak kiedyś do Stuarta. Ach! jego towarzystwo niewypowiedzianym napełniło mi czas ten urokiem; zdało się, że dla niego tylko żyłem, cały dzień z nim siedziałem, cały wieczór z nim spacerowałem po obozie, przy świetle księżyca. On taki miły, otwarty, niewinny, prosty i słodki w pożyciu, chociaż nie uczony i nie wychowany po modnemu! Uczucie moje tak nieśmiałe, a jednak tak mocne— czyliż zawsze nieśmiałość towarzyszy silnym uczuciom? On mnie wyłącznie zajął. Szmidecki, Krukowski, Kierwiński, zawsze mi są przyjemni, ale on! — trudno opisać... Kiedy się strzygł, podniosłem

kiść jego włosów i tę zawsze będę uważał za najmilszą pamiątkę. Nazywałem go tak, jak i koledzy go nazywają: Mały lub Malec i to nazwisko mu bardzo było przyzwoite dla jego prostoty, choć wtedy miał 17 lat... Niedawno byłem na cmentarzu Powązkowskim z Maciejowskim; noc spokojna, niebo czyste, cmentarz, wyobraźnia poety i obecność miłego człowieka, wszystko to razem sprawiło mi uczucie prawdziwie rajskiéj rozkoszy... Byłem z Małym w Bielanach; widziałem grób Staszica, uwieńczony zielonemi gałązkami, które ręce wdzięczności tam położyły. Lasek i klasztor ks. ks. Kamedułów położone nad brzegiem Wisły czarują oko i rodzą mimowolne wzruszenie w sercu; na mnie tém mocniéj ta piękność natury działała, że dziś jest ostatnia chwila swobody i przyjemności; jutro — pożegnam Małego i zamknę się w szkole na 10 miesięcy... Małemu dałem jeszcze liścik, w którym go raz ostatni żegnam do przyszłego obozu... Znowu jestem w obozie, znowu żyję z Małym i jestem szczęśliwy; kocham go więcéj jak brata i dla niego wszystkich innych zapomniałem. Zostaję się często od rewii i, przygotowawszy mu śniadanie, czekam z niecierpliwością jego powrotu i cieszę się, widząc zadowolnienie w jego oczach na widok niespodzianéj siurpryzy. Mały ma serce najlepsze, charakter najłagodniejszy; tylko to mi się w nim niepodoba, że robi długi, których nie może uspokoić; nie wystawisz sobie, ile mnie to boli, témbardziéj, że tyle przedstawień moich zostaje bez skutku.“

Najpewniéj Mały nie okazywał zbytecznie swego względem Sztyrmera przywiązania, i dlatego utrzymywał uczucie jego w ciągłém natężeniu; tak samo bowiem jak poprzednio, Ludwik, widząc się stale kochanym, zaniedbywał takich np. przyjaciół jak Kierwińskiego, który lgnął do niego całą duszą. Sztyrmer znał to usposobienie, robił sobie wyrzuty, ale się odmienić nie mógł.

Dla wyjaśnienia wzmianek o obozie, gdzie się z Małym widywał, trzeba zaznaczyć, że oprócz coniedzielnéj parady na Saskim placu, właśnie po pierwszym roku pobytu Sztyrmera w szkole, wprowadzono nigdy przedtém nie praktykowany zwyczaj, przepędzania wakacyi w okolicach Warszawy bliższych i dalszych wśród wojska. Najczęściéj bywało to w Marymoncie, gdzie stał 4-ty pułk liniowy. Prócz tego elewi wychodzili zazwyczaj w czerwcu na rozmiary; w roku 1828-ym udali się do Modlina. Wycieczka ta stanowiła jedno z najmilszych wspomnień Sztyrmera; zawarł je w następnym opisie:

„Czerwiec, idę pieszo, ubrany po żołniersku, z bronią w ręku i z nadzieją w sercu, że przyszedłszy do Modlina, będę w dniu kilka godzin przynajmniéj swobodny. Przyszedłszy do Jabłonny, przebiegłem ogród, widziałem grobowy napis zapomnianego Karola Ferdy-

nanda, syna Zygmunta III-go z pobocznego łoża; powitałem wspomnienie księcia Józefa, który niedawno chodził po tych samych alejach; widziałem pokoje, w których kiedyś mieszkał i do których nie wrócił— wszystko teraz ciche i w głębokiém uśpione milczeniu. Siadłem pod drzewem i z smutném uczuciem czytałem Panią Jeziora... o, Duglas! Nazajutrz wystąpiliśmy w marsz, deszcz był i błoto okropne; w tym brzydkim czasie wstąpiliśmy (!) do Modlina, gdzie nam dali na mieszkanie najbrzydsze w świecie koszary i słomę zamiast łóżka... ale to wszystko mało mnie obeszło — pierwszy raz w życiu widziałem twierdzę... i tyle marzeń było ze mną! W przeciągu 20-dniowego naszego pobytu, codzień, ukończywszy robotę (któréj mało poświęcałem czasu), błądziłem po polach, po zaroślach, po gajach, bez celu, bez rozwagi, ciągnięty niepojętym natury powabem. Nic nie myśląc, albo myśląc bardzo mało, przepędzałem czas cały na takie ekskursye (!). Wchodziłem często do chaty chłopa, jadłem mléko i chléb razowy z większym apetytem, jak najpyszniejszy obiad Sowińskiego... byłem wolny od świadków! Część umocnień, zwana Koroną utracką, położona jest w najpiękniejszém miejscu, jakie można widzieć. Tam zwykle lubiłem obracać swe przechadzki i, stojąc na wysokim brzegu Narwi, patrzyć, jak żółtawe wody Wisły niechętnie się łączą z jéj ciemnobłękitną falą. Tam wzrok wlepiony w daleką przestrzeń, zda się, że szedł za biegiem rodzinnéj Wisły daleko!... Potém brałem książkę i z nią siedziałem nad brzegiem, a wreszcie szedłem błądzić w miejscu, gdzie głębokie parowy, obrosłe gęsto leszczyną, pełne ptasząt, grunt przecięty i zawalone stare szańce czynią widok prawdziwie czarowny! Kiedyindziéj brałem z łąki chłopskiego konia i jeździłem bez cugli... Szmidecki, Krukowski, Kierwiński rozdzielali (!) czasem moje przechadzki; chodziliśmy do Zakroczyma, do Nowego Dworu, a częściéj po polach, ażeby się zmęczyć i z większą przyjemnością jeść mléko u wieśniaków. Ulubioną zabawą moją na każdym spacerze było zbiérać kwiatek zwany: b r a t i s i o s t r a, podobny do fiołka. Fajka już wtedy była moją pocieszycielką w nudach."

W naukach fachowych zaniedbał się Sztyrmer; zajął się natomiast namiętnie literaturą. W pierwszym tylko roku pobytu w Szkole był prymusem; potém zwyciężony przez Sobieskiego, ustąpił z placu; przełożeni poczytywali go za leniwego choć zdolnego, dyrektor o mało co go nie wydalił; dał się przebłagać jedynie większém przyłożeniem się Sztyrmera do „fortyfikacyi" i do znienawidzonych rysunków. Co odwiodło młodzieńca od matematyki? Będąc w korpusie kadetów, sądził, że posiada wielkie twórcze zdolności w tym kierunku; utwierdza-

ły go w tém mniemaniu pochwały. Przeszedłszy do Szkoły, spostrzegł, że umysł jego nie stworzy ani jednéj nowéj myśli w naukach ścisłych i nabył przekonania, że w matematyce każdy umysł ma swoję linię, któréj nie może przestąpić; przed nią może być geniuszem, po za nią z trudnością rozumié pomysły innych, a témbardziéj zbyt słabym jest, ażeby tworzył własne. Zniechęciwszy się tedy do téj umiejętności, rzucił się do poezyi, rozumiejąc, że to będzie sferą mu właściwą.

W pierwszym roku pobytu w Szkole wziął się naprzód do czytania klasyków francuskich, dawanych mu przez Schortiusa, nauczyciela języka niemieckiego. Sztuki Rasyna, Kornela, dzieła Woltera, Lamartina i inne pisma pochłaniał, poświęcając im wszystkie chwile wolne. Płakał czytając Millevoye. Potém „Dzwon“ Schillera pogodził go z niemczyzną, do któréj miał wstręt poprzednio. Pierwsze dzieło większe w tym języku, które wziął do czytania, była „Iliada“ w przekładzie Vossa. Śmieli się z niego koledzy, ale niebawem zaczęto się dziwić jego postępom; nabył nowéj sławy, jako znawca języków. Córka księcia Golicyna, któréj Schortius dawał lekcye, czytając niektóre wypracowania niemieckie Sztyrmera, zachęciła się do tego języka, do którego bardzo mało miała ochoty. Rzucił się do Schillera i Goethego, zaczął żyć w zupełnie nowym świecie wyobraźni, był nim zachwycony. Przebiegł mnóstwo almanachów, romansów, poezyi; był „w raju.“

W drugim roku, widząc, że Tomasz Potocki, do którego od pierwszego rzutu oka poczuł nadzwyczajną sympatyę i z którym pragnął koniecznie się zbliżyć, uczy się po angielsku, kupił sobie słownik angielski i sam, przy małéj pomocy ze strony Potockiego i Zamojskiego, zaczął oddawać się studyowaniu tego języka. Wziął do czytania Moora, zachwycał się nowemi dla niego pięknościami, i tak się zapalał do irlandzkiego piewcy, że bał się zwaryować. W tym samym roku szkolnym, prawdopodobnie w drugiéj jego połowie, 1827 r., pierwszy raz zapoznał się z poezyą romantyczną polską: z Mickiewiczem, Odyńcem i innymi; przez czas jakiś z rąk nie wypuszczał ich utworów. Codzień po kolacyi chodził z Kierwińskim, Szmideckim lub czasem z Potockim po podwórzu, rozmawiając o poezyi. Potocki przeczytał mu raz swoję balladę „Stanisław i Halina“ i urywek „Zima.“ Zachęciło go to do pisania wierszy. Myśli mu nie brakło, ale rymowanie było dla niego „gigancką pracą,“ którą się jednak trudnił przez dwa ostatnie lata pobytu w Szkole, choć sam czuł, że wiele brakowało płodom jego Muzy, „śpiéwającéj wierszem twardym“, niezgodnie z Febem. Potockiemu prawdopodobnie ich nie pokazywał; bał się upokorzenia;

widział w nim prawdziwego poetę, był tak szczęśliwy, gdy z nim rozmawiał, napawał się słodyczą jego obcowania; bolał, kiedy ten zostawszy oficerem, całkiem odmienił ton względem niego!... Natomiast wierszoróbstwo zbliżyło go z niejakim Wasilewskim, zapalonym do poezyi. Chodził z nim bardzo często, rozmawiając o literaturze; wieczorem zwłaszcza przechadzka ich po korytarzu, oświetlonym jedną tylko lampą, była nieocenionym odpoczynkiem dnia całego. Raz wyznali sobie, że piszą wiersze; odczytali je sobie nawzajem; Sztyrmer uczuł się wyższym od towarzysza. „Mój Byron — powiada — Korsarz czerwony i sonety nieporównanie są lepsze od jego urywków, chociaż wspólna nasza praca mało utarta. Jakkolwiekbądź, miłość moja własna nie ma się czego obawiać. Częste między nami sprzeczki literackie, a jednak pożycie to jest mi bardzo miłém wśród obojętnych moich kolegów; on dobry bardzo chłopiec, poeta—i nie grozi méj sławie, cichéj, niestety! Jestto mały tryumf.“

Wprzód jeszcze zanim wziął się do pisania dłuższych poematów, Sztyrmer, naczytawszy się Labruyère'a i Larochefoucauld'a, pobudzony cierpieniami znoszonemi od spółkolegów i wskutek swego refleksyjnego usposobienia, zajął się badaniem ludzi i ich charakterów; pierwsze w tym kierunku próby robił na swych towarzyszach, porównywając ich charaktery z opisywanemi w książkach. Czytanie głośnych wtedy moralistów francuskich, Weiss'a i Droz'a, zachęciło go do studyów filozoficznych, zwróciło do Dekarta, Lokka, Newtona i wzmocniło w nim chęć badania i opisywania duszy ludzkiéj; równocześnie zaś czytanie Byrona przejmowało go pesymistycznemi o ludziach wyobrażeniami.

Lektura ta atoli filozoficzna i poetyczna nie tłumiła w nim wiary. Ów wybryk w Kaliszu, podający ewangelię w wątpliwość, był chwilowym tylko; w Szkole zaś Aplikacyjnéj wpływ nauczyciela matematyki i religii, ks. Rafała Skolimowskiego, przyczynił się w Sztyrmerze do chwilowéj zapewne także gorliwości religijnéj. Był to — jak go określa Sztyrmer i jak wiadomo skądinąd — człowiek wielkich talentów i duchowny odpowiadający swemu stanowi. Przykładem własnym zachęcał ich do wypełniania obowiązków chrześciańskich, nie wymagając od ludzi zbyt ciężkich wysiłków. Słowa jego sprawiały na Sztyrmerze silne i skuteczne wrażenie. „Nigdy nie zapomnę — powiada on — spowiedzi w klasztorze ks. Kapucynów. Wieczór był, i ostatni promień słońca przebijał przez zaczerwienione szyby w zmierzchnioną przestrzeń kościoła. Cisza ogólna, widok spokojnych zakonników tak poważny w pośrodku wrzawy stolicy, słabe światło kilku lamp i ponury głos klasztornego dzwonka, rozlegający się po korytarzach; wszyst-

ko to napełniło duszę moją jakiémś religijném i majestatyczném natchnieniem. Chwila ta dała mi mocniéj poznać wdzięk i prawdziwą słodycz religii. Przytém niedawno wpadło mi w ręce dzieło: *Le comte de Valmont ou les égarements de la raison;* niektóre myśli silnie zajęły moję imaginacyę i utwierdziły mnie jeszcze mocniéj na drodze wiary. Czas niejaki zawsze po kolacyi błądziłem samotny po korytarzu w słodkich marzeniach o cnocie i powołaniu chrześcianina, pełny będąc postanowienia stania się lepszym."

Odgłosy z szerszego świata dochodziły tu częściéj do szkoły, aniżeli w Kaliszu, budziły w duszy młodzieńczéj poczucie obywatelstwa, solidarności, należenia do wielkiéj całości, ale poczucie to nie wzmacniane skądinąd, nie przybrało u Sztyrmera silniejszéj barwy, pozostało w stanie zarodkowym. Oto parę oderwanych notatek, jakie we wspomnieniach swoich o tém zapisał:

„Zaczynam się interesować nowinami; czy to powietrze stolicy? Zdaje mi się, że jestem obywatelem; wszystkie nowości żywo mnie obchodzą."

„Cesarz Aleksander umarł; wieść o téj śmierci sprawiła niepojęte wrażenie przestrachu w mieście; byłem na wspaniałym pogrzebie; słyszałem mowę Woronicza, stałem przy ołtarzu i dostałem medal srebrny tak jak wszyscy, którzy byli w kościele; na jednéj stronie jest popiersie cesarza, a na drugiéj sprawiedliwy napis: Dobroczyńcę swego opłakująca Polska."

„Koronacya cesarza Mikołaja I-go w Warszawie; wspaniałość wszędzie; wjazd tryumfalny, koronacya w kościele ś. Jana, iluminacye, sztafierowie jeżdżący z chorągwiami po mieście, bale, — wszystko to zachwyca mieszkańców stolicy, ale ja, zamknięty, niczego nie używam oprócz tego, że słyszę gwar na ulicach, widzę iluminacyą i że cały dzień byłem ubrany i stałem w szeregu, kiedy W. Ks. Następca tronu z generałem Merder obchodzili szkołę. Następca został na obiedzie i Przedpełski, kapitan utrzymujący menaż, pierwszy raz był kontent, że ktoś obcy przybył do obiadu."

Oto i wszystko; ech Sądu sejmowego nie znalazłem tu ani śladu.

Sztyrmer rzadko wychodził na miasto, bo bardzo mało miał znajomych; przez czas jakiś, w tajemnicy przed tłumem towarzyszy, ażeby go nie wyśmiano, uczył się tańczyć pod przewodnictwem kolegi z Kalisza, Braunera; ale w ogóle życie jego było całkiem wewnętrzne, w rozmyślaniu i uniesieniach poetycznych, w wylewach przyjaźni. Do kobiét zwracał się od czasu do czasu z idealném uczuciem, ale tra-

fiał nieszczęśliwie na już zakochane lub zaręczone. Poznał się téż i z miłością zmysłową, ale w sposób najodynarniejszy i wstrętny, który przypomina ową końcową rozmowę dwu przyjaciół w *Education Sentimentale* Flauberta, którą się tak w swoim czasie oburzano, jako niemoralną i... nieprawdziwą. Ostygał téż w stosunkach zewnętrznych z ludźmi coraz bardziéj.

Sercem żył w pełni wówczas tylko, gdy odwiédzał rodziców i siostry w Siedlcach, doświadczając zawsze jednakowych pieszczot i serdeczności. Gdy w r. 1828 na Boże Narodzenie przyjechał, ojciec pokazywał mu już niektóre oficerskie przybory, jakie dla niego przygotował, spodziewając się awansu, który miał niebawem nastąpić. Przy pożegnaniu wziął na pamiątkę włosy od całéj rodziny; ojciec, dając mu promień swoich siwych, rzekł jakby przeczuwając, że go widzi raz ostatni: może to będzie jedyna po mnie pamięć! i obtarł wpółukrytą łzę. Siostrzyczka Teofila siedziała milcząca, gdy wszyscy wkoło Ludwika płakali. Dotknęło to cokolwiek brata. Podchodzi do niéj, by ją uścisnąć; w tém nagły krzyk wyrywa się z jéj piersi, pada mu w objęcia, a strumień łez puszcza się jéj z oczu. Jęk, łkanie, konwulsye były skutkiem zatrzymanéj i skrytéj boleści rozstania; rozerwała ona wreszcie zapory i brat poznał gwałtowny, namiętny charakter Teofili; pokochał ją tém mocniéj.

Wkrótce po napisaniu rozprawy z zakresu artyleryi, rozkazem dziennym z 16 sierpnia [1]) 1829 r. posunięty został Sztyrmer na podporucznika artyleryi pieszéj kompanii 1-éj pozycyjnéj. W gratyfikacyi otrzymał żołd trzechmiesięczny do téj rangi przywiązany.

„Munduruję się — woła Ludwik — co za radość“. Matka moja przyjechała i przywiozła mi przygotowane przez ojca dla mnie rzeczy. Ojciec mi tylko w liście przysyła błogosławieństwo. Matka całuje mnie, ściska w oficerskim mundurze. Chodzę po całéj Warszawie i zdaje mi się, że oczy wszystkich na mnie zwrócone. Z pierwszych pieniędzy, które mi wpadły w ręce, kupiłem Moora i kilka cybuchów, najwięcéj mi bowiem do szczęścia potrzeba książki i fajki; — resztę obojętnie dość potém kupiłem. Matka moja wyjechała. Byłem u pani Romanowskiéj, żeby się pokazać w mundurze Basi i dumnéj pannie Seifert. Potém byłem na obiedzie u Sowińskiego, dla pożegnania nas umyślnie danym; na nim pierwszy raz się upiłem z łaski Trębickiego, który mi nieustannie kielichy napełniał, nie mogąc jako

---

[1]) Sztyrmer we wspomnieniach podaje 19 sierpnia, ja trzymam się książki urzędowéj, o któréj już mówiłem.

głuchy brać udziału w rozmowie. Na drugi dzień posłano mnie na ostatnią wartę w obozie, a na trzeci wymaszerowaliśmy do Kozienic".

Owocem ostatecznym pobytu w Szkole Aplikacyjnéj było zapoznanie się ze światem idealnym poezyi, do którego skłonił się 20-letni młodzieniec, gdy widok ludzi stawał mu się przykrym, wzrost rozwagi, utrata wiary w przyjaźń bezinteresowną i w możność całkowitéj szczerości w towarzystwie.

Piotr Chmielowski.





ŚWIADOMOŚĆ SPOŁECZNA.

Szkic socyologiczny.

O ile ważne jest dla człowieka poznanie przyrody, któréj część on stanowi, o tyle ważne jest dlań poznanie praw społecznego rozwoju. Nauka społeczna stała się możliwą dopiéro od czasu, gdy badanie przyrody pozwoliło nam poznać dokładniéj istotę człowieka, prawa biologicznego i psychologicznego jego rozwoju. Społeczeństwo składa sie z ludzi, poznać więc ich naturę dla socyologa jest koniecznêm.

Cała nasza wiedza jest niczém innêm, jak tylko sumą wrażeń, jakie w nas wzbudza świat zewnętrzny. Świat zewnętrzny, obiekt, znamy jedynie z wrażeń, z procesów psychologicznych, dokonywających się w naszym mózgu i nerwach. Poznawać zjawiska zewnętrzne, jestto odczuwać świadomie dokonywające się w nas reakcye przez owe zjawiska wywoływane. Podmiot percypuje zjawiska zewnętrzne wyłącznie w postaci stanów swéj świadomości, zatém wyłącznie subiektywnie. To, co nazywamy obiektywnością, nie jest więc obiektywnością bezwzględną, lecz obiektywnością subiektywną. Obiektywna metoda badania jest tylko ścisłą analizą naszych wrażeń, prowadzoną w jaknajdokładniejszy możliwie sposób, jest kontrolowaniem wniosków i uogólnień wysnuwanych z jednych wrażeń przez inne.

Świadomość nasza jest zatém jedyną modłą w ocenianiu zjawisk zewnętrznych. Poznać świadomość w rozmaitych jéj przejawach jest więc rzeczą nadzwyczaj ważną. Kwestya świadomości jest, naszém zdaniem, najważniejszą nietylko w psychologii, ale i w socyologii, główną bowiem spójnią łączącą jednostki w społeczeństwo jest świadomość. Socyologia bez psychologii jest niemożliwa. Fakty fizyologiczne stanowią tylko obiektywną stronę faktów psychologicznych.

Fizyologia bez psychologii, jak i psychologia bez fizyologii, nie może nam wyjaśnić wszystkich zjawisk duszy. Ponieważ zaś społeczeństwo składa się z psycho-fizyologicznych jednostek, a zatém i socyologia nie może być wyłącznie fizyologiczną, lecz jednocześnie psycho-fizyologiczną być winna.

Socyologia powinna być nauką spostrzegawczą i doświadczalną, o ile zjawiska historyczne mogą być nazywane doświadczeniami. Lecz indukcya sama nie daje nam pełnego obrazu łączności zjawisk bez dedukcyi. Przedmiot nauki społecznéj zbyt jest złożony, ażeby sama analiza tylko, bez syntezy dedukcyjnéj, mogła go wyjaśnić. Jak biologia i psychologia, tak więc i socyologia posługiwać się musi metodą indukcyjno-dedukcyjną.

Metody téj ściśle się trzymając, przystępujemy do skreślenia w krótkich zarysach genezy i istoty świadomości społecznéj.

I.

Świadomość jest stałym czynnikiem naszego poznania, jest koniecznym warunkiem istnienia dla nas świata zjawisk. Wszystko, co wiemy, zawdzięczamy jedynie świadomości.

„Świadomość—powiada Ribot—dopełnia jedynie, dokończa fakt nerwowy, lecz go nie stanowi“ [1]). Jestto gra wyrazów tylko, gdyż skoro coś jest dopełnieniem czegoś, to jednocześnie jest także jego częścią składową.

„Proces nerwowy—mówi daléj tenże psycholog—staje się świadomym przy istnieniu pewnych warunków dodatkowych, warunki te jednak nie zmieniają w niczém natury zjawiska.“ Wypadałoby więc stąd, iż mózg w jednakowym znajduje się stanie, gdy funkcyonuje automatycznie i gdy funkcyonuje świadomie. Tymczasem wiadomo nam, iż wszystkie funkcye umysłowe zależą od pewnych określonych warunków mózgowych.

Wiadomo, iż szybki prąd nerwowy, ażeby dojść do odpowiedniego mięśnia, nie potrzebuje dochodzić do naszego mózgu. Dochodzi on wtedy tylko, gdy napotyka po drodze jakąś przeszkodę, gdy przestaje być odruchowym, automatycznym. Im powolniejszy i więcéj utrudniony prąd nerwowy, tém intensywniejszą bywa świadomość, i odwrotnie: im szybciéj i łatwiéj przebiega prąd nerwowy drogami już gotowemi, tém słabszą bywa świadomość. Świadomość zjawia się wtedy zatém, gdy zdarzy się opóźnienie w odruchu, gdy odruch powstrzymany zo-

---

[1]) Ribot, „Maladies de la personnalité.“

stanie przez jakąś przeszkodę w swym biegu, wtedy, jedném słowem, gdy obecność świadomości jest potrzebna. Świadomość jest więc korzystna i niezbędna dla organizmu. Gdyby nie służyła do niczego, gdyby była czémś przypadkowém, jak sądzi Ribot, nie mogłaby była się rozwinąć.

Sprowadzając zasadnicze zjawiska umysłowe do ruchu, nie zbliżamy się ani na krok ku ich wyjaśnieniu. Świadomość zawsze pozostanie dla nas świadomością pomimo sprowadzania jéj do ruchu. Żaden ruch, najwięcéj nawet skomplikowany, nie może nam wytłómaczyć, czém jest myśl, nie może wytłómaczyć najprostszego nawet ze stanów świadomości—powiada Spencer [1]).

Odruchy nie są istotną przyczyną i źródłem umysłowości. Świadomość, podstawa wszelkich przejawów umysłowości, w samym odruchu istniéć już musi. Musiała ona i musi istniéć w pierwiastkach życia, w pierwiastkach materyi t. zw. nieorganicznéj.

Ponieważ system nerwowy rozwinął się z ogólnéj materyi organicznéj, czucie a zatém i świadomość elementarną być musi własnością prostéj nawet materyi organizowanéj. Materya organiczna powstała niezaprzeczenie z nieorganicznéj, a zatém i ta ostatnia posiadać musi pewną ilość czucia i świadomości. Czucie i świadomość nieodłączne są więc od materyi, wszędzie związane są z ruchem, wyrazem ich zewnętrznym, obiektywnym. Jak ruch złożony nie mógłby istniéć, gdyby nie było ruchu molekularnego, tak samo złożone stany świadomości byłyby niemożliwe bez prostéj świadomości w pierwiastkach materyi. Tam, gdzie jest ruch, musi być i świadomość. A ponieważ ruch wszędzie ujawnia się we wszechświecie, wszędzie więc istniéć musi świadomość. Pierwiastki materyi, czyli atomy musiały i muszą zawiérać pierwiastki świadomości i życia, skoro kombinacya ich dała początek życiu i świadomości.

Z tego, cośmy dotychczas powiedzieli, wynika, iż ruch jest obiektywnym warunkiem istnienia świadomości, świadomość zaś jest subiektywnym warunkiem poznawania ruchu.

Ażeby świadomość mogła się ujawnić, potrzeba przedewszystkiém ciągłości i nieprzerywalności w istnieniu jednéj i téj saméj substancyi; potrzeba, ażeby substancya ta, podścielisko świadomości, wznawiała się stopniowo ciągle, bez przerwy, w miarę jej dezorganizacyi, dezintegracyi; potrzeba, ażeby substancya ta stanowiła pewną całość ograniczoną, pewne *ja* odosobnione o tyle, ażeby *nieja* mogło być wyróżnianém, *ja* bowiem przy braku *nieja* jest niemożliwe. Jedność

---

[1]) Herbert Spencer, „Principles of Psychology."

i ciągłość świadomości trwać może dotąd tylko, dopóki ciągłość percepcyi pozostaje nieprzerwaną, dopóki nie braknie ogniwa w ich łańcuchu. Skoro łańcuch percepcyjny ulegnie przerwie, skoro braknie łącznika pomiędzy percepcyami ujawnionemi, a percepcyami mogącemi się ujawnić, wówczas świadomość niknie, jak np. we śnie.

Energia, rozproszona pierwotnie, w chwili skupiania się jednoczesnego ze skupianiem materyi,ześrodkowywała się w ogniska odosobnione z odpowiednią ilością materyi, w atomy, ustalające się coraz więcéj w swéj równowadze indywidualnéj wskutek wzajemnego na siebie oddziaływania. Atomy, które nie mogły się ustalić w swéj równowadze, których układ nie odpowiadał warunkom ich otoczenia, wyginąć musiały podczas tworzenia się światów. Pozostały więc tylko atomy stałe, w określonych pozostające z sobą stosunkach, niezniszczalne dzięki równowadze ich wewnętrznéj i niepodzielne przy dzisiejszych warunkach, a zatém nieświadome, czyli unieświadomione. Tam bowiem, gdzie warunki wewnętrzne przystosowały się już całkowicie do warunków zewnętrznych, nie może ujawnić się świadomość. Świadomość wskutek tego nie przejawia się w świecie nieorganicznym; pierwiastki jéj zrównoważone i obok leżące niezdolne są do wzajemnego oddziaływania na siebie, do organizowania się w systematyczną całość. Świadomość poczyna się ujawniać dopiéro w świecie organicznym, a szczególnie w świecie zwierzęcym.

W człowieku, jako w najbardziéj skomplikowanéj, a więc najmniéj równoważnéj formie, świadomość przejawia się najwyraźniéj i staje się czynnikiem wytwarzającym nowy organizm, organizm wyższego typu—społeczeństwo ludzkie.

Świadomość indywidualna jest w istocie świadomością zbiorową. Istnienie systemu nerwowego nie jest koniecznym warunkiem istnienia życia psychicznego. Każda komórka żyjąca zdolną jest spełniać zasadnicze funkcye psychiczne: odczuwać podniety i oddziaływać na nie ruchowo, i choć nieświadoma celu, wspólnie z zorganizowanemi z nią komórkami pracować może i pracuje na pożytek całości. Jeżeli najprostszym nawet organizmom, takim np. jak ameby, przypisujemy czuciowość, a zatém i pewną świadomość, to témbardziéj uznać musimy istnienie tychże własności w komórce, mającéj więcéj skomplikowaną budowę, niż ameba.

Wszelka komórka posiada swą świadomość odrębną, która w połączeniu z innemi świadomościami zdaje sie tworzyć jedną świadomość całkowitą. Jeżeli odosobnić jeden ganglion u pijawki od sąsiednich ganglionów, wówczas część odosobniona przewiązaniami zdaje się być nowym odrębnym bytem, ukłócia bowiem, zadawane jéj, przez nią tylko

bywają odczuwane. Po przecięciu przewiązań świadomość pierwotna powraca całkowicie, czyli świadomości pojedyncze zlewają się razem, jak dźwięki oddzielne zlewają się w dźwięk ogólny. Przecinając robaka na dwoje, przecinamy także i jego świadomość; każda część odrębną stanowi istotę z odrębną świadomością.

Jedność świadomości jest iluzyą tylko, jest pozorną. Jak barwy tęczy, przesuwające się szybko przed naszym wzrokiem, zlewają się w jedną barwę różną od barw ją składających, tak samo różnorodne świadomości naszych komórek zlewają się w naszym mózgu w jedną wspólną świadomość. Organizm żyjący jest społeczeństwem jednostek wykonywających z konieczności swe funkcye, do wykonywania których przystosować się musiały dla dobra całości. Wskutek specyalizacyi i lokalizacyi funkcyi w organizmie świadomość komórek nie zniknęła, lecz została tylko podporządkowaną świadomości centralnéj.

„Mózg jest stereoskopem, gdzie zbiegają się miliony obrazów podobnych i gdzie tworzą, przez nakładanie się, jedno i to samo *ja*. Jak stereoskop dwa wymiary przedstawia w postaci trzech, tak samo mózg wytwarza pozór mnogości w przedmiotach i jedności w podmiocie“ [1]).

Aczkolwiek *ja* jest wypadkową tylko, wewnętrzną formą świadomości i życia, podporządkowywa jednak sobie wszystkie siły organizmu dla celów własnych i nadaje im swą cechę. Dzięki doborowi naturalnemu, idea naszego *ja* bierze górę nad innemi ideami, jako najkorzystniejsza dla zachowania i rozwoju jednostki, i przekazywana w takiéj formie dziedzicznie, staje się wyrazem trwałéj i niepodzielnéj osobowości. *Ja* jest wytworem ewolucyi; powstawszy, staje się przyczyną nowéj ewolucyi.

Ponieważ świat cały zależny jest od swych części, części zaś jego pojedyńcze od całości, można go zatém porównać z organizmem. Pod względem subiektywnym jest on sumą świadomości i stosunków pomiędzy jéj przejawami. Pomimo atoli jedności i ciągłości w swéj substancyi, nie dojdzie on nigdy jako jedna całość do samoświadomości, do zorganizowanéj subiektywności mogącéj się wyrazić w *ja*, *ja* bowiem możliwe jest wtedy tylko, gdy może się przeciwstawić *nieja* istniejącemu. Wszechbyt nie może się przeciwstawić wszechniebytowi, gdyż tenże jest negacyą bytu. Wszechbyt nigdy więc nie mógł i nie będzie mógł wyrzec tego słowa: „Jam jest.“

Tożsamość jednak praw biologicznych i socyologicznych pozwala

---

[1]) A. Fouillée, „La Science sociale.“ Paris, 1886, p. 222.

nam sądzić o kierunku i możliwym przebiegu ewolucyi rozpoczętéj na podstawie ewolucyi dokonywającéj się, lub dokonanéj. Byt, doszedłszy w rozwoju swym do świadomości zorganizowanéj, poczyna dążyć do wyższego typu organizmowego, do ukształtowania się w organizm społeczny ludzki, a następnie w organizm społeczny wszechświatowy. Badania zatém nad rozwojem społeczeństwa ludzkiego rzucić mogą także pewne światło na ogólny rozwój przyrody.

II.

Zasadniczą cechą organizmu jest dążność oddzielnych jego części ku zachowaniu całości. Cała działalność tych części skierowana jest ku utrzymaniu przy życiu organizmu. W maszynie sztucznéj tymczasem oddzielne części dążą do przejścia w stan bezwładności, a tém samém do rozstroju całości.

Organizm biologiczny jest społeczeństwem komórek walczących o byt własny i o byt całości. Te z pomiędzy nich, które okazują się nieodpowiedniemi dla istnienia i funkcyonowania całości społecznéj, zanikają i giną na zasadzie doboru naturalnego, pozostałe zaś rozwijają się i przystosowują o ile możności jaknajlepiéj do wzajemnie zależnego współistnienia. Powstająca w ten sposób i zmieniająca się, stosownie do warunków, w swéj formie organizacya, jest więc tylko rezultatem grupowania się i wzajemnego uzależniania oddzielnych organizmów—komórek.

Warunki współdziałania rozmaitych organów w ustroju biologicznym: podział pracy i solidarność są również warunkami istnienia i rozwoju społeczeństw tak ludzkich, jak i zwierzęcych. Organizacya społeczna bez podziału pracy jest niemożliwą. Stosuje się to zarówno do funkcyi fizyologicznych, jak i społecznych. Ludzie, prowadzący życie jednakowe, żyjący obok siebie, lecz w zupełnéj niezależności wzajemnéj, jakby w odosobnieniu, nie stanowią społeczeństwa.

W społeczeństwach pierwotnych, jednostki nie różnią się prawie niczém pomiędzy sobą; każda umie robić to samo, co i wszystkie inne, każda pracuje dla siebie tylko, pomoc innych nie jest jéj potrzebną. Jestto raczéj stado, niż społeczeństwo. Związek pomiędzy jednostkami takiego stada ludzkiego jest czysto mechaniczny. Osobniki silniejsze ujarzmiają masę, która w takich tylko warunkach stanowić może pewną całość. Stąd niewolnictwo i despotyzm; są one w społeczeństwie takiém faktami normalnemi.

Niezaspokojone potrzeby dopiéro, jak: głód i konieczność obrony przed nieprzyjacielem, zmuszają ludzi do szukania wzajemnéj pomocy,

do łączenia się w społeczeństwo. W miarę rozwoju wzrasta podział pracy i specyalizacya zdolności. Zależność społeczna staje się coraz większą, związek coraz ściślejszym; człowiek nie może już żyć po za społeczeństwem. Społeczny stosunek pomiędzy ludzkiemi osobnikami zasadza się atoli jeszcze na prawie silniejszego. Silny pożera słabszego, lub też ujarzmia go w celu wyzyskiwania jego zdolności na swą korzyść. Późniejszy nawet ustrój społeczny przedstawia tylko rozwój pierwotnego tego stosunku, wyższą i więcéj skombinowaną jego formę.

Przystosowując się do nowych warunków otoczenia społecznego, które się stało dla niéj niezbędném, jednostka stara się przekształcić warunki te stosownie do swych potrzeb, dążeń, pragnień, idei. Wyzwalając się od krępujących warunków świata zewnętrznego, człowiek wyzwalał się jednocześnie od tych składników swéj osobowości, które czyniły go niewolnikiem otoczenia. Wytworzył on w sobie zdolność powstrzymywania odruchów już niepotrzebnych, wskutek czego zwiększył swą energię molekularną, zwiększył swą świadomość i emocyjność. W miarę podnoszenia się wyższych uczuć i wyższych potrzeb słabły potrzeby i uczucia niższe. Nowe te potrzeby, choć późniejsze i niezasadnicze w życiu biologiczném, wzrastają tak silnie, iż zagłuszają najelementarniejsze nawet potrzeby życiowe. Potrzeby umysłowe i moralne, ten wyższy wytwór ewolucyi, wytwór organizacyi kolektywnéj, biorą przewagę i osłabiają potrzeby biologiczne, egoistyczne. Chcenie-życia zwierzęce słabnie przed potęgą chcenia-życia wyższego, ludzkiego. Odtąd dopiéro poczyna się istnienie prawdziwego społeczeństwa ludzkiego. Tam, gdzie jednostki godzą się świadomie żyć obok siebie dla wspólnych celów, tam dopiéro poczyna się proces tworzenia się organizmu społecznego.

Ja indywidualne ginie wówczas do pewnego stopnia w *my* społeczném; dane *my* pozostaje jednak w antagonizmie egoistycznym wobec innego *my*. Antagonizm ten przejawia się najwyraźniéj pomiędzy rodziną a społeczeństwem. Rodzina i społeczeństwo rozwijają się w odwrotnym do siebie stosunku. Antagonizm jednak pomiędzy rodziną a społeczeństwem ludzkiém nie jest konieczny. Nie jest również konieczny dzisiaj antagonizm pomiędzy narodami, pomimo, iż występuje on jeszcze silnie, chociaż właściwie tylko wskutek politycznych i ekonomicznych anomalii dzisiejszego ustroju. Autonomia jednostki nie przeszkadza istnieniu rodziny, autonomia rodziny całości narodu, autonomia narodu jedności ludzkości.

Gdyby członkowie jednéj i téj saméj rodziny, jak to utrzymuje

Espinas [1]), jednę i tęż samą tworzyli świadomość, rodzina powinnaby być jednostką w takim razie, powinnaby używać zaimka *ja* zamiast *my*. Najpotężniejsza nawet miłość nie jest jednak w stanie zlać dwóch samoświadomości w jednę, z dwóch podmiotów uczynić jeden. Jestto możliwe w poezyi tylko, ale nie w rzeczywistości. Rodzina, jak i społeczeństwo, jest organizmem, lecz w organizmie tym brak jedności podmiotu. Tém się właściwie różni społeczny organizm od wyższego organizmu biologicznego. Świadomość społecznego organizmu rozproszoną jest, tak samo jak i w niższych formach biologicznych, w pojejedyńczych częściach całości.

Społeczeństwo ludzkie, jak wszelki organizm żyjący, dąży wprawdzie do ześrodkowania świadomości rozproszonéj w częściach w świadomość wspólną, jednę w samoświadomość, dąży do ześrodkowania się w jedno *ja*; będąc jednak organizmem opartym na świadomości jednostek, dążyć musi jednocześnie do utrzymania indywidualizmu psychologicznego. Ażeby świadomości indywidualne mogły się zlać w jedno *ja* społeczne, potrzeba byłoby psychicznego ich utożsamienia się, co jest w społeczeństwie ludzkiém niemożliwe. Świadomości pojedyńcze mogą się zjednoczyć odnośnie do przedmiotu i celu, lecz nie mogą wytworzyć jedności podmiotu.

Jak wielość i rozmaitość komórek potrzebna jest dla ujawnienia się świadomości indywidualnéj, tak téż wielość i rozmaitość ludzi i świadomości potrzebna jest dla ujawnienia się świadomości społecznéj. Jak wyższość systemu nerwowego zależy nietylko od masy, lecz także i od złożoności ruchów, tak samo wyższość społecznego rozwoju nie polega wyłącznie na masie jedności wchodzących w skład organizmu społecznego, ale również na złożoności układu tychże jednostek i ich ruchliwości funkcyonalnéj. Im jedność części więcéj jest określona, im czynności ich więcéj są niezależne, tém większa jest jedność całości i energii ich czynności (Espinas). Im większa indywidualność w częściach tém większa ruchliwość całości.

III.

Każdy członek społecznego organizmu powinien mieć zupełną samoświadomość, ażeby mógł pojmować i szanować *ja* innych członków. Samoświadomość w tym kierunku nabyta być może tylko przez wolność. Wszystko, co siłą bywa narzucone, zaciemnia świadomość przez krępowanie woli.

---

[1]) Espinas, „Les Sociétés animales."

Czémże jest wola?

Wszelkiéj idei w miarę jéj uświadamiania się towarzyszy dążność ku jéj urzeczywistnieniu, wszelka bowiem idea jest, obiektywnie, ruchem skierowanym ku przedmiotowi téjże idei. Nie może być zatém idei bez jakiegokolwiekbądź pożądania, bez woli.

Postanowienie, wybór, chcenie, wszystkie jedném słowem przejawy woli, zależą od naszych wyobrażeń, uczuć i popędów. Lecz czémże jest nasze *ja*, jeżeli nie sumą tych uczuć, wyobrażeń i instynktów, które nadają kierunek naszéj woli. Wola zatém nasza zależy od naszéj osobowości, a przedewszystkiém od charakterystycznych jéj cech, od najtrwalszych jéj pierwiastków, od istoty naszego *ja*. Te uczucia, potrzeby i pragnienia biorą w nas górę, które są najgłębszemi i najistotniejszą stanowią część naszéj osobowości.

Obiektywnie wola jest dążnością molekuł w kierunku zachowania ich równowagi jaknajwiększéj. Subiektywnie, jest ona chceniem *ja* dążącego do zachowania swéj osobowości, jest ona przedewszystkiém chceniem życia.

Chcenie-życia jestto instynkt zasadniczy wszelkiéj organizacyi żyjącéj, wytworzony przez walkę o byt i utrwalony przez dobór naturalny i dziedziczność. Jestestwa nie posiadające instynktu samozachowawczego, nie dbając o zachowanie całości swéj organizacyi, jeżeli istniały kiedykolwiek, musiały wyginąć. Samobójstwo nawet popełniane w stanie normalnym, tak samo jak i oddanie życia za ideę, jest tylko wyższém i szerszém chceniem-życia.

Czyny nasze nie od zewnętrznych zależą zatém przyczyn, bezpośrednio, lecz od reakcyi wywoływanéj w nas przez te przyczyny, od reakcyi naszego *ja* wywoływanéj przez świat zewnętrzny. Im więcéj *ja* jest subiektywném, im mniéj zależy od świata zewnętrznego t. j. od *nieja*, tém więcéj człowiek jest wolnym. Zależyć od siebie tylko znaczy być zupełnie niezależnym, zupełnie wolnym.

Wszelka czynność nasza jest wolną, jeżeli nie napotyka przeszkód zewnętrznych lub wewnętrznych, fizycznych lub psychicznych. Wolność zatém polega na możności działania zależnie jedynie od pobudek wewnętrznych.

Pomimo, iż chcenie nasze zależy od rozmaitych warunków, od przewagi w nas pewnych dążeń, pomimo, iż obiektywnie jest ono tylko koniecznem następstwem kombinacyi rozmaitych składników, stanowiących nasze *ja*, jednakże dopóki nie jest tamowane przez czynniki nie należące do naszego *ja*, jest ono subiektywnie wolne, ponieważ jest wyrazem naszéj osobowości danéj chwili. Ponieważ nasze *ja* zależne jest od naszéj organizacyi, a zatém i wola

nasza także jest od niéj zależna. Wolna jest ona tylko względnie do naszego *ja*, jeżeli od naszego *ja* tylko zależy. Że każdy akt woli wywołany bywa przez jakąś przyczynę, wie o tém każdy człowiek. Badając jakikolwiekbądź czyn ludzki, szukamy zawsze przyczyn, które go wywołały, nie możemy bowiem zrozumiéć, ażeby można było coś zrobić bez przyczyny. Jestto dowód, iż uznajemy wszyscy zależność naszéj woli; nie przeszkadza to jednak nazywać ją wolną względnie do naszego *ja*.

Psychologicznie zatém wola nasza nie jest wolna, ponieważ zależy od stanów naszéj osobowości złożonéj; socyologicznie jednak jest ona wolna, jeżeli zależy tylko od naszego *ja*.

Ażeby społeczeństwo mogło istniéć potrzeba, ażeby wszyscy jego członkowie chcieli jego istnienia, ażeby wszyscy pracowali dla wspólnego dobra. Wszyscy ludzie mają prawo kontrolować się wzajemnie pod tym względem, mają prawo wymagać, ażeby tak a nie inaczéj postępowano. Wolność jednostki społecznéj nie może być więc bezgraniczną. Każdy człowiek powinien być wolny o tyle, o ile sam nie narusza wolności innych. Kolizye istniejące dziś pomiędzy wolami jednostek w społeczeństwie usunąć można jedynie przez odpowiednie kształtowanie osobowości i jéj otoczenia ekonomiczno-społecznego.

Społeczeństwo nie powinno sądzić o szkodliwości czynu podług skutków materyalnych, lecz podług tendencyi antyspołecznych, które czyn ten wywołały. Społeczeństwu bowiem broniącemu się przeciw grożącéj mu woli nie o wartość czynów zewnętrznych téjże woli chodzić powinno, lecz o wartość wewnętrznych jéj pobudek wrogich jego całości. Człowiek niemający woli nieszkodzenia innym t. j. ulegający całkowicie swym popędom antyspołecznym niebezpieczniejszy jest dla społeczeństwa, niż człowiek mający wolę tłumienia w sobie popędów tego rodzaju; dlatego też społeczeństwo więcéj ograniczać powinno wolność pierwszego, niż ostatniego, względniéj postępować z przypadkowo szkodliwym, niż z szkodliwym z natury, z konieczności.

Człowiek nie może wprawdzie przestać być częścią całości świata, nie może się od niego oderwać, nie może się wyzwolić z koła stosunków łączących go ze światem, lecz musi ulegać jego wpływom we wszystkich przejawach swego życia. W miarę atoli poznawania świata może przewidywać i sądzić, może przeto uchylać się z pod wpływu pewnych przejawów naturalnéj konieczności dlań szkodliwych i ulegać tym tylko, które mogą być dlań korzystnemi. Potęga ludzka wzrasta w miarę poznawania, w miarę rozwoju wiedzy. Wiedziéć, miéć świadomość jestto módz. Znać maszynę, znać jéj budowę, jestto módz posiłkować się nią, jestto módz użyć jéj do swych

celów, dla swéj korzyści. Poznać prawa konieczności, poznać przyczynowy związek pomiędzy zjawiskami jest dla nas jedynym środkiem stania się wolnymi w granicach możliwości.

Ewolucyi dotychczasowéj wiele potrzeba było czasu i ofiar. Niezliczona ilość organizmów musiała powstać i zginąć, ażeby mógł był wytworzyć się człowiek. Dzisiaj jednak, uświadomiwszy sobie ów proces ewolucyjny, czynny brać możemy w nim udział, celowo możemy i powinniśmy nim kierować i przyśpieszać go.

Mówiąc o celowości, dalecy jesteśmy od nadawania wyrazowi temu znaczenia metafizycznego. Celowość jest właściwie niczém inném, jak tylko objętą przez świadomość przyczynowością. Organizacya biologiczna nie jest celem, lecz rezultatem życiowego prądu komórek. Celowość harmonijna w funkcyonowaniu części organizmu jest wynikiem przystosowania się ich wzajemnego, mechanicznego raczéj, niż świadomego, jest tylko wzajemném ich ustosunkowaniem. Celowość nie istnieje więc w świecie biologicznym, rodzi się ona dopiéro wraz z społeczeństwem ludzkiém i w témże społeczeństwie wypiéra stopniowo dotychczasową mechaniczność ewolucyi. Idea, zmuszająca człowieka do czynu, jest jednocześnie przyczyną jego i celem. Jeżeli świat nie ma celu, to społeczeństwo miéć go może i powinno. Społeczeństwo ludzkie jest bowiem nietylko sumą interesów i sympatyi, lecz także sumą idei ujawniających się w postaci pewnych ideałów społecznych, narodowych, ludzkościowych.

Rzeczywisty ideał społeczny wyrażać się powinien w dążności wszystkich ku wytworzeniu takiéj całości, któraby była stowarzyszeniem stowarzyszeń, wolną centralizacyą wynikającą z decentralizacyi, harmonią interesów wszystkich i interesów każdego, wolności wszystkich i wolności każdego. Synteza indywidualności i kolektywności, decentralizacyi, i centralizacyi wolności każdego i solidarności wszystkich — oto ideał społeczeństw ludzkich. Ideał ten wytwarzający się w naszéj świadomości, ku urzeczywistnieniu którego dążyć poczynamy, nie powinien być pomijany w socyologii, lecz przeciwnie, istotną jéj część, jak słusznie powiada Fouillée, stanowić powinien.

Formy konkretne, w jakie dałby się ująć nasz ideał społeczny, dalekie są jeszcze od rzeczywistości. Wytwarzać się one będą stopniowo w miarę uświadomiania się masowego tegoż ideału. Nie można ich narzucać siłą dzisiejszym społeczeństwom, chciéć bowiem wcisnąć życie społeczne w ramki jakiejkolwiekbądź gotowéj formy, jestto chciéć skrępować dziecko w tym celu, ażeby wyrósł z niego normalny człowiek.

Z chwilą, gdy zaczynamy pojmować ideał sprawiedliwości spo-

łecznéj, gdy myśli nasze i dążenia zbiegają się w owym ideale jak w ognisku, zaczynamy być jednocześnie rzeczywistym organizmem społecznym.

IV.

Akt świadomy w miarę powtarzania się staje się nieświadomym. Prądy nerwowe wyżłabiają sobie jakoby koryto, w którém płyną następnie spokojnie, bez wywoływania zaburzeń w skojarzeniach systemu nerwowego. Idea (wyobrażenie) wchłania się jakoby w odpowiednie organy i kształtuje je w właściwy sobie sposób: uplastycznia się, ustala się w organizmie w postaci przyzwyczajenia, a przekazana innym jednostkom dziedzicznie staje się instynktem (Darwin, Lamarck, Spencer, Fouillée, Herzen, Paulhan i inni) [1]).

W organizmie społecznym instynkty, charaktery i zwyczaje w taki sam powstają sposób. Utrwalając się dziedzicznie, stają się dążnościami, instynktami rasowemi, narodowemi, kastowemi i t. d. Cechy rasowe lub narodowe wytwarzają się przez długotrwały wpływ tegoż samego otoczenia fizycznego, ekonomicznego i społecznego, tych samych wierzeń, instytucyi, obyczajów. Wyrażają one przeszłość rasy lub narodu, wyrażają to, co przeżyli przodkowie i co przekazali dziedzicznie swym potomkom. Całe życie przeszłe ciąży na pokoleniach dzisiejszych i jest najpotężniejszym z czynników nadających kierunek ich działalności. Charakter narodów dzisiejszych—to głos ich przodków umarłych, głos wszechpotężny, biorący górę nad głosem rozumu zdobytego w ciągu krótkiéj egzystencyi. Społeczeństwo nie może przekształcić w sobie tego wszystkiego, co przekazały mu przeszłe pokolenia; przyjmuje ono wszystkie odziedziczone nabytki, jak jednostka przyjmuje odziedziczony organizm.

Jak w życiu indywidualném przyzwyczajenia odziedziczone i nabyte pozostawiają często w mózgu ślady głębokie i tamują w ten sposób proces nowego, więcéj złożonego i lepiéj zjednoczonego grupowania się pierwiastków psychicznych, tak samo w życiu społecznem ślady obyczajów naszych przodków, obyczajów mających wówczas racyę bytu, w zwyczajach tradycyonalnych się przechowujące, tamują proces nowego kształtowania się stosunków międzyludzkich.

Tradycyonalne zwyczaje społeczne tak samo, jak i instynkty indywidualne korzystne są dla zachowania bytu, lecz dotąd tylko, do-

---

[1]) Zobacz w tym przedmiocie artykuł mój: Świadomość i Nieświadomość w „Ateneum". 1888. I.

póki warunki, które je wytworzyły, istnieją, dopóki organizacya wewnętrzna i otoczenie zewnętrzne nie ulegną zmianie. Organizacya i otoczenie zmieniają się nieporównanie łatwiéj, niż instynkty, niż zwyczaje społeczne.

Z biegiem czasu społeczeństwa odosobnione geograficznie, rasowo, społecznie, stają się coraz bardziéj stałemi, coraz mniéj mogącemi się zlewać z sobą, coraz większa bowiem przeszłość odziedziczona ciąży na nich. Dzięki cywilizacyi, możemy się do pewnego stopnia wyzwalać z pod wpływu cech odziedziczonych. Ciągłe krzyżowanie się tylko może osłabić pewne cechy ustalone, może je zneutralizować przez cechy im przeciwne. Krzyżowanie się społeczeństw odosobnionych korzystne być może w rezultacie, lecz wtedy tylko, gdy znajdują się one w tym samym okresie rozwoju. Rozmaite ich cechy dopełniają się wówczas wzajemnie, potęgują energię i żywotność wytwarzającéj się całości. Stany Zjednoczone północnéj Ameryki wymowny stanowią tego dowód. Złożone z pierwiastków rozmaitych, lecz wysoko rozwiniętych, z jednostek energicznych, awanturniczego ducha i o szerszym polocie myśli, społeczeństwo amerykańskie szybko postępuje naprzód, wyprzedzając starą Europę. Artystów nie ma tam wprawdzie, lecz artystów nie było w liczbie owych awanturników, goniących za nowém życiem na szerokich obszarach nieznanego świata.

Społeczeństwa zbyt odrębne nie mogą stworzyć trwałéj całości państwowéj. W państwach składających się z rozmaitych społeczeństw, narodów, wytworzyć się może pewna nowa całość w takim tylko razie, jeżeli proces asymilacyjny dokonywa się stopniowo, jeżeli pewne wspólne cechy temu sprzyjają. Inaczéj na krótki skazane są one żywot. Historya wszystkich takich państw zawsze była jednakową. Społeczeństwa ujarzmione oderwać się muszą w takich razach od swych zwycięzców, jeżeli w istocie oddzielną i odrębną stanowią całość.

Nietylko jednak jakościowo społeczeństwa wyróżniać się powinny zasadniczo pomiędzy sobą, ale także i ilościowo powinny jednakowo mniéj więcéj być reprezentowane, ażeby asymilacya zupełna była możliwą. Społeczeństwo mniéj liczne, ujarzmiające społeczeństwo liczniejsze, rozpływa się w niém i ginie, pozostawiając po sobie tylko wniesione pierwiastki cywilizacyjne. Zdarza się, że społeczeństwo zwyciężone narzuca swą cywilizacyę zwycięzcom; ujarzmione politycznie, ujarzmia je w zamian moralnie. Rasa semicka np. przestała istnieć politycznie, cywilizacya jéj jednak zdołała wziąć górę w swoim czasie nad cywilizacyą aryjską i dziś jeszcze tamuje jéj rozwój.

Jeżeli dwa społeczeństwa o różnym stopniu cywilizacyi zasymi-

lują się całkowicie, wówczas wytwarza się cywilizacya pośrednia. Moralnie jednak oba społeczeństwa tracą, nowa bowiem cywilizacya zawsze bywa niższą pod tym względem od jednéj, jak i od drugiéj. Społeczeństwo kroczy wówczas pomiędzy obu moralnościami i nie trzyma się żadnéj. Krzyżowanie zmienia i rozstraja przeszłość skondensowaną przez dziedziczność w jedném i drugiém społeczeństwie. Ostatnio nabyte cechy w przeszłości, wyższe zatém ewolucyjnie, rozstrajają się i przekształcają zwykle jako najmniéj stałe, gdy cechy dawniejsze barbarzyńskie, wspólne obu społeczeństwom oczywiście, pozostają i ujawniają się jeszcze wyraźniéj i silniéj, brak im bowiem przeciwwagi, brak siły powstrzymującéj, któraby im nie pozwalała wydobywać się z ukrycia. Metysi nigdy nie podnieśli społeczeństwa cywilizacyjnie, lecz przeciwnie obniżali tylko cywilizacyę, degradowali ją do swego poziomu umysłowego. Krzyżowanie się rasy hiszpańskiéj z niższemi amerykańskiemi wytworzyło rasę niezdolną zupełnie do brania udziału w wytwarzaniu cywilizacyi powszechnéj, rasę pozbawioną energii i przyszłości.

Smutne i pustoszące wyniki krzyżowania się społeczeństw wyższych ewolucyjnie z niższemi zrozumiane były przez starożytne ludy cywilizowane. To tylko mogło być właściwie przyczyną kastowego ustroju społecznego, przeszkadzającego mięszaniu się społeczeństw starożytnych. Dzięki temu systemowi aryowie starożytni mogli się uchronić od degradacyi i grożącego im wchłonięcia przez dzikie hordy murzynów. Był to system konieczny wówczas, dziś jest on bezmyślny. Dzięki temu systemowi zdołaliśmy wznieść się do cywilizacyi dzisiejszéj [1]).

Ażeby społeczeństwo dane mogło wytworzyć swoją cywilizacyę, lub mogło brać czynny udział w wytwarzaniu cywilizacyi powszechnéj, potrzeba, ażeby nie asymilacyjną, lecz twórczą posiadało umysłowość w swéj masie; potrzeba, ażeby świadomość jego członków, była rezultatem jaknajwiększych różnic indywidualnych pod względem specyalizacyi umysłowéj.

Przepaść pomiędzy poziomem świadomości ujawniającéj się w społeczeństwach wyższych a poziomem świadomości społeczeństw niższych, zwiększa się szybko w miarę rozwoju cywilizacyjnego ludzkości. Wyższe społeczeństwa kroczą szybko, gdy niższe zaledwie postępują naprzód. Społeczeństwa zatém nie dążą do zrównania, lecz różniczkują się coraz więcéj. Nawet w jedném i tém samém społeczeństwie różnica pomiędzy rozmaitemi jednostkami wzrasta z każdą

[1]) G. Le Bon. Les premières Civilisations. Paris. 1888.

generacyą. Gdy mniejszość rozwija się coraz więcéj, większość cofa się raczéj umysłowo, niż postępuje. Inżynier np. więcéj musi umiéć dzisiaj, niż dawniéj, gdy zwyczajny robotnik mniéj może być inteligentny, niż dawniéj. Różniczkowanie się postępujące pomiędzy społeczeństwami, pomiędzy jednostkami, pomiędzy płciami — oto nieuniknione wyniki postępu cywilizacyi dzisiejszéj.

Pośród milionów ludzi, tysiące zaledwie tylko żyją życiem świadomém, biorą czynny udział w życiu społecznem. Reszta jednak, ta ciemna gromada, żyjąca bez wrzasku, bez hałasu, nie manifestująca niczém swéj ograniczonéj umysłowości, nie jest pomimo tego zerem w ruchu umysłowym społeczeństwa. Wszystko, co się uwydatnia w społeczeństwie, jako zdolność, talent, geniusz, wypływa właśnie z tego źródła, jest wyrazem syntezy przeszłości, jest wytworem téj pracy cichéj milionów nieświadomych. Geniusz i talent jest kapitałem nagromadzonym wielu generacyi — powiada Renan.

Akt świadomości indywidualnéj świadczy o niedoskonałości organizacyi mózgowéj, o zjawieniu się nowego czynnika naruszającego równowagę automatyzmu wrodzonego, lub nabytego, ponieważ nie znajduje gotowego dla siebie mechanizmu. Prądy molekularne ośrodków nerwowych krążą nieświadomie póty, póki nie napotkają pierwiastków stawiających opór i wtedy tylko stają się dla nas świadomemi. Lecz skoro tylko pierwiastki te przestaną opiérać się prądom molekularnym, skoro się przystosują wzajemnie, skoro prądy owe wyżłobią sobie, przez częste powtarzanie się, odpowiednie łożysko, wówczas zaburzenie nie może już miéć miejsca, nie może więc być także odczuwania odpowiedniego, nie może być świadomości w naszém *ja*.

Analogiczny proces dokonywa się w społeczeństwie. Świadomość społeczna, czyli wypadkowa świadomości indywidualnych w społeczeństwie, w takiż sam ujawnia się sposób. Prądy ideowe krążą niewyraźnie i nieokreślenie w społeczeństwie dopóty, dopóki nie spotkają się z jakąś przeszkodą tamującą bieg ich zwyczajny, dopóki nie zjawią się w postaci jakiegoś człowieka, lub faktu. Wszelka nieregularność, wszelka zmiana w życiu społecznem, wywołuje zaburzenie w jego biegu, wywołuje rozstrój pierwiastków urównoważonych, wywołuje ujawnienie się świadomości społecznéj. Wojna, przesilenie ekonomiczne, głód, epidemia, zmiana rządu, władzy, praw, nowe odkrycia, wynalazki i t. d. wszystko to powoduje większe lub mniejsze zaburzenie w społeczeństwie, większe lub mniejsze wzruszenie, większe lub mniejsze uświadamianie się społecznego organizmu. Stan ten trwa dotąd, dopóki społeczeństwo nie przystosuje się do nowych warunków, do nowych faktów, do nowych idei.

Akt ujawniania się świadomości tak indywidualnéj jak i społe-

cznéj jest właściwie okresem przejściowym tylko pomiędzy niższą a wyższą organizacyą. Jest on wyrazem skojarzeń niedoskonałych, wyrazem organizacyi niezakończonéj jeszcze, organizacyi w stanie rozwoju. Na zaburzenia społeczne nie należy zatém patrzéć jako na objaw upadku, lecz przeciwnie, są one objawem żywotności społeczeństwa, objawem jego przeobrażania się ewolucyjnego.

Im prostszy bywa typ organizacyi biologicznéj, lub socyologicznéj, tém prędzéj dochodzi ona do doskonałości w swych granicach, tém prędzéj i zupełniéj staje się maszyną, automatem, nie mogącym się daléj rozwiajać. Przeciwnie, im organizacya przedstawia typ więcéj złożony, tém szerszy bywa zakres jéj czynności, tém większa nierównowaga, a więc i świadomość, tém mniéj możliwy automatyzm. Społeczeństwa takiego typu złożonego daleką mają przed sobą przyszłość pod względem rozwoju, kiedy społeczeństwa, ulegające petryfikacyi umysłowéj, muszą zginąć, rozproszyć się w masie innych społeczeństw żywotniejszych. Społeczeństwo jest wytworem świadomości, bez świadomości zatém nie może być społeczeństwa, lecz stado tylko z łatwością dające się rozpędzić.

Dzięki rozwijaniu się w nas świadomości jedynie, weszliśmy w dziedzinę życia niedostępnego dla zwierząt, dziedzinę bezgraniczną o nowym i coraz bardziéj rozszerzającym się widnokręgu, i tém tylko zapewniliśmy sobie nieskończoność rozwoju—jeżeli, naturalnie, warunki kosmiczne radykalnéj nie ulegną zmianie i mózg nasz nie wyczerpie się w swéj formie; — a zatém tylko intensywne i ekstensywne jednocześnie rozwijanie się świadomości w społeczeństwach polepszyć może byt nasz indywidualny, oraz byt całéj ludzkości.

V.

Człowiek, w cywilizowaném żyjący społeczeństwie, kieruje się w swych czynnościach więcéj wpływem i naciskiem otoczenia, niż osobistemi skłonnościami. Wpływ idei wzmaga się, a jednocześnie rozszerza się pole świadomego krytycyzmu. Wole indywidualne poddają się coraz więcéj wskazaniom zbiorowego rozumu. Proces ten dokonywa się jednak bardzo powolnie. Cywilizacya intelektualna wzrasta wprawdzie bardzo szybko, lecz zanadto jest powierzchowna, zamało głęboka, wewnętrzna, ażeby mogła proces ten przyśpieszać.

Cywilizacya dzisiejsza — to rozwój zewnętrznych form życia przedewszystkiém; pierwiastek zaś ludzki tymczasem, ta spójnia wewnętrzna w życiu społeczeństw, zamiast potężniéć zaledwie się rozwija. Stąd brak równowagi pomiędzy zewnętrzną a wewnętrzną

stroną życia społeczeństw; a stan ten prowadzi z jednéj strony do zwyrodnienia biologicznego, z drugiéj zaś do przewrotu społecznego, który cywilizowaną ludzkość na nowe i właściwsze pchnąć musi tory ewolucyi.

Ewolucya, jak wiadomo, nie zawsze idzie w parze z postępem. Organizmy tak biologiczne, jak i społeczne, przystosowując się do nowych warunków bytu, rozwijają się, lecz w procesie tym utracić mogą cechy wyższego typu i powracać do niższego, ulegać mogą degradacyi. Organy niepotrzebne w nowém otoczeniu, nie mogące się doń przystować, zanikają i wyradzają się. To, co uważamy za dziką odmianę zwierzęcego, lub roślinnego gatunku, okazuje się często odmianą kultywowaną, która wskutek zmiany otoczenia powróciła do stanu dzikości, została zatém zdegradowana ewolucyjnie.

Społeczeństwa ludzkie mogą także ulegać podobnéj degradacyi; mogą rozwinąć w sobie wiedzę i sztukę, lub téż nabyć je z zewnątrz i zagubić je następnie. Takie wyradzanie się kultury dokonywało się u rozmaitych ludów zwanych dziś barbarzyńskiemi i dzikiemi. Buszmani np. stojący na bardzo niskim poziomie rozwoju, są właściwie ludem zdegradowanym do stanu dzikości, ludem, który zatracił swą poprzednią cywilizacyę barbarzyńską. Dwa tylko plemiona, jak pokazały badania antropologiczne, pozostały dotychczas w stanie pierwotnéj dzikości; są to gałęzie afrykańskiéj rasy murzynów, mieszkające na Nowéj Gwinei (papuasi) i na wyspach Andamańskich. Dwa te plemiona nie znają sposobów otrzymywania ognia, lecz starają się podtrzymywać go ustawicznie. Być może, iż wskutek swéj bezwładności umysłowéj zatraciły one umiejętność otrzymywania ognia. Eskimosi, uważani do niedawna za plemię dzikie, stali niegdyś wyżéj cywilizacyjnie, niż dzisiaj. Przodkowie ich żyli w styczności z grenlandzkimi skandynawami, jak świadczą o tém pieśni Eskimosów i podania skandynawskie. W lasach na wyspie Ceylon mieszkają jeszcze dzicy Weddasi, bielsi, niż sąsiedni Syngalezi. Mała głowa, wyraz twarzy głupowaty kazałby przypuszczać, iż plemię to jest pierwotne, język ich atoli, podobny do języka Syngalezów, każe w nich widzieć aryów zdegradowanych.

Cywilizacye dotychczasowe przechodziły zawsze przez okresy wznoszenia się i upadku. Czyż i nasza cywilizacya nowoczesna temuż samemu uledzby miała losowi? Jestto prawie nieprawdopodobne. Rozwój cywilizacyi europejskiéj zbyt jest szybki, intensywny i powszechny, ażeby mogła ona uledz degradacyi. Przeciwnie, wszystko każe przypuszczać, że cywilizacya ta, pomimo swéj jednostronności, dąży bądź ewolucyjnie, bądź rewolucyjnie do przeobrażenia się w typ

wyższy, dąży do stania się cywilizacyą bardziéj ludzką, bardziéj społeczną. Im więcéj rozwijamy się umysłowo, im więcéj poznajemy naturę, tém wyższemi są nasze pragnienia, nasze dążności, nasze ideały, tém więcéj oburzamy się na rozmaite przesądy, zwyczaje potworne i nadużycia jeszcze istniejące. „W miarę zbliżania się ku światłu, ku któremu bądźcobądź idziemy, zwiększa się cień nasz za nami posuwający“ (Fouillée).

W miarę atoli rozwoju umysłowego system nerwowy coraz więcéj zdobywa przewagi w organizmie. System nerwowy człowieka cywilizowanego przewyższa system nerwowy papuasa o 30%. Lecz system nerwowy, jako najpóźniejsza zdobycz ewolucyjna, najmniéj jest stały, najbardziéj wrażliwy na zmiany otoczenia. Stąd najczęstszym ulega on zmianom w człowieku, a od jego modyfikacyi zależy zmiana typu. Wskutek szybkiego rozwoju umysłowości, organizm zmniejsza się w stosunku do mózgu; wytwarza się nowy typ ludzki, typ bardziéj nerwowy, bardziéj wrażliwy, więcéj czujący, łatwiéj zatém mogący ulegać zboczeniom i degradacyi.

Wiadomo, iż rody uczonych, literatów, artystów, polityków nie trwają długo. Potomkowie ich wyradzają się, lub powracają do tłumu. Natura dąży jakoby do zrównania ludzi, ku sprowadzeniu tego, co się więcéj uwydatnia do pośredniego typu umysłowego. Wyższość nabywa się za cenę niższości, za cenę zwyrodnienia w innym kierunku.

O ile więc rozwijamy się umysłowo, o tyle zanikamy fizycznie. Z drugiéj strony, wzrastająca nędza i utrudniona walka o byt, wyniki dzisiejszéj cywilizacyi, rujnują zdrowie mas i skracają ich życie.

Równowaga pomiędzy rozwojem umysłowości, a rozwojem fizycznym ludzkiego gatunku dokona się niezawodnie, jeżeli społeczeństwa cywilizowane świadomie kierować będą swą ewolucyą. Inaczéj możliwe jest, iż organizm ludzki zmniejszać się będzie na korzyść mózgu i w rezultacie składać się będzie tylko z głowy, jak przypuszczał to już Diderot.

Filipopol, w marcu 1889 r.

Dr. Antoni Złotnicki.





POLSKO-RUSKA WOJNA Z 1831 R.

Opisał

generał major sztabu generalnego **Puzyrewski.**

Wydanie drugie przerobione, poprawione i uzupełnione. Tomów dwa, wielka 8-a (Tom I-y str. 440, oprócz przedmowy str. X i spisu planów bitew w dodanym atlasie p. IX. Tom II, str. 194 obejmujący dokumenta tabelaryczne, a od 87 do końca jako dodatkowy dokument N. XXXIX zawierający memoryał o tejże wojnie, pisany w 1832 w Gatczynie na rozkaz Cesarza Mikołaja w sierpniu w roku 1832.

Generał Puzyrewski, dziś szef sztabu armii okręgu wojennego warszawskiego, poprzednio zajmował katedrę strategii w Mikołajewskiéj akademii wojennéj sztabu generalnego w Petersburgu. Z tych akademickich wykładów rozwiniętych i uzupełnionych, powstało dzieło, o którém pragniemy dać czytelnikom chociaż pobieżną wiadomość, pragnąc zwrócić ich uwagę na jego ważność i niepoślednią dla nauki historyi zasługę. Cel téj swojéj pracy, autor sam tak w przedmowie określa:

„Poznanie gruntowne polsko-ruskiéj kampanii z 1831 roku jest nauczającém dla oficera ruskiego tak pod teorycznym, jak pod praktycznym względem. Mało wojen odznacza się tak niezwykłą rozmaitością operacyi, jak opisana w pracy niniejszéj. Z jednéj strony do walki występuje kolosalne, potężne państwo, rozporządzające niezmiernym zapasem środków, tak materyalnych, jak w ludziach, wyprowadzające na teatr wojny armię wielką, potężną, doskonale uorganizowaną i posiadającą świetne bojowe tradycye; z drugiéj występuje kraj stosunkowo słaby, z niewielkiemi środkami materyalnemi, z szczupłą siłą zbrojną, który pod wpływem błędnéj i niepodobnéj do urzeczywistnienia idei politycznéj, chwyta za miecz, wytęża wszystkie swe siły dla osiągnięcia celu, jaki sobie postawił. Zdawałoby się, że przy

takich warunkach rezultat walki nietylko był niewątpliwy, ale i sam przebieg kampanii powinien się przedstawiać jako nieprzerwanie zwycięski pochód silniejszéj bez porównania strony. Tymczasem wojna przeciąga się miesięcy ośm, powodzenie często się chwieje, niekiedy nawet zdaje się skłaniać na korzyść słabszego, nietylko zadającego bolesne ciosy swemu przeciwnikowi, ale nawet stanowczo chwytającego w swą rękę inicyatywę. Przyczyną tego były, jak się czytelnik przekona, z jednéj strony rozrzucenie armii ruskiéj na szerokim obszarze naszéj ojczyzny, niespodziewane zaskoczenie Rosyi tą wojną, zła organizacya służby prowianckiéj, lekceważące zachowanie się względem wroga i pewne strategiczne błędy głównodowodzącego ruskiego; z drugiéj strony skupienie się powstałych prowincyi polskich, wspaniałe wojenne przymioty armii polskiéj, niezmierny zapał Polaków, którzy do rozporządzenia swego rządu oddawali wielkie środki i w ludziach i materyalne, niezwykła energia rządu rewolucyjnego (zwłaszcza po Chłopickim) w rozwinięciu siły zbrojnéj".

Autor przeznacza tę pracę swoją dla nauki specyalistów, dla oficerów ruskich i powody swe krótko wyjaśnia. Chcąc uczyć z pożytkiem, trzeba szukać prawdy, zatém w podobnych historycznych wykładach trzeba być bezstronnym, sądzić zarówno sprawiedliwie tak przyjaciół, jak wrogów, mierzyć jednakową miarą przymioty i usterki tak jednych jak drugich. Widzimy z powyższéj cytaty generała Puzyrewskiego iż szukanie i wyświecanie prawdy miał istotnie na celu. O ile sądzić nam wolno, po sumienném przeczytaniu jego dzieła, autor nigdy tego celu z oka nie tracił, starając się być najzupełniéj obiektywnym, o ile to tylko w ludzkiéj jest mocy, gdy chodzi o rzeczy blisko autora obchodzące i o najszlachetniejsze struny serca, o patryotyzm potrącające. Jeżeli czasami męstwo żołnierzy jakiego pułku ruskiego wywoła u niego jakiś pochlebny przymiotnik, co nam się wydaje rzeczą bardzo prostą a wykładowi nie szkodzącą, za to ocena działań wojennych, planów, działalności wodzów i generałów, tak jednéj jak drugiéj strony, a nawet ich osobistości, jest zawsze jednakowo ścisła i, o ile nam sądzić wolno, jednakowo sumienna. Wyrażamy się tak ostrożnie nie przez wzgląd dla stanowiska autora, o którym wiemy, że wszelką uwagę byle sumiennie stawioną, chociażby tylko pobieżnie wymotywowaną, wdzięcznie przyjmuje, gotów z niéj korzystać, jeżeli jéj trafność uzna, ale robiemy to przez wzgląd dla siebie. Jakkolwiek bowiem znamy i to dość szczegółowo historyę wojny z 1831 r., jednakże nie będąc specyalistami wojskowymi, nie możemy kompetentnie sądzić podobnéj pracy głównie dla wojskowych i z wojskowego stanowiska

obrabianéj. Przyznajemy z resztą, że z dzieła gen. Puzyrewskiego nauczyliśmy się niemało a dawne nasze wiadomości dopełniły się.

W przedmowie autor wylicza źródła, z jakich materyał do swéj historyi czerpał. Obok źródeł urzędowych, jak dziennik działań wojennych (w wojenno-naukowém archiwum sztabu głównego), jak listy cesarza Mikołaja do feldmarszałka Dybicza niezmiernie ciekawe (w Ruskiéj Starynie), jak takież listy do feldmarszałka Paskiewicza, których kopie znajdują się w archimum ministerstwa, jak prace dawniejsze ruskich oficerów (Iwanowa, von Osten Sackena, Dawydowa i t. d.), oprócz na pół urzędowego historyka Schmitta (3 tomy), autor powołuje się na liczne źródła czysto polskie. Do takich należy Mochnackiego Historya powstania polskiego, (dokończona przez Mierosławskiego, tomów 10), Brzozowskiego, Barzykowskiego tom (więc jeszcze niedokończone), Teka narodowa Forstera, Dembińskiego (Kampania litewska), Pamiętniki gen. Dwernickiego, Chłopickiego, Zaliwskiego, Piotra Wysockiego, Goszczyńskiego, Wrotnowskiego, Pietkiewicza. Wspomina téż autor z wielką czcią o swoim nauczycielu i poprzedniku na katedrze w akademii wojennéj, nieboszczyku A. E. Stankiewiczu. O wszystkich tych dziełach daje krótkie oceny krytyczne w przedmowie, a blisko pięćset w dziele zamieszczonych odsyłaczy z oznaczeniem stronnic wskazuje, nietylko jak te dzieła sumiennie czytanemi były, ale jak wiele jeszcze innych, oprócz wymienionych w przedmowie, sumienny autor wertował (Czartoryski, Angeberg, Gervinus, Sołtyk, Martens i t. p.).

Szczególniéj jednak autor wyróżnia wspomniany w tytule memoryał Prądzyńskiego, o którym tak mówi w przedmowie:

„Prądzyński, najzdolniejszy z polskich działaczy wojennych w kampanii 1831, przez większą część wojny był generał-kwatermistrzem armii polskiéj. Po kapitulacyi Warszawy poddał się władzom rosyjskim, został wezwany do Petersburga i z polecenia Cesarza Mikołaja napisał swój *Mémoire*, w którym podaje całkowity szkic wojny polskiéj. Pracę swą pisał w Gatczynie, mieszkając w tamecznym pałacu. Dla pomocy w tém zajęciu, dla dostawy koniecznych materyałów, dla znoszenia się z generalném kwatermistrzowstwem, dodanym mu był porucznik gen. sztabu (dziś gen. adiutant i członek rady wojennéj) Glinka-Mawrin. Według gen. ad. Glinki-Mawrina, nawet najznakomitsi ówcześni wojskowi ruscy uważali Prądzyńskiego za człowieka niezmiernego talentu, najbardziéj od natury uposażonego ze wszystkich wojennych działaczy armii polskiéj. Prądzyński już z natury obowiązków, jakie przy armii pełnił, mógł wybornie znać przebieg spraw wojennych; ale oprócz tego, z powodu swych nadzwy-

czajnych zdolności, był on duszą, wszystkich działań nawet wtenczas, kiedy z przyczyny zupełnego poróżnienia z głównodowodzącym generałem Skrzyneckim, czasowo musiał się usunąć od udziału w prowadzeniu działań. Przedstawiając swój memoryał Cesarzowi, koniecznie musiał się starać o jaknajwiększą ścisłość i prawdę, chociaż pomimo tego ogólny obraz nie ze wszystkiém prawidłowo jest oświecony. Pochodzi to stąd, że pomyślne działania Polaków przedstawia on szczegółowo, niepomyślne tylko w ogólnych, krótkich zarysach. W każdym razie memoryał Prądzyńskiego musi być zaliczony do pierwszorzędnych źródeł dla poznania wojny polskiéj. Czytelnik znajdzie go w dodatku przedrukowany całkowicie z rękopismu znajdującego się w archiwum sztabu głównego.“

Memoryał ten, pisany po francusku i w tym języku przedrukowany, o ile nam się zdaje, pierwszy raz w całości przez gen. Puzyrewskiego wydanym został. Dawniejsi historycy wojny, a między nimi Schmitt wspominają o nim, a nawet korzystają z niego i cytują, wiedziano więc o nim, ale w całości nie był drukowany.

Jak ostrożnie gen. Puzyrewski zachowuje się względem źródłowych autorów, dowodem może być zdanie jego o dziele Schmitta. Przyznaje mu on talent, jasność i żywość wykładu, nieraz bardzo trafne, czysto wojskowe sądy i uwagi, które zapewne winien był generałom Tollowi i Neudhardowi, bo sam był cywilnym, dodaje wszakże: „Autor pisał swe dzieło wówczas, kiedy książe Paskiewicz, otoczony aureolą wielkiéj sławy wojennéj, zajmował wysoką posadę w administracyjnym zarządzie cesarstwa; ta okoliczność odbiła się bardzo jaskrawo na opisie i ocenieniu księcia Warszawskiego, chociaż w rękach Schmitta znajdowały się doskonałe źródła dla rzucenia prawdziwego światła na wypadki“. Z powodu zaś drugiego dzieła Schmitta, wydanego w 1858 r., także o wojnie z 1831 r. pod tytułem *Feldherrnstimmen*, zawierającego zbiór ciekawych artykułów, pomiędzy któremi znajdują się: Szkice z polskiéj kampanii 1831 r. księcia Paskiewicza i Uwagi nad temiż szkicami Schmitta, gen. Puzyrewski, zaznaczywszy wielką ważność tego drugiego dzieła, dodaje: „W 1858 r. feldmarszałek ks. Paskiewicz już nie żył, a historyk wojny polskiéj dopiéro wówczas uważał za rzecz możebną opowiedzieć przebieg drugiéj połowy kampanii“.

Zaznaczyliśmy już, że dzieło gen. Puzyrewskiego wyłącznie wojennym wypadkom jest poświęcone, w polityczne sprawy, położenia i kombinacye się nie miesza, co zresztą autor z góry w przedmowie zapowiada. Z konieczności na wstępie dał krótki historyczno-polityczny i ekonomiczno statystyczny szkic Królestwa Polskiego,

który wraz z opisaniem wypadków z 29 listopada 1830 r. obejmuje 24 stronice. Szkic ten równie, jak strategiczny obraz teatru wojny pominąć musimy, by przejść odrazu do porównawczego obrazu sił czysto wojennych, jakiemi na początku wojny rozporządzały obie strony.

Armia ruska składała się z następujących części: piechota *a*) korpus gwardyi, dwie dywizye piechoty po 4 pułki (3 liniowe, a 1 strzelecki) i batalion morski; *b*) korpus grenadyerów, siedm korpusów armii i korpus litewski; każdy z tych ośmiu korpusów składał się z trzech dywizyi piechoty po trzy brygady (2 liniowe, 1 strzelecka), czyli po sześć pułków, z wyjątkiem korpusu V-go, który miał tylko jedną dywizyę, bo dwie inne wcielono do korpusu litewskiego, oraz korpusu VI-go, który miał dwie dywizye, litewską brygadę grenadyerską z trzech pułków, oraz 2 pułki gwardyi, zostające przy W. Ks. Konstantym w Warszawie. Inne korpusy stale w danych prowincyach trzymane, jak kaukazki, orenburski, finlandzki i t. d. pomijamy. Pułki piechoty miały po trzy bataliony, batalion po cztery kompanie. Pomiędzy liniowemi pułkami a strzeleckiemi różnica była małoznacząca. Jazda składała się: *a*) z pięciu rezerwowych korpusów jazdy, każdy po dwie dywizye (kirasyerskie, ułańskie, dragońskie, konno-strzeleckie); *b*) z dziesięciu dywizyi lekkiéj jazdy (ułańskie i huzarskie) po jednéj przy każdym korpusie, a przy litewskim dwie. Dywizya miała po cztery pułki, pułk po sześć szwadronów (drobne różnice musimy pominąć). Ogólnego organicznego rozkładu artyleryi i inżynieryi nie podajemy, jako rzecz zbyt specyalną.

Po ukończeniu wojny tureckiéj (1828 i 1829), w któréj udział brały gwardya, II, III, VI, VII korpusy piechoty, 10-ta dywizya p., IV korpus jazdy i dywizya ułanów,—armia druga została rozwiązana, korpusy 6 i 7 zwinięte, korpus litewski otrzymał numer VI-ty. Powstanie polskie znalazło armię rozrzuconą na bardzo szerokim obszarze i na stopie pokoju. Zdaje się wszakże, że w końcu listopada znaczna część armii już była postawioną na stopie wojennéj i ściągnięta bliżéj granicy z powodu zamiarów cesarza Mikołaja przeciw Francyi. Gen. Puzyrewski pisze: „Ponieważ jednak cesarz Mikołaj miał zamiar przyjąć udział w rozstrzygnięciu kwestyi belgijskiéj, to jest pomódz Holandyi do odzyskania Belgii, więc w jesieni przeprowadzały się na stopę wojenną korpusy: grenadyerski, I i II pieszy, litewski, III i V kawaleryjski, gwardyjski i 1-sza dywizya ułańska.“ Zupełniejsze wiadomości o tym ruchu znajdujemy w listach cesarza Mikołaja do feldmarszałka Dybicza, który został wysłany do Berlina z specyalną misyą i przybył tam już 26 sierpnia 1830 r. Chodziło o nakłonienie króla pruskiego do koalicyjnéj wojny przeciw Francyi. W tym sa-

mym celu do Wiednia wysłanym był hr. Orłow. Założenia téj koalicyi wypowiada memoryał Dybicza w następnych wyrazach:

„W każdym razie Jego Cesarska Mość pragnie działać w ścisłém porozumieniu z swemi sprzymierzeńcami, a zwłaszcza z swym najjaśniejszym teściem. Jego Cesarska Mość pragnie, by w razie wojny z Francyą, armie pruska i ruska występowały z taką samą jednością, jakiéj zawdzięczano wielkie zwycięstwa z 1813 i 1814 r. J. C. Mość, mianując głównodowodzącym armii, na przypadek téj wojny utworzonéj, a złożonéj tymczowo z 14 dywizyi piechoty i z 12 dywizyi jazdy, feldmarszałka hrabiego Dybicza-Zabałkańskiego, ma nadzieję że zaufanie, którém J. Kr. M. król (pruski) tego generała zaszczycał, ułatwi temuż jego misyę“ etc.

Misya ta trwała długo, bo jeszcze przy końcu listopada Prusy nie dały stanowczéj odpowiedzi, w Petersburgu też i w Warszawie spotykała ona poważne przeszkody. Kanclerz państwa, hr. Nesselrode i W. Ks. Konstanty byli téj wojnie przeciwni. Minister skarbu, Kankryn, także ze swego stanowiska ważne wynajdywał zarzuty. Urodzaje w 1830 r. wypadły niezadawalniająco, nadomiar we wrześniu pojawiła się w Rosyi cholera. Pomimo tego w Rosyi przygotowania do wojny nie ustawały. Przez owe trzy miesiące prowadzona była bardzo żywa, w ostatnich latach ogłoszona, korespondencya, w któréj spotykamy listy Cesarza Mikołaja, W. Ks. Konstantego, ministra wojny Czernyszewa, hr. Nesselrodego do hr. Dybicza. Z tych dokumentów zaznaczymy tylko list W. Ks. Konstantego z d. 26 października, w którym czytamy: „...Ponieważ rozkaz Najwyższy, komunikowany mi przez hr. Czernyszewa, ustanawia dzień 10(22) grudnia jako termin, w którym wojska mają być gotowe do wyruszenia, ponieważ termin ten się zbliża, przeto posyłam do ciebie marszałku z prośbą, byś mnie jak najprędzéj zawiadomił, czy mam te rozporządzenia w wykonanie wprowadzić, czy nie. W każdym razie zajmę się porobieniem przygotowań.“ Hr. Dybicz w liście z 29 października odpowiada, „że uruchomienie armii polskiéj jeszcze na czas jakiś (na miesiąc) wstrzymaném być może, témbardziéj że armia ta znajduje się najbliżéj przypuszczalnego teatru wojny...“ W liście feldmarszałka z 30 października czytamy oprócz tego: „...Fryderyk Wilhelm III-ci radośnie przyjął uruchomienie części armii ruskiéj, jako środek ratunku, i zapewnił, że i on także wojnę za nieuniknioną uważa; co do uruchomienia armii polskiéj zauważył jednak, że nie może się zgodzić na ten środek, albowiem części armii, stojące na jednéj linii strategicznéj z armią polską, nie mogłyby jeszcze zebrać swojéj landwery, a oprócz tego inne spotykają przeszkody...“ Czy W. Ks. Konstanty przedsię-

wziął środki do uruchomienia armii polskiéj i jakie, nie znajdujemy śladów ani w téj korespondencyi, ani w memoryale Prądzyńskiego, ani w dziele gen. Puzyrewskiego. W liście jednak do Dybicza z d. 18 listopada donosi, że korpus litewski i armia polska postawione są na stopie wojennéj. W każdym razie armia polska miała odgrywać ważną rolę w projektowanéj wojnie przeciw Francyi, bo w liście z 18 listopada minister Czernyszew do Dybicza pisze: „Że wprawdzie cholera i utrudnienia wewnętrznéj komunikacyi zawadzały przygotowaniom wojennym; w każdym razie jednak wojska na tę wojnę przeznaczone w końcu grudnia (1830 r.) będą najzupełniéj gotowe do wymarszu. Na punkt zborny armii czynnéj przeznaczone jest Królestwo Polskie, nietylko przedstawiające stanowcze strategiczne korzyści, ale i oszczędności finansowe; Królestwo bowiem dłużne jest ruskiemu skarbowi trzydzieści milionów rubli i skutkiem tego, według woli cesarza, obowiązaném będzie utrzymywać armię, któréj szefem sztabu już jest mianowany hrabia Toll, towarzysz broni Dybicza w wojnie (tureckiéj) z 1829 r.“

Cesarz Mikołaj jednak innego był przekonania o gotowości swéj armii, aniżeli jego minister wojny; w liście do hr. Dybicza, w którym objawia silne niezadowolenia z ociągania się Prus, datowanym z Petersburga 13 listopada, pisze między innemi: „Chcę przynajmniéj, byś się dowiedział, iż mamy się dobrze i że nasze przygotowania, przy pomocy bożéj, posunęły się naprzód. W d. 10 (22) listopada będziemy już mogli wyruszyć z korpusami I, II, i z litewskim korpusem, z armią polską, korpusem grenadyerów i z jazdą rezerwową. By usunąć wszelkie wątpliwości co do moich nieodwołalnie i bezwarunkowo powziętych postanowień, kazałem to wszystko ogłosić w gazetach... Cesarz austryacki pragnie, by armie oddanemi były pod twoje naczelne dowództwo, na co się zgodziłem, widząc w tém życzeniu dowód pochlebnego zaufania i rękojmię dobrych zamiarów...“

Feldmarszałek Dybicz, który ciągle bawił w Berlinie, chociaż mu się przykrzyło, by przekonać króla pruskiego o konieczności koalicyjnéj wojny z Francyą, jeszcze pod d. 30 listopada pisał do hr. Nesselrode, chcąc go także nawrócić i dla wojny z Francyą lepiéj usposobić. „...Jeżeli nasze położenie finansowe nie pozwala nam bronić spokoju Europy, to tém mniéj pozwoli nam przyjąć walkę, jeżeli taż Europa weźmie się do wyzwolenia Polski. Ponieważ nigdy nie miałem honoru służenia w armii austryackiéj, więc nie mogę jeszcze zrozumiéć aksyomatu Montekukulego, owszem, przeciwnie, najzupełniéj podzielam przekonanie naszego ostatniego wielkiego mistrza w sztuce wojennéj, że wojna dostarcza także srodków do prowadzenia wojny, kiedy się ją

prowadzi w właściwy sposób, to jest z okrzykiem: „naprzód“ i „hurra!“ Wówczas wojna trwa krócéj, kosztuje mniéj pieniędzy i — co jest rzeczą główną—mniéj ofiar w ludziach i w zasadach. Jako szlachcic z starego rodu i jako gorliwy służbista, muszę to uważać za ważniejsze od motoru pieniężnego (*mobile d'argent*). Na podstawie tego motoru system, wymyślony przez żydów i ateistów, grozi przerobieniem całego przyszłego porządku Europy, a pojęcia o wierze i honorze, które dla naszych ojców i dla nas, uważających trzymanie się ich za honor, były miarodojnemi, zastąpić metalem i papierami procentowemi...“ List ten pisany był wprawdzie na drugi dzień po polskiém powstaniu listopadowém, ale feldmarszałek nie mógł jeszcze wiedzieć o tym wypadku, który rozbijał wszystkie kombinacye wojny przeciw rewolucyjnéj Francyi.

Korespondencya powyższa wskazuje tedy, że znaczna część armii ruskiéj, jakkolwiek dość szeroko rozstawiona, już w końcu listopada mogła się znajdować na stopie wojny; korpusy też wzmiankowane przez cesarza Mikołaja w liście do feldmarszałka Dybicza, spotykamy w pierwszéj linii armii operacyjnéj, któréj to armii skład i siłę gen. Puzyrewski w takich cyfrach podaje:

Linia pierwsza: *a*) Korpus I piechoty (trzy dywizye piechoty, 1 dywizya jazdy huzarska, jedna brygada artyleryi) 36 batalionów, 24 szwadronów, 132 dział; *b*) korpusy VI-ty piechoty 42 batal., 24 szw., 120 dział; *c*) korpus III-ci jazdy rezerwowéj 48 szw. i 48 dział artyleryi konnéj; *d*) oddział gwardyi, który zostawał przy W. Ks. Konstantym w Warszawie, 4 bat., 12 szw., 24 dział,—razem w pierwszéj linii 82 batalionów, 108 szwadronów, 324 dział, czyli piechoty 67,195, jazdy 19,158, wszystkiego razem 86,393 ludzi.

Linia druga: *a*) Korpus grenadyerów (trzy dywizye piechoty, jedna dywizya ułanów, brygada artyleryi) 36 batalionów, 24 szwadr., 88 dział; *b*) korpus V-ty jazdy rezer. (cztery pułki konne strzeleckie, cztery dragońskie) 48 szwadronów i 48 dział, — razem 36 batalionów, 72 szw., 136 dział, czyli 34,512 piechoty, 12,655 jazdy.

Linia trzeca: *a*) Korpus gwardyi (dwie dywizye piechoty, jedna dywizya kirasyerów i jedna dywizya lekkiéj jazdy, z odpowiednią artyleryą) 18 batal., 40 szwadr., 72 dział; *b*) korpus II-gi (trzy dywizye piechoty, dywizya jazdy huzarów, brygada artyleryi) 36 batal., 24 szwadr., 132 dział. Razem w téj linii 54 batal., 64 szwadr., 204 dział, czyli 39,299 piechoty, 9,158 jazdy.

Siła ogólna całéj armii czynnéj razem w trzech liniach batalionów 172, szwadronów 244, dział 664, piechoty 142,007 ludzi, jazdy 40,961, razem 182,968 i oprócz tego 13 pułków kozackich.

„Pomimo wielkości tych sił — pisze gen. Puzyrewski — położenie armii ruskiéj było dość trudne, bo na skutek rozrzucenia jéj na wielkim obszarze, Polacy mogli skupić przeważne siły dla zaczepnego działania i atakować po kolei zbliżające się nasze wojska. Wielkie odległości wymagały czasu dla zebrania pułków, a złe drogi utrudniały skoncentrowanie armii. Pierwsza linia rozciągniętą była od Mitawy (korpus I) przez Grodno, Brześć do Latyczowa (korpus III jazdy rezer.), to jest na długość 1,200 wiorst. Dla skoncentrowania korpusu litewskiego (VI) potrzeba było dwa tygodnie (od Dubna do Brześcia 250 wiorst). Jeżeli weźmiemy na uwagę czas, w którym w Petersburgu otrzymano wiadomość o powstaniu w Warszawie (nadeszła dopiéro 25 listopada (7 grudnia), czas na wysyłkę i rozsyłkę rozkazów, to korpus litewski zaledwie w połowie grudnia st. st. mógł się skoncentrować koło Brześcia i Białegostoku. Korpus III-ci rez. jazdy zaledwie w miesiąc mógł się połączyć z korpusem litewskim. Korpus I-szy zaledwie na początku stycznia st. st. mógł częściowo podsunąć się pod Brześć; korpus zaś grenadyerski nie wcześniéj, jak na początku lutego st. st. Korpus II-gi zaledwie na początku marca, a gwardyjski na końcu lutego i na początku marca st. st. Cała więc armia czynna ruska mogła się skoncentrować ledwo w trzy miesiące po otrzymaniu w Petersburgu wiadomości o rewolucyi; polacy zaś byli gotowi nieskończenie wcześniéj.

Polskie siły wojenne tak gen. Puzyrewski oblicza. W chwili rewolucyi armia polska składała się z gwardyi i armii. Armia dzieliła się na dwie dywizye piechoty i dwie dywizye jazdy (ułanów i szaserów) z artyleryą. Dywizya piechoty składała się z trzech brygad (2 piechoty liniowéj, 1 strzelców), brygada obejmowała dwa pułki, pułk miał dwa bataliony. Dywizya jazdy dzieliła się na dwie brygady, każda po dwa pułki czteroszwadronowe. Dywizye piesze miały po brygadzie artyleryi z trzech bateryi, po 12 dział, baterye konne miały po 8 dział. W ogóle (razem z pułkiem gwardyi grenadyerów i pułkiem szaserów gwar.) w chwili rewolucyi armia polska liczyła: 29 batalionów, 38 szwadronów, 108 dział, czyli 28,000 piechoty i 7,000 jazdy.

Dywizya piesza I-sza i dywizya jazdy I-sza (szasery) rozłożone były na lewym brzegu Wisły, sztab pierwszéj znajdował się w Rawie, drugiéj w Łowiczu. Dywizya 2-ga piesza i 2-ga jazdy (ułani) stały na prawym brzegu Wisły i obie miały sztab w Lublinie. Gwardya i niektóre oddziały armii znajdowały się w Warszawie.

Siły to były bardzo małe, dla powiększenia ich z powodu wojny rewolucyjnéj nakazano utworzenie 3-ich i 4-ych batalionów w pułkach

piechoty, oraz 5-ych i 6-ych szwadronów w pułkach jazdy, do służby w których powołano uwolnionych żołnierzy i dawnych oficerów. Ponieważ w armii polskiéj służba wojskowa trwała lat dziesięć, po odliczeniu więc koniecznych ubytków, takich żołnierzy wysłużonych mogło się znajdować przeszło 20,000 w kraju, który wówczas liczył 4 miliony ludności.

Ogłoszonym został z początku pobór 100,000 ludzi dla utworzenia 100 batalionów i 100 szwadronów niby pospolitego ruszenia. Gdy zaś wojna stała się nieunikniona, Chłopicki w miejsce pospolitego ruszenia nakazał utworzenie 16 pułków trzechbatalionowych piechoty (po dwa z województwa) z odpowiednią ilością konnicy. Z poboru tego około 14,000 ludzi, użyto do uformowania czwartych batalionów w starych pułkach, zaś 44,000 użyto na sformowanie owych 16 pułków wojewódzkich. Co do jazdy każde województwo obowiązane było wystawić dwa pułki, dając jednego jeźdźca z koniem z każdych 50 dymów, co wynosiło około 10,000. Pozostałe jeszcze z poboru 20,000 zaliczono do zapasu. Oprócz tego z wszystkich zdolnych do noszenia broni od 18 do 45 roku życia utworzono tak zwaną straż bezpieczeństwa, podzieloną na setki i dziesiątki. W ludziach więc braku nie było, ale wielki był niedostatek koni. Musiano brać powozowe konie pod kawalerzystów, a nawet i chłopskie. Tak więc w armii wytworzyły się dwa rodzaje pułków, stare i nowe.

Niezmierne trudności przedstawiało utworzenie nowych bateryi artyleryi z powodu braku dział. Dla utworzenia pięciu bateryi nowych po ośm dział, wzięto z Modlina haubice, stare działa, zostawione przez Prusaków w 1806 r., nawet kilka trzechfuntowych działek tureckich, darowanych przez cesarza Mikołaja po wojnie z 1828 r. dla uczczenia pamięci Władysława Warneńczyka. W ten sposób zaledwie zdołano dociągnąć ilość dział do 146. Chłopicki dopiéro na początku stycznia wydał rozkaz odlania 100 armat z dzwonów; odlewanie to jednak ledwo się zaczęło w połowie maja, wszystkiego zdołano odlać tylko 20 dział, z powodu braku zdolnych robotników. Za to prochownie pracowały porządnie, chociaż saletry wielki był niedostatek. Utworzono téż zapasowy batalion artyleryi z 1,000 ludzi, który stale w téj sile utrzymywano. Oficerów niższych dostarczała szkoła podchorążych i aplikacyjna w Warszawie, oraz kaliski korpus kadetów, ale było ich za mało. „Najlepiéj byłoby, pisze gen. Puzyrewski, przyjmować dymisyonowanych oficerów, daléj oficerami pospolitego ruszenia porobić podoficerów armii czynnéj; ale pierwszych było mało, drugi zaś środek sprzeciwiał się usposobieniu społeczeństwa polskiego, według przekonań którego, tylko szlachta mogła zajmować oficerskie stanowiska.“ Regimentarze więc na skutek stosunków i protekcyi

mianowali oficerami szlachtę, która nigdy nie służyła w wojsku. Stare wojska szemrały z tego powodu, a szemranie to i niezadowolenie jeszcze się wzmogło, gdy podobni, żadnych zasług nie posiadający oficerowie, zyskiwali wyższe rangi i stawali się naczelnikami zasłużonych i doświadczonych oficerów. Mnóstwo téj młodzieży należało do krańcowo rewolucyjnego stronnictwa; zapalność jéj i zarozumiałość podkopywały karność armii przez publiczne nieraz roztrząsania i krytykę rozporządzeń naczelników.

Obok powyższéj organizacyi formowały się liczne i różnorodne oddziały, jak np. pułk strzelców i pułk ułanów złożone z mieszkańców Warszawy, noszących nazwę „Dzieci warszawskich“, bataliony strzelców podlaskich ochotników (Kurpie), bataliony ochotnicze strzeleckie sandomierski, płocki, kaliski i t. p. Z żandarmów utworzono dwa szwadrony karabinierów, z przybylców z dawnych prowincyi polskich 2 szwadrony podolskie, 2 poznańskie, 2 galicyjskie.

O moralnéj wartości armii polskiéj gen. Puzyrewski takie daje zdanie (p. 26): „Stare wojska polskie były doskonale wyćwiczone: dzięki staraniom W. Ks. Konstantego, który słusznie był z nich dumny. Dodatkowe przedmioty ćwiczeń, zaniedbane w armii ruskiéj, jak np. pływanie, fechtunek i t. p. opracowywane były w armii polskiéj systematycznie. (Postępy wojsk w tym względzie, dodaje gen. Puzyrewski w przypisku, były, można powiedzieć, nieprawdopodobne; przy egzaminach żołnierzy wyćwiczonych, obowiązani oni byli przepływać Wisłę przez całą szerokość sześć razy bez wypoczynku, albo w całych oddziałach przepływać ją dwa razy w mundurach, mając na czele oficerów i t. p.). Jednakże manewra polowe, w których dowódzcy polscy okazali nie małą zdolność, prowadzone były nieracyonalnie. Większą część czasu i zabiegów poświęcono musztrom batalionami i szwadronami. Za to manewra polowe odbywano zawsze w jednéj i téj saméj miejscowości, wedle z góry a bardzo szczegółowo ułożonego programu, nieraz z przygotowawczą próbą generalną. Cała sztabowa działalność armii polskiéj skupiała się w osobie generała Kuruty, inni naczelnicy sztabowi byli nominalni. Skład korpusu oficerów kwatermistrzostwa był bardzo lichy, używano ich do pomiarów Królestwa. W 1816 do 1818 r. niektórzy ukształceńsi oficerowie otwarli zimowe kursa teoryi sztuki wojskowéj, musieli jednak zamknąć je na skutek ostrzeżenia ze strony ministra wojny, że te kursa niepodobały się Wielkiemu Księciu. Piechota dzieliła się na lekką (strzelców) i na liniową, różnica jednak zachodziła tylko w formie odzieży; na musztrach i manewrach tyralierowie ze strzelców wykonywali wszystkie ruchy w łańcuchu wedle sygnałów, a w zwartym szybko wedle komendy. Polska

armia odznaczała się w boju równie dzielnością ataku, jak mężną wytrwałością w obronie. Nieraz stare pułki w zupełności prawie były wybite, a nie podawały tyłu (pułk 4 liniowy pod Ostrołęką), rekruci zaś ożywieni ogólną ideą szli w zawody i starali się dorównać starym żołnierzom. Jazda polska czynna, była bardzo dobra, szczególniéj piąte i szóste szwadrony, ale nieliczna; nowe pułki jednak stały o wiele niżéj od starych, tak z powodu braku wyćwiczenia, jak z przyczyny lichych koni. Dlatego Polacy chętnie do boju wyszukiwali miejscowości poprzecinanych przeszkodami, w których można było paraliżować działania wybornéj jazdy ruskiéj. Artylerya tak ze względu na skład swój, jak ze względu na ducha ją ożywiającego, była najlepszym rodzajem broni w armii; ale z powodu wielkiego niedostatku armat Polacy bardzo ją oszczędzali, dlatego nieraz bateryę przedwcześnie cofano z pozycyi. Należy jednak zaznaczyć, że karność w armii polskiéj, jakkolwiek z pozorów uważano za wzorową, w istocie nie opiérała się na zdrowych podstawach. Wszystkie siły hierarchii wojennéj stały na równi wobec strachu, jaki wywoływali główny wódz armii i generał Kuruta. Najdrobniejsze przekroczenie mogło pociągnąć za sobą tak ciężkie następstwa, że wszyscy wspólnie usiłowali ukryć usterki. Była to powszechna solidarność. Skutkiem tego naczelnicy nie posiadali należnéj powagi w swych oddziałach. Zapał mógł chwilowo zastąpić karność; ale zapał równie szybko gaśnie, jak się szybko zapala.

Zdanie to gen. Puzyrewskiego o przymiotach moralnych i takichże wadach armii, oparte jest głównie na sądach Prądzyńskiego, który w swym memoryale bardzo szczerze, a miejscami bardzo surowo stan rzeczy wyjaśnia, a którego słowa mogą służyć jako szczegółowe uzupełnienie powyższych. W memoryale tym czytamy (Tom II, p. 92 dzieła gen. Puzyrewskiego):

„Od utworzenia Królestwa armia polska nie dochodziła nigdy wyższéj cyfry nad 30,000 ludzi obecnych pod sztandarami. W chwili rewolucyi w szeregach swych zawierała tylko bardzo małą liczbę starych wojskowych z czasów Księstwa Warszawskiego. W ogóle władza ich nie lubiła; ludzie z pewnym charakterem lub zajmujący się nauką inną od regulaminu, także nie byli w łaskach. Usuwano ich, albo téż sami opuszczali służbę. Z czasem dowódzcy pułków i bateryi uważać zaczęli służbę jedynie za środek zrobienia jakiego takiego majątku, a swój oddział jako rodzaj starostwa. Co do generałów, byli to po największéj części ludzie zużyci, widzący w swych posadach synekury, pozwalające kończyć zawód w sposób wygodny. W tym braku dowódzców, na skutek prawdziwego obłędu rewolucyjnego, pozbawiono nas jeszcze kilku generałów, którzy czy to przez swoją znajomość rze-

czy, czy to waleczność, mogli wielkie oddać usługi... Wyrabianie armii polskiéj ograniczało się do musztry, mianowicie do szkoły batalionowéj i szwadronowéj. Jeżeli chodziło o manewra zbiorowe kilku batalionów i szwadronów, odbywały się one na jedném i tém samém polu, wedle programu drobiazgowo ułożonego, a nawet po repetycyach poprzednich. Armia polska nie posiadała wcale sztabu; cała służba sztabowa do owéj chwili (do rewolucyi), skupiała się w osobie generała Kuruty; generałowie Toliński, Siemiątkowski i Hauke nosili tylko tytuł szefa sztabu i generała-kwatermistrza. Mieliśmy wprawdzie wydział kwatermistrzowski; ale chociaż część jego składała się z oficerów zdolnych, reszta była brana bez wyboru, albo przez protekcyą... Zresztą nigdy u nas dobrze nie wiedziano, nawet w czasie wojny, jakie są obowiązki kwatermistrzowstwa i w ogóle oficerów generalnego sztabu. Ja, będąc generał-kwatermistrzem, działaniom moim dawałem rozległość, jaka mi się podobała, albo na jaką mi pozwolono. Tak samo postępowali inni oficerowie sztabu generalnego. Korpus kwatermistrzów, artylerya i inżynierya rekrutowały się ze szkoły aplikacyjnéj, bardzo starannie uorganizowanéj i posiadającéj dobrych profesorów. Wszystkie jednak korzyści, jakie ta szkoła przynieść mogła, były w ostatnich latach paraliżowane, za pomocą środków stosowanych do uczni. Tak np. przez cały czas obozu rozsyłano ich pojedyńczo do kompanii pułków piechoty, w których musieli z jaknajwiększą ścisłością pełnić służbę żołnierską. Uczniowie przez takie lato zapominali to, czego się nauczyli w zimie, w dodatku dostawali pewnych chorób. Hauke, Sowiński, Kołaczkowski, kierujący szkołą, byli w rozpaczy. Kołaczkowski błagał księżnę Łowicką, by się wstawiła i wyjednała cofnięcie tego rozporządzenia, ale napróżno. Zresztą najlepsza nawet szkoła dostarczy jedynie uczniów; tylko w korpusie, tylko przez czynną służbę uczniowie muszą się przerabiać na oficerów i żołnierzy.

„Najsłabszą stronę armii polskiéj stanowiła karność; rzec można, iż karności wcale nie było, pomimo pozornego porządku i postawy, która jéj rozgłos europejski zapewniła. Mam tu na myśli ową karność wyrozumowaną, silną, opartą na instytucyach stałych, sprawiającą, że wyższe hierarchicznie stopnie są pewne poszanowania i posłuszeństwa ze strony niższych, a szacunku ze strony wyższych, bez czego nie ma stanu wojskowego dobrze ukonstytuowanego. W armii polskiéj wszystkie stopnie jednakowo porażone były strachem, jakim przejmował wódz naczelny i gen. Kuruta, druga osoba w armii. Z pod tego ogólnego prawidła nikt nie był wyjętym. Jeżeli jaki porucznik zawinił coś w służbie względem swego pułkownika lub generała, to dla obu, a nawet i dla osób trzecich, za obrazy najlżejsze mogły stąd

wyniknąć następstwa tak ciężkie, że wszyscy, tak obrażający jak obrażony, używali wszelkich środków, by wypadek pozostał w tajemnicy. Była w tém solidarność powszechna. Jeżeli starszy oficer, któremu jego podwładny ubliżył, oddał obrażającego pod wyrok władzy, natychmiast ów skarżący stawał się przedmiotem niechęci publicznéj. Skutkiem tego, gdy władza Wielkiego Księcia, która sama tylko utrzymywała porządek, nagle złamaną została, dowódzcy się znaleźli bez znaczenia i powagi w obec swoich oddziałów. Co więcéj, ruch rewolucyjny odsunął ich pewną liczbę bądź to z powodu ich nieudolności i zupełnéj nicości, bądź to z powodu nadużyć, jakich się w administracyi dopuścili. Im większą zaś była groza do owéj chwili, tém silniejszą stała się dążność do rozkiełznania. W chwili rewolucyi armia polska była doskonale uorganizowaną do parad, ale z pewnością nie do wojny. Zapał (*l'entousiasme*; cały memoryał jest pisany po francusku i podany w oryginale), jaki się objawił, mógł wprawdzie przez czas jakiś zastąpić brak karności, ale nigdy na długo. Zapał wietrzeje równie szybko, jak powstaje; jedna przegrana go niweczy. Karność zastosowana do ducha narodowego, a przez czas i tradycyjne instytucye zakorzeniona, karność podobna kierującéj armiami ruskiemi, karność Rzymian wytrzymuje złe i dobre losy. Z tą karnością armia może ponosić klęski, może być dowodzoną przez miernych generałów, a jednak ostatecznie zwyciężać.

„Kiedy tak z jednéj strony usunięto pewną liczbę oficerów wszelkiego stopnia, z drugiéj potroiliśmy etat wojskowy, tworząc 3-cie i 4-te bataliony, 5-te i 6-te szwadrony i tworząc nowe pułki. Po prostu tworzyliśmy nową armię, któréj jądrem była armia stara, tę zaś należało reorganizować. Pomagało nam wielu starych oficerów z czasów Księstwa Warszawskiego, ale ci stracili nawyknienie dowództwa. Liczna młodzież przybywała z Galicyi, z Poznańskiego, pełna gorliwości i dobréj chęci; w gruncie rzeczy jednak pomoc ta nie miała dla nas wielkiéj doniosłości. Wszyscy ci młodzi ludzie, nowicyusze zupełnie w rzemiośle wojennem, byli aspirantami do stopni oficerskich i otrzymywali je dla względów, lub dla protekcyi, kiedy właściwie należałoby z nich formować oddziały partyzanckie. W ten sposób mieliśmy zbytek oficerów, którzy stali się ciężarem. Posiłki Francyi, pomimo wielkiego hałasu, robionego na ulicach Paryża za Polakami, ograniczyły się do kilku oficerów. Najważniejszymi z nich byli Ramorino, który przybył po bitwie grochowskiéj, i Langermann, który się przyłączył w czasie wyprawy na Tykocin. Obaj byli waleczni i bardzo zdolni do komenderowania brygadą, uzdolnienie ich daléj nie sięgało. Działaniami swemi w ostatnich miesiącach wojny, Ramorino

wiele się przyczynił do przyśpieszenia klęski tam, gdzie na obronę przybył, a gdzie więcéj szkody wyrządził, aniżeli usług oddali wszyscy ci obcy oficerowie razem wzięci. Langermann posiadał więcéj wykształcenia. Mam wszelkie powody do mniemania, iż został przysłany przez rząd francuski w charakterze półurzędowego agenta. Organizować armię nową z wszystkich tych żywiołów, postawić każdego na stanowisku odpowiedniém jego zdolności, oszczędzając różne miłości własne i pretensye, przeprowadzać to w chwili rozpoczęcia działań wojennych przeciw armii straszliwie potężnéj, a nawet już prowadząc tę wojnę, zaiste nie była to rzecz łatwa, zwłaszcza, że kierunek tych działań przechodził z rąk do rąk i zbyt wielu do tego się mieszało. Minister wojny był nieudolném zerem. Ale w komisyi wojny znajdował się człowiek wielkich zdolności. Gen. Rautenstrauch, wydalony z rady administracyjnéj, przeszedł do téj komisyi. Dzięki rozumowi, energii, jaką rozwinął w organizacyi sił polskich, znalazły się one w możności stawienia jak należy czoła w pierwszych spotkaniach. A jednak pozbawiono się usług tego generała właśnie, gdy były najpotrzebniejsze. Pożądał on ministerstwa wojny, oddano je zaś jego podwładnemu, gener. Morawskiemu. Obrażony usunął się całkowicie.

„Broni téż brakowało. Do końca wojny nie było możności uzbrojenia całkowicie karabinami pułków nowéj formacyi. Jedynym sposobem dostania karabinów było zbieranie ich na polu bitwy, jeżeli ta wypadła pomyślnie. Co do kos i pik, wojna ta dowiodła nam znowu, że nie mają one żadnego znaczenia wobec kartaczy i ognia piechoty. W dzisiejszym (1832) stanie sztuki wojennéj, karabin opatrzony jednakowym bagnetem, jest najdoskonalszą dla piechoty bronią.

„Najsłabszą stroną Polaków był zupełny brak generałów. Wojny napoleońskie nie zostawiły im odpowiednich dowódzców, bo dywizye polskie były po największéj części dowodzone przez Francuzów, nowa zaś armia nie prowadziła wojny. Nieliczni generałowie, którzy jako dywizyonerzy prowadzili wojnę, wymarli. Z rozpoczęciem wojny trzeba było dowództwa powierzać na chybił trafił. Najzdolniejszych zasługą było waleczne prowadzenie do ataku lub spokojne wytrzymywanie pocisków działowych. Żaden jednak z nich nie był zdolny utworzyć sobie jasnéj idei o działaniach armii, bo żaden nie znał sztuki kierowania bitwą z zimną krwią i bystrością; żaden nie pojmował użycia jednoczesnego wszystkich broni w sposób, by sobie pomagały wzajem, a tém swojém współdziałaniem osiągały największy możebnie skutek. Dopiéro z błędów, jakie ci generałowie popełniali w prowadzeniu wojny, miano poznać ich brak zdolności; a zaiste położenie nie było takie, by można było błędy podobne popełniać bezkarnie. W sto-

sunku do Rosyi, kraj nie był dość silny, armia zaś nie miała za sobą dosyć ziemi, by się mogła utrzymać własną swą masą, by mogła liczyć na to, że wojna sama wyrobi generałów, powoła na widownię talenta, jak to miało miejsce we Francyi w czasie wojen rewolucyjnych. Przy takim braku generałów z uznanemi zdolnościami, należało mieć przynajmniéj naczelnika znakomitéj zasługi, któryby orlém okiem mógł wyróżnić z tłumu ludzi istotnie zasłużonych i dać im natychmiast właściwe stanowisko. Ale właśnie na tém naczelném stanowisku brakowało nam generała. W takiém to ciężkiém i krytyczném położeniu robiliśmy przygotowania, by stawić czoło strasznéj dla nas armii ruskiéj. Samo wyliczenie sił téj armii, zamieszczone w pierwszym raporcie urzędowym feldmarszałka hr. Dybicza, mogło już odejmować ducha, zwłaszcza gdy się pomyślało, że armia ta wybornie wyćwiczona, karna i doskonale zaopatrzona, a przez niedawną wojnę turecką świéżo do wojny zahartowana, dowodzona przez generałów, którzy na polach bitew złożyli dowody swego wyrobienia, że armia ta opiéra się na niezmiernych zasobach państwa i pomimo strat, jakie wskutek wojny poniesie, będzie mogła codzień liczebnie wzrastać. Co do nas, starszych, nie robiliśmy sobie wcale w tym względzie złudzeń. Masa bez rozumowania płynęła z prądem, ludzie jednak roztropni i rzeczy widzący jasno, przewidywali ostateczne następstwa, ale nie mogąc nic zrobić, z rezygnacyą zgadzali się iść za ruchem niepodobnym do wstrzymania. Roztropni i poświęceni, robili to, w sobie myśli swe zamykając. Egzaltowani widzieli pewien rodzaj wielkości w walce, przy siłach i środkach tak nierównych. Niektórzy nie taili swego zdania, od początku wojny przepowiadali bliską katastrofę. Przeważało jedno uczucie, tém zaś była obawa, byśmy nie skończyli jak Neapolitańczycy podczas ich ostatniéj awantury, byśmy nie stali się przedmiotem pośmiewiska dla historyi. Obawa ta była tém silniejsza, że nie byliśmy pewni jak nasza nowa armia zachowa się w bitwie. Wojskowi zatém, usuwając na bok wszelkie myśli polityczne, zachęcali się wzajemnie do pracy, by zachować przynajmniéj honor i tytuł walecznych, jakkolwiek byli przekonani, że ledz muszą".

Ten wyjątek z memoryału gen. Prądzyńskiego zdawał się nam potrzebny obok cytaty z dzieła gen. Puzyrewskiego, by wykazać, z jaką sumiennością, bezstronnością, a nawet szacunkiem, autor ruski w dziele swém korzysta z poważnych źródeł polskich, jak przytém rozumnie a z talentem posługiwać się niemi umié. Przytoczonych wyżéj uwag Prądzyńskiego słyszałem niejednokrotnie potwierdzenie z ust niektórych jego kolegów, jak gen. Lewiński, jak pułkownik artyleryi Chorzewski, których nazwiska w dziele gen. Puzyrewskiego przy opisie

niektórych bitew spotykam. Lat temu blisko pięćdziesiąt poznałem ich w domu szefa byłéj komisyi wojny Korabiewskiego, żołnierza z armii Księstwa Warszawskiego, u którego dawałem korepetycye. Generałowie ci widząc przed sobą młodego, ledwo dwudziestoletniego, ale ciekawego i dość sprytnego chłopaka, raczyli z nim o czasach minionych rozmawiać. Zdaje się, że obaj znali memoryał Prądzyńskiego, czy cały czy częściowo, nie wiem, bo o nim wspominali. .W lat kilka późniéj ich objaśnienia potwierdzał mi obszerniéj, niekiedy popierając dokumentami (zwłaszcza co do generała Hauke) pułkownik artyleryi Paszkowski, kiedy już był kierownikiem wychowania dzieci Zygmunta Krasińskiego, ucząc mnie sądzić rzeczy nie wedle młodéj wówczas fantazyi, ale z rozwagą i po dokładniejszém ich zbadaniu. Wzmianka Prądzyńskiego o Neapolitańczykach dotycze ich rewolucyi z 1820 i haniebnego zachowania się armii neapolitańskiéj w d. 7 marca 1821 r. pod Rieti, gdzie pod gen. Pepe 46 batalionów neapolitańskich, prawda, że liczących mało co nad 20,000 ludzi, po kilku salwach danych przez austryackie, wcale nie silniejsze dywizye gen. Frimonta, w zupełnym popłochu z doskonałéj pozycyi uciekło i rozproszyło się w trzy dni zupełnie, Austryacy zaś w d. 24 marca bez wystrzału zajęli Neapol.

W dalszém ocenieniu sił polskich gen. Puzyrewski (p. 27) wspomina o stanie fortec Modlina i Zamościa. Obie te twierdze miały szańce słabe i nie odpowiednio opatrzone były w artyleryę. Najważniejsza z nich pod względem strategicznym Modlin, miała tylko 60 dział. Zamość zaś, otoczony lasami i błotami a leżący na stronie zdala od środka działań (Warszawa), miał dział fortecznych 160 i 4 polowe do wycieczek. Przy rozpoczęciu wojny, Warszawa miała tylko słaby szaniec przedmostowy na Pradze, który dopiéro po bitwie grochowskiéj wzmocniono. W tymże czasie przystąpiono do ufortyfikowania saméj Warszawy szańcami ziemnemi po lewéj stronie Wisły; Modlin téż w ciągu wojny znacznie wzmocniono. W kilku miejscowościach (Potycz, Serock, Kazimierz i t. d.) usypano szańce przedmostowe. Co do pieniędzy w skarbie, znaleziono 67 milionów złp., wydatki na rok 1831, minister finansów obliczył na 133 mil. złp. (licząc w to już utrzymanie armii z 120,000 ludzi) brakujące 66 milionów miano pokryć z podatków, 14 mil. z podatków bezpośrednich, 40 mil. z pośrednich, 9 mil. z sprzedaży lasów. W obliczeniach brano jednak całe ośm województ Królestwa, wkrótce wszakże po rozpoczęciu wojny województwa na prawym brzegu Wisły, zajęte przez wojska ruskie, prawie żadnego udziału w płaceniu podatków brać nie mogły. Pozostały więc tylko swobodnemi dla poborców cztery województwa lewe-

go brzegu Wisły i przez czas dłuższy Płockie. Z żywnością nawet był kłopot, albowiem rok 1830 był nieurodzajny a intendentura źle uorganizowaną. Najważniejsze téż źródła zapasów już w marcu były w rękach wojsk ruskich.

Co do liczebności sił wojennych polskich na początku wojny gen. Puzyrewski podaje, że wprawdzie armię tę można liczyć na 130 do 140 tysięcy ludzi, na placu boju jednak Polacy nie mogli wystawić więcéj nad 60,000 (p. 28), téj zaś armii czynnéj w końcu grudnia 1830 roku skład był następujący: Piechoty dywizye cztery, a mianowicie 1-a dywizya Krukowieckiego (dwie brygady: Giełguda i Małachowskiego) pułków cztery, batalionów 12, baterya lekkiéj artyleryi 12 dział. 2-a dywizya Żymirskiego (dwie brygady: Rolanda i Czyżewskiego) pułków cztery, batalionów 12, oraz dwie bateryе, czyli 24 dział. 3-a Dywizya Skrzyneckiego (dwie brygady Bogusławskiego i Czałczyńskiego, pierwsza złożona z dwóch starych pułków, 4-go liniowego i 8-go, każdy po cztery bataliony — druga z pułku weteranów 2 bataliony i z pułku Dzieci warszawskich 4 bat.) razem 14 batalionów, dział 20 w dwóch bateryach. 4-a dywizya Szembeka (brygad dwie: Bielińskiego i Mulberga) batalionów 11 (w tych 10 starych pułków i batalion strzelców Kuszla.

Jazda: Dywizyi cztery: 1 Jankowskiego z dwóch brygad, *a*) brygada Skarzyńskiego: pułk 1 szaserów i augustowski, *b*) Dembińskiego pułk 3-ci szaserów i pułk płocki, następnie dodano 1 pułk mazurów, baterya artyleryi konnéj 8 dział; 2-ga dywizya Suchorzewskiego (brygad dwie: *a*) Bukowskiego pułk 1 ułanów i pułki sandomierskie, *b*) Chłapowskiego 4-ty ułański i lubelskie, następnie dodano pułki: kaliski i podlaski, baterya konna 8 dział); 3-a dywizya Tomickiego (dwie brygady *a*) Skarzyńskiego, pułk 2-gi szaserów i szwadrony poznańskie; *b*) Kickiego: pułk 5-ty szaserów i 2-gi mazurów) 8 dział; 4-a dywizym Łubińskiego (brygad dwie: *a*) Kamińskiego: 4-ty szaserów i 5-ty ułanów, *b*) Ziemięckiego: pułki 2 i 3 ułańskie, karabinierzy i pułk krakusów) 8 dział.

Rezerwa artyleryi: trzy półbaterye i baterya rakietników.

Oddział Dwernickiego zformowany z czwartych batalionów, oraz z piątych i szóstych szwadronów na lewym brzegu Wisły miał 3 bataliony, 15 szwadronów, 6 dział.

Później liczbę dywizyi jazdy powiększono o jednę dywizyę (Ruttie). Oprócz tego w Modlinie garnizon składał się z 4 batalionów starych pułków, z tyluż i takichże batalionów składała się załoga Zamościa, saperów kompaniami rozdzielono na Modlin, Zamość, Pragę i potrochu przy dywizyach piechoty.

Co do dowództwa gen. Puzyrewski jakkolwiek wogóle zgadza się z Prądzyńskim, że brak był dobrych i doświadczonych generałów, mniéj jednak jest w swym sądzie surowy, pisze bowiem (p. 29): „Pomimo tego rewolucya wyprowadziła na jaw kilka osobistości z talentem. Na ich czele należy postawić Chłopickiego. W chwili rewolucyi liczył on już lat 60 wieku, zachował jednak jeszcze dzielność i energię. Postawa Chłopickiego była imponująca, a charakter odpowiadał postawie, do najwyższego stopnia niezachwiany, dochodził nawet do uporu, z natury mężny, był on stworzony na żołnierza, w boju się ożywiał, wówczas jego myśl i słowo stawały się niezmiernie jasne. Pomiędzy wszystkiemi zawsze umiał on zdobyć sobie pierwszeństwo. Chłopicki pochodził z staréj szlacheckiéj rodziny, zamieszkałéj na Podolu. Służył w wojsku polskiém (za Stanisława Augusta) w dywizyi ukraińskiéj; za Targowicy, nie chcąc składać przysięgi Cesarzowéj Katarzynie, uciekł do Kościuszki, ale już wówczas wszystko było skończone. Chłopicki więc zaciągnął się do polskich pułków Napoleona, poprzednio odznaczał się jako oficer w legii nadwiślańskiéj zostającéj na żołdzie rzeczypospolitéj francuskiéj, z którą późniéj był wysłany do Hiszpanii. Długa nieobecność w kraju, oddaliła go od polskich spraw, stał się bonapartystą. W Hiszpanii Chłopicki rozwinął swój talent wojenny i wielokrotnie zasłużył na bardzo pochlebne wzmianki marszałka Suchet. Ranny w 1812 r. i pominięty przy mianowaniu generałów dywizyi, wziął dymisyę z armii napoleońskiéj. Za Aleksandra I otrzymał on dowództwo 1-éj dywizyi piechoty w noweformowanéj armii polskiéj, nie mógł się jednak pogodzić z Wielkim Księciem i usunął się ze służby. Agenci tajnych towarzystw zachodzili do niego, „ale tak ich przyjął, że odrazu odjął im ochotę powtórzenia odwiedzin“. Jermołow dziwił się wielce, jak można było pozbawić się usług takiego generała, témbardziéj, że przyczyną dymisyi było drobne niezachowanie formy w odzieniu przez jakiegoś szeregowca. Rewolucyoniści, znając wielkie wojenne zdolności Chłopickiego i wiedząc o wielkiém doń przywiązaniu ludu, usiłowali postawić go na czele armii. Chłopicki jednak doskonale rozumiał bezowocność walki Polski przeciw Rosyi, jeżeli przyjął dowództwo armii i dyktaturę, zrobił to jedynie z zamiarem owładnięcia powstaniem, uzyskania ulg od Cesarza, zasłużenia przez to na wdzięczność narodu, porwanego przez nieliczne stronnictwo spiskowców. W tym celu Chłopicki wszelkiemi siłami starał się nie dopuścić do wojny, nie chciał rozwijać uzbrojeń i stanowczo odmawiał jakichbądź działań zaczepnych. Wychowany z resztą w szkole Napoleona, wierzył tylko w regularne wojska, za nic miał nowe pułki,

które nazywał ruchawką. To wszystko nie zgadzało się z dążeniami rewolucyonistów. Po usunięciu się Chłopickiego od dyktatury, głównodowądzącym został ks. Michał Radziwiłł, człowiek dobry, osobiście najuczciwszy, ale słabego charakteru, ulegający wpływom otoczenia, i nie zdolny do prowadzenia boju. Był on jednak tylko nominalnym wodzem armii, wszystko bowiem działo się wedle wskazówek Chłopickiego, któremu Radziwiłł bezwarunkowo był posłuszny. Gdy jednak Chłopicki został ranny w bitwie grochowskiéj, Radziwiłł stracił zupełnie głowę i taką jako wódz okazał nieudolność, iż sam ustąpił. W polskim sztabie generalnym szczególniéj odznaczyli się Prądzyński i Chrzanowski. Prądzyński posiadał obszerne i bardzo gruntowne ukształcenie, twórczość umysłu wielką, odznaczał się świetnością, śmiałością głębokich, często genialnych, kombinacyi strategicznych, co do których był niewyczerpany. Brakowało mu tylko tak przez Napoleona u dowódzcy cenionéj, równowagi w umyśle i charakterze- Dla tego w zawodzie swym mógł pracować z wyjątkowém powodze-. niem jako generał-kwatermistrz armii, nie zaś jako jéj wódz nacz ny Oprócz tego Prądzyński odznaczał się zapalnością i wielkiém lekceważeniem dla przeciwnika w zdaniu; za powagę uznawał tylko Chłopickiego, innych traktował z góry. W każdym razie była to może najznakomitsza osobistość rewolucyi. Chrzanowski także posiadał bardzo gruntowne wykształcenie, dostateczne wojenne doświadczenie, brał bowiem udział w wojnie tureckiéj w 1828 i 1829, w któréj poznał żołnierza ruskiego, nauczył się szanować go i cenić jego odwagę. Pod względem świetności i śmiałości pomysłów niedorównywał on Prądzyńskiemu. Zaraz na początku powstania Prądzyński przedstawił Chłopickiemu projekt ufortyfikowania Warszawy i konieczność przewiezienia do Warszawy części armat z Zamościa. Chłopicki oddał projekt ten komisyi, która go odrzuciła, dyktator zaś skazał autora na honorowe wydalenie do Zamościa, jako drugiego komendanta téj twierdzy. Toż samo spotkało Chrzanowskiego, który został wysłany do Modlina. Dopiéro późniéj, za Radziwiłła, obaj ci generałowie byli wezwani do głównego sztabu; Prądzyński został mianowany generał-kwatermistrzem, a Chrzanowski naczelnikiem głównego sztabu armii (po Mrozińskim). Do składu komisyi armii należał gen. Rautenstrauch, człowiek wielkich zdolności, którego pracy i rozporządzeniom winna była armia polska swe bardzo szybkie powiększenie. Wyżéj już zaznaczono, że rząd potém wkrótce utracił jego pomoc, mianując ministrem wojny gen. Morawskiego, który był niższym w służbie od Rautenstraucha.

Głównodowodzącym wojskami ruskiemi był hr. Dybicz-Zabał-

kański. Urodzony na Szląsku pruskim w okolicach Głogowy w 1785, w czasie wojny polskiéj skończył 45 lat wieku, miał już zaś rangę feldmarszałka i order Św. Jerzego 1-éj klasy (za wojnę turecką). Jasno już te urzędowe odznaczenia wskazują, że Dybicz posiadał zdolności niepospolite. Doszedł on do nich zasługą i czynami, bo nie miał żadnych potężnych stosunków osobistych. Wychowany w berlińskim korpusie kadetów, przyjął on poddaństwo ruskie, zaliczony do pułku Siemionowskiego gwardyi, już w 1805 r. odznaczył się pod Austerlicem. W 1810 r. został przeznaczony do świty cesarskiéj i pełnił służbę w kwatermistrzowstwie. W 1812 r. został oberkwatermistrzem w korpusie ks. Wittgensteina, który na nim najzupełniéj polegał. W wojnach z 1813 i 1814 pełnił obowiązki generał-kwatermistrza armii, a zdanie jego ceniono na równi z zdaniem najdoświadczeńszych generałów. Po wojnach napoleońskich został naczelnikiem sztabu I-éj armii w 1824 naczelnikiem sztabu cesarskiego i szefem generalnego sztabu. Zaufanie Cesarza posiadał on w zupełności. W 1827 po powrocie z Gruzyi, gdzie był wysłany dla rozpatrzenia spraw tamtejszych, Dybicz uzyskał tytuł hrabiowski. W drugim roku wojny tureckiéj (w r. 1829) postawiony na czele armii, rozbił Turków pod Kulewczą, śmiało przeszedł Bałkany i zmusił nieprzyjaciela do zawarcia pokoju. Wellington twierdził, że działania kampanii 1829 dają Dybiczowi prawo do tytułu wielkiego wodza. „W roku 1831 jednak, pisze gen. Puzyrewski (p. 37), Dybicz nie uczynił zadość pokładanéj w nim nadziei. Jeżeli uzasadnionem jest zdanie Napoleona, że dla wodza konieczną jest równowaga rozumu i charakteru, to Dybiczowi téj równowagi brakło. Długoletnia służba sztabowa i oddalenie od wojsk odbiły się bardzo na nim. Z razu umiał on odgadywać strategiczną kombinacyę, pojmował ważne punkta i słabe strony przeciwnika, ale samo wykonanie i prowadzenie rzeczy już mu przedstawiało trudności i wymagało stanowczości, na którą nie zawsze mógł się zdobyć. Uwydatniło się to szczególniéj w kampanii polskiéj. Oprócz tego, by podtrzymać zdobytą sławę, Dybicz często wymyślał zbyt skomplikowane plany, które w rzeczywistości rzadko się udają. Do upadku w nim ducha przyczyniło się téż nie mało rodzinne nieszczęście (śmierć żony). Nakoniec był krępowany pod względem pieniężnym. Na potrzeby armii zbyt małe sumy miał do rozporządzenia, skutkiem tego służba żywnościowa i przewozowa bardzo nędznie była uorganizowana, co zgubnie oddziaływało na jego strategiczne pomysły i działania. Nareszcie ku nieszczęściu Dybicza, gdy armia ruska przebyła już wszystkie przesilenia, gdy najważniejsze operacye były już przeprowadzone a nieprzyjaciel był tak osłabiony, że chodziło tylko o zadanie

mu ostatniego stanowczego ciosu, Dybicz nagle umarł na cholerę a owoce z jego posiewu nie on zebrał, ale Paskiewicz".

Naczelnikiem sztabu przy Dybiczu mianowany został hr. Toll, jeden z najbardziéj wykształconych generałów i słynny ulubieniec Kutuzowa (z wojny 1812), przy którym pełnił obowiązki kwatermistrza. Téż same obowiązki pełnił w wojnach w 1813 i 1814 r. Toll odznaczał się rozległym rozumem, jasnością poglądu w najkrytyczniejszych chwilach i energiczną stanowczością. Obdarowany od natury doskonałym wzrokiem, umiał on korzystać z miejscowości, jak mało który z współczesnych generałów. Pod względem zdolności strategicznych nie dorównywał Dybiczowi, za to lepiéj od niego znał wojska, umiał do nich przemawiać, tchnąć w nie ducha; jego krew zimna, jego stanowczość i znajomość rzeczy wzbudzały wiarę w podwładnych, wojska lubiły widziéć go na swojém czele w chwilach krytycznych. Wówczas nie było u niego ani wahania, ani zmiany rozkazów. Surowym był dla podkomendnych, ale i przystępnym; ze starszyzną szorstki był bardzo i ostry, uważano go w armii za postrach. Z pochodzenia Niemiec, Toll był jednak najzupełniéj Rosyaninem. W 1829 r. był on szefem sztabu Dybicza, który go wysoko cenił i na wzajem był przez niego ceniony; stosunki takie istniały téż pomiędzy niémi przez całą kampanię polską. Ale gdy po śmierci Dybicza naczelne dowództwo objął Paskiewicz, Toll nie przyznając mu żadnéj wyższości nad sobą pod żadnym względem nie mógł żyć z nim w zgodzie. Generał-kwatermistrzem był mianowany gen. Neudhard, człowiek bardzo wykształcony, znający swą rzecz doskonale, umiejący także wojska do boju prowadzić. Naczelnikiem artyleryi z początku był Suchozanet, następnie ks. Gorczakow, który w owym czasie, kiedy się jeszcze nie odbił na nim przygniatający wpływ charakteru Paskiewicza, przy którym on późniéj spełniał obowiązki naczelnika sztabu, był waleczny, przedsiębiorczy i bardzo wykształcony. Generał-intendent armii, senator Awwakumow, doszedł, dzięki swym zdolnościom, do tego wysokiego stanowiska, zaczynając od biurowego przepisywacza. W téj wojnie jednak narobił on mnóstwo błędów, nie podtrzymywał go téż Dybicz, przypuszczający, że wojnę od razu jednym zamachem i jednym ciosem skończy. W ciągu wojny generał intendentem został Pogodin. Z dowodzących korpusem najznakomitszym był z powodu swéj zimnéj krwi, stanowczości i zdolności samodzielnych operacyi, dowódzca korpusu I-go hr. Pahlen. Baron Rosen był człowiekiem bardzo ukształconym, ale słabym, co było wielką wadą w dowództwie tak politycznie niepewnego korpusu, jak był litewski. Ks. Szachowskij bohater borodyński, ulubieniec żołnierzy, o których dbał troskliwie, waleczny, ale

bez wielkich zdolności, ulegał we wszystkiém wpływowi swego naczelnika sztabu, generała Hurko. Podobnież wpływom swego bardzo zdolnego naczelnika sztabu, barona Delinghausena, ulegał dowódzca III-go rezerwowego korpusu jazdy generał Kreutz, skądinąd dobry dowódzca jazdy. O innych generałach, czy to dowódzcach korpusów, czy dywizyonerach w téj wojnie, gen. Puzyrewski nie wspomina.

Bardzo szczegółowo i dokładnie opisawszy teren wojny, autor podaje plany operacyjne obu stron walczących, objaśniając je wielce wyrazistemi planami, bądź mniejszemi drukowanemi w tekście, bądź większemi zamieszczonemi w atlasie. Rozpoczyna od obliczenia sił polskich w d. 1 stycznia 1831 r. n. st. W owéj chwili Polacy mieli zupełnie uorganizowanych wojsk: do 35,000 piechoty, 6,000 jazdy, 120 dział. Oprócz tego formowano 40,000 piechoty, 10,000 jazdy, 23 dział. Z tych nowych formacyi można było użyć zaraz do 10,000 piechoty i 3,000 jazdy. Razem więc wszystkiego Polacy mogli w potrzebie skupić 50 do 55 tysięcy. W tymże samym czasie ze strony ruskiéj baron Rosen mógł skoncentrować w dwóch punktach (w Brześciu i w Białymstoku), oddalonych od siebie o 120 wiorst, wszystkiego 39 tysięcy, a z oddziałem gwardyjskim W. Ks. Konstantego 46 tysięcy.

Dyktatorowi Chłopickiemu przedstawiano kilka planów działań. Z tych przedewszystkiém wspomnieć należy o planie Chrzanowskiego, złożonym w połowie grudnia, a mogącym wejść w wykonanie w końcu tegoż miesiąca, to jest wówczas, gdy Polacy mogli już rozporządzać siłą przeszło 50 tysięcy ludzi. Chrzanowski radził skupić armią między Bugiem a Narwią, rzucić się na Białystok, rozbić korpus litewski, ruszać następnie naprzód, zabrać Wilno, zużytkować wszystkie zasoby i środki, jakie kraj okoliczny przedstawia, daléj zaś wedle okoliczności, albo działać przeciw zbliżającym się częściami korpusom ruskim I-mu i grenadyerskiemu, albo, gdyby okoliczności nie sprzyjały, cofnąć się ku Bielicy, a stamtąd przez Słonim do Brześcia. Pozycya u Brześcia Litewskiego przedstawiała tę korzyść, że zasłaniała Warszawę, zagrażała wojskom ruskim ruszającym z Białegostoku, ułatwiała dowóz wszelkich zapasów po szosie Warszawskiéj i zachowywała dla Polaków wszystkie środki całego kraju. „Plan ten, pisze gen. Puzyrewski (p. 49), najzupełniéj prawidłowo wskazywał ważne cele działania: Korpus litewski, Wilno i t. d. był ściśle obmyślany i ułożony, albowiem z rozbiciem tego korpusu (litewskiego) przy jego politycznéj chwiejności, a współczuciu dla rewolucyi w Litwie, zwłaszcza gdy obrót działań sprzyjał polakom. Przedstawienia o środkach materyalnych także zasadne: wojna odrazu przenosiła się za granice Kró-

lestwa, nie wyniszczała kraju, dawała sposobność korzystania z zasobów Litwy tak dla poboru ludzi, jak i dla działań partyzanckich; nakoniec nie była wyłączoną możność przejścia w obronną postawę, przy zajęciu zagrażającéj pozycyi Brześcia Litewskiego. Plan ten odznaczał się śmiałością i stanowczością, wymagał energicznego wprowaw wykonanie i to nie późniéj jak 20 grudnia (st. st.), kiedy Polacy mieli jeszcze nad sąsiedniemi wojskami ruskiemi przewagę, z skupienia sił wypływającą. Zarzut stawiany przeciw temu planowi, że ruski III-ci rezerwowy kawaleryjski korpus (Schmidt) mógł działać na komunikacye Polaków, nie ma znaczenia, jeżeli weźmiemy na uwagę liczbę armii polskiéj i współczucie dla niéj części ludności za granicami Królestwa. Twierdzenie także, iż zaczepne działanie Polaków uzbroiłoby przeciw nim całą Europę zachodnią, jako przeciw wichrzycielom jest bezzasadne. Rządy zachodnie zachowywały się albo chłodno przyjaźnie, albo wrogo względem politycznéj potęgi Rosyi, więcéj byłyby zadowolone z naszych kłopotów, w społeczeństwie zaś zachodnio-europejskiém wzrastałoby współczucie dla Polaków w miarę ich powodzenia. Dyktator odrzucił jednak ten plan, nie chcąc rozpoczynać żadnych zaczepnych działań. Następnie Prądzyński przedstawił plan działań obronnych, oparty na zdaniu Napoleona, że kto trzyma Warszawę, Modlin i Serock, ten trzyma całą Polskę, bo ma w swych rękach przeprawy na Wiśle i Narwie, z których korzystając, a w razie potrzeby osłaniając się rzekami, panuje na wszystkich polach wojennych działań, jakie te rzeki w Polsce wytwarzają. Zresztą Prądzyński wcale nie zalecał obrony biernéj, radził tylko wyczekiwać korzystnéj sposobności do przejścia w zaczepność; wszelki błąd armii ruskiéj, wszelka przeszkoda w jéj działaniach powinny być wyzyskane przez armię polską i ułatwiać jéj odnoszenie cząstkowych korzyści. Podobne poglądy byłyby zasadnemi, gdyby: 1) Wisła i Narew z Bugiem przedstawiały istotne przegrody, temi zaś w zimowéj kampanii nie były; 2) Warszawa, Modlin i Serock powinnyby były mieć odpowiednie ich znaczeniu fortyfikacye. Tymczasem Serock był otoczony tylko starym, na pół zniszczonym wałem; fortyfikacye Warszawy-Pragi nie były dość silne dla zasłonięcia odwrotu całéj armii; fortyfikacye zaś Modlina znajdowały się w stanie zapuszczonym i nie były ubezpieczone przeciw atakowi otwartą siłą; 3) punkt środkowy powstania i przedmiot ataku sił ruskich, Warszawa, leży w wierzchołku ostrego kąta, przeciw niéj mogą być zwrócone wszystkie ciosy, skutkiem czego wszystko ograniczało się do prostego oblężenia jednego punktu, dla Polaków najważniejszego. Wspomniany trójkąt ważnym był istotnie dla Napoleona. Trzymając te punkty, jego armia mogła się ukrywać

to za tą, to za drugą rzekę, zatrzymywać nieprzyjaciela aż do przybycia posiłków, po nadejściu zaś tychże przechodzić do zaczepnego działania. Posiłki stanowią tu dla broniącego się warunek konieczny, Polacy zaś z nikąd posiłków spodziewać się nie mogli. Ważną też Polakom szkodę wyrządzał ten plan, że odrazu połowę kraju Rosyanom oddawał, zmniejszał więc niezmiernie już i tak skąpe środki do prowadzenia walki, zatém mógł wejść w wykonanie tylko w drugim peryodzie wojny, w razie utraty przez Polaków przodowych pozycyi. Plan ten także nie został przyjęty. Chrzanowski przedstawił więc plan nowy, ale ten był już tylko odporny. Według niego należało skoncentrować armię na rzece Liwcu około Węgrowa, wysławszy niewielkie oddziały ku Ostrołęce i Siedlcom. Jeżeliby armia ruska przeprawiła się przez Bug, to można było przyjąć bitwę u rzeki Liwca, któréj front wzmocniony był błotami dostępnemi tylko w niektórych punktach. Gdyby zaś armia ta szła na Warszawę po drodze białostockiéj, to Polacy zagrażali atakiem na jéj skrzydło. Wielkie lasy, ciągnące się wówczas od Liwca do Warszawy, zmuszały Rosyan do nieustannego przebywania cieśnin i paraliżowaly wyższość ich w jeździe i w artyleryi, dając przewagę piechocie polskiéj, doskonale do ręcznego boju przyuczonéj. W razie niepowodzenia można było cofnąć się na drugą pozycyę, pod Grochów. Ten drugi plan Chrzanowskiego odpowiadał i składowi wojsk polskich i warunkom miejscowym; wadę jego to stanowiło, że rzeka Liwiec jest przegrodą tylko w czasie wylewów, w innych razach nie posiada poważnego obronnego znaczenia, w zimie zaś ta przegroda była zerem nic nieznaczącém, oprócz tego można ją było obejść z lewego skrzydła, idąc na Serock.

Po długich sporach w radzie wojennéj, w któréj naczelny wódz Radziwiłł całkiem bierną odgrywał rolę, przyjęty został plan następny. Ponieważ nie wiedziano, z któréj strony nieprzyjaciel nacierać będzie, postanowiono rozstawić armię eszelonami na dwóch drogach do Warszawy prowadzących, z Kowna i z Brześcia Litewskiego. Za natarciem wojsk ruskich miano się cofać na centralną pozycyę u Grochowa i tam bitwę przyjąć. Plan ten tém usprawiedliwiano, że w zimie kraj nie przedstawia korzystnych do boju pozycyi, bo rzeki i błota zamarzły. Oddalając się zbytecznie od Warszawy, armia narażała się na obejście przez tak bardzo ją co do siły liczebnéj przewyższające wojska ruskie, mogła być odciętą od mostu praskiego i modlińskiego. Na pozycyi grochowskiéj obejście było niemożebném, miejscowość nie pozwalała Dybiczowi rozwinąć wszystkich swych sił; Polacy opierali się na Warszawie i jéj wielkich zasobach i na praskim przyczółku mostowym. Trzeba jednak zaznaczyć, że ta pozycya Polaków nie odpo-

wiadała liczbie ich wojska; lewe ich skrzydło wisiało w powietrzu, w tym kierunku mogli być oskrzydleni (ruch korpusu Szachowskiego), z tyłu zaś mieli bardzo ważną przegrodę, Wisłę, przez którą prowadził jeden tylko most. Stosownie do tego planu rozstawioną została armia polska (45 batal., 80 szwadr., 136 dział): 1-sza dywizya Krukowieckiego (13 batal., 16 szwadr., 24 dział) została rozłożoną na kowieńskiéj szosie, zajmując Radzymin, Serock, Jabłonnę, Zegrz, mając dwa pułki jazdy naprzód wysunięte w Różannie; 2-ga piesza dywizya Żymirskiego (12 bat., 28 dz.) rozłożona na szosie brzeskiéj w Kałuszynie, Mińsku, Siennicy, mając jeden pułk w Liwcu, drugi w Opolu, dla poparcia ułańskiéj dywizyi Suchorzewskiego (16 szw.), wysuniętéj dla obrony granicy do Siedlec i Węgrowa; 3-cia piesza dywizya Skrzyneckiego (9 bat., 12 dz.) pod Stanisławowem i Dobrem; 4 piesza dywizya Szembeka z strzelcami Kuszla (11 bat., 16 dz.), artylerya rezerwowa (6 bateryi) i trzy dywizye jazdy (Łubieńskiego, Tomickiego i Ruttiego) zajmowały stanowiska z tyłu koło Okuniewa i Warszawy.

Oprócz powyżéj wskazanych wojsk utworzono jeszcze trzy oddziały osobne, a mianowicie: 1 oddział między Wisłą a Pilicą (5 bat., 34 szwadr.), dowodzony przez generała Dwernickiego i Pierawskiego (z czwartych batalionów niektórych pułków piechoty, z trzecich dywizyonów, czyli 5 i 6-ych szwadronów pułków jazdy, z części Krakusów i t. d.). Daléj ku południowi, w Radomiu gen. Dziekoński organizował 11 i 12-ty pułk piechoty. Kozakowski z strzelcami sformowanemi z leśniczych i konnemi partyami pilnował od Puław górnéj Wisły. W Modlinie i Zamościu garnizony składały się z czwartych batalionów niektórych pułków. Gwardya narodowa w Warszawie liczyła około 4,000 ludzi.

O rozstawieniu wojsk ruskich w tymże czasie, ich sile i planie kampanii, gen. Puzyrewski podaje następne wiadomości. Wiadomość o powstaniu otrzymano w Petersburgu 25 listopada st. st. (autor daty podaje wedle kalendarza st. st., zatém o dwanaście dni wcześniejsze od dat obliczanych wedle kalendarza n. st.). Natychmiast wydano rozkazy odpowiednie następnym korpusom: *a*) korpusowi VI-mu czyli litewskiemu, dowodzonemu przez barona Rosena, by jaknajśpieszniéj skupił w Białymstoku dywizyę piech. 25 i brygadę litewską grenadyerów, a w Brześciu dyw. p. 25 i dywizyę ułanów; *b*) korpusowi I-mu hr. Palena I, by śpiesznie łączył się z Rosenem, zostawiając jednę z swych dywizyi w Wilnie, jako w punkcie mającym ważne polityczne i administracyjne znaczenie, oraz jako skład prowiantu i amunicyi; *c*) korpusowi III-mu rezerwowemu jazdy gen. Witta ruszać natych-

miast do Chełma i zająć Lubelskie; *d*) korpusowi V-mu rezerwowemu jazdy hr. Kreutza pośpiesznie łączyć się z główną armią; *e*) korpusowi grenadyerskiemu Szachowskiego ruszać trzema szlakami: trzy brygady na Rygę i Kowno, jedną dywizyą przez Wilno do Grodna, a dwie brygady z całą brygadą artyleryi zostawić w Wilnie; *f*) czterem pułkom kozackim rozkazano forsownym marszem ruszać do Chełma; *g*) korpus gwardyi miał wyruszyć z Petersburga dopiéro 26 grudnia dwoma kolumnami, jedna z całéj piechoty złożona przez Dorpat, Rygę do Wiłkomierza, druga z całéj jazdy przez Psków do Wilna. Obie te kolumny miały się połączyć w Wilnie. Posunięto téż na Litwę wojska II-go korpusu. Wojska, które wyszły z Warszawy z W. Ks. Konstantym tenże przyłączył do korpusu Rosena.

W d. 1 grudnia głównodowodzącym został mianowany hr. Dybicz, który zmienił niektóre z powyższych rozporządzeń, a między innemi rozkazał korpusowi III-mu jazdy rez. nie wkraczać do Królestwa Polskiego, a ruszać do Brześcia. W d. 18 (30) grudnia Dybicz wyjechał do armii i w jedenaście dni przybył do Grodna (10 stycznia). W końcu stycznia na linii Grodno, Białystok, Brześć stało 120 batalionów, 156 szwadronów, 55 sotni kozaków, 444 dział, razem 97,700 ludzi piechoty, 27,900 jazdy. Z téj liczby 11,750 zostawiono na podstawie operacyjnéj, dla działań zaczepnych zostawało się 114,000 (102 bat., 210 szw., 336 dział).

Zadaniem Dybicza było: rozbić armię nieprzyjacielską i zająć Warszawę, plan zaś jego był następny. Skoncentrowawszy swą armię między Białymstokiem a Bielskiem, przejść granicę 24 i 25 stycznia (6 lutego) z I i VI korpusem piechoty, z dywizyą grenadyerów, z oddziałem W. Księcia i z korpusem III-im jazdy, między Bugiem a Narwią. Mając oprócz tego kilka kolumn na skrzydłach dla demonstracyi i dla połączeń z wszystkiemi częściami posuwającéj się armii, trzymając główne siły w skupieniu. Skupiwszy wojska między Łomżą a Nurem, Dybicz zamierzał działać odpowiednio do okoliczności: *a*) jeżeli nieprzyjaciel skoncentrował swe wojska na lewym brzegu Bugu, w eszelonach ku Warszawie, Dybicz zamierzał przejść na tenże brzeg rzeki, by zmusić przeciwnika, ażeby jaknajśpieszniéj uchodził ku miastu, zarazem przy pomocy V-go korpusu jazdy (Kreutza) przygotować dobrą przeprawę na lewy brzeg górnéj Wisły; *b*) jeżeli Polacy zostaną na dzisiejszych stanowiskach, Dybicz zamierzał odciąć wojska stojące nad Narwią i działać energicznie przeciw wojskom na Bugu, tém samém nie pozwalając nieprzyjacielowi na odcięcie V korpusu jazdy; *c*) gdyby, czego się niespodziewano, Polacy zajęli prawy brzeg Narwi, to ich pozycye i położenie wskazywałoby, czy należy ich weprzéć do

Prus, czy téż maskując lewy brzeg rzeki, działać przeciw Warszawie; *d*) jeżeli zaś Polacy skoncentrują swe siły między Siedlcami a Węgrowem z kierunkiem na Brześć, to przeszedłszy Bug, Dybicz zamierzał manewrować prawém skrzydłem, by zmusić nieprzyjaciela do stanowczéj bitwy, zanim wejdzie w lasy między Kałuszynem a Warszawą. Słowem, główna myśl Dybicza, która mogła uledz zmianie tylko w szczegółach, tak da się streścić: trzymać główne siły w skupieniu, by pobić nieprzyjaciela albo na lewym brzegu Bugu, albo na prawym Narwi, starając się o ile można odciąć go od Warszawy; jeżeli zaś to się nie uda, przejść przez górną Wisłę na jéj lewy brzeg, opasać Warszawę i zmusić bądź głodem, bądź szturmem do poddania się i kapitulacyi. Plan ten był zawisłym od okoliczności, ale w nim nie wzięto w rachunek możliwości zmiany pogody. Dybicz przypuszczał, że mrozy jeszcze wytrwają, że Bug i Narew nie przedstawią poważnych przeszkód przy przeprawie. Tymczasem armia ruska, stanąwszy w widłach Narew-Bug, znalazłaby się w bardzo trudném położeniu, gdyby rzeki puściły, albo lód na nich osłabł, jak się to rzeczywiście następnie stało. Polacy zająwszy przeprawy na Bugu, zmusiliby Dybicza wrócić do Białegostoku i zacząć stamtąd na nowo ruch zaczepny po brzeskiéj szosie. Oprócz tego, gdyby nawet Polacy zostali pobici, to mogli schronić się za Wisłę, przez którą przeprawa pod Warszawą, Modlinem i daléj w dół rzeki, była dla wojsk ruskich niemożebna. Dlatego niektórzy radzili feldmarszałkowi, by przyjął za podstawę Brześć Litewski i z niéj, stosownie do okoliczności, działania prowadził albo ku Warszawie, albo ku górnéj Wiśle. Dybicz się na to nie zgodził; 30-go stycznia (11 lutego) przeniósł kwaterę głów. z Grodna do Białegostoku, wojska zaś już przed sześciu dniami przeszły granicę Królestwa.

Niezmiernie ważne i zajmujące trudności téj kampanii, dokładnie malujące szczegóły, podaje autor pisząc o gospodarstwie armii, o przygotowaniu i dostawie żywności, o magazynach, o zapasach artyleryjskich, urządzaniu szpitali i ambulansów, ale na téj krótkiéj wzmiance poprzestać musimy. A te kłopoty gospodarcze ponawiają się ciągle za każdym zwrotem w téj wojnie, tak bogatéj w zmienne koleje. Niepodobna téż nam śledzić posuwania się i marszów wojsk, które autor podaje bardzo szczegółowo i dla każdego z ważniejszych, niekiedy nawet stosunkowo drobnych oddziałów, podawać musi, pisząc dzieło specyalnie historyczno-naukowe. Niepodobna nam także podać niezmiernie zajmujących z wielką jasnością, chociaż z ścisłością, drobiazgowością nawet, konieczną dla nauczyciela taktyki bojowéj, kreślonych opisów bitew, które od téj chwili idą długim szeregiem, to drob-

niejsze, to większe, to wielkie, przedłużając te siedmiomiesięczne zapasy bojowe i z rozmaitém wypadając powodzeniem. Nie historyę wojny tutaj piszemy, tylko skromne sprawozdanie o téj historyi, którego jedynym celem jest przedstawienie, jak ona jest pisana, ku czemu wybieramy tylko ustępy, mogące, według nas, dać czytelnikowi pewne o dziele wyobrażenie.

Zaledwie wojska ruskie ruszyły, nastąpiła odwilż, 21 stycznia st. st. mróz dochodził do 13 stopni niżéj zera, w pięć dni później było prawie 2 stopnie ciepła, 27 stycznia padał deszcz, który spłukał zupełnie śnieg z pól. Drogi zamieniły się w błota i topiele. Przy największych wysileniach wojska robiły na dobę zaledwie po 20 wiorst, niektóre mniéj, bo po 16 lub 17. Zmęczenie wojsk było tak wielkie, że w d. 28 stycznia (9 lutego) Dybicz nakazał wypoczynek. Przytém zaczęło brakować żywności. Wojska zjadły już cały zapas tornistrowy, tabory nie mogły zdążyć za armią, bo wskutek zwiększającéj się odwilży (10 lutego było prawie 4 stopnie ciepła) wozy, prowadzone dotąd na saniach, grzęzły w błocie. Odwilż ta zmusiła feldmarszałka do zmiany pierwiastkowego planu. Przy podobnych warunkach nie można było myśléć o zapuszczaniu się w okolicę lesistą, błotnistą i mało zaludnioną, w któréj na każdym kroku Polacy mogli zagrodzić wyjście i postawić armię w bardzo trudném położeniu. Na radzie wojennéj, złożonéj z dowódzców korpusów, Toll i niektórzy inni byli przeciwni téj zmianie, dowodząc, że główną rękojmią powodzenia w wojnie jest nieodstępowanie od raz ułożonego planu, bez chwiejności za lada przeszkodą. Zdanie jednak Dybicza było także silnie popierane i przemogło. Linię operacyjną zmieniono, została nią szosa z Brześcia do Siedlec, wojska zeszły na szosę siedlecką. W armii polskiéj w tymże czasie dokonano pewnych zmian w rozstawieniu. W dniu 2 (14) lutego armia ruska stała skupiona w dwóch wielkich masach nad Liwcem koło Węgrowa i pod Siedlcami. Korpus VI-ty przeszedł Liwiec i stanął pod Korytnicą, wysunąwszy swą straż przednią na ośm wiorst. Przy tych ruchach nie obeszło się bez spotkań i utarczek drobnych, pierwsze jednak poważniejsze starcie miało miejsce pod Stoczkiem 2 (14) lutego. O téj bitwie tak pisze gen. Puzyrewski (p. 77):

„W czasie tych ruchów (głównéj armii) na naszém lewém skrzydle zaszła niezmiernie dla nas przykra sprawa, a mianowicie starcie oddziału Geismara z wojskami polskiemi, prowadzonemi przez Dwernickiego. Stosownie do rozkazu, Geismar z oddziałem swym posuwał się do Seroczyna, gdy mu patrole doniosły o ruchu oddziału polskiego przez Garwolin. W tym czasie polski generał Klicki otrzymał rozkaz zajęcia pozycyi po brzegu Wisły w górę rzeki z główną kwa-

terą w Górze. Oddział jego wynosił do 10,000 ludzi (trzecie i czwarte bataliony, piąte i szóste szwadrony), Klickiemu polecono: trzymać się na jednéj wysokości z główną armią, zatrzymywać, a jeżeli się da, rozbić Kreutza i Geismara. Dla spełnienia tego celu wybrał on starego, ale jeszcze bardzo czynnego, generała Dwernickiego, który przy formowaniu piątych i szóstych szwadronów okazał się bardzo dobrym organizatorem i 29 stycznia (10 lutego) dał mu instrukcye, (korpusik Dwernickiego, mający działać przeciw Kreutzowi, pierwiastkowo miał się składać z trzecich dywizyonów (po 2 szwadrony), dziesięciu pułków jazdy, z czwartych batalionów, pułków liniowych 1, 2, 5 i 6, z dwóch pułków krakusów, Kościuszki i Poniatowskiego, z batalionu strzelców Kuszla, z mającego być sformowanym legionu wołyńskiego i bateryjki o sześciu trzechfuntowych działkach). Dwernicki jednak miał tylko 3 bataliony, 15 szwadronów i 6 działek, nie bez trudności przeprawił się przez Wisłę pod Mniszewem; 30 stycznia (11 lutego) na drugi dzień oddział jego zebrał się pod Żelechowem, a on sam dowiedziawszy się od szpiegów, że wojska ruskie znajdują się pod Łukowem, co mu następnego dnia potwierdzono, postanowił podejść ku nim potajemnie bocznemi drogami i w tym celu 13 lutego udał się do Filipówki, by nieprzyjaciela spotkać pod Różą, a następnie pod Łukowem. Wysłane jednak na patrol Krakusy, spotkawszy patrol kozacki, wzięli dwóch kozaków do niewoli. To mogło odkryć zamiary Dwernickiego. W nocy przyjechało do niego dwóch księży z Łukowa; ci zapewnili go, że Geismar opuścił Łuków i Różę, i że nocuje w Seroczynie i zamierza przeprawić się przez Wisłę pod Górą Kalwaryą dla połączenia się z Kreutzem, śpieszącym przez Kozienice ku Warszawie. Na skutek tych wiadomości, chcąc uderzyć na Geismara w Seroczynie, Dwernicki wyruszył z Filipówki o godzinie 2 w nocy 2 (14) lutego, by zaś nocą nie wlec się po najkrótszéj, ale wązkiéj i lesistéj drodze, poszedł na Stoczek. Ze świtem przodowa jazda Dwernickiego zabrała we wsi Prawda, o dwie wiorsty od Stoczka, nasz posterunek dragońsko-kozacki, z którego ściągnięto wiadomości o siłach Geismara. Przeszedłszy przez Stoczek, Dwernicki zatrzymał się na wzniesieniu, nad doliną, przy drodze do Seroczyna, dowiedział się bowiem od chłopów, że na drodze z Toczysk, zatém i z Seroczyna pokazały się kolumny ruskie. Zaraz więc Dwernicki oddział swój sprawił pod Stoczkiem w taki sposób: 6 działek na wzgórku przed miastem, by mogły ostrzeliwać obie drogi idące z lasu, któremi szły kolumny ruskie; trzy bataliony piechoty i dywizyon szaserów postawił w asekuracyi dział; dywizyony 1 i 3, oraz szwadron 2 ułanów postawił naprzeciw kolumny idącéj z Seroczyna, a dywizyony 1 i 2, oraz 4 ułanów naprzeciw ko-

lumn idących z Toczysk. Dywizyon krakusów Kościuszki został się przy Dwernickim. Tymczasem Geismar zamierzał uderzyć niespodzianie. Zapalny, pełen wiary w siebie, niezmiernie odważny, dumny sławą zdobytą w poprzednich wojnach, zwłaszcza w wojnie tureckiéj z 1828—1829 r., w któréj wygrał świetną bitwę pod Boeleszty, Geismar z pogardą traktował wojska polskie, uważając je za ruchawkę. Więc nie starał się o troskliwe wyjaśnienie położenia, nie wydał odpowiednich rozporządzeń, a myślał tylko o tém, żeby mu Polacy nie uciekli. Do pochodu Geismar rozdzielił swój oddział na dwie kolumny. Prawa kolumna pod dowództwem gen. Paszkowa, złożona z perejasławskiego pułku konno-strzeleckiego z 4 działami, szła drogą wprost od Seroczyna przez las i miała nieprzyjaciela atakować od czoła; druga kolumna prowadzona przez samego Geismara złożona także z pułku konnych strzelców z 6-ma działami szła od Toczysk i miała obejść prawe skrzydło Polaków. Drugiéj brygady swéj dywizyi Geismar nie uważał za potrzebne trudzić i zostawił ją w Seroczynie. Drogi, prowadzące przez las, przedstawiały ciaśninę i pochód niemi w téj porze roku był ciężki. Obie kolumny wystąpiły jednocześnie, chociaż drogi były nierównéj długości; jazda nasza posuwała się wąskim frontem trójkątnie, nie poprzedzona patrolami. Paszkow pierwszy wyszedł z lasu i musiał się rozwijać pod ogniem dział nieprzyjacielskich. Postawił swe 4 działa na prawo od drogi, pierwszy jego dywizyon stanął na lewo dział, drugi dywizyon (2 szwadrony), stanął na prawo w kolumnach, trzeci debuszował. Polacy nie tracili czasu na strzelaninę. Po salwie ułany rzucili się na 2-gi dywizyon. Paszkow posunął się z nim naprzód, pierwszemu kazał atakować Polaków od skrzydła, ale pierwszy dywizyon pod wpływem panicznego strachu zachwiał się i podał tył, pociągając za sobą i dywizyon trzeci. Drugi dywizyon już rąbiący się z Polakami także rzucił się w tył, zostawiwszy w rękach nieprzyjaciela dwa działa; z dwoma drugiemi fajerwerker szczęśliwie przejechał zamarzłe błoto i dostał się w odstęp między cofającemi się szwadronami. Polacy nie mogli gonić za Paszkowem, bo w téj chwili wyszedł z lasu z drugą kolumną Geismar. Paszkowowi pomocy dać on nie mógł, bo ich oddzielała znaczna przestrzeń i wąska dolina, ograniczył się więc do artyleryjskiéj strzelaniny. Widząc tę jego bierność, Dwernicki wysłał przeciw niemu sześć szwadronów. Polacy rzucili się naprzód z niezmierną energią; ale stojący na przodzie pierwszy dywizyon konnych strzelców pułku Wirtemberskiego przyjął atak ogniem karabinowym; to zrobiło takie wrażenie na nieprzyjacielu, że się zatrzymał. Widząc zamieszanie, Dwernicki sam naprzód wystąpił, rozkazawszy dywizyonowi 1-mu szaserów, by zaje-

chał od prawego, dla uderzenia na nasze lewe skrzydło, dywizyonowi zaś 3-mu szaserów kazał atakować z frontu. Wówczas przodowy dywizyon pułku Wirtemberskiego podał tył, zanim poszły dwa drugie dywizyony. Zaledwie rozległa się komenda „marsz, marsz!“ oba te dywizyony rzuciły się w tył, nie bacząc na wszystkie usiłowania i męstwo Geismara, który stał na czele 2-go dywizyonu. Polacy zabrali wszystkie 6 dział. Zadowolony powodzeniem, a obawiając się natknąć na rezerwy. Dwernicki nie wyciągnął wszystkich owoców z swego zwycięstwa i nie ścigał Geismara, który pod osłoną swéj drugiéj brygady, śpieszącéj na strzały, zdołał zebrać swe rozproszone szwadrony i cofnąć się na Skurzec i Siedlce. Straciliśmy w zabitych, rannych i jeńcach 280 ludzi i 241 koni, oprócz tego Polacy zabrali 8 dział i 9 jaszczyków. Dwernicki podał swe straty na 87 zabitych i rannych. Rozprawa pod Stoczkiem ani pod względem materyalnych strat, ani pod względem strategicznym, nie należy do ważnych, ale wpływ moralny téj bitwy na Polaków był niezmierny, podniosła ona w nich ducha nadzwyczajnie; umocniła przekonanie o możliwości walki z Rosyanami, w narodzie rozbudziła wiarę w swe wojska. Dwernicki stał się odrazu bohatérem; mnóstwo ochotników zaczęło do jego oddziału napływać. On zaś zostawszy na polu bitwy, zajął się zaraz organizacyą i uzupełnianiem swojego żołnierza. Z zabranych dział utworzył w téj chwili bateryę, żołnierzy dla niéj wybrawszy z kawalerzystów, między jazdę rodzielił zabrane konie, musztrował piechotę i dopiéro późnym wieczorem ruszył do Parysowa, chcąc wyjść na lewe skrzydło armii Dybicza, posuwającéj się ku Pradze. W drodze otrzymał wzmocnienie z jednego batalionu i jednego dywizyonu jazdy. Ale w Osiecku nadszedł d. 16 lutego rozkaz Klickiego, by natychmiast wracał na lewy brzeg Wisły przez Puławy, dla rozbicia lub zatrzymania Kreutza, który, przeprawiwszy się w d. 14 lutego pod Puławami, rusza na Warszawę. Dwernicki jednak rozliczył, że zanim on dojdzie do Puław, to Kreutz będzie już pod Warszawą; przeprawił się więc różnemi sposobami na lewy brzeg Wisły pod Górą Kalwaryą. Należy jednak zrobić uwagę, że Dwernickiego siły były większe, aniżeli Kreutza, dla którego ukazanie się w tyłach polskiego oddziału byłoby bardzo niebezpiecznem...“

Gen. Puzyrewski podaje jeszcze przyczyny, dla których gen. Geismar przegrał bitwę pod Stoczkiem, ale te pomijamy. Daliśmy bowiem opis téj bitwy tylko w celu wskazania, jak autor tę część swéj pracy obrabia, z jaką kunsztowną łatwością daje nam jasny obraz téj roboty wojennéj i jak się łatwo w tym obrazie rozpatrzéć nawet niefachowemu czytelnikowi. Wszystkie opisy bitew odznaczają się podo-

bnąż jasnością. Wprawdzie nie są tak krótkie, ani tak proste; ale tak bitwy wielkie, jak Grochowska, jak pod Ostrołęką, nawet mniejsze, inne przedstawiają zadanie z powodu ilości i rozmaitości taktycznych szczegółów, przejść i zmian zachodzących w tych dziejowych dramatach, przy których nie można pominąć nie już korpusu lub dywizyi, ale często nawet pojedyńczych batalionów. Opisy tych wielkich bitew wymagają dłuższego i uważniejszego czytania, ale u gen. Puzyrewskiego opłaca się to i łatwo każdemu przychodzi, chociaż rzecz jest dla oficerów i przez specyalistę pisana. Bo pomimo ogromu szczegółów, wielka tych opisów jasność podtrzymuje zajęcie, powiedzielibyśmy nawet, że rozbudza imaginacyę zwyczajnego czytelnika, o czém autor z pewnością nie myślał, szukając tylko rozwiązania zagadek wojskowych i wojennéj nauki.

Gdy Dwernicki przeprawiał się pod Górą Kalwaryą na lewy brzeg Wisły, by osłaniać Warszawę, która zdawała się zagrożoną i z téj strony, na drodze z Siedlec ku Warszawie rozpoczynały się już poważniejsze boje. W dnia 5 (17) lutego, Dybicz postanowił ruszyć już stanowczo pod Warszawę. Pierwsze natarcie wytrzymać musiał z swą dywizyą Żymirski pod Kałuszynem, drugie poważniejsze Skrzynecki pod Dobrem. Tu Rosyanie stracili 17 oficerów i 740 szeregowców wybyłych z frontu; dywizya Skrzyneckiego przeszło 600 ludzi. Obie dywizye polskie cofnęły się. Dybicz posuwał się daléj. W d. 7 (19) lutego zaszła niespodzianie bitwa pod Wawrem zacięta i większemi siłami (ze strony ruskiéj 18 batal. korpusu Palena i 19 Rozena saméj piechoty, ze strony polskiéj 20 batalionów dywizyi Żymirskiego, Skrzyneckiego i Szembeka). Ze strony ruskiéj ubyło z frontu 100 oficerów i 3,600 szeregowych, gen. Puzyrewski podaje, że Polacy ponieśli prawie takąż samą stratę, doliczając 600 wziętych do niewoli, cofnęli się do Grochowa i zajęli tam pozycyę, prawém skrzydłem opierając się o wybrzeże Wisły, lewe rozciągając za lasek Olszynowy, który w następstwie stał się kluczem pozycyi.

Bitwie pod Grochowem i połączonemi z nią bitwami pod Białołęką i Markami, bardzo dokładnym opisom pozycyi, wszelkich ruchów i szczegółom taktycznym, ocenieniu następstw téj wielkiéj z takiém męstwem z obu stron prowadzonéj bitwy, autor poświęca cały rozdział III swojego dzieła. Poprzedzoną ona została bitwą pod Białołęką pomiędzy korpusem Szachowskiego a dywizyą Krukowieckiego w d. 12/24 lutego, która przyśpieszyła bitwę Grochowską, tę bowiem Dybicz zamierzał stoczyć dopiéro 26 lutego, po zupełném połączeniu z Szachowskim, idącym inną drogą od Łomży. Wtedy Polacy zostali przeparci, Szachowski zajął Białołękę i rozłożył przed nią swe wojska, Kruko-

wiecki z swoimi stanął przed Brudnem. Późno w nocy Dybicz otrzymał raport Szachowskiego o zajęciu Białołęki. Jakkolwiek obaj dowodzący na tym punkcie nie myśleli o wznowieniu bitwy nazajutrz, jednakże przyszło do niéj pod Markami; trwała ona krótko, ale Dybicz słysząc kanonadę i sądząc, że Szachowski ma do czynienia z przeważnemi siłami, dla odciągnięcia jego przeciwników rozpoczął bitwę. Siły Polaków w tém polu bitwy zebranych, oblicza autor na 56,000 ludzi, 36,600 piechoty, 12,000 jazdy, 8,000 kosynierów, a bez Krukowieckiego na 44,000; siły ruskie 55,500 piechoty, 16,700 jazdy (79 batalionów, 132 szwadronów), razem 72,000 ludzi z 252 działami, bez Szachowskiego zaś, 59,500 i 196 dział ($67\frac{1}{2}$ batal. 93 szwadrony). Niepodobna téż podawać szczegółowo opisu téj bitwy, która się zakończyła odwrotem Polaków na Pragę, a była bardzo mordercza. Straty obustronne tak autor podaje: Polaków na 12,000 wybyłych z frontu i 3 działa stracone, w wojskach ruskich 9,400 wybyłych z frontu. Porównywając te cyfry z liczbą wojsk przed bitwą, wypada że w armii polskiéj prawie czwarta część, w armii ruskiéj prawie szósta część poniosła śmierć lub rany. O godzinie piątéj Dybicz przerwał bój z powodu zmroku, i wstrzymał posuwanie się swéj armii za ustępującemi Polakami, których odwrót zasłaniała dywizya Skrzyneckiego. Wojska ruskie stanęły biwakiem o wiorstę pod szańcami Pragi. W krytyczném ocenieniu przebiegu téj bitwy, gen. Puzyrewski oświadcza, że pod względem taktycznym była ona zwycięstwem armii ruskiéj, ale pod względem strategicznym nie dała korzyści. Opis swój kończy autor temi słowy. „Taki był przebieg téj znakomitéj bitwy, w któréj w każdym razie wojska obu stron okryły się nie zaprzeczoną sławą męstwa i odwagi“ (p. 112).

W Warszawie zaraz po bitwie obawa panowała wielka, mnóstwo osób w przekonaniu, że bitwa została przegrana, widziało już wojska ruskie u rogatek miasta. Na trakcie kaliskim i krakowskim spotykano chroniące się ucieczką osobistości, należące do wyższych sfer towarzyskich, kilku posłów, senatorów. Ten upadek na duchu dotknął nawet członków rządu i starszych dowódzców dywizyi. Na radzie wojennéj, zebranéj o godzinie 9-éj z rana u ks. Czartoryskiego, złożonéj z generałów dowodzących, na którą wezwano téż ważniejszych oficerów sztabu jak Chrzanowski, Prądzyński, Kołaczkowski, postawiono trzy pytania: 1-o jakie są przyczyny niepowodzeń; 2-o co należy robić; 3-o kogo mianować wodzem naczelnym. Skrzynecki krytykując raport o położeniu rzeczy, złożony przez Radziwiła, nominalnego naczelnego wodza, zapytał go wprost: czy czuje siebie zdolnym do dowodzenia armią. Radziwił odpowiedział, że wcale tego honoru

nie szukał, przyjął zaś tytuł głównodowodzącego jedynie na skutek życzenia sejmu, by ocalić armię od anarchii; jeżeli kto czuje się zdolniejszym, to niech bierze dowództwo. Odpowiedź tę uznano za podanie się do dymisyi. Wówczas gen. Umiński, który sądził, że sam wybranym zostanie, zapytał Chrzanowskiego, kogoby należało wybrać, Chrzanowski wymienił Skrzyneckiego, Radziwiłł to nazwisko powtórzył, inni poszli za nimi. Prądzyński w swoim *Memoire* bardzo szczegółowo i z niemałą goryczą to posiedzenie i ten wybór opisuje; Skrzyneckiego bowiem obwinia o liczne błędy, przypisując jego uporowi, nieznajomości rzeczy i gnuśności, stracenie nadarzających się sposobności korzystnych, wynikłe stąd klęski, a mianowicie klęskę pod Ostrołęką. Na drugi dzień sejm zatwierdził wybór Skrzyneckiego, który swym szefem sztabu mianował Chrzanowskiego, zrobiwszy dotychczasowego szefa sztabu gen. Morawskiego, ministrem wojny. Prądzyński został generał-kwatermistrzem.

Gen. Puzyrewski taki daje portret Skrzyneckiego (p. 113). Jan Skrzynecki urodził się w Galicyi w 1786 r. z drobno-szlacheckiéj rodziny. Do szkół chodził we Lwowie. Zostawszy guwernerem u Czartoryskich, zyskał protekcyę téj potężnéj rodziny. W 1807 wszedł do wojska Księstwa Warszawskiego i wstąpił do 16-go pułku piechoty. W kampanii z 1812 już był kapitanem. W 1813 r. dowodził batalionem w dywizyi Dombrowskiego i był wysoko ceniony. W 1814 r. dowodził batalionem legii nadwiślańskiéj, a w bitwie pod Arcis-sur-Aube, Napoleon schronił się przed jazdą ruską w czworobok tego batalionu. Po uformowaniu armii polskiéj przez Cesarza Aleksandra I, Skrzynecki służył w grenadyerach gwardyi, następnie w 4-ym liniowym, wreszcie otrzymał dowództwo 8-go pułku liniowego. Ukształcenie Skrzyneckiego było raczéj polityczne, aniżeli wojskowe. W. Ks. Konstanty mawiał o nim: „Ten pułkownik może opowiedziéć wszystko, co stoi w francuskich i angielskich gazetach; ale nie wié o tém, co się dzieje u niego w pułku“. Zaraz na początku rewolucyi mianowano Skrzyneckiego dowódzą dywizyi, na któréj czele z honorem występował w bitwach pod Dobrem i Grochowem. Był to człowiek znakomitego męstwa, kochany przez żołnierzy, umiał wojska prowadzić do ataku ale zdolności strategicznych nie posiadał, nie miał pojęcia o właściwém użyciu jazdy, artyleryi, i użytkowania z sztuki inżynierskiéj i wogóle o większych operacyach bojowych. Oprócz tego był sybarytą tak dalece, że prawie całą kampanię odbył w karecie. Podobne nałogi, jakkolwiek na pozór mogą się zdawać małoznaczącemi, pociągnęły jednak za sobą nieraz bardzo smutne dla armii polskiéj następstwa, jak np. w czasie bitwy pod Iganiami, kiedy Skrzynecki zaspał naznaczoną

przez niego do ataku godzinę, a nikt nie śmiał go obudzić. Osobiście będąc niesłychanie odważnym, jako głównodowodzący może na skutek niedowierzania siłom własnym, nieraz objawiał niezmierny brak postanowienia i że tak powiem, strategiczną tchórzliwość. Przy świetnéj powierzchowności, Skrzynecki był zarazem bardzo nabożny, co w postępowaniu objawiał. Nieraz widziano go wysiadającego z karety i modlącego się przed figurami świętych. Dopóki słuchał rad ludzi odznaczających się talentem, jak Chrzanowski i Prądzyński, wszystko szło gładko i zwycięstwo nieraz sprzyjało Polakom; gdy jednak zaszły pomiędzy niemi spory, a Chrzanowski usunięty został i posłany z poleceniami do Zamościa, Prądzyński przekonawszy się ostatecznie o zupełnym braku hetmańskich zdolności w Skrzyneckim, zupełnie jego powagi nie uznawał. Nieporozumienia doszły do tego stopnia, że Prądzyński musiał ustąpić, a miejsce jego zajął gen. Łubieński. Łubieński uznając wielki talent Prądzyńskiego, często zwracał się do niego po radę, jak tylko jednak Skrzynecki domyślał się, z jakiego źródła wychodzą owe przedstawienia, odrzucał je bezwarunkowo, chociażby zawierały najdobitniejsze wskazówki powodzenia. W końcu Skrzynecki wywołał przeciw sobie tak powszechną niechęć, że nawet musiał opuścić Warszawę. „Sąd Prądzyńskiego o Skrzyneckim bardzo szczegółowy, może jeszcze jest surowszym w znanym *Memoire*, jego „nieudolności“ (*imperitie*) głównie przypisuje niepowodzenie wyprawy na korpus gwardyi i w następstwie straszną klęskę pod Ostrołęką. „Ale, pisze Prądzyński (*Memoire* p. 145), oprócz tych strat bezpośrednich, bitwa Ostrołęcka okaże się jeszcze zgubniejszą dla Polaków wskutek utraty pięknéj dywizyi Giełguda, a jeszcze więcéj w skutek straszliwego moralnego ciosu, jaki poniósł duch armii i powaga jéj wodza, którego nieudolność teraz poznała cała armia, skutkiem czego wódz ten stracił zupełnie zaufanie. Polacy nie byli jeszcze dość silnemi, by módz znieść podobne ciosy, każdy z tych ciosów był dla nich śmiertelnym“. W pamiętnikach swych późniéj napisanych a znajdujących się dziś w rękach prywatnych pana M., Prądzyński jeszcze jest surowszym i ostrzejszym w swych sądach. Pamiętniki te mają być wydane.

Po mianowaniu wodzem naczelnym Skrzyneckiego, zajęto się organizacyą armii, starano się podnieść jéj ducha, który podupadł wskutek przegranéj grochowskiéj. Kompletowano stare pułki bardzo zdziesiątkowane, biorąc co najlepszych ludzi z nowych, na czém te ostatnie wiele straciły, musiano nawet ich skład zmniejszyć do dwóch batalionów bojowych a jednego zapasowego. Przeformowano téż jazdę tworząc z niéj dwa korpusy (Umińskiego i Łubieńskiego, oraz dywi-

zyę rezerwową Skarzyńskiego); wszystkie cztery dywizye piechoty otrzymały nowych dowódzców. Pierwszą dywizyę w miejsce Krukowieckiego, który został gubernatorem Warszawy, otrzymał Rybiński; drugą (w miejsce zabitego Żymirskiego) Giełgud, trzecią (w miejsce Skrzyneckiego) Małachowski, czwartą (w miejsce usuniętego Szembeka) Milberg.

Położenie feldm. Dybicza nie było łatwe. Od początku kampanii nie mało ludzi wybyło z frontu, w niektórych pułkach trzeba było zmniejszać liczbę batalionów i szwadronów. Feldmarszałek spodziewał się, że Polacy poniósłszy tak ciężkie straty pod Grochowem, upokorzą się, wkrótce jednak pożar Pragi przekonał go, że o tém nie myślą. Zrobił rekonesans i ten wykazał, że szańce Pragi są silnie osadzone, a rada wojenna uznała, że szturm za wieleby kosztował, a nawet zwycięski nie wieleby dał korzyści, bo Wisła puściła, a Polacy mogli łatwo most ściągnąć. Trudności gospodarcze i żywnościowe, niezadawalniający stan sanitarny, oraz coraz dokuczliwsza niepogoda skłoniły Dybicza do odstąpienia od Pragi i rozłożenia wojska po kwaterach, przyczém jednak zwrócono baczność na przyszłą przeprawę przez Wisłę w górę rzeki, którą już wówczas przygotowywać zaczęto. Cząstkowe ruchy wojsk nie ustawały, a przytém mniéj ważne starcia. Bardzo ciężką robotę miał feldmarszałek z urządzeniem szpitali. Przed samém przejściem granicy armia już liczyła 5,300 chorych, a przez dwa tygodnie liczba ta bardzo się zwiększyła. Według raportu z 16 (28) lutego, straty armii wynosiły: w zabitych 2,587, rannych 11,422, kontuzyowanych 532, przepadłych bez wieści 2,498, razem 17,039, w téj liczbie 12 generałów, 526 oficerów, w szpitalach zaś znajdowało się 9,665 (w wewętrznych 5,160, w zewnętrznych 4,505). Cholera jeszcze się nie pokazywała, ale jéj się obawiano, żywność była licha i nie wystarczająca, odzież zalekka, ciepłéj całkiem brakowało (p. 123). Marzec prawie cały poświęcony był przygotowaniom do przeprawy przez Wisłę i zbieraniu materyałów potrzebnych dla zbudowania trzech mostów pod Turczynem, Targówkiem i Karczewem. Na początku marca jednak Skrzynecki probował wejść w układy z Dybiczem, na co z wielkim trudem uzyskał pozwolenie od sejmu. W d. 1 marca n. s., przybył więc do główněj kwatery ruskiéj gen. Mycielski b. adjutant W. Ks. Konstantego. Przyjęty przez Dybicza, oświadczył, że z polecenia rządu i głównodowodzącego polskiego, przybywa z zapytaniem, na jakich podstawach Cesarz upełnomocnił feldmarszałka do wstrzymania działań wojennych. Dybicz odpowiedział, że droga ku temu jest wskazana w manifeście cesarskim, armia polska powinna była ogłosić bezprawnym akt detronizacyi i bezwarunkowo

poddać się na łaskę Cesarza. W pięć dni póżniéj Mycielski jeszcze powrócił, ale tak te, jak i dalsze próby układów do niczego nie doprowadziły i ani na chwilę przygotowań wojennych nie wstrzymały. Pod koniec marca armia polska miała, jak podaje gen. Puzyrewski (p. 126), 76,000 ludzi i 158 dział, z tego na główną armię przypadało 51,000, rozmaite zaś oddziały siłę miały następną: Dwernickiego, który wrócił w Lubelskie i ucierał się z Tollem (pod Kurowem) 6,500, Sierawskiego 7,000, w rezerwie Paca 11,000, garnizony Modlina, Zamościa, Pragi i gwardya narodowa około 26,000, razem wszystkiego do 100,000. Wzięto się też do fortyfikowania Warszawy. Skrzynecki jednak odrzucił plan Chrzanowskiego, który projektował tylko pięć wielkich i silnych fortów (zatrzymano tylko podobny fort na Woli) a miasto otoczono długiemi liniami drobnych flesz, redut, lunet.

W końcu marca rozpoczął się ruch głównych sił ruskich ku wskazanym punktom przeprawy przez Wisłę, w tymże czasie jednak Polacy rozpoczęli działania zaczepne, według planu Prądzyńskiego, trzymanego w wielkiéj tajemnicy, nawet przed Krukowieckim. W d. 19 (31) marca przed świtem po moście wysłanym słomą, wyruszono przeciw gen. Rozenowi, który stał w 18,000 ludzi i to rozstawionych na znacznych odległościach pod Wielkiém Dębem. Siły polskie składały się z 36 batalionów (3 dywizye piechoty), 40 szwadronów, 116 dział, razem około 40,000. Po przeparciu przedniéj straży Geismara, który dopiéro o 6-éj rano zawiadomił Rozena, że Polacy w wielkiéj wystąpili sile, Rozen zaskoczony, musiał przyjąć bitwę, mając na pozycyi tylko 3,000 piechoty i 2 jazdy, przeparty cofnął się ku Kałuszynowi poniósłszy jednak straty znaczne, wynoszące 5,500 w ludziach i 10 dział, nie ścigany dość silnie, pomimo naglących rad Prądzyńskiego i innych oficerów. Następstwem téj bitwy pod W. Dębem, chociaż i przez Skrzyneckiego nie wyzyskanéj należycie, było skrzyżowanie planów Dybicza, który cofnął się na Siedlce, skłoniony do tego jeszcze względami żywnościowemi. Cały ten ustęp wojny, zajmujący rozdział V dzieła, niezmiernie szczegółowo i troskliwie opisany, obejmuje także bitwę pod Iganiami 29 marca (10 kwietnia), która ze względu na stosunkowo mniejszą liczbę wojsk była jednak bardzo mordercza, a z powodu opieszałości Skrzyneckiego nie osiągnęła celu, to jest zajęcia Siedlec, ku którym śpieszył Dybicz od zachodu flankowym marszem. W bitwie téj dowodził Prądzyński, któremu gen. Puzyrewski za sposób przeprowadzenia jéj oddaje pochwały, dodając, że zachowanie się Skrzyneckiego w téj okazyi było „niższém wszelkiéj krytyki“.

Rozdział VI dzieła zajmuje się ruchami powstańczemi na Litwie, w Kownie, Oszmianie i na innych punktach; działaniami na skrzydłach, starciami między Umińskim a gen. Ugriumowem koło Węgro-

wa, Sokołowa, Liwu. Tu też należą działania Kreuta przeciw Sierawskiemu na górnéj Wiśle w połowie kwietnia, i przegrana tegoż generała pod Wronowem i Kazimierzem, który z swego ledwie 7,000 liczącego oddziału, głównie z świeżych wojsk, stracił 2,000 ludzi, z których 1,500 szeregowych, 54 oficerów wzięto do niewoli. Nowe pułki samym sobie zostawione nie odpowiadały oczekiwaniom. Ze skrzydłowych wypadków tym rozdziałem objętych, wspomniéć jeszcze dla ciągłości wypada o działaniach gen. Jankowskiego i partyzanta Zaliwskiego koło Pułtuska przeciw Sakenowi. Ważne też miejsce zajmuje przejście Dwernickiego za Bug (16 kwietnia) pod Kryłowem, z zamiarem wywołania powstania na Wołyniu, w sile 6,000 ludzi (4 bataliony, 22 szwadrony, 12 dział), jego marsz przez Poczajów, Radziwiłów, Wołoczyska, do Kamieńca podolskiego, wstrzymany przez gen. Rüdigera bitwą pod Boremlem. Dość szczegółowy opis téj ciekawéj bitwy gen. Puzyrewski tak kończy (p. 185): „Rüdigier przygotowywał się do zadania ostatecznego ciosu; piechota ruszała, by opanować Boremel i wziąć Polaków ze skrzydła i od tyłu, gdy jazda będzie ich przéć z frontu. Nagle nastąpiła burza tak gwałtowna, że strzelanie z karabinów stało się niepodobne. Rüdigier lękając się narażać swéj bezbronnéj, wskutek tego piechoty, na atak jazdy polskiéj i z powodu ciemności, wstrzymał bój. Wojska nocowały naprzeciw siebie. Według Prądzyńskiego, straty Polaków w téj bitwie wynosiły 500 wyszłych z frontu; Dwernicki oblicza je tylko na 110. Rosyanie stracili 300 ludzi i 5 dział. Położenie Dwernickiego było bardzo trudne. Wracać na Kowel, gdzie już wybuchło powstanie, nie było po co, Rüdiger był bliżéj tego miasta, ku któremu zbliżały się też świeże siły ruskie. Dwernicki więc postanowił iść daléj na Podole, unikając bitwy, ruszył w nocy do Beresteczka i zrobiwszy 40 wiorst dotarł do Chotynia 20 kwiet. Zaledwie jednak przebył Styr, na drugim brzegu pokazała się przednia straż Rüdigera, 21 Dwernicki dotarł jednak do Radziwiłłowa, 22 szedł do Krzemieńca, ale go uprzedził Rüdiger, który tam znalazł posiłki. Te manewra trwały jeszcze dni kilka, nakoniec Dwernicki party przez Rüdigera, który miał przeszło 12,000 (14 batalionów i 60 szwadronów), przeszedł granicę Galicyi a oddział jego, wynoszący już tylko 4,000 ludzi, rozbrojony został przez Austryaków, którzy artyleryę i wszelką broń oddali Rosyanom. Gen. Puzyrewski oceniając wypadki, oświadcza, że Dwernicki „złożył dowody niepośledniéj sztuki w swych działaniach“, śmiałości w boju, energii i umiejętności manewrów“, miał jednak przeciw sobie bardzo niebezpiecznego, i bardzo zdolnego przeciwnika, gen. Rüdigera, który zadanie swoje wzorowo przeprowadził.

Rozdział VII poświęcony jest działaniom głównych armii od bitwy pod Iganiami do pochodu Skrzyneckiego na gwardye. Przedstawiając rozmieszczenie armii polskiéj w końcu kwietnia na linii od Garwolina przez Kuflew, Boimie, Suchą i t. d. do Liwa, naprzeciw wojsk ruskich, które w pierwszéj linii zajmowały Kock, Różę, Mingosy, w drugiéj Łuków, Siedlce, Mordy i t. d. gen. Puzyrewski siłę liczebną głównéj armii polskiéj, podaje na 60,000. Feldmarszałek Dybicz przygotował się do nowego zaczepnego ruchu, starannie fortyfikował Brześć, którego miał strzedz Rozen z znaczną siłą, bo 12 bat., 10 szwadr. i 60 dział, z żywnością ciągłe jeszcze były kłopoty. Ledwo do końca kwietnia zebrano zapas potrzebny na dni 14, dla 120,000 ludzi i 30,000 koni (p. 194). Feldmarszałek jednak w tym czasie otrzymał od Cesarza pozwolenie do połączenia z armią korpusu gwardyi, który pierwiastkowo przeznaczony był tylko do zasłaniania granic Litwy i zajmował augustowskie (Łomża i t. d.). Uporządkowawszy wojska, dawszy im wypocząć, zabezpieczywszy swe tyły, mając żywność na dni 14, Dybicz postanowił przejść do działań zaczepnych. Od 12 do 26 odbywały się odpowiednie ruchy i bitwy (pod Kuflewem i Mińskiem 26). Skrzynecki, jakkolwiek siły jego były prawie równe siłom marszałka, jakkolwiek znał plany przeciwnika, wierny swemu systematowi, unikał walnéj bitwy, postanowił cofać się pod Grochów i tam dopiéro bitwę przyjąć. Przeciwnie Prądzyński i Chrzanowski dowodzili możności i konieczności stoczenia bitwy, przedstawiali plany, Skrzynecki uparł się i tak żadnych dowodów nie słuchał, że mu Chrzanowski w oczy powiedział: „Prowadzimy wojnę jak tchórze“. Te słowa bardzo oziębiły ich stosunki. Rozmaite przyczyny, a między temi niepokojące wiadomości z Litwy sprawiły jednak, że plan Dybicza nie powiódł się i jak mówi gen. Puzyrewski (p. 203): „Plan ten gruntownie pomyślany w zasadniczéj swéj idei; ale wykonany bez koniecznych ostrożności, a przytém miękko (zwłaszcza działanie z 13 (25) kwietnia, kiedy armia posuwała się powoli i stanęła na miejscach przypadkowego i czasowego wstrzymania), nie dał żadnych istotnych rezultatów. W tymże czasie, kiedy tak okoliczności, jak gdyby sprzysięgały się przeciw wszystkim usiłowaniom feldmarszałka, który w działaniach swoich ciągle spotykał przeszkody, Cesarz Mikołaj, śledzący bardzo troskliwie przebieg kampanii, postanowił sam dać feldmarszałkowi wskazówki co do dalszych działań. Cesarz stanowił: przywrócenie porządku w guberniach sąsiadujących z Królestwem i zabezpieczenie tyłów armii powierzyć nanowo zbieranéj armii rezerwowéj, przyłączyć części II-go korpusu i I-ą dywizyę ułańską do armii czynnéj i tę poprowadzić dla przeprawy przez Wisłę nie na gór-

ną, ale na dolną część téj rzeki, opatrzywszy w zapasy tę armię, naprzód zakupami żywności w Prusach, następnie dowozami z Rosyi przez Gdańsk". Cesarz rozkazywał, by się tém natychmiast zajęto. W końcu kwietnia armia ruska stała na pozycyi Kopce-Sucha i liczyła 81 batalionów, 104 szwadronów, 36 sotni, czyli piechoty 44,138, jazdy 14,792, dział 225. Wzięto się zaraz do wykonania rozkazów cesarskich, zwłaszcza otrzymawszy wiadomość, że korpus Dwernickiego, musiał się cofnąć do Galicyi i przestał istnieć, że zatém można było być spokojnym o Wołyń i Podole. Oprócz obstalunków porobionych w Gdańsku, zaraz na początku wojny przystąpiono do zbierania większych zapasów w Johanisburgu, Niedzborzu, Brodnicy i Toruniu, kładąc dostawcom za warunek, że zapasy te mają być odstawiane najemnemi podwodami na 10 mil od granicy w kraj Królestwa Polskiego. Dla zapewnienia przeprawy armii przez dolną Wisłę, zawarto téż kontrakty z rozmaitemi właścicielami statków od Torunia po Gdańsk o dostawę odpowiednich łodzi do budowy mostów.

Od początku maja Chrzanowski uganiał się z Kreutzem w lubelskiem. Bitwa pod Lubartowem była nawet dość ciężka, Polacy stracili około 1,000 licząc w to 600 jeńców, Rosyanie mieli wybyłych z frontu 19 oficerów, 634 szeregowych. To działanie skrzydłowe dało przewagę Kreutzowi, Skrzynecki zachowywał się bezczynnie, pomimo usilnych rad Prądzyńskiego porównywając siebie do Fabiusza Kunktatora. Raz nawet przystał na działanie i atak na Suchę, ale rozkazy następnie odwołał dla bardzo ważnéj przyczyny, jak pisze Prądzyński, „sprowadził bowiem z Warszawy malarza i dawał mu posiedzenia, by odlitografować swój portret". Dybicz zatém ruszył naprzód, przyszło do starć mniejszéj wagi. Polacy się cofali. Dybicz był przekonany, że i tym razem unikają bitwy, jak poprzednio przy Kuflewie; pokazało się jednak późniéj, że Skrzynecki opuścił okolice Kałuszyna dla wykonania dawno przez Prądzyńskiego obmyślanego planu uderzania na gwardye. W końcu kwietnia cholera zaczęła silniéj w armii grasować. Pojawiła się ona najprzód w Białéj w drugiéj połowie marca; w ciągu kwietnia liczono już 8,720 chorych, z których 2,800 umarło. Gen. Puzyrewski dodaje, że po wznowieniu działań w maju, liczba zapadających na cholerę zmniejszyła się.

Rozdział VIII-my słusznie nosi tytuł: „Przełom w przebiegu kampanii." Kończy się bowiem na bitwie pod Ostrołęką 26 maja i na śmierci feldmarszałka Dybicza, w dwa tygodnie po téj bitwie, rozpoczyna się zaś ruchem armii polskiéj na gwardye. Plan ten w zasadzie był bardzo prosty: ruszyć z głównemi siłami na korpus gwardyi, rozbić

go, zanim Dybicz przyjdzie mu na pomoc, odparłszy w ten sposób ów korpus, podać rękę powstaniu na Litwie i posłać tam pewne posiłki, za zbliżeniem się głównéj armii ruskiéj zająć obronną pozycyę na prawym brzegu Narwi, by przeciąć komunikacyę Dybicza z Prusami i przeszkodzić jego ruchowi ku dolnéj Wiśle, o którym to zamiarze już wiedziano w głównéj kwaterze polskiéj. Zamierzono pod Serockiem utworzyć oszańcowany obóz, opierając się na téj pozycyi i na Łomży, można było działać na skrzydło i na tył armii ruskiéj. Gdy w ten sposób główne siły ruskie będą przeciągnięte nad Narew, Umiński z oddziałem Dziekońskiego miał przejść do energicznéj zaczepności i opanować kraj po Bug. Umiński w połączeniu z Chrzanowskim miałby 25,000 żołnierzy, i mógłby wedle okoliczności, albo uderzyć na wojska ruskie po prawéj stronie Bugu, albo w łączności z głównemi siłami działać przeciw feldmarszałkowi. Szczegóły w wykonaniu planu zależały od wypadku działań, z góry przewidzieć się nie dających. Gen. Puzyrewski, podając ten plan, pisze (p. 226): „Znakomicie ułożony plan Prądzyńskiego nietylko nie dał Polakom spodziewanych rezultatów, ale nawet doprowadził ich do katastrofy ostrołęckiéj; główną tego niepowodzenia przyczyną był sam polski wódz naczelny Skrzynecki, który tu ostatecznie uwydatnił całą swą nieudolność do dowodzenia armią i prowadzenia jéj działań."

W d. 30 kwietnia (12 maja) Skrzynecki z swych stanowisk między Mińskiem a Kałuszynem wyruszył z czterema dywizyami piechoty (1, 2, 3 i 5) i z dwoma dywizyami jazdy w kierunku do Serocka. Siły te wynosiły 45 batalionów, 44 szwadronów i przeszło 100 dział; pułki były przedtém dokompletowane, bataliony liczyły po 800 ludzi, szwadrony 150, razem wszystkiego było 45 do 46,000. Korpus gwardyi ruskiéj wraz z dodanym mu oddziałem Sackena liczył 23 bataliony, 37 szwadronów, kilka secin kozaków i 24 dział, czyli 19,550 bagnetów, 6,695 szabel, razem z artyleryą 27,000. Pierwszą wiadomość o pojawieniu się Polaków w okolicach, dowodzący gwardyą otrzymał 29-go kwietnia st. st., a chociaż była dość małoznacząca, skupił wojska koło Zambrowa, by albo rzucić się na słabszego przeciwnika, albo gdyby ten był silniejszym ustąpić ku Nurowi i połączyć się z Dybiczem. Przebiegu téj sprawy, bardzo szczegółowo i bardzo jasno opisanéj, podawać nie możemy. Po kilku mniejszéj wagi bitwach tylnéj straży, po zajęciu przez dywizyę Giełguda Łomży; po wysłaniu na Litwę oddziału Chłapowskiego złożonego z 800 ludzi (pułk ułanów, 100 ludzi piechoty, 100 instruktorów, 2 lekkie działa), cały ten zamach na niczém się skończył, głównie, jak dowodzi Prądzyński a potwierdza gen. Puzyrewski, przez nieudolność Skrzyneckiego, który spotkawszy na

wstępie pewien opór, zaczął się chwiać, opóźniać ruch, zmieniać rozkazy, paraliżować robotę. Następstwem tego wahania i zwłok było, że dowodzący gwardyami Wielki Książę Michał, dowiedziawszy się o zajęciu Nura przez Łubieńskiego, co przerywało jego komunikacyę z Dybiczem, postanowił cofnąć się na Białystok. Widząc gwardyę, cofającą się przez Tykocin, Skrzynecki nabrał ochoty do posuwania się za nią, w czém wielki błąd popełnił według zdania Prądzyńskiego. Albowiem atak na gwardyę powinien się był skończyć u Śniadowa, gdy się tam nie udał, należało całą uwagę zwrócić na feldmarszałka. W ten sposób stracili tylko czas Polacy, a błąd ten swego wodza strasznie zapłacić mieli. Zostawiwszy dywizyę Giełguda z oddziałem Dembińskiego w Łomży 12 (24) maja, armia polska podstąpiła pod Ostrołękę. Za późno.

Dybicz, uspokojony o losy korpusu gwardyi, przeszedł śmiało do zaczepnych działań i 26 maja stoczona była mordercza bitwa o utrzymanie się w posiadaniu Ostrołęki, któréj to bitwie i poprzedzającym je innym (bitwa pod Nurem), oraz ruchom wojsk poświęcony jest cały bardzo obszerny rozdział IX-ty, nader szczegółowo wszystkie przejścia boju przedstawiający. W szczegóły wdawać się nam niepodobna, możemy tylko podać niektóre cyfry i ogólne uwagi w dziele gen. Puzyrewskiego znalezione. Według niego, armia polska pod Ostrołęką miała 34 batalionów i przeszło 50 szwadronów, więc około 30,000 ludzi, mogła téż liczyć jeszcze na 11,000 ludzi dywizyi Giełguda, któréj wszakże Skrzynecki z Łomży nie ściągnął. Dybicz prowadził w ogień 36 batalionów, 57 szwadronów, razem także do 30,000 (29,950) walczących. Straty z obu stron były ciężkie, ze strony polskiéj straszne. Armia ruska miała 172 oficerów i 4,700 szeregowych ubyłych z frontu (prawie szósta część), armia polska 255 oficerów i 9,000 szeregowych wybyłych z frontu (pomiędzy temi 2,100 wziętych do niewoli). W ten sposób w armii polskiéj wybyło z szeregów piechoty prawie połowa oficerów i jedna trzecia część szeregowych. Strata owa zwiększa się jeszcze zaprzepaszczeniem dywizyi Giełguda, która, nie mogąc wrócić, musiała iść na Litwę, skąd następnie po przegranéj pod Wilnem wyparta, przeszła granicę pruską i przestała istnieć. Armia więc polska z pod Ostrołęki wracała mniejsza o połowę w porównaniu z siłą, w jakiéj wyszła przeciw gwardyi dwa tygodnie przedtém. W dodatku wracała zdezorganizowana i zdemoralizowana. Skrzynecki, który w téj bitwie całkiem straciwszy głowę (Prądzyński się wyraża, że go krew zalewała) na rzeź ją prowadził, wyprawiając do ataku pojedyńcze pułki w miarę, jak mu się nasuwały, sam rzucając się naprzód jakby szukał śmierci, po odbyciu rady wojennéj w nocy, oddawszy Łubieńskie-

mu zarządzenie odwrotu, wsiadł do karety i pojechał do Warszawy. Prądzyński, który z nim jechał, pisze, że przez drogę Skrzynecki płakał, powtarzając *finis Poloniae* i wołając: „przegraliśmy haniebną bitwę.“ Armia polska, nie goniona przez wojska Dybicza, cofała się na Pułtusk, dokąd przybyła 28 maja. Do Rożana odwrót szedł bardzo bezładnie, dopiéro od tego punktu, dzięki usiłowaniom Łubieńskiego, porządek był większy.

Co do następstw bitwy ostrołęckiéj, gen. Puzyrewski pisze: „Nie bacząc na rozliczne podobne cechy bitw grochowskiéj i ostrołęckiéj, tak co do samego prowadzenia boju, jak co do nieścigania rozbitego przeciwnika, bitwa ostrołęcka miała dla armii ruskiéj bardzo korzystne następstwa; zanadto drogo kosztowała ona Polaków i ułatwiła nam wielce wszystkie następne działania. Pochód Giełguda na Litwę, który zrazu wydawał się bardzo korzystnym, w rzeczywistości doprowadził do zguby tę dywizyę, która skończyła byt swój tak samo, jak korpusik Dwernickiego wysłany na Wołyń. Armia polska już znacznie osłabiona przed bitwą ostrołęcką, przez bitwę tę poniosła takie straty i tak została rozstrojona zarówno moralnie, jak materyalnie, iż odtąd nie zdołała już poprawić się w zupełności. Przed powstaniem składała się ona z 30,000 doskonałego żołnierza; z początkiem powstania powiększyła się o 20,000 wysłużonych, składała się więc z 50,000 doskonale wyćwiczonych i do boju wybornie przygotowanych wojsk, oprócz licznych nowych formacyi. W bitwie grochowskiéj, oprócz trzech nowo sformowanych pułków piechoty i części jazdy, siły Polaków składały się z pułków starych. Stan ten jednak nie mógł się długo utrzymać. Już po pierwszych ważniejszych starciach, stara piepiechota była w jednéj trzeciéj skompletowana przez świeżych rekrutów. Po rozbrojeniu oddziału Dwernickiego, na skutek téż znacznych strat poniesionych przez cholerę i bitwy, nietylko trzeba było stare pułki po raz drugi kompletować za pomocą rekrutów, ale i w składzie armii mieszać stare jéj części z nowemi formacyami. Już w czasie pochodu na gwardye, dywizye, tak jazdy jak piechoty, miały po dwa pułki stare i po dwa nowe. Z tego powodu, i ze względu na przymioty bojowe armia polska, która się biła pod Ostrołęką, stanowczo niższą była od téj, która pod Grochowem stawiała czoło armii ruskiéj. Do ostrołęckiéj jednak bitwy nowa ta armia zachowywała przynajmniéj wiarę w siebie i ufność do swego wodza, po téj zaś katastrofie wszystkie marzenia o pobiciu Rosyan musiały się rozwiać. Co zaś do przypuszczalnych zdolności naczelnego wodza nastąpiło zupełne rozczarowanie. Armia upadła na duchu. Oprócz tego bitwa ta pozbawiła Polaków około 9,000 wybyłych z frontu, około 11,000 wyszłych z Giełgudem na

Litwę, blisko 1,000 wysłanych tamże z Chłapowskim, a w tych 20,000 było do 10,000 starych żołnierzy. Można było wypełnić szeregi poduczonemi rekrutami, ale straty starych żołnierzy nic zastąpić nie mogło, równie jak straty 27 armat (22 poszło z Giełgudem, 2 z Chłapowskim, 3 stracono pod Ostrołęką). Cofnięcie armii do Warszawy, gdzie tak trudno było przywrócić karność, a przytém oddanie przeciwnikowi znacznéj części jeszcze posiadanego kraju, było bardzo grubym błędem. Lepiéj byłoby skupić się na prawym brzegu Narwi, zasłaniając się silną tylną strażą, któraby mogła następnie zająć pozycye na Omulewie i Wkrze, armia tak zasłonięta mogłaby schronić się pod fortyfikacye Modlina, gdzie łatwoby ją było przyprowadzić do ładu. Umińskiego można było zostawić przeciw Kreutzowi i Rüdigerowi. Pokrzepiwszy ducha wojsk, przyciągnąwszy Chrzanowskiego, działając łącznie z Umińskim, możnaby było znowu przejść do zaczepnych działań w 50,000 ludzi. Chociażby armia ta pod względem przymiotów bojowych była niższą od poprzedniéj, jednakże Polacy w ich położeniu powinni byli podwoić energię i działalność, by przeszkodzić przygotowującéj się przeprawie wojsk ruskich przez dolną Wisłę, o czém dobrze wiedzieli tak z przejętych papierów, jak z powodu wielkich spławów z Gdańska.“

Wydawszy ten sąd o następstwach bitwy ostrołęckiéj, gen. Puzyrewski przechodzi do działań i przygotowań, jakie po téj bitwie zarządził Dybicz. Przygotowanie żywności, urządzanie dostaw, budowa dostatecznéj liczby pieców dla wypieku sucharów, daléj opatrzenie armii w amunicyę, reorganizacya cząstkowa artyleryi. W końcu maja tak w jaszczykach, jak w ruchomych pułkach artylerya posiadała 37,427 nabojów, armia więc opatrzoną była dostatecznie co najmniéj na trzy wielkie bitwy. Ze szpitalami kłopot był nie mały. W d. 30 maja w wewnętrznych szpitalach znajdowało się 20,749 chorych, a w szpitalach zewnętrznych 4,539. Nakazano utworzyć nowe szpitale w Włodzimierzu wołyńskim na 500, w Pińsku na 1,200, w Ostrołęce na 4,000, powiększyć łomżyński do 4,000 łóżek i t. d. Feldmarszałek pragnął jak najprędzéj przeprawić się przez dolną Wisłę i oprzéć podstawę działań na Prusach. Dla przyśpieszenie kupna materyałów do budowy mostów wysłał pułkownika inżynieryi Vitinhofa (do Prus). W liście z d. 26 maja st. st. donosił Cesarzowi, że ze względu na te przygowania, na wypadki litewskie i na czas potrzebny do zbliżenia się armii rezerwowéj, przeprawa ta możebną będzie ledwo koło 20 czerwca st. st. Śmierć zaskoczyła go wśród tych przygotowań właśnie, gdy miał obchodzić uroczyście rocznicę zwycięztwa pod Kulewczą (29—30 maja st. st. 1829 r.). Już w d. 28 maja st. st. skarżył się, że mu jakoś nie-

dobrze, był jednak wesół i dobréj myśli przez dzień cały. W nocy o 11 ciężko zaniemógł, lekarza jednak wzywać nie pozwolił. Gdy o 3-éj cierpienia straszliwie się wzmogły, wezwano głównego medyka Szlegla, który natychmiast oświadczył, że to był niezmiernie silny atak cholery, o 11 rano feldmarszałek już nie żył. Ciało nabalsamowane odwieziono do Rosyi, serce pochowano w Pułtusku.

Rozdział X-ty dzieła obejmuje szczegóły powstania na Litwie i Podolu, i obustronnych działań wojennych tamże w miesiącach, poprzedzających wejście Giełguda, który po bitwie pod Rajgrodem z Sackenem 17 (29) maja w kilka dni późniéj przeszedł Niemen pod Giełgudyszkami. Rozdział ten łączy się ściśle z XII-ym, obejmującym wypadki wojenne na Litwie od wejścia Giełguda i oddziału Dembińskiego (poprzednio Sierakowskiego), do wparcia tak Giełguda, jak Chłapowskiego, w granice Prus 30 czerwca i 1 (13) lipca, oraz odwrót Dembińskiego, opisane bardzo szczegółowo i krytycznie, podobnie jak zajścia poprzednie na téj części teatru wojny. Wykazując niektóre błędy Dembińskiego w jego odwrocie, gen. Puzyrewski tak jednak kończy: „Pomyłki tego energicznego generała dostatecznie wykazane są w przedstawieniu jego działań, jeżeli zdołał on osiągnąć cel założony, chociaż bez wielkiéj sztuki, ale z zdumiewającą energią, to z drugiéj strony mężne jego wojska spełniły dzieło zasługujące na cześć najgłębszą. W 18 dni przeszły one 700 wiorst, zatém po 40 wiorst na dobę, przytém ciągle budując lub naprawiając mosty i przeprawiając się przez rzeki takie, jak Swienta, Wilia, Niemen, Szczara. Dembiński wszedł do Warszawy 22 lipca (3 sierpnia). Miasto, pisze gen. Puzyrewski (p. 352), z uniesieniem przyjmowało jego waleczny oddział i dostojnego dowódzcę tego oddziału. Wojska przedstawiały widok nadzwyczajnie pstry i rozmaity; żołnierze byli odziani w polskie i ruskie mundury, w studenckie surduty, w chłopskie świty; odzież była w łachmanach, nogi bose, a pomimo tego nieraz dźwigali broń bardzo kosztowną; jazda na żmudzkich, ruskich, kozackich koniach, osiodłanych i okiełznanych również rozmaicie, co wszystko świadczyło o trudach i niebezpieczeństwach, jakie ów oddział przebył...“ Siłę oddziału Dembińskiego, gdy wychodził na Litwę, gen. Puzyrewski tak podaje: Dwa bataliony 18 pułku liniowego i jeden 3-ci pułk strzelców, szwadron 3 pułku ułanów, po dwa szwadrony z pułków poznańskiego i płockiego, razem 3 bataliony, 5 szwadronów, 4 działa, wszystkiego około 2,460 ludzi. Siłę pierwiastkową dywizyi Giełguda tak gen. Puzyr. oblicza: brygada Rolanda, 7-my pułk liniowy (3 bat.), 19-ty pułk liniowy (2 bat.), brygada Valentin d'Hauterive i pułki 2 i 4 strzelców po 3 bataliony, kompania saperów, dwa szwadrony jazdy kaliskiéj, dwie

baterye artyleryi dział 22 i po 200 ładunków na działo. Artyleryą dowodził Piętka, o którym Chłopicki po bitwie grochowskiéj powiedział, że to najmężniejszy człowiek z armii polskiéj; razem dywizya Giełguda do 8,000 ludzi. W połączeniu z Dembińskim i oddziałem partyzanta Zaliwskiego (1,500 ludzi) około 12,000 ludzi. Skład oddziału Chłapowskiego był podany wyżéj.

Rozdział XI-ty dzieła traktuje o działaniach głównéj armii od śmierci hr. Dybicza do przybycia feldmarszałka hr. Paskiewicza. Autor zaczyna go od przedstawienia stanu rzeczy w Warszawie, o ile to potrzebném jest dla zrozumienia dalszego obroty wojny. W Warszawie wypadek bitwy ostrołęckiéj przeraził ludność. W miejsce zwycięskich raportów, których Skrzynecki nie skąpił w czasie swego bezowocnego pochodu na gwardye, dowiedziano się, że głównodowodzący przyjechał na Pragę bez wojsk. Zaraz też nadchodzić zaczęły podwody z rannemi, od których dowiedziano się o katastrofie. Skrzynecki, przybywszy na Pragę 28 maja, wezwał tam do siebie dwóch przychylnych sobie posłów, opowiedział im przebieg bitwy, ale upiększając położenie, zmniejszając straty, zaręczając, że nie stracił żadnego działa, za to powiększając niezmiernie straty Rosyan i twierdząc, że Dybicz, straciwszy do 12,000 ludzi przy wysiłkach dla spędzenia Polaków z ich pozycyi, osłabiony wielce tym ubytkiem, nie śmié posuwać się naprzód. Sejm, uwierzywszy tym opowiadaniom, objawił swe zaufanie naczelnemu wodzowi. By zaś oficerowie nie mogli rozpowiedziéć prawdy, Skrzynecki zabronił im surowo wstępu do Warszawy. Rannych jednak trzeba było tam pomieścić i od nich się powoli dowiedziano, jakie stało się nieszczęście. Jednocześnie wszakże Skrzynecki starał się wszelkiemi siłami zaprowadzić ład w armii i zapełnić przerzedzone jéj szeregi. Karność, w ogóle nie szczególna w armii polskiéj, po bitwie ostrołęckiéj upadła jeszcze bardziéj. W pochodzie nie strzeżono porządku, mnóstwo oficerów nie szło na swojém miejscu, większa część oficerów piechoty jechała konno; przy każdéj zmianie miejsca mnóstwo było zostających po drodze. W boju też nawet opuszczano szeregi. Skutkiem tego bataliony bardzo co do liczby ludzi osłabły. Chociaż pułki kompletowano, wskutek ubywania ludzi, niektóre dywizye, zwłaszcza I, od téj pory do końca wojny stawały tylko w dwóch szeregach. Widząc to sejm postanowił sformować jeszcze po jednym pułku z każdego województwa i jeden pułk z Warszawy. Ponieważ jednak trzy województwa były całkowicie zajęte przez Rosyan, więc można było uformować tylko pięć pułków, a i te z powodu lichego prowadzenia téj sprawy nie mogły wyjść w pole. Modlin szybko umocniono, do 90 dział postawiono na jego szańcach. Garnizon składał się

z 5,000 ludzi. Komendantem był bardzo energiczny oficer Ig. Ledóchowski. Pod zasłoną téj twierdzy zbiérała się część wojsk, które się cofnęły z pod Ostrołęki. Ale niepowodzenie Skrzyneckiego i jego błędy były tak widocze, że przeciwnikom nastręczały dostateczny materyał do licznych zarzutów. Krukowiecki, oddawna nienawidzący Skrzyneckiego, siał niechęć przeciw niemu tak w towarzystwie, jak w narodzie, głośno z niego szydząc. Odmawiał nawet spełnienia rozkazów (przysłania kilku armat z Pragi do Modlina). Skrzynecki wystąpił przeciw Krukowieckiemu i sprawił, że mu odebrano gubernatorstwo Warszawy, chociaż nie udało się Skrzyneckiemu oddać pod sąd Krukowieckiego, który do końca już nie przestał intrygować. Prądzyński téż chory i zgorzkniały ułożył memoryał, w którym sprawiedliwie ale ostro sądził działalność naczelnego wodza. Niemojewski chciał, by sejm ten memoryał przyłączył do urzędowych dokumentów, ale Prądzyński, który przy wielkim wojskowym talencie słabego był charakteru, nie doprowadził rzeczy do końca z obawy, że go o osobistą ambicyę posądzić mogą. Więc przyjaciele Skrzyneckiego, głównie koło arystokratyczne, starali się umocnić jego stanowisko na czele armii. W d. 1 czerwca obie izby, „idąc za przykładem senatu rzymskiego po klęsce pod Kannami,“ postanowiły przedstawić głównodowodzącemu adres dziękczynny. Przyjmując z tego powodu uroczystą deputacyę, Skrzynecki między innemi wyraził życzenie: by formy rządu zostały zmienione, bo rząd dzisiejszy mało posiada siły i powagi, może dla zbyt wielkiéj liczby osób składających go. To żądanie wywołało w d. 2 czerwca w sejmie wielką burzę, gorączkowo téż zajęło się niém towarzystwo warszawskie. Komisya jednak sejmowa przedstawiła projekt do prawa, by rząd skupiony był w rękach „sztathaltera“, przy którym istniałby z głosem doradczym komitet rządowy, złożony z ministrów i sześciu dodanych członków. Głównodowodzący był od zarządu krajem usunięty. Po zaciętych rozprawach projekt ten został odrzucony większością 42 przeciw 35 głosom i wszystko zostało po dawnemu. Na chwilę Warszawa nawet o wojnie zapomniała, co Skrzyneckiemu było na rękę, ale tak on, jak jego protektor ks. Adam Czartoryski, z powodu tego wniosku utracili nie mało z swéj popularności.

W armii ruskiéj po śmierci Dybicza naczelne dowództwo sprawował gen. Toll, bo tak chciało postanowienie „o zarządzie wielkiéj armii czynnéj“; sądzono nawet powszechnie, że się Toll na tém stanowisku utrzyma, mianowany jednak został głównie dowodzącym hr. Paskiewicz. Toll sądząc, że Polacy będą chcieli korzystać z śmierci Dybicza i że uderzą, w jakim punkcie na wojska rosyjskie, przygoto-

wał się zaraz odpowiednio. Skrzynecki nie marzył nawet o żadném działaniu zaczepném. Prądzyński twierdzi, że naczelnego wodza przerażał wszelki projekt bitwy zaczepnéj, każdemu odpowiadał, że wojska nie chcą się bić i powoływał się na Ostrołękę. Poróżniwszy się z Prądzyńskim, szefem sztabu zrobił Tomasza Łubieńskiego, człowieka znającego sprawy wojenne, pracowitego, ale uznającego wyższość talentu Prądzyńskiego, u którego z tego powodu ciągle rady zasięgał. Łubieński użył wszelkich środków, by zaprowadzić w armii porządek i podnieść upadłą karność. Oficerowie zwłaszcza zanadto politykowali i dzielili na stronnictwa. Armia po dawnemu dzieliła się na pięć dywizyi piechoty: 1-a Rybiński, 3-cia Małachowski, 4-ta Milberg, 5-ta Sierawski. Dywizya 2-ga była z Giełgudem na Litwie. Jazda dzieliła się na trzy dywizye: 1 Jagmina, 2 Turny, 3 Kaz. Skarzyńskiego. Artyleryę nieco powiększono świéżo odlanemi działami. Nie licząc oddziałów Giełguda, Chrzanowskiego, Ramorina i garnizonów, owe cztery dywizye piechoty, trzy jazdy etc., czyli główne siły dochodziły znowu do 40,000 ludzi.

W tym peryodzie wojny jedynym ważniejszym wypadkiem była wyprawa na gen. Rüdigera, która się Polakom najzupełniéj nie powiodła. Prądzyński nie przestawał dowodzić, że każdy dzień stracony pogorsza już i tak złe położenie Polaków, że dla zmniejszenia niebezpieczeństw, grożących Giełgudowi na Litwie, dla przeszkodzenia przygotowanéj przez Rosyan przeprawie na dolnéj Wiśle, należałoby wystąpić przeciw Kreutzowi lub Rüdigerowi, jeżeli już Skrzynecki obawia się zaczepić głównéj armii ruskiéj. Do działań przeciw Rüdigerowi miano Chrzanowskiego z 5,000 wojsk w Zamościu, Ramorina z takąż siłą na górnéj Wiśle, należałoby uderzyć na generała ruskiego z frontu i obejść go z prawego skrzydła przez Kock i Łęcznę. W razie powodzenia obszerne południowe powiaty, zasłaniane tylko przez słabe oddziały Kajsarowa i Rotha, były otwarte. Po długich naradach i usiłowaniach Łubieńskiego, Skrzynecki nareszcie postanowił wyjść z bezczynności. Gen. Puzyrewski bardzo szczegółowo podaje działania téj wyprawy, która się skończyła bitwą pod Łysobykami 7 (19 czerwca), a w sądzie swym krytycznym powiada (p. 312): „Działania te noszą na sobie téż same cechy, co prawie wszystkie przedsięwzięcia Skrzyneckiego, odznaczają się również brakiem ścisłego oznaczenia celu w ogólnych zarysach, a brakiem stanowczości w wykonaniu. Jeżeli pragnął wzmocnić Chrzanowskiego, by go wysłać na Wołyń, albo tylko dlatego, by rozbić Rüdigera, na cóż wysyłał Rybińskiego ku Siedlcom, występował ku Siennicy, co mogło skłonić armię ruską do wystąpienia z jéj stanowisk. Kierunek wskazany

Jankowskiemu był niewłaściwy, lepiéj było posłać go lewym brzegiem Wisły do Kazimierza nawet Józefowa, by w ten sposób okryć zamiary i ułatwić związek z Chrzanowskim. Jeżeli zaś przyjęto ruch na Siedlce i do Kocka, pocóż odciągnięto Jankowskiego, który w tym czasie winien był przeprawić się przez Wieprz, zatém był bezpiecznym od głównych sił ruskich, dla powstrzymania których, osłaniając się twierdzami i rzekami, wystarczały wojska w Siedlcach i Siennicy. W każdym razie możność ruchu armii ruskiéj ku Pradze, powinna była być wziętą na uwagę przed rozpoczęciem działań, ale Skrzyneckiemu doniesiono o przygotowaniach (przeprawy) koło Serocka, więc stracił głowę jak pod Ostrołęką i wydał cały szereg niedorzecznych rozporządzeń. Co do bitwy pod Budziskami (albo Łysobykami) 7 (19) czerwca, to bitwa łatwo mogłaby była wziąć całkiem odmienny obrót, gdyby Jankowski wysunął Bukowskiego do Charlejowa, sam z resztą wojsk poszedł prosto na Przytoczno i ściągnął tam pułk 9-ty z Kocka. Będąc znacznie silniejszym od Rüdiegiera, zwłaszcza pod względem piechoty, mógłby był postawić przeciwnika w bardzo niebezpieczném położeniu. Jeżeli Jankowski nie pojmował znaczenia podobnego manewru, to już zrozumiéć niepodobna, dlaczego nie wsparł Turny, który sześciogodzinny bój wytrzymał. Działania Ramorina także żadnéj nie wytrzymują krytyki, który bezrozumném kręceniem się po okolicy, co on uważał za bardzo głębokie strategiczne pomysły, stracił czas, a nieobecnością swą zbawił Rüdigera. Tchórzliwe odstąpienie Jankowskiego objaśnia się nie tyle rozkazami, bo zaufany adjutant Skrzyneckiego, który te rozkazy przywiózł, znając dokładnie ogólne położenie, nakłaniał go usilnie, by na Rüdigera uderzył, ile chwiejnością Jankowskiego i jego nieudolnością do większych samodzielnych wystąpień. Sam Jankowski przyznawał się do téj nieudolności i wymawiał się od wyższych obowiązków, ale na skutek nalegań Skrzyneckiego przyjąć je musiał. Działania Chrzanowskiego, jak zawsze, odznaczały się przenikliwością, trafnym poglądem wojennym i energią w wykonaniu.“

Wypadki te i niepowodzenia, wywołały w Warszawie wielkie niezadowolenie przeciw Skrzyneckiemu i Jankowskiemu. Sejm zalecił naczelnemu wodzowi, by oddał pod sąd generałów, z których działania był niezadowolony. To polecenie było bardzo nieprzyjemném dla Skrzyneckiego, musiał jednak tak Jankowskiemu, jak Bukowskiemu, odebrać dowództwa.

W d. 13 (26) czerwca przez Memel i Łomżę, przybył do Pułtuska nowy głównodowodzący armią ruską feldmarszałek hrabia Paskiewicz Erywański. Gen. Puzyrewski taki jego kreśli portret: „Otoczony

on był jeszcze blaskiem świéżo zdobytéj sławy na polach Azyi Mniejszéj. Pomyślne i świetne zakończenie wojny z źle uzbrojonemi, z źle wyćwiczonemi, i źle dowodzonemi wojskami i azyatyckiemi bandami, wyniosło go jako wodza. Jan, syn Teodora, Paskiewicz pochodził z rodu Czałych (nazwisko jego zresztą nie ma nic wspólnego z polsko-litewską rodziną Paskiewiczów), ur. w 1782 r. w Połtawie; wychowywał się w korpusie paziów, a w 1800 r. wstąpił do Preobrażeńskiego pułku lejbgwardyi, otrzymawszy rangę fligeladjutanta. Wojny prowadzone za Aleksandra I-go dały mu sposobność do złożenia dowodów niepośledniego męstwa osobistego, przytém wykazał jego spryt i nieustraszoność w wykonywaniu powierzonych mu osobnych poleceń, jak np. w wojnie tureckiéj od 1806—1811 r. W 1812 r. dowodził on już osobną 26-tą dywizyą, odznaczył się pod Sołtanówką, Smoleńskiem, Borodinem i Małojarosławcem. Ze sławą dowodził pod Lipskiem korpusem 7-ym. Następnie dowodził dywizyami gwardyi 2-gą, 1-szą i korpusem 1-ym. Wysłany na Kaukaz za czasów Jermołowa, Paskiewicz rozbił Persów pod Jelizawetpolem (1826 r.), następnego zaś roku zrobiono go dowódzcą wojsk zakaukaukaskich, z prawami głównodowodzącego. W następnéj wojnie perskiéj znowu się odznaczył, wziął oblężeniem Erywań (1827 r.). W tureckiéj wojnie (1828 r.) wziął szturmem Kars, następnie Achałcyk i Achałkałaki, a w 1829 r. Erzerum, za co otrzymał order Św. Jerzego klasy pierwszéj. Brandt (generał pruski), który widział Paskiewicza w końcu kampanii polskiéj, pisze (w swych pamiętnikach), że ruchy jego cechował jakiś niepokój, że zresztą w zewnętrznym wyglądzie nie miał nic odznaczającego. Przybywszy do Polski, bardzo dbał o zachowanie poprzednio zdobytéj reputacyi, stąd jego usposobienie do zbytecznych ostrożności w działaniach; oprócz tego, nie znał on dokładnie stanu ani ruskiéj, ani polskiéj armii. W téj ostatniéj zawsze jeszcze gotów on był widzieć bohatérów bitwy grochowskiéj, jakkolwiek tak ta bitwa, jak i ostrołęcka, pozbawiła tę armię najlepszych jéj żywiołów, pozostała zaś armia składała się głównie z źle wyuczonych i mało do karności włożonych rekrutów; przygniatające wrażenia bitwy ostrołęckiéj jeszcze zbyt oddziaływały; w rządzie i w społeczeństwie zaczęły się ostre kłótnie stronnicze, a kraj był wyczerpany. Przeciwnie, w téj epoce wojny armia ruska składała się z zahartowanych w bojach weteranów, dumna była z odniesionego niedawno zwycięstwa, dobrze przytém zaopatrzona, gotową była zupełnie do działań stanowczych. Obok tego, Paskiewicz z powodu podejrzliwości charakteru wszędzie dopatrywał błędy, objawiał niedowierzanie tak względem osób otaczających go, przypuszczając w tych ostatnich (zwłaszcza ze sztabu fm. Dybicza)

z góry powziętą przeciw niemu niechęć. Mało przedsiębierczy, chociaż bardzo uparty w raz powziętém postanowieniu, z pewną lękliwością odrzucał wszystkie śmiałe wystąpienia i z tego powodu ciągłe miewał spory z Tollem, uczniem Suworowa, zawsze energicznym i stanowczym. Zasadą Paskiewicza było trzymać zawsze wojska w skupieniach, nie w celu zadania stanowczego ciosu przeciwnikowi, ale tylko, by, będąc zawsze gotowym, odeprzeć wszelką przypadłość, rzeczy ich własnemu biegowi zostawiając. Dziwnie naśladując Napoleona, zawsze powtarzał: „Potrzeba zadać wielki cios a w dzień bitwy wszystko co można“, a pomimo tego niech tylko małoznaczący oddział nieprzyjacielski pokazał się gdziebądź na skrzydle, lub z tyłu, feldmarszałek objawiał wielką obawę, przedsiębiorąc cały szereg niepotrzebnych środków i wstrzymując ogólne operacye. Swoje azyatyckie wojny z 1828 i 1829 r. uważał on za szczyt sztuki wojennéj, a zasady tam stosowane usiłował stosować na europejskim teatrze wojny... Wogóle można powiedzieć, że Paskiewicz, będący osobiście bardzo walecznym i rozgarniętym w roli drugorzędnego dowódzcy, nie posiadał zalet znakomitego wodza. Nie posiadał téż daru słowa, ani sztuki wywierania swoją osobistością wpływu na wojska; bezgraniczny egoizm i niezmierna zarozumiałość, takie cechy charakteru, których nie można pominąć milczeniem. Sprawiedliwość dodać każe, iż feldmarszałek posiadał nieposlednie zdolności w dziale intendentury, a w sprawie opatrzenia wojsk w żywność złożył dowody tak sztuki, jak przewidywania i troskliwości (p. 354).

Wedle raz przyjętego systemu, nakreśliwszy rozstawienie wojsk z odpowiednią szczegółowością, gen. Puzyrewski siłę wszystkich wojsk na całym teatrze wojny, oddanych pod dowództwo feldmarszałka Paskiewicza, podaje na 158½ batalion., 240 szwadronów, 116 secin kozaków, 674 dział, razem 137,000 ludzi, wtém 42,000 jazdy. Siłę wojsk polskich tak oblicza: 1-a dywizya Rybińskiego 15 bat., 16 dział, razem do 8,000 ludzi, stała w Wielkiém Dembem, 2-a pod Pragą takiejże siły dywizya Małachowskiego i 18 dział rezerwy artyleryi, 3-a pod Warszawą, 4-a dywizya piechoty, Małachowskiego 13 bat., 14 dywizyi, wszystkiego 7,880, 4-a Sierawskiego dyw. 5-ta bat. 12, d. 20, ludzi 6420. Dwie dywizye jazdy Jagmina i Turny po 20 szw. i 8 dział, razem do 5,800 i dywizya jazdy K. Skarzyńskiego 23 szw., 12 dział, razem 3,080. Wszystkiego razem pod Warszawą do 40,000 ludzi i blisko 100 dział. Pod Potyczą stał kurpus Ramorina 9 bat., 10 dział i 10 szwad., 6,300; pod Gniewoszowem korpus Chrzanowskiego 8 bat., 9 szw., 12 dział, 5,800. Oddział Bielińskiego 1,750 ludzi (3 bat., 4 szw., 12 d.) zajmował Radzymin. Na Litwie jeszcze wówczas znajdowali się Giełgud, Chłapowski i Dembiński około 17,000 ludzi, 24 dz.

Ogólna siła czynnéj armii polskiéj pod dowództwem Skrzyneckiego, dochodziła do 53,000, w tém 12,000 jazdy i 142 dział. Garnizon Warszawy 240, Modlina 5,800, Zamościa 2,900.

Ruch armii ruskiéj ku dolnéj Wiśle rozpoczął się 22 czerwca (4 lipca); 26 czerwca (8 lipca) armia zajęła Płock, ztamtąd ruszyła do Osieka, gdzie armia przeszła po moście szybko zbudowanym, bo materyały były dawno przygotowane, przez sześć dni z przerwami 4/16, 6/18, 8/20 lipca przeszło na lewy brzeg 54,000 ludzi z 318 działami, wkrótce jednak mieli nadciągnąć Gagarin z trzema pułkami jazdy i Gerstenzweig w 6,000 ludzi w Nieszawie zatrzymano się do 15/27 lipca, dla przygotowania żywności i czekając na posiłki, i tego dnia rozpoczęto ruch w kierunku Warszawy. Środki zarządzone przez Skrzyneckiego w lipcu były mało znaczące; nie umiano ani zagrozić flankowemu marszowi armii ruskiéj, nie pomyślano nawet o obronie przeprawy. „Jednakże, pisze gen. Puzyrewski (p. 360), Skrzynecki mógł zebrać do 50,000 ludzi i broniąc przeprawy zrobić położenie armii ruskiéj bardzo trudnem. Gdy raz armia ruska przeszła rzekę, Polacy powinni byli korzystać z innych pozycyi na jéj lewym brzegu, oraz stanowisk takich, jak Modlin, Płońsk i t. p. Tak mogli oni zająć silną pozycyę pod Gostyninem, wzmocnić ją szańcami, urządzić most pod Płockiem i przewiozłszy wszystkie wojenne zapasy do Modlina, zatrzymywać jedną częścią wojsk Paskiewicza, drugą zaś na prawym brzegu Wisły działać przeciw Gerstenzweigowi i Kreutzowi. Skrzynecki jednak nie wychodził z swego stanu letargicznego. Teraz każdy już widział, że nie Skrzynecki był twórcą tych planów, które Polakom z początku zapewniały zwycięstwa. Od chwili jak Skrzynecki pokłócił się z Prądzyńskim, nicość tego wodza wystąpiła na jaw z najzupełniejszą jasnością".

Feldmarszałek nie śpieszył się jednak, dopiéro 15 (27) lipca ruszył naprzód, obawiając się co chwila ataku ze strony Polaków w d. 18 (30) lipca, armia przybyła do Gombina bez przeszkody, przednia straż do Osmolina, lewa kolumna do Radziwia. Tam dano wojskom dzień wypoczynku, ów trzechdniowy marsz był bardzo ciężki z powodu ulewnego deszczu. Patrole straży przedniéj skrzydła prawego, dowiedziawszy się, że niezmiernie ważny punkt Łowicz nie jest zajęty przez wojska polskie, zajęły to miasto natychmiast, a 20 lipca (1 sierpnia) już tam stał gen. Murawiew z 4-ma pułkami piechoty, 6 szwadronami, 10 działami. Cała armia tego dnia posunęła się naprzód, feldmarszałek stanął w Kiernozi. 21 lipca (2 sierpnia) przednia straż głównéj armii zajęła Łowicz, odległy od punktu przeprawy na 130 wiorst; zatém w dwa tygodnie po przejściu rzeki, tegoż dnia kozacy

stali w Arkadyi i Nieborowie. Przeszkód nie stawiano żadnych; nie można bowiem za przeszkody uważać drobnych strzelanin na skrzydłach. W d. 21 lipca (2 sierpnia) feldmarszałek dowiedział się od niemieckiego kolonisty, że Skrzynecki z całą swą armią przybył z Błonia do Sochaczewa.

Gdy armia ruska szła ku przeprawie przez Wisłę pod Osiekiem, armia polska w całkiem przeciwnéj stronie probowała podejść korpus ruski Gołowina, zasłaniający drogę do Siedlec, w d. 2 (14 lipca przyszło do starcia pod Kałuszynem. Gołowin stracił 1,100 ludzi wybyłych z frontu, ale się cofnął na Siedlce i zajął dawną swą pozycyę na Muchawcu. Skrzynecki, który przybył z Warszawy, gdyż mu coraz natarczywiéj jego bezczynność wyrzucano, miał 8 (20) lipca ruszyć za Gołowinem na Siedlce; oddziały Ramorina i Chrzanowskiego tegoż dnia połączyły się w Stoczku, ale Gołowin się wywinął i cała ta całkiem niewłaściwa operacya skończyła się na niczém. Po téj próbie w połowie lipca armia polska była zupełnie rozrzucona. Oddzielny korpus Chrzanowskiego, liczący do 20,000 stał w Siedlcach, Milberg i Turno w 11,000 koło Płocka, Kaz. Skarzyński z dywizyą jazdy w Sochaczewie, Amb. Skarzyński z brygadą jazdy w Pułtusku; dywizye Sierawskiego i Małachowskiego w Modlinie i w Warszawie. Po przejściu Wisły przez armię ruską, rząd polski rozkazał naczelnemu wodzowi, by z korpusem Chrzanowskiego wrócił do Warszawy i zasłaniał ją przed dalszém posuwaniem się nieprzyjaciela. Skrzynecki wrócił do Warszawy i Chrzanowskiemu wydał rozkaz powrotu, ale potém rozkaz ten zmienił, posłał go do Białéj, polecając dostawić 20,000 korcy zboża. Niezadowolenie powszechne z powodu bezczynności Skrzyneckiego było tak wielkie, iż rząd naznaczył rodzaj sądu, który jednak zmienił się w radę wojenną, która postanowiła stoczyć bitwę za nim armii ruskiéj nadejdą posiłki z Litwy. Rozesłano rozkazy do wojsk polskich rozrzuconych po kraju a wyżéj wymienionych, by się zbierały pod Sochaczew. Skrzynecki do 30 lipca bawił w Warszawie i dopiéro po przybyciu Chrzanowskiego razem z nim do obozu wyjechał. Zebrano jeszcze, jak podaje gen. Puzyrewski, 61 batalionów, 81 szwadronów, 142 dział, razem około 50,000. Naprzeciw téj armii stała pod Łowiczem ruska w sile 61 batalionów, 103 szwadr., 196 dział polowych i 122 dział rezerwy artyleryi, razem 51,000. W szeregach ruskich wojsk znajdowało się 16,000 grenadyerów, 18,000 gwardyi, wszystko pułki wybrane z starych żołnierzy złożone, polskie zaś pułki, które po trzy, a nawet po cztery razy na nowo kompletowano, składały się z licho wyćwiczonych rekrutów. Skrzynecki lękał się atakować, by nie zostać odciętym od Warszawy; przy dłuższém

jednak przebywaniu pod Sochaczewem mógłby być także odciętym, wojska ruskie bowiem mogły pójść na Warszawę krótszą drogą przez Bolimów. Postanowiono więc cofnąć się i zająć pozycyę pod Bolimowem za rzeką Rawką. Rybińskiego z dywizyą zostawiono pod Sochaczewem dla osłaniania ujść Bzury.

Tak stały armie naprzeciw siebie do połowy sierpnia. Feldm. Paskiewicz miał na lewym brzegu Wisły 61,000 ludzi z 344 działami i oczekiwał na posiłki. Z Łomży prowadził mu Kreutz swój korpus 21,000 ludzi i 90 dział. Rozen, który wrócił do Brześcia po bezskutecznéj wyprawie przeciw Dembińskiemu, miał 16,000 ludzi i 106 dział, jego przednią straż stanowił Gołowin w Siedlcach w 4,000 ludzi. Rüdiger tylko co przeprawił się na lewy brzeg Wisły pod Józefowem, mając do 16,000 ludzi z 56 dział, z tego 3,500 zostawił dla strzeżenia województwa lubelskiego. Wogóle wojska pod dowództwem Paskiewicza w owéj chwili liczyły 117,000 z 596 dz. a oprócz tego Kajsarow w 12,000 blokował Zamość.

Siłę wojsk polskich regularnych w sierpniu gen. Puzyrewski podaje na 80,000. Z tego w okolicy Bolimowa i Sochaczewa stało 49,700 z 143 dział (w tém 11,000 jazdy) w Warszawie trzymano do 12,000, ale połowa nie miała broni, garnizony Modlina i Zamościa 10,000, w województwie Sandomirskiém w oddziałach Szeptyckiego, Kolankowskiego i w rezerwach jazdy Stryjeńskiego do 6,000, tamże posłany był Różycki w 2,500 ludzi.

Feldm. Paskiewicz kazał szańcami otoczyć Łowicz. Działania Rüdigera przeciw Różyckiemu zajmują bardzo poczesne miejsca, w téj chwili kampani: autor obu generałom nie szczędzi uznania.

Rozdział XIV i ostatni obejmuje szturm i kapitulacyę Warszawy, oraz końcowe działania tak głównych i oddzielnych korpusów. Już w dniu 9 sierpnia odebrano Skrzyneckiemu dowództwo naczelne. Sejm wysłał do Bolimowa pełnomocną komisyę, złożoną z posłów i senatorów, komisya zwołała radę wojenną, do któréj wezwano nawet pewną liczbę niższych oficerów z najbliższych biwaków. Chrzanowski opowiada, że ten sposób postępowania zadał ostatni cios karności armii. Na radzie wszyscy obwiniali Skrzyneckiego o zbytnią ostrożność, unikanie bitwy i ściągającego ją aż pod mury Warszawy. Komisya odebrała dowództwo Skrzyneckiemu i powierzyła czasowo Dembińskiemu, który projektował na wodza Prądzyńskiego, ten jeden odmówił. Skrzynecki oświadczył, że gotów jest dowodzić rezerwą. Prądzyński przedstawił nowemu wodzowi plan bardzo śmiały i ryzykowny uderzenia na Paskiewicza z lewego skrzydła, dowodząc, że trzeba ryzykować wszystko, by wygrać. Dembiński po naradzie

z Chrzanowskim i Skrzyneckim plan ten odrzucił. Ułożono plan inny. Ramorino miał wyprzéć Rosyan z Nieborowa i atakować ich prawe skrzydło z dalszemi kombinacyami, ale i ten plan odłożono. Dembiński przedstawił swój własny, według którego armię należało rozdzielić na dwie części, jedna zatrzymywałaby Rosyan pod Warszawą, druga z 30,000 ludzi ruszyłaby przez Brześć na Litwę, rozbiwszy wprzód Rozena, następnie i innych. Plan ten zbyt fantastyczny zyskał jednak początek uznania. W nocy z 14 na 15 sierpnia wojska otrzymały rozkaz cofnięcia się z Bolimowa do Szymanowa, tabory wcześniéj jeszcze wyprawiono do Warszawy. W dniu 15 sierpnia zaszły jednak zaburzenia w Warszawie, skutkiem których ks. Czartoryski, Lelewel, Niemojewski i inni członkowie rządu narodowego podali się do dymisyi. Sejm mianował prezesem rządu gen. Krukowieckiego, dając mu władzę mianowania i odwoływania wodzów naczelnych. Chrzanowski został gubernatorem Warszawy, Dembiński utrzymany, bo wzywany Prądzyński nie dowierzał Krukowieckiemu. Gen. Puzyrewski zarzuca feldm. Paskiewiczowi, że za dużo czasu stracił w Łowiczu, z czego przeciwnik mógł skorzystać, wzmacniając obronę. Ale na skutek fantazyi Dembińskiego o przeniesienie wojny do Brześcia i nad Szczarę wysłano Ramorina przeciw Rozenowi. Autor szczegółowo te działanie opisuje i rozbiéra, wykazując błędy Ramorina, który posuwając się za Rozenem ku Brześciowi, oddalał się od Warszawy na 180 wiorst, to jest na sześć marszów.

W owéj chwili armia ruska w sile 70,000 (w tém 14,000 jazdy) z 360 działami przez Nadarzyn postępowała pod Warszawę, dla obrony któréj miano wojska 35,000 ludzi. Opisując fortyfikacye Warszawy obejmujące linię długości 19 wiorst, dla obrony któréj potrzebaby miéć 60,000 wojska (Mierosławski utrzymuje dla saméj obrony biernéj potrzebaby miéć 90,000 i 600 dział), gen. Puzyrewski zaznacza (p. 401) „że nie ma w świecie miasta tak trudnego do obrony, jak Warszawa" i dodaje, że o wewnętrznéj obronie (barykady i t. p.) na prawdę mowy być nie mogło. Obszar Warszawy w 1831 był prawie taki sam jak dziś objęty starym wałem miejskim, ludność na tym obszarze zamieszkała w 1829 na 1830 wynosiła tylko 139,654 głów (108,309 chrześcian, 30,943 żydów), a w 1832 zmniejszyła się po wojnie i z powodu jéj następstw do 123,535. Opis obustronnych przygotowań do obrony i do dwudniowego szturmu Warszawy (7 i 8 września), opis tego szturmu bardzo szczegółowy, zajmuje dwadzieścia stronic dzieła, do którego odesłać musimy, zaznaczywszy tylko, że były to znowu dnie dla obu stron bardzo krwawe. Rosyanie stracili w zabitych i rannych przeszło 10,500 ludzi (w téj liczbie 523 oficerów, Polacy do

11,000 (211 oficerów), armia polska wyszła na Pragę i cofnęła się na Modlin, na mocy kapitulacyi; liczyła na Pradze tylko 23,000. Gen. Puzyrewski starannéj krytyce poddaje obronę i szturm Warszawy.

Koniec dzieła stanowią działania wojsk ruskich przeciw resztkom wojsk polskich, cofającym się ku granicom państw sąsiednich. 1-o Działanie przeciw korpusowi Ramorina, który 17 września wparty został do Galicyi pod Chwałowicami, siłę tego korpusu przy wejściu do Galicyi podaje autor na 15,000 ludzi z 40 działami; 2-o działania Rüdigera przeciw Różyckiemu, wparcie w granice wolnego miasta Krakowa i zajęcie Krakowa przez wojska ruskie 27 września; 3-o wparcie głównych sił armii polskiéj, prowadzonych przez Rybińskiego do Prus, co nastąpiło dopiéro 23 września (5 października) 1831 i stanowiło koniec wojny. Według dokumentu XXXVIII (tom 2), wojska, które pod gen. Rybińskim weszły do Prus, liczyły 25 batalionów, 52 szwadronów, 95 dział, 1,393 oficerów, 18,823 szeregowych, razem ludzi 20,891, koni 9,284 (w tém 2,655 oficerskich, 1,986 artyleryjskich, 4,020 kawaleryjskich i 623 pociągowych).

Na tém zakończyć musimy nasze bardzo pobieżne sprawozdanie o tém nader cenném dla badaczy dziejów i źródłowém dziele gen. Puzyrewskiego. Staraliśmy się, o ile w szczupłych ramach było to możebném, dać wyobrażenie metody i sposobu traktowania rzeczy przez autora, który wogóle do końca wierny pozostał celom i założeniom, jakie sobie w przedmowie naznaczył. Pierwsza edycya tego dzieła jakkolwiek skrócona, wyszła także w tłómaczeniu polskiém w Warszawie (wydanie „Przeglądu Tygodniowego“) i bardzo prędko rozkupiona została. Słyszeliśmy, że jeden z większych naszych wydawców nosi się z myślą tłómaczenia niniejszéj drugiéj edycyi, znacznie powiększonéj i uzupełnionéj. Jeżeli wiadomość ta jest prawdziwa, jeżeli do owego tłómaczenia przyjdzie, a przedsięwzięcie podobne uważamy i za pożyteczne dla ogółu i za korzystne dla wydawcy, radzilibyśmy nie robić skróceń. Co najwięcéj możnaby usunąć część znaczną tabelarycznych wykazów z tomu II. Plany téż przynajmniéj ważniejszych bitew i ruchów musiałyby być dodane. Przedewszystkiem nie można pomijać memoryału Prądzyńskiego (*Mémoire etc.*), który jest i pozostanie jednym z najważniejszych bezpośrednich dokumentów do historyi tych wypadków.

J. Kenig.





ASCETKA.

I.

Z szelestem grubego płótna rozchyliła się na dwie strony biała zasłona i odsłoniła ogromną, żelazną kratę, rozdzielającą prezbiteryum kościelne od klasztornego chóru. Wtedy, organy rzuciły z wysoka wielką falę głębokich tonów, ołtarz zagorzał w olśniewającém świetle i u jego stopni wybuchnął potężny śpiew kleru, towarzyszącego wspaniałéj celebrze biskupa.

Boże, ku wspomożeniu memu wejrzyj,
Panie, ku ratunkowi memu pośpiesz się.

Z coraz głębszą i coraz przenikliwszemi tonami napojoną grą organów, we wzrastającém świetle, w migotliwych błyskach złoceń, okrywających smukłe kolumny ołtarza, złotem i srebrem naszytych kap, infuły, pastorału i podnoszonych, to opuszczanych ksiąg w drogocennych oprawach; w tłumnych ruchach białych komży, barwnie haftowanych stuł, aksamitnych biretów, szkarłatnych peleryn, a daléj, spiętrzonych i wzajem zasłaniających się, to odsłaniających odkrytych głów męzkich i wstęg, piór, woalów, szerokich skrzydeł kapeluszy na kobiécych głowach;—w pierwszych kłębach dymu i jałowcowéj woni, wybuchających z rozkołysanych i w pozłoconém powietrzu rytmicznie pobrzękujących srebrnych kadzielnic, — z téj i tamtéj strony kraty brzmiały ogromne, tryumfalne chóry:

— Chwała tobie, o Trójco, jedyne i równe bóstwo, teraz i przez nieskończone wieki wieków!

Od kilku szerokich wschodów, rozdzielających kratę od posadzki, kunsztownie z drogocennego drzewa ułożonéj, aż ku najdalszéj głę-

bi bardzo wysokiéj i długiéj sali, gdzie w głębokiéj niszy róże i lampy otaczały ze srebra ulany posąg świętéj patronki klasztoru, zakonnice stały dwoma z rzadka rozproszonemi szeregami, więcéj niż połową ciał wyrastające z nad ciemnych ławek, w czarnych sukniach, ostro przerzniętych złotemi liniami krzyży u piersi i śnieżną białością płócien, opasujących czoła i szyje. Na białe płótna zarzucone, czarne welony z głów ich spływały poniżéj skórzanych pasów i zwisających u nich różańców, a spuszczonemi rąbkami ukrywały twarze, aż po rozmodlone i w śpiewie rozwarte usta.

U góry, prawie w zupełnym mroku, niewyraźnie majaczyły śpiczaste linie sklepień i zarysy wysmukłych okien, z zewnątrz ciemnością wieczoru okrytych. U dołu, z pośrodku sali wyrastał olbrzymi świecznik, niby mistyczne drzewo, podnoszący wysoko symbol wiecznéj i ani na chwilę nie mającéj ustawać adoracyi: — ani na chwilę od wieków nie gasnący płomień ogromnéj świécy. U dołu także, przy saméj ziemi, u samych stóp wyniesionych nieco nad poziom ławek, bielały dwa rzędy lekkich woalów, przysłaniających setkę dziecinnych i dziewczęcych głów.

Od ciemnych poręczy wzdłuż ławek biegnących, ostro odrzynały się szeregi splecionych, białych rąk zakonnic, które teraz, z kolei, jedne po drugich rozplatały się i sięgały po zapaloną świécę, podawaną im przez równie białą, z czarnych zwojów habitu wyłaniającą się rękę. W habitach, które od skórzanego pasa długą i ciężką falą opadały za niemi na żółte kwadraty posadzki, dwie postacie smukłe, ciche, ze złotemi krzyżami na piersiach, z twarzami aż po zamknięte usta, zasłoniętemi rąbkami welonów, bez najlżejszego szelestu sunęły wzdłuż dwu szeregów ławek i z pęków świéc na ramieniu niesionych, a woskową żółtością wśród czerni habitów płonących, jedną po drugiéj zapalały i podawały wyciągającym się ku nim z nad ciemnéj poręczy rękom. Teraz, dwa rzędy płomyków, wydłużające się coraz, podobnemi stawały się do strumieni świateł, niecierpliwie dążących ku temu ich morzu, w którém nurzał się ołtarz. Lecz nagle, pochód jednego z nich ustaje, jedna z par rąk na poręczy ławek opartych nie rozplata się i po świécę jéj podawaną nie sięga. Podająca czeka chwilę i cicho z pod rąbka welonu szepce:

— Siostro Mechtyldo!

— Będę cię wyznawał wszystkiém sercem mojém!...—po chwilowéj ciszy wybuchają z dwu stron kraty, dwa potężne chóry i organy z wysokości rzucają pełne, długie akordy.

Siostra Mechtylda nie śpiéwa, głowę nisko ma pochyloną i silnie splecione ręce, a blade jéj usta powoli poruszają się w szepcie.

— Panie, dlaczegoś mnie opuścił? Chryste, czy łask twoich godną być przestałam?

— Wielkie są sprawy Pańskie... — śpiéwają dwa chóry głosów i wtórzą im drżące tryle organów.

Ramię z ciężką świécą, długo już wyciągnięte, drżéć zaczyna.

— Siostro Mechtyldo!

Ona nie słyszy, nie podnosi głowy i rąk nie rozplata, a pomimo nieruchomości postaci niezgłębiony smutek wieje z powolnego jéj szeptu.

— Dusza moja zagasła i od ognia, w którym płonęła odsunięta, drży z zimna i trwogi.

Po szczupłych jéj ramionach przebiega lekkie drżenie, głowa niżéj jeszcze opada i końce cienkich, splecionych palców głęboko wpijają się w liliowe żyły, przebiegające białą i przezroczystą, jak płatek lilii, skórę rąk.

W pochodzie swoim powstrzymana i pochód świateł, ku ognisku ich zatrzymująca zakonnica dziwi się: „Co jéj się stało? Co stało się téj najświętobliwszéj, téj najhojniéj łaską Pana udarowanéj siostrze zakonnéj, téj najgorliwszéj z pańskich służebnic? I głosu swojego ze śpiewem sióstr nie łączy, i jednego z obrządków wielkiego dziś nabożeństwa spełnić nie śpieszy! Może doświadcza jednéj z tych świętych wizyi, któremi ją, ją jedną z pomiędzy sióstr Pan niekiedy nawiedzać raczy? może jéj dusza wnet, wnet przez blade usta, krwawym płomykiem uleci i w tém ognisku światła, które za kratą ołtarz oblewa, utonie?“ Pełna pokory wobec duchowéj wyższości téj siostry, zakonnica z pękiem żółtych świéc na ramieniu, a jedną zapaloną w ręku, chwilę jeszcze stoi i czeka, aż nieśmiałym ruchem habita jéj dotyka i znowu szepce:

— Siostro Mechtyldo!

Nakoniec usłyszała i nie podnosząc głowy, ruchem istoty w śnie pogrążonéj, rękę po świécę wyciągnęła. Z przenikliwemi tonami dzwonków, które teraz u stopni ołtarza rozbrzmiały i ze światłami oszklonych pochodni, któremi sługi kościelne nad swojemi szkarłatnemi pelerynami wysoko w powietrzu chwieją, z drżącym głosem starca, który z pod ciężkiéj i błyskami dyamentów migocącéj infuły sam jeden śpiéwa: „*Beatus vir, qui timet Dominum*“, łączy się niedosłyszalny, bezdennie smutny szept jéj bladych, powoli poruszających się ust.

— Do łaskawości twojéj przywykłam, zbawco mój, i gdy mi ją odjąłeś mdleję i konam!

Od dobywającego się z samego dna jéj piersi westchnienia podnosi się i chwilę nad jéj ustami drży w powietrzu rąbek welonu. Od

dość dawna, Pan duszę jéj zamykać począł w twardéj i suchéj skorupie, w któréj jest ona jako łani zbłąkana od źródła, z którego się poiła. Zimném stało się jéj wnętrze, panuje w niém martwa senność i z kolei tęsknota tak wielka, że smutki jéj czuje ona w szpiku swoich kości i w najdalszych głębiach udręczonego mózgu. Tęskni za życiem gorących uczuć i wysokich wzlotów, które tak długo było jéj udziałem, za boskim Oblubieńcem, którego oblicza, wejrzenia, ran namiętnie umiłowanych, już oddawna, ach, jak oddawna nie widzi... bo chociaż oczami ciała na ich wyobrażenia patrzy, oczy jéj ducha oślepły i leniwie do snu pokładły się tajemnicze jego natchnienia i siły...

Od małego ogniska świateł, które przed posągiem świętéj patronki w głębokiéj niszy płoną, aż do tego ich morza, którém ołtarz jest oblany, w całéj długości u dwóch ścian chóru wyciągnęły się już dwa łańcuchy płomieni, do dwu strumyków ku morzu dążących podobne. Wszystkie u szczytów wielkich świéc palą się prosto i równo, rzucając w górę cienkie nitki dymu, z któremi płyną w powietrze zmięszane wonie wosku i miodu; tylko z drżącéj i pochylającéj się w ręku siostry Mechtyldy świécy, grube żółte krople padają na poręcz ławki i usiewają rękaw jéj habitu okruchami twardéj skorupy. Ona usiłuje obudzić się, rozgrzać i jak ziarnko kadzidła roztopić się w brzmiącéj dokoła chwale Pana.

Odmęt tonów, dźwięków, szmerów. Śpiewy umilkły, ale organy nieprzerwanie snują przędzę melodyi, która kłębami opada na dół i głębokiemi, to na przemian rozpłakanemi tonami bez przerwy i końca rozsnuwa się po świątyni. W ołtarzu jęczą co chwilę wstrząsane dzwonki, brzęczą łańcuchy kołysanych w powietrzu kadzielnic, rozlegają się ciężkie stuki na pulpitach składanych ksiąg, wszędzie, jak krótkie szumy wichrów wzbijają się i opadają zbiorowe westchnienia i jak szemrzące strumienie, płyną zbiorowe, rozmodlone szepty. W tém niezmiernem zbiorowisku dźwięków, ucho siostry Mechtyldy rozróżnia jeden jeszcze, najmniejszy. Jestto ciche, małe, tuż w jéj pobliżu, przy saméj ziemi, drgające łkanie. Przez myśl jéj przebiegają słowa: „ktoś płacze!“ i nikną, pozostawiając ją tak oschłą i zimną, jaką była przedtém. Nic, nic! Ani jednego wzlotu myśli, ani jednego rzutu uczuć ku niebu i Bogu! Pod rąbkiem welonu oczy zgasłe i osłupiałe są, tak jak i dusza.

Chóry z obu stron kraty po chwilowém milczeniu budzą się i wybuchają śpiewem:

— Chwalcie dzieci pana, chwalcie imię pańskie...

Siostra Mechtylda śpiéwa także, a gdy z piersi jéj wychodzą

uroczyste tony psalmu, ucho słyszy znowu ciche, niskie, wielkim odmętem dźwięków jakby do samej ziemi przytłoczone łkanie.

— Ktoś płacze!

Nieszpory zbliżają się ku końcowi; tłum nuży się i coraz bliżej przylega do dolnej części kraty, przez którą, od chwili do chwili, gorący jego oddech nakształt powiewu upalnego wiatru, wnika do klasztornego chóru, wzmagając i rozgrzewając w powietrzu napełniające je wonie jałowcu, miodu i wosku. Krata, u samego tylko dołu wydaje się czarną, powyżej bowiem stoi cała w złotym blasku, którym ją oblewa zwisający pośrodku presbyteryum na srebrnych łańcuchach świecznik, olbrzymim snopem płomieni będący. W dole, za czarnym szlakiem żelaznych wiązań, z pełną dokładnością zarysów uwypuklają się niektóre postaci z tłumu. Jakieś kapelusze kobiece, błękitne i białe, nakształt wiosennych motyli, nad ciemną masą kołyszą się w świetle. Jakiś starzec przykląkł u załomu ściany i w żarliwém nabożeństwie trzęsie twarzą, jakby ołtarzowi, ku któremu ją podnosi, opowiadał jakąś długą, żałośną historyę; bliżej jeszcze, kilka par rąk dziecinnych z całej siły czepia się żelaznych prętów i dwie małe, rumiane twarze, ciekawe spojrzenia w głąb klasztornego chóru zapuszczają; a dalej, wyosobnione nieco chwieją się nad białemi komżami aksamitne birety, zbliżając się, to oddalając po stopniach ołtarza do tego jego środkowego punktu, kędy, pośród smukłych i złotém opływających kolumn, nisko u stóp wielkiego krzyża, a wysoko po nad wszystkiem, wzbija się tęczowy ostrosłup infuły.

— *Jam sol recedit igneus...* — z pod infuły wypływa drżący głos starca.

— Odchodzi słońce ogniste, o Trójca błogosławiona... — słowa hymnu powtarza siostra Mechtylda, a ucho jéj, u spodu modlitewnego szmeru, który napełnia chór, łowi mały, cichy, od ziemi ku niéj podnoszący się szmer czyjegoś łkania i przez myśl jéj przebiega pytanie.

— Kto tam płacze?

Zbyt dawno ziemskie płacze, zarówno jak śmiechy są dla niéj marnym pyłem, zbyt głęboko wpiło się w nią przeświadczenie, iż źródła jednych i drugich, jak zresztą wszystkiego co ziemskie, są mętne i wzgardy godne, aby mogła ona teraz spuścić spójrzenie i zobaczyć, kto tam przy saméj ziemi płacze. Jednak, pytanie to, bez jéj wiedzy, w mózgu jéj pozostaje i kędyś, w niezmiernie oddalonym zakącie jéj istoty, budzi oddawna śpiącą stronę tkliwości ziemskiéj.

Gdy więc głos dostojnika kościoła, z pod tęczowego ostrosłupa rozchodzi się samotny, a w drżącym i śpiewnym jego szmerze, któremu głęboka cisza towarzyszy, małe, ciche łkania u ziemi wyraźniejszemi się stają, w myśli siostry Mechtyldy słowa: kto tam płacze? po-

wtarzają się ciągle, jak niepozbyty wtór tym, które szepcą usta. — Niech się wzniesie Panie modlitwa moja, jako kadzidło przed oblicze twoje!

Daremnie! daremnie z wytężeniem wszystkiéj swéj woli usiłuje ona modlitwę rzucić jak kadzidło przed oblicze Pana, myśl jéj jak ptak z ociężałemi skrzydłami opada ku ziemi z pytaniem: kto płacze?

Myśl, nie wzrok, ten bowiem, z za cienkiéj zasłony utkwiony jest w jedyne źródło chwały i nadziei, w jedyny cel dla oczu nieba spragnionych, ziemią gardzących — w ołtarz.

Ale w téj chwili, przy więcéj niż kiedy pełnym, rozgłośnym, tryumfalnym hymnie: „Wielbij duszo moja Pana!“ rozlega się przeciągły szelest mnóstwa upadających na ziemię kolan, z tamtéj strony kraty tłum jak opadająca fala zniża się i po ziemi rozściela, z téj zakonnice, jedna za drugą, z twarzami ku ołtarzowi zwróconemi w ławkach swych klękając, z nad ich poręczy znikają i widać tylko, wśród czarnych habitów błyskające płomyki ich zapalonych świéc. Klękając i ukrywając się w ławkach, podnoszą one rąbki welonów, odsłaniają śnieżnemi płótnami opasane czoła. Siostra Mechtylda klęka także i kiedy górną część twarzy odsłania, tuż, tuż przy sobie, w bezpośredniéj już swojéj bliskości, słyszy znowu na dnie rozgłośnego hymnu szlochające, małe, do ziemi przytłoczone łkanie. Jedno tylko, szybkie jak strzała wejrzenie rzuca w stronę i znowu z oczami wplepionemi w ołtarz powtarza słowa hymnu.

— Iż wejrzał na pokorę służebnicy swojéj...

A przez myśl jéj jak strzała szybko przebiegają słowa:

— Dziecko płacze!

Było to małe, ośmioletnie może stworzenie, które klęcząc, do saméj ziemi przychylało twarz, w czerwonych rączętach ukrytą i osłoniętą zsuwającemi się z ramion skrzydłami muślinowego woalu. Pensyonarski mundurek ciemny i krótki, do połowy tylko zasłaniał jéj nogi w białych pończoszkach, u których końca drobne stopy, żółtą podeszwą obuwia świecące, od chwili do chwili uderzały o siebie w spazmie płaczu, który ramionami jéj wstrząsał i którego grube krople przeciskały się przez drobne różowe palce. Płakała jak płaczą małe dzieci, deszczem łez, z drżeniem całego ciała, z ciągłem, obfitém szlochaniem. Nagle, uczuła, że czyjaś ręka dotknęła muślinu małego jéj woalu i tuż przy swojém uchu usłyszała szept:

— Czego płaczesz?

Podniosła z nad ziemi głowę, lecz była tak rozpłakaną, że czerwonemi piąstkami oczy przyciskając, wydętemi w skardze ustami wymówić tylko mogła.

— Za mamą...

Zaraz jednak jakby przypomniawszy sobie krzywdę komuś wyrządzoną i nowy potok łez piąstkami, jak korkami tamując, dodała:

— I za tatką...

Nad samém jéj uchem bardzo cichy szept zapytał jeszcze.

— Kiedy tu przybyłaś?

— Wczoraj.

— Jak ci na imię?

Teraz dziewczynka wszystkie łzy zatamować już zdoławszy, ku pytającéj twarz odwróciła.

— Klarcia, szepnęła i oczami, w których zdziwienie i trwoga łzy osuszały, wpatrzyła się w zakonnicę, która wśród ciemnych poręczy ławki, wysmukła i prosta, z zapaloną w ręku świecą klęcząc, przez chwilę wzrok w nią wpijała. Przez chwilę ascetka i dziecko twarzą w twarz na siebie patrzyły. Po delikatnych, chudością policzków i nosa zaostrzonych, białą jak opłatek skórą powleczonych rysach siostry Mechtyldy przebiegały szybkie drgania, oczy jéj, pod białą opaską głęboko zapadłe, nagle jak dwa ogniska bólu i trwogi zapłonęły. Imię dziewczynki jak strzała w pierś jéj wpadło. Tak niezmiernie dawno już go nie słyszała, a tak niezmiernie często wymawiała je niegdyś... w innéın życiu, na innym świecie!.. Z innego życia i świata, z jéj własnéj, jednak odległéj, z duszy wyrwanéj, na śmietnisko wzgardy rzuconéj przeszłości, przybywało to imię niegdyś tak drogie jéj, a potém tak ohydne? Ale kiedy dziecko, twarzą ku niéj zwrócone, wpiło w nią wzrok ciekawy i nieśmiały, siostra Mechtylda zesztywniała w niewysłowionéj grozie. Te oczy, duże, ciemne, od złotych rzęs i włosów nabierające wielkiéj słodyczy i głębi, znanemi są jéj także. To dwa źródła, z których niegdyś, w innéın życiu, biło dla niéj zrazu szczęście bez granic, a potém niewymowna męka... Jéj imię i jego oczy... czy w postaci tego dziecka zły duch... czy to nowa próba, którą zsyłasz na mnie, Zbawco mój?...

Pełna przestrachu, jak jaskółka w szponach jastrzębia, od stóp do głowy drżąca, siostra Mechtylda ku ołtarzowi twarz obraca. „Te ziemskie, obrzydłe, wzgardzone wspomnienia, sąż karą, przestrogą lub próbą, którą zesłałeś na mnie, Panie mój, wtedy właśnie gdy duch mój, oschły i roztargniony, leniwie i z udręczeniem skrzydła ku Tobie podnosił?“

Ale uwielbione imię Pana, na ustach jéj zamiéra, z myśli ustępuje światło przytomności i z przestrachem, który miesza się z upajającą rozkoszą, czuje ona zbliżenie się jednego z tych zachwyconych widzeń, których już parę razy w zakonném życiu swém dostąpiła. Ale wtedy widziała ona i słyszała, to co ją całą napełniało; teraz zaś, oczom jéj uka-

zuje się obraz, który dziś jeszcze, przed kilku minutami, tak był od niéj odległym jak od przeistoczonéj do głębi istoty człowieka odległą jest jéj własna, lecz falą czasu i własnych jéj odmian odepchnięta przeszłość. Za ogromną, w złotych błyskach zdającą się drgać kratą, zamiast ołtarza, wysokich sklepień świątyni i nisko na ziemi rozesłanego tłumu, widzi ona pod błękitną kopułą nieba, pole ścielące się złotem kłosów, kwiecistemi miedzami przerznięte, oświecone płonącém pośrodku kopuły wielkiém, złotém słońcem... Na twarzy i ustach czuje przelatujący powiew upalnego wiatru i wraz z nim lecącą miodową woń kwiatów, a z oddali, z oddali, z oddawna zapomnianéj i którą za umarłą miała, głębi jéj duszy, dobywa się głos dźwięczny, wołający: „Klarciu! Klarciu!“ i tuż za jego dźwiękami, z pod słońca, w powietrze rozpromienione, spływa parę ciemnych, głębokich i słodkich oczu, które patrzą na nią... a ona od nich wzroku odwrócić nie może...

Krzykiem, który wydała z piersi, zgaszona świéca z ręki jéj wypadła i czoło ze stukiem uderzyło o drewnianą podstawę ławki, lecz krzyku, ani stuknięcia nikt nie usłyszał. Przed ołtarzem, twarzą ku ludowi zwrócony, dostojnik kościoła w rękach owiniętych złotem przetykaną krepą, trzyma rozbłysłą jak słońce monstrancyę i powolnym wspaniałym ruchem, kreśli nią w powietrzu, nad rozesłanym przed nią ludem, wielkie znaki krzyża. Głos jego wzmaga się w brzmienie i siłę, coraz téż głębiéj, błagalniéj wtórują mu organy, coraz gęstszemi powiewy wybuchają oddechy tłumu, a szepty jego, do szmerów morza podobne, coraz wyżéj wzdymają się westchnieniami:

— *Salvum fac populum tuum Domine!*...

W ławkach, w których głowy zakonnic pochylają się ku saméj ziemi, biegną żarliwe półgłosy.

— Zbaw lud twój Panie...

Jeszcze jeden wybuch ogromnego chóralnego śpiéwu, jeszcze najpotężniejszy akord organów, jeszcze kilka słonecznych rozbłysków monstrancyi, wielki, w powodzi świateł krzyż zakreślającéj, głuche stuknięcie zamykanego cyboryum, tłumne stąpanie kleru, postępującego za odchodzącym od ołtarza swoim zwierzchnikiem i—z szelestem grubego płótna zsuwająca się biała zasłona zakrywa ogromną, żelazną, w gasnących światłach pociemniałą kratę.

Zakonnice powstają z klęczek, gaszą świéce i z głuchemi stukami składają je na poręczach ławek, wysoką i długą salę napełnia półmrok, w którym nikną u góry śpiczaste linie sklepienia, a u dołu mętnie na ciemném tle drzewa rysują się dwa szeregi czarnych, złotem krzyży i białością płócien połyskujących postaci. Jaśniéj i goręcéj w zamian płonie teraz na tle zmroku pełna lamp i róż nisza ze

świętym posągiem, a w blasku od niéj padającym, z doskonałą wyrazistością zarysów uwypukla się postać, w najdalszéj głębi chóru, w odosobnionéj i najwyżéj wyniesionéj ławce siedząca. Jest to przełożona klasztoru, któréj oczy zdala nawet jaśnieją pogodnym i czystym szafirem, a twarz starzejąca się, lecz jeszcze czerstwym rumieńcem oblana, z wyrazem powagi, łączy przyrosły jakby do niéj wpół dobroduszny, wpół mądry uśmiech. Trochę energii i wiele dobroci jest w téj pełnéj, rumianéj twarzy, prześlicznym szafirem źrenic oświeconéj i która wyłaniając się z bieli opasek, po długich modlitwach zda się powracać z nieba na ziemię, w pokoju i zgodzie z niebem i z ziemią. Ręce ma pobożnie splecione, ustami w cichéj modlitwie porusza, ale wzrokiem, zdającym się pomimo jéj woli uśmiechać i pieścić, ściga białe woalki dzieci, które gromadnie, z tententem drobnych stóp wśród ciszy i zmroku chór opuszczają. Potém, gdy za ostatnim już ich szeregiem zamykają się wysokie drzwi chóru, podniesionym głosem rozpoczyna modlitwę, którą półgłosami podejmują stojące w ławkach swych zakonnice. W jednym przecież z ich szeregów istnieje szczerba; siostra Mechtylda pozostaje niewidzialną, bo nieruchoma klęczy ciągle w głębi wysokiéj ławki, z czołem do podstawy jéj przyciśniętém.

Po mrocznym chórze rozchodzi się tłumnym szmerem wymówione: Amen, i zapanowuje chwilowa cisza. Wtedy siostra Mechtylda podnosi się, z podstawy zstępuje i jak wysmukły cichy cień, ciągnąc za sobą długie zwoje habitu, szybko, a bez szelestu przesuwa się przez padającą od świętego posągu smugę światła i u kolan przełożonéj, z pokornie schyloną twarzą i splecionemi na piersi rękami, klęka. Nie mówi jednak nic; zapytania, które ma być zarazem pozwoleniem mówienia, oczekuje. Przełożona nie daje długo na nie oczekiwać.

— Czego żądasz, siostro w Chrystusie?

Wtedy ona głosem słabym, ale tak wyraźnym, że każde jéj słowo przez ostatnie z dwu szeregów siòstr usłyszaném być może, mówi:

— Upokarzam się przed tobą, matko wielebna i przed całém zgromadzeniem moich siostr w Chrystusie i wyznaję ciężki grzech, jakiego się dziś przeciw Panu mojemu dopuściłam. Oto, zamiast roztapiać się razem z siostrami memi w rozważaniu i chwale Jego wielkości, dusza moja zajętą była ziemskiemi myślami i wpatrywała się w ziemskie wspomnienia, które przed nią roztaczał duch złego. Dla téj to ciężkiéj winy mojéj, proszę cię matko wielebna, w imię Jezusa Chrystusa Pana naszego, o pozwolenie przepędzenia całéj nocy dzisiejszéj na pokutnych modlitwach w kaplicy Najświętszego serca.

Przy ostatnich wyrazach głos jéj drżał łzami i przejmującém cierpieniem.

Przełożona nie zaraz odpowiedziała, na pogodną twarz jéj wybił się wyraz niezadowolenia i frasunku. Wielce dbała o duchową czystość i doskonałość siòstr; jéj zwierzchnictwu poddanych, dla zdrowia ciał ich nie była także obojętną, a zbyteczne ich umartwianie nie wiele zajmowało miejsca w prostym i łagodnym całokształcie głębokiéj przecież jéj wiary. Chudość i przezroczysta bladość siostry Mechtyldy oddawna już ją niepokoiły i wiedziała ona dobrze, czém dla kruchego naczynia duszy musiała być noc spędzona bez snu i spoczynku, w roztkliwieniach skruchy i pokuty, na marmurowéj posadzce najświętszéj z klasztornych kaplic. Więc po chwilowém milczeniu, pełnym powagi głosem, zaczęła.

— Ułomnym człowiek jest, ale miłosierdzie Pańskie bez granic. Rozważ, siostro, czy nie popełniasz grzechu zwątpienia o miłosierdziu Pana?

Siostra Mechtylda nieruchomą pozostała, ale na zaostrzonych jéj rysach i w zaciśnięciu się rąk splecionych odmalował się upór żelazny. Tym samym, co wprzódy, cichym, ale wyraźnym głosem odrzekła.

— Święta reguła nasza rozkazuje nam za grzech popełniony czynić bezzwłoczną pokutę.

Miała słuszność i przełożona wiedziała o tém dobrze. Wiedziała ona także, że jéj energia gięła się zawsze i ustępować musiała przed biegłém znawstwem klasztornéj reguły i nieugiętą w duchowych sprawach wolę téj siostry. Inna, zrozumiawszy w radzie ukryty rozkaz, powstałaby od jéj kolan w sumieniu swojém uspokojona; ta przypomniała jéj, że zwierzchnictwo przełożonéj, i posłuszeństwo podwładnéj mają granicę, którą jest święta reguła klasztoru. Po chwilowém więc milczeniu, końcami palców pochylonéj przed nią głowy dotykając wymówiła.

— Idź i czyń w Bogu pokutę swoją.

Siostra Mechtylda z klęczek powstawszy, prosta i wysmukła, choć z głową schyloną, przeszła znowu przez smugę światła i w prowadzących ku wyjściu mrocznych głębiach chóru zniknęła.

W kwadrans potém trzy lampy w żelaznych oprawach, od wysokich sklepień sufitu na grubych łańcuchach zwisające, mętne półświatło rzucały na wysokie ściany refektarza, na wąskie jéj okna, posadzkę z kamiennych płyt ułożoną i cztery długie stoły, grubém płótnem okryte, a przez siedzące dokoła nich zakonnice otoczone. Spożywając wieczerzę, siostry powściągliwemi głosy ze sobą rozmawiały, tu i owdzie nawet, w półgwarze i półświetle zadzwonił mały, stłumiony śmieszek. Miejsce siostry Mechtyldy było próżne. W połowie wieczerzy, trudniąca się kuchennym dozorem matka Floryanna, sztywna, kości-

sta i żwawa, w swym wysoko podniesionym dla gospodarskich potrzeb habicie, z dwoma cynowemi talerzami w ręku wstąpiwszy na wyniesienie, na którém wyosobniona i nad całém zgromadzeniem górująca siedziała przełożona, jadło na małym stole postawiła i zcicha rzekła.

— Zdaje mi się, matko Romualdo, że siostra Mechtylda zgrzeszyła dziś nieposłuszeństwem względem zwierzchności. Wszak wyraźnie do zrozumienia jéj dawałaś, że odbywanie całonocnéj pokuty dla błahych przyczyn, sprzeciwia się twojéj woli!

Matka Romualda, podniosła na mówiącą swoje pogodne, szafirowe oczy i w znak porozumienia uśmiechnęła się do siostry, z którą długi, wspólny pobyt w klasztorze związał ją zażyłą przyjaźnią. Tym trochę żartobliwym uśmiechem matka Romualda zdawała się mówić: „Cóż poradzę z tą żarliwą i w znajomości reguły tak biegłą.“ Ale wnet uczuła skrupuł sumienia. Jeżeli bowiem surowość siostry Mechtyldy dla saméj siebie i w ogóle dla wszystkiego, co cielesne i ziemskie, zdawała się jéj przechodzić nieraz granice, przez wiarę i przez regułę zakreśloną, to jednak czuła ona w niéj i czciła większy niż u innych żar i polot ducha, więc i teraz po żartobliwym uśmiechu i wzruszeniu ramion spoważniała.

— W pokorze ducha wyznajmy, matko Floryanno—rzekła—że z pomiędzy nas wszystkich, siostra Mechtylda posiadła z łaski Pana najżarliwszą pobożność i najwyższą pogardę dla świata.

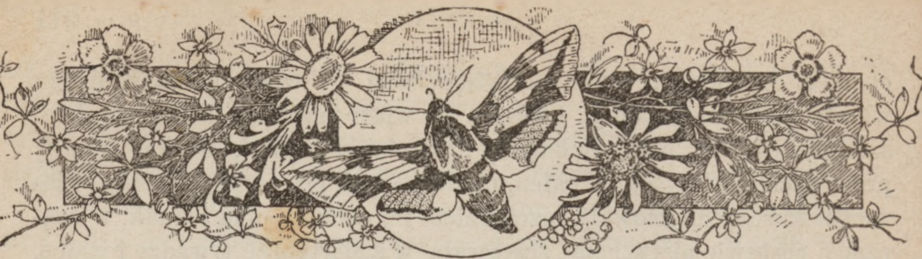
Z półgłośnym szmerem wspólnéj modlitwy zgromadzenie refektarz opuściło, a wkrótce potém przenikliwy odgłos dzwonka rozchodzący się po klasztornych korytarzach, salach, celach i przez grube mury wydostający się na dziedzińce i ogrody, ogłaszał *silentium*, to jest porę, od któréj wszystkie rozmowy na całą noc ustać były powinny i w któréj siostry kładły się do niedługiego, lecz spokojnego snu.

Potém, na wieży kościelnéj, na chórze, w różnych częściach rozległych gmachów klasztornych, zegary godzinę po godzinie wybijały, o jednéj z nich rozległy się słabe, ale gwarne dzwonki, zakonnice na jutrznię budzące, a po jutrzni, któréj chóralne śpiewy melancholijnemi tonami płynęły w ciemnościach długich korytarzy, zrzadka palącemi się lampami tu i owdzie rozproszonych, znowu zapanowały wszędzie sen i spoczynek. Ale w kaplicy, któréj ciemne ściany, w skąpém świetle płonącéj przed ołtarzem lampy, mętnie i ze stron wszystkich błyskały okrywającemi je złoceniami, przed ołtarzem, na którego ciemnych kolumnach i ramach, wśród ponsowych aksamitów i atłasów, pobożne wota rozwiesiły mnóstwo różnéj wielkości złotych i srebrnych serc, siostra Mechtylda leżała na marmurowéj posadzce, z grubym powrozem dokoła szyi po kilkakroć owiniętym, z czołem o zimny marmur

opartém i rozpiętemi w znak krzyża rękami. Powoli, jedna za drugą wlokły się nocne godziny, gwałtowny wiatr marcowy z przeciągłemi szumami uderzał o ściany kaplicy i ostremi strugami, wnikał do niéj przez szczeliny wysokich okien, chłód podłogi przejmował leżącą, nieznośne kurcze zdejmowały rozciągnięte jéj członki, ona jednak, w dręczącéj postawie nieruchomą zostawała, w śmiertelnéj trwodze i walce, błagając Pana, aby przykrócił zesłaną na nią próbę i oddalił od niéj te dźwięki i te widzenia, które z ust i twarzy rozpłakanego dziecka wyłonione, nieustannie, nieprzeparcie otwierały na dnie jéj duszy, oddawna tam zamknięte i obrzydzone groby ziemskich wspomnień...

(*D. c. n.*) *El. Orzeszkowa.*





Z BELETRYSTYKI ZACHODU.

V.

(Paweł Bourget, poeta, psycholog i powieściopisarz. — Stanowisko w piśmiennictwie i metoda pisarska. — Przegląd dawniejszych utworów i ostatnia powieść: *Un coeur de femme.*)

Nic nie jest w stanie wydatniéj przedstawić nieprzerwanéj i nadzwyczajnéj żywotności piśmiennictwa francuskiego, jak szybkie po sobie następstwo przodowników, hegemonów literatury. Nie ma tam nigdy bezkrólewia, i jeszcze gwiazda jednéj szkoły, jednego pisarza nie miała czasu zblednąć, a już występuje nowa, i to nie pojedyńczo lecz często w plejadzie. Utalentowani przedstawiciele różnorodnych kierunków manifestują swoje twórcze siły jednocześnie, i potrzeba dobrze znać filiacye, pokrewieństwa duchowe, chronologiczne następstwo utworów, aby dać im przynależne stanowisko. Beletrystyka, gdzie obok Feuillet'a i Cherbuliez jest miejsce dla Zoli i Huysmans'a, gdzie obok Alf. Daudet i Goncourt'a stoi Rob. de Bonnières i Paweł Hervieu, gdzie jednocześnie piszą: Leon Cladel i Jerzy Ohnet, Henryk Rabusson i Okt. Mirbeau, Piotr Loti i Richebourg, Gustaw Guichard i Albert Delpit, Emil Pouvillon i Leon de Tinseau, Ed. Rod i Hector Malot, i tylu, tylu innych, którychby się dało równie łatwo uszeregować w pary różnokierunkowe, drastycznie sobie przeciwne, ażaliż to nie jest pstrokata mozajka, chaos prawie bezładny, ażaliż to nie jest świat cały niepodobny do objęcia jednym syntetycznym wyrokiem, czybyśmy go wystawić, czy potępić mieli ochotę! Postronni czytelnicy, nie mający obowiązku iść krok w krok za tą literaturą, rządzą się nieraz trafem w wyborze powieści albo lgną do pisarza, który już przestał iść z prądem epoki, którego zegar się spóźnia. Jeżeli naraz sława, pozyskana

przez nieznanego im wprzódy pisarza, skłoni ich do zabrania z nim znajomości, to nie znając jego duchowéj genezy, nie są w stanie zasmakować w jego oryginalności i ocenić wartości jego należycie.

Dla tego, co przedsiębierze poznajamiać ich z celniejszemi utworami chwili bieżącéj, o wybór nie trudno: wszystkie promienieześrodkowują się zazwyczaj na garstce przodowników. I tak, obecnie, już nie Zola, ani nawet nie Daudet dzierżą berło beletrystyki, ale Maupassant i Bourget. Oto dwaj bohaterowie, dwa bogi, *arcades ambo*. Oni są ulubieńcami publiczności wykształconéj, rozrywani przez dzienniki, płaceni na wagę złota przez wydawców, oni są pastwą reporterów i nadzieją Akademii. Jeden i drugi wydali w tym miesiącu nowe powieści podobne do siebie tytułami, Guy de Maupassant napisał *Notre Coeur* a Paweł Bourget *Un coeur de femme*. Wydania ich się sypią i nie są w stanie nastarczyć wymaganiom publiczności. Nie będziemy ich ze sobą porównywać, choćby dla tego, żeśmy na têm miejscu niedawno o Guyu de Maupassant wyczerpującą podali cherakterystykę [1]) i że sam Bourget wystarczy do obecnego studyum. Stawiając go przed naszą stalugą, zanim przystąpimy do ostatniego jego utworu, damy krótki przegląd dawniejszych. Piśmiennicza jego indywidualność zarysuje się w sposób wyrazisty.

Paweł Bourget jest jeszcze stosunkowo młody, bo ma zaledwie trzydzieści ośm lat. Jest on synem profesora matematyki w Amiens; stracił młodo rodziców; był wychowany jako pensyonarz w jednêm z liceów paryskich gdzie pracował gorliwie; za lat uniwersyteckich zaczął się już mieszać do ruchu literackiego dzielnicy łacińskiéj; posiadając niezależność majątkową, podróżował i widzimy go zimującego, bądź na wyspie Korfu lub we Włoszech, bądź spędzającego całe miesiące w Anglii, szczególniéj w Oxfordzie, gdzie się wżył w życie angielskie, którego jest szczerym zwolennikiem. W miarę jak prace literackie zwróciły nań naprzód uwagę drobnego kółka arystarchów i wyrafinowanych dyletantów, a potém zdobywały mu miejsce coraz bardziéj wybitne wpośród młodego pokolenia pisarskiego, zaczął należéć do tak zwanego świata paryskiego. Nie zdołał on wprawdzie usidlić całkowicie téj natury delikatnéj, wrażliwéj, zamykającéj się chętnie saméj w sobie, pochopnéj raczéj do poufałéj wymiany myśli w nielicznêm, ale sympatycznêm gronie umysłów wyborowych, aniżeli do szumnych i pełnych zgiełku zabaw, ale wycisnął nań jednakże swoje piętno. Bourget objął niejako spadkobierstwo salonowe po filozofie Caro. Jak tamten był, tak on jest cywilnym spo-

[1]) „Ateneum“, za styczeń 1890.

wiednikiem pięknych dam, które mu robią zwierzenia, poddają pod jego sąd subtelne kwestye psychiczne, w których rozwikłaniu jest mistrzem, zasięgają jego rad. Ten wytworny, blady młodzieniec, o czole wyniosłém z przedwcześnie rzadniejącym włosem, z okiem błękitném, melancholijnie w dal patrzącém, jest osobistością, o któréj posiadanie ubiega się tych kilkadziesiąt pań, z których każda bez wyjątku uważa się jako *la femme la plus spirituelle de Paris*. Wyślizgnie się z pod ich denerwującego wpływu prawdopodobnie, gdyż dowiadujemy się, kreśląc te słowa, że się żeni z córką antwerpskiego bogacza. W domowém ognisku znajdzie on spokojną przystań, gdzie twórcze siły jego nowéj nabiorą krzepkości. A życzyć tego należy w interesie literatury, mającéj prawo rokować po nim wiele.

Jak wszyscy prawie młodzi ludzie o piśmienniczém powołaniu, Bourget zaczął od poezyi. Dotąd posiadamy trzy tomy jego utworów poetycznych: *Vie inquiète*,—*Edel* i *Les Aveux*. Jako dowód, że nie opuścił bezpowrotnie téj niwy, gdzie zbiérał pierwsze, wiośniane kwiaty, jest zapowiedź, że wkrótce ma się ukazać nowy zbiór jego poezyi, *les Nostalgiques*. Widocznie Bourget nie chce zrywać węzłów z Parnasem, którego był członkiem i z którym go łączy powinowactwo duchowe. Zdaje się nawet, że pragnie, ażeby przez ten pryzmat nań patrzano, skoro wszystkie swe książki prozą pisane, studya psychologiczne i powieści, wydaje u Lemera, który był ogniskiem i kolébką dla całéj szkoły poetycznéj Parnasu, skąd wyszło odrodzenie i nowy zwrot współczesnéj poezyi francuskiéj. Gdyby Bourget jednak nie był na inném polu działalności swojéj zaznaczył, i to tryumfująco, to nie zdaje się nam, aby mu poezya wierzchołkowe zapewniła stanowisko. Nie ma tam indywidualności wybitnéj, ani w treści ani w formie. Nie chcemy twierdzić, ażeby był miernotą, ale bezzaprzeczenia nie jest Tytanem. Każdy z jego liryków, wzięty z osobna, przyjemnie się czyta, w każdym podziwiać można uczucia rozbierane obiektywnie, cieniowanie delikatne, wrażliwość nerwową, umysł wysoce wykształcony, ale brakuje tych z głębi duszy płynących dźwięków, tego serdecznego krzyku, które jedynie w poecie pozwalają nam widzieć brata i witać naszych własnych uczuć tłómacza. Karol Beaudelaire, który widocznie jest jego modłą, ów genialny autor *Fleur de mal*, posiada wszakże swe piętno wydatne—chociaż ujemne; żaden z jego licznych naśladowców, a Bourget mniéj nawet niż inni, nie posiada go. Czém bardziéj młody pisarz nas zaciekawiał, tém częściéj powracaliśmy do odczytywania jego poezyi, chcąc dawniejsze wrażenia poprawić: niepodobna. Zawsze nas tam razi brak prostoty, jasności, przejrzysto-

ści, zawsze spostrzegamy manierę i widoczne usiłowania, usiłowania mozolne do mówienia nie swoim językiem.

Daleko bardziéj jest na swoim własnym gruncie w studyach literackich i filozoficznych rozprawach. Dotąd posiadamy ich trzy tomy: „Studya psychologii współczesnéj“, „Nowe studya“ i „Portrety literackie“. Prace te pozyskały mu szacunek u wszystkich umysłów poważniejszych i ustaliły jego własną fizyonomię piśmienniczą. Jako dowód, że i szeroka publiczność zasmakowała w tych pracach przytoczyć można, że w ciągu sześciu lat, „Studya psychologii współczesnéj“ doczekały się już ośmiu wydań. Będąc naturą daleko skłonniejszą do działań rozumu, aniżeli do porywów wyobraźni, do subtelnéj analizy spostrzegacza naukowego, aniżeli do syntezy filozoficznéj poety, Bourget złożył w tych pracach świadectwo swych pierwszorzędnych zdolności. Nie należy sądzić, ażeby jego „Studya psychologii współczesnéj“ były rozprawami abstrakcyjnemi uczonego na *us*. Bynajmniéj. Jest on w nich literatem, wykarmionym i obracającym się w kręgu pisarzy pierwszorzędnych swego kraju, i staje przed nimi, chcąc sobie zdać sprawę z ich strony duchowéj, chcąc ocenić źródła ich twórczości, ich stan duszy, w przeświadczeniu, że badając w ten sposób wewnętrzną naturę tych osobistości pierwszorzędnych, znajdzie jednocześnie klucz do duszy całego społeczeństwa współczesnego. Trzeba przyznać, że zadanie to nie było pozbawione oryginalności. Wykonał je z delikatnością ręki nadzwyczajną, nie wykluczającą wszelako siły rysunkowéj. Wiedząc, że jest na wskroś współczesnym, że umysł jego krytyczny nie może smakować w dawniejszéj literaturze francuskiéj klasycznéj, jako przesiąkłéj dogmatyzmem, wiedząc daléj, że jest wyrafinowanym smakoszem literackim, rozumiejącym nietylko wszelkiego rodzaju dyletantów intelektualnych, nietylko pesymistów ale nawet dekadentów, z góry mogliśmy przewidziéć jakich mistrzów będzie tu badać, do jakich duchów labiryntu będzie szukał kłębka. Bez zdziwienia tedy spotkaliśmy pomiędzy mistrzami jego Karola Beaudelaire'a, Renana, Taine'a, Flaubert'a, Stendhal'a, Dumasa syna, Leconte de Lisle'a, Goncourtów, a nakoniec Turgeniewa i Amiela. Można powiedziéć, że Bourget od razu wytknął słupy graniczne dla swoich sympatyi, więcéj nawet, dla całéj swéj atmosfery twórczéj. Jest on wpośród tych myślicieli, powieściopisarzy, poetów, moralistów jak wśród krewniaczych sobie istot i nie wiemy jeszcze czy pójdzie daléj niż oni, czy się z ich potężnego wpływu wyzwoli. Nawet gdy się do wyrokowania o nich zabiéra, nie ma najmniejszego zamiaru kruszyć węzła lenniczéj od nich zależności i posługując się pię-

knèm, a głębokièm słowem, można powiedzieć, że sądzi ich nie umysłem ale i sercem.

Ten szereg studyów psychicznych nosi cechę najzupełniéj nieosobistą. Nie ma tu najmniejszych rysów modeli biograficznych, najmniejszego anegdotycznego szczegółu, najpowierzchowniejszego nawet rozbioru charakteru ich pism; są to wyłącznie i jedynie obrazy ich nastroju moralnego, odblaski ich duchowości. Typowèm pod tym względem i doskonałèm jest studyum nad Beaudelaire'm, gdzie wykazuje w nim mistyka, rozpustnika i analityka. Pesymizm urągliwy poety, nad którym się tak rozpisywano i o którym tyle napleciono bredni, staje się odrazu zrozumiałym, gdy Bourget pokazuje nam poetę jako mistyka, zapatrzonego w jakieś mgliste, pozaświatowe widma, a który zwracając się potèm do ogólnego świata i nie spostrzegając wśród niego niczego coby z jego marami pokumać było można, uczuwa ogromną próżnię, nicość i popada w posępną nudę. Przedziwne jest także studyum nad Renanem, u którego rozbiéra trzy strony duchowe, wrażenność, dyletantyzm wszechstronny i uczuciowość religijną. A Taine, jego ideał filozoficzny, ten myśliciel, którego, jak to wypowiedział, poświęcając mu jedną z najznakomitszych swych powieści, czci czcią najgłębszą, jak subtelnie jest rozebrany! Taine, historyk rewolucyi francuskiéj, musiał w myśl swych teoryi filozoficznych i swéj metody znienawidzieć tę rewolucyę, rozwijającą się przez idee absolutne, apriorystyczne, a mimo tego i on także jest absolutny i on z góry zaznacza ewolucye jednostek i społeczeństw: jest w téj przeciwstawie pierwiastków duchowych, wzajemnie się znoszących, rozwiązanie istotnie ciekawego zagadnienia intelektualnego. Studya nad kilku romansopisarzami pozwalają nam dojść przez indukcyę do stworzenia sobie jasnego pojęcia o powieści takiéj, jaka się jemu samemu najlepszą być wydaje. We Flaubercie widzi, o zgrozo! ostatniego z romantyków, i pokazuje, w jaki sposób ciągła walka, jaką staczał u niego romantyk z uczonym, a uczony z romantykiem wyjałowiła jego twórczość i zrobiła zeń pisarza *unius libri*. Na każdéj stronicy tych dwutomowych studyów, spotykamy myśli głębokie, otwierające dalekie perspektywy rozmyślaniom i jedyny zarzut, jakiby im zrobić można, jest, że często forma ich nie ma jasności kryształowéj, że trzeba ją z mglistéj obłoczyny wyłonić samemu. Nic trafniejszego, jak jego określenie dyletantyzmu, który daje mówiąc o Renanie: jest on tą właściwością duchową, która wyzyskuje niepewne, chwiejne strony umysłu na korzyść kaprysów wyobraźni. Azaliż podobna określić ten nastrój ducha, który u uczonych, a tèmbardziéj u niedouczonych tak dotkliwe sprowadza plagi! Charakteryzując ten duch analizy syste-

matycznéj, który podziwia w Stendhalu, czyni mimochodem uwagę, że nihilizm, pessymizm i naturalizm są formami w jakie się zwątpienie oblekło u trzech ras odrębnych, u Słowian, u Niemców, u Latynów. W Dumasie synu rozbiera przedewszystkiem, moralistę i nie znamy pracy któraby dobitniéj zakreśliła przed nim ogrom jego zadania.

Zatrzymaliśmy się dłużej może niż należało nad temi psychicznemi studyami Bourget'a a to dla tego, ażeby dać czytelnikom wyobrażenie z jakiego rodzaju powieściopisarzem będą mieli do czynienia. Jeżeli nie powiada o sobie tych słów zuchwałych, które wypowiedział samochwalczo jeden z najświetniejszych współczesnych umysłów, mianowicie, że jest „*ausgerüstet mit der ganzen Wissenschaft seines Jahrhunderts*“, to miałby pewne prawa do takiego świadectwa. Nie tylko że obcował on wśród kwiatu inteligencyi francuskiej i mleczem jéj się wykarmił, ale rozszerzył zakres swych studyów do obcych pisarzy: rzecz tak rzadka, tak wyjątkowa u Francuzów. Angielskie piśmiennictwo zna na wskroś i co moment znaleźć można pod jego piórem cytaty albo alluzye, dla wtajemniczonych do zrozumienia łatwe, do najpierwszych myślicieli i poetów. Goethe, Shakespeare, Carlylle, są mu tak poufali jak Taine albo Renan, a cały szerg nowoczesnych poetów angielskich Tennyson, Keats, Browning, Swinburne a przedewszystkiem Dante Rosetti i Shelley są dla niego istotnie bratniemi duchami. Z rozpraw jego zawartych w tomie noszącym zbiorowy tytuł „Portretów literackich“, gdzie się między innemi znajduje subtelna analiza Pascala i wyborne studyum nad Rivarol'em, widać jak gruntownie zbadał współczesną szkołę psychologów angielskich, którzy jak wiadomo, wprowadzili psychologię na całkiem nowe szlaki. Wyciągnął on z ich poszukiwań niejedne praktyczne wnioski dla swych późniejszych powieści. Wié on naprzykład, że natura i gatunek wyobraźni są całkiem odrębne u każdego osobnika: przed jednym wskrzesza obrazy uczuć, przed drugim obrazy wrażeń, przed trzecim obrazy rozumowań, i t. d. Nie zamknął się jedynie w dziedzinie oderwanych spekulacyi, ale postawił przed sobą zagadnienia społeczne, badał stosunek wzajemny czynników cywilizacyjnych jak o tem między innemi świadczy studyum pod tyt.: „Wiedza i Poezya“. Mówiliśmy już wyżéj, że podróżował, że przyglądał się ciekawie i bez tendencyjnéj złośliwości postronnym krajobrazom, ludziom, zwyczajom.

Gdy się widzi tak przygotowany umysł, tak gruntownie wykształcony, tak wielostronnie pobudzony, zamykającym się w specyalności powieściowej, to z góry możemy być upewnieni, że będziemy mieli tu do czynienia z utworami poważnemi, które będą mogły do naszego indywidualnego smaku albo widzimisię nie przypadać, ale które same w so-

bie mają wagę i powagę. Co za różnica pomiędzy powieściopisarzem jak Bourget, a tym lub owym francuskim, ba, i polskim nawet, *nomina sunt odiosa!*, który zaledwie zbiegłszy z gimnazyalnych ławek, nie znając świata i życia ani z własnego doświadczenia, ani nie zbadawszy go przez umysłowe kategorye mistrzów, przychodzi karmić nas niedojrzałym owocem swego umysłu! I czyż można się dziwić, że gdy się wyszumi ta młodociana piana, na dnie czary pozostaje nicość — próżnia. Szczęśliwi ci jeszcze, co w jéj poczuciu kruszą wówczas pióro i nadal się na kierowników duchowych nam nie narzucają, bo jest wielu, nader wielu, co nie mogą zdać sobie sprawy ze swéj nicości i co piszą bez ustanku zawsze jednę i tę samę, coraz inaczej ochrzczoną powieść lub powiastkę!

Psycholog, zamiłowany w rozbiéreniu żywiołów duchowych natury ludzkiéj, Paweł Bourget, nie mógł mieć innego powieściowego ideału, jak taki, któryby téj przemagającéj u niego stronie umysłowéj, przestronne roztworzył pole twórczości. I bez wahania żadnego, widzimy go, od pierwszéj chwili gdy powieści pisać zaczął, od 1883 roku, stąpającego po wytkniętéj drodze. Zostawiając na stronie romans romantyczny, romans awantur i wypadków i wszystkie inne jego rodzaje i gatunki, zamyka się w sferze analizy duchowéj. „Moim ideałem sztuki jest romans analityczny, oparty na danych, będących zdobyczą współczesnéj psychologii,“ powiada dosłownie w jednéj ze swych przedmów, a w innéj upewnia nas, że ten ideał bierze na seryo, i że każda jego powieść jest ułamkiem anatomii moralnéj. Z góry tedy wiemy, że powieściopisarz stawiać się będzie z kolei przed różnemi zagadnieniami moralnemi i że zechce dociekać, jak je rozwiązywać będzie w ten lub inny sposób ukształtowany osobnik duchowy. Nic ciekawszego jak takie studya o celu poważnym, ale talent autora polegać będzie nie tylko na dopięciu ale i na zamaskowaniu takowego, na podaniu zdrowiodawczego jądra w formie przystępnéj i nęcącéj. Wiadomo jest, że nie zawsze mu się to udało i że jeden przynajmniéj z jego romansów — *Le disciple* — jest o wiele więcéj filozoficznym traktatem, wymagającym uprzedniego przygotowania naukowego, aniżeli powieścią taką, jaką przeciętny czytelnik bierze do rąk dla rozrywki. Wyrzucano mu surowo tę metodę pisarską, ale nie zdołano zbić go z toru. Widocznie pragnieniem jego jest pisać dla arystokracyi intelektualnéj świata, i tylko dla niéj, a o resztę się nie troszczyć. Można przypuszczać, że szeregi tego wyborowego hufca się zwiększają, skoro Bourget jest już tak szeroko czytanym.

Pierwszemi jego powieściowemi próbami są dwie nowele, albo dwa studya, które pojawiły się naprzód w *Nouvelle Revue* pani Adam

jak większa część jego prac, a potem w osobnym tomie. Pierwsza nosi tytuł *Irréparable*, druga — *Deuxième Amour*. Potem dał nam z kolei większe powieści: *Cruelle enigme*, *Crime d'amour*, *André Cornelis*, *Mensonges*, *Le disciple* i nakoniec *Un coeur de femme*, która nam daje pohop do obecnego przeglądu. Zapowiedziana jest nowa powieść, *Cosmopolis*. Coraz pewniejszy siebie, autor widocznie nie zalegnie odtąd pola.

Dwie piewsze nowele *Irréparable*, *Deuxième amour* są, jak wszystkie prawie utwory Bourget'a, zaprawne melancholią. Do nikogo lepiéj jak do niego, nie dadzą się zastosować te tragiczne słowa Lamenais: „Dusza moja przyszła na świat z blizną!“ Gdy się zapuszcza oko badawcze w głębiny serc ludzkich, spotyka się tam z tylu i tak krwawemi bólami, że mimowolnie oddziaływają na spostrzegacza i tłumią w nim wszelki poryw wesołości. Nie ma téż jéj śladu u Bourget'a, i nawet gdy chce czasami, dla odpoczynku, narysować postaci jowialne, to brakuje im wewnętrznego życia, zdają się być karykaturami. Ta tęsknota, co wieje z każdego jego utworu, jest ich poezyą i odurza tak jak zeschłe liście róż, odnalezione pomiędzy kartami pożółkłych ksiąg. Nie są te dwie nowele wypracowanemi symfoniami, ale raczéj tylko preludyami, motywami muzykalnemi, nie rozprowadzonemi, ale umyślnie przerwanemi i zostawiają słuchacza drżącego, pod wrażeniem nerwowém, starającego się resztę w swym duchu dośpiewać. Pierwsza pokazuje, jak tragiczne postanowienia powstać mogą w wątłym organizmie dziewiczym, pod wpływem idealnéj uczuciowości, gdyż shańbiona bez żadnej winy z jéj strony, Noemie Hutrel, dobrowolnie odbiera sobie życie, czując się niegodną tego, którego kocha. Druga przedstawia uroczą a smętną postać wykolejonéj kobiéty. Upojona uczuciem, które jéj się miłością być zdawało, zrywa z mężem, ze światem i w samotnéj ustroni żyje z wybranym, któremu wszystko poświęciła. Ale wkrótce się przekonywa, że poświęcenie to było niepotrzebne i że stała się brzemieniem dla tego, któremu chciała być dozgonną towarzyszką. Jednocześnie zakwita w jéj sercu miłość druga, która się jéj wydaje i wyższą i czystszą i z charakterem jéj duchowo spowinowaconą. Zdaje sobie jednak sprawę, że kobieta która raz zdeptała prawa powszechnéj moralności, choćby się pomyliła, musi logicznie i wytrwale przy omyłce swéj pozostać i życiem i szczęściem ją opłacić, a nie ma już prawa do nowego kołatać raju. Nawet gdyby chwilowo się tam przedostała, strąconąby została, jak anioł upadły, niebawem i miałaby przed sobą czarę zaprawną goryczą podejrzeń i wyrzutów. Woli zerwać raz na zawsze i odrazu wszystkie swe węzły ze światem, nie tylko z drugą ale i z pierwszą miłością i zniknąć jak atom w przestrzeni bezbrzeżnéj. Cały ten proces psychologiczny przedstawiony

jest tylko w głównych zarysach i wszystkie szczegóły są umyślnie usunięte. Pozostawia też wrażenie silne, niezatarte.

Crime d'amour, napisany w 1886 r., pokazuje nam już autora kuszącego się o odtworzenie dramatu miłosnego we wszystkich jego znanych perypecyach, ale odnawiającego go jedynie przez metodę analizy. Czytelnik, który jedną powieść bierze po drugiej do ręki, bez wyboru, trafem, nie spostrzeże zapewne wielkiéj różnicy między wszystkiemi wiarołomnemi żonami, których mu powszednią historyę tysiąc już razy opowiadano, a historya Heleny Chazel, która nie będąc nigdy zakochana w swym mężu, systematycznym inżenierze, oddaje swe serce, swoją duszę, swoją osobę całą, Armandowi de Querne, w którym widzi wcielenie swych romantycznych aspiracyi, i czytelnik ten z obojętnością idzie w ślad jéj walk wewnętrznych, dobrowolnéj ofiary, upojenia miłosnego, stopniowego rozczarowania, katastrofy, co ją przez zemstę rzuca w objęcia nienawidzonego człowieka, i nakoniec dojdzie do jéj konwulsyjnych drgań, z których ciało wychodzi obolałe a serce zmiażdżone. Lecz poważniejszych znawców grono odrazu w téj powieści młodego pisarza poznało lwi pazur, a Edmund Scherer, który aż do tego utworu uważał Bourget'a za przykładającego się ucznia, dał mu, z wysokości swego tronu, najpierwszego z krytyków, pomazanie na mistrza. Nie można dość wysoko ocenić téj analizy duszy kobiecéj i nie ma najmniejszéj próżni, najmniejszego skoku, żadnego niemego klawisza w gamie jéj uczuć. Rozumiemy jak arystokratyczne lekceważenie plebejuszowskiego męża przygotowało grunt dla sceptycznego wielkoświatowca, jak romantycznie usposobiona kobieta dla uszczęśliwienia kochanego, poświęciła wszystkie swe zasady, jak pragnęła zachować w jego oczach, mimo tego upadku dobrowolnego, białość śnieżną gołębicy. Zetknięcie się jéj z człowiekiem, który zarażony i zmrożony sceptycyzmem towarzyskim, nie umié, nie jest w stanie kochać, doprowadza ich do tragicznego wybuchu. Wyrzucano autorowi jego okrucieństwo, że nie wahał się zbrukać swéj bohaterki i że ją niemiłosiernie doprowadził do usprawiedliwienia niecnych a z początku bezczelnych oskarżeń jéj kochanka; my przeciwnie, widzimy w tym histerycznym wybuchu, poprzedzającym reakcyę, nieodzowną analizę charakteru, bezlitośną może, ale drgającą życiem i wewnętrzną prawdą.

Kilka miesięcy zaledwie dzieli tę powieść od następnéj, od „Andrzeja Cornélis“ poświęconéj przez autora Hipolitowi Taine, najbardziéj czczonemu przezeń ze swych mistrzów, jako najlepszy ze swych utworów. Nie wiemy czy sąd ten potwierdzony zostanie przez potomność, ale nazwali ją pierwszorzędni krytycy nowożytnym Hamletem. Porównanie to nasuwało się z łatwością, gdyż jak Hamlet tak i Andrzej

Cornélis poświęca swe życie odszukaniu i ukaraniu mordercy swego ojca. Nie tylko psychiczny ale czysto dramatyczny interes jaki ta powieść obudza, pokazuje nam w autorze nowe, niepodejrzywane przedtém strony talentu: są tacy co stawiają ją na téj wysokości, co „Affaire Lerouge“ policyjnéj pamięci p. Gaboriau! Ale mówiąc na seryo, autobiogfia mordercy jest przeprowadzona z nic do życzenia nie zostawiającą ścisłością. Natura wrażliwa, o systemie nerwowym nadzwyczajnéj delikatności, skupiona w sobie, wysnuwająca z bujnéj wyobraźni całą sieć kombinacyi apryorycznych i szukająca późniéj ich praktycznego zastosowania, doprowadzona jest logicznie do podejrzewania w swym ojczymie zabójcy swego ojca. Walki jakie sam z sobą stacza, cierpienia jakie znosi, gdy chwilowo przypuszcza, że matka, ubóstwiana jego matka, była choćby najdaléj do téj zbrodni wmieszana, wszystkie te stadya moralne, przechodowe, oddane są z jasnością konturów i delikatnością szczegółów bez najmniejszego zarzutu. Trudniéj może dałoby się w pierwszéj chwili usprawiedliwić, że temperamentześrodkowany w sobie i daleko więcéj do spostrzegania i medytacyi aniżeli do energicznych kroków skłonny, znajduje się przypartym do popełnienia morderstwa. Ale wyjątkowe okoliczności, idea naprężona, która była przez lat wiele jedynym bodźcem działalności i którą w czyn zamienić trzeba odrazu, albo życiu całemu kłam zadać, są w stanie je wytłómaczyć. Nawet rozróżnienie, jakie Andrzej czyni pomiędzy tym, co materyalnie ojca jego zamordował i który zostanie bezkarnym, a tym co moralnie to morderstwo obmyślił i cały plan zbrodniczy ukuł, i którego morduje w porywie nieokiełznanego szału, pokazuje, że zasadnicze rysy zostały wiernie przez autora zachowane aż do końca. Lecz końca psychicznego nie dał tym razem. Zatrzymał się właśnie na momencie zwrotnym, nie pokazał następstw moralnych, jakie wywrze to dzieło gwałtu na tym, co je popełnił. W prawdzie na kilku końcowych stronicach pozwala przypuszczać, że nieutulona żałoba w jaką się pogrążyła matka po rzekomém samobójstwie uwielbianego męża, jest dla Andrzeja wyrzutem sumienia i pokazuje mu, iż celu swego w jednéj przynajmniéj części chybił, ale dyagnoza mordercy po popełnionéj zbrodni nie wchodziła do planu autora. Ponieważ jednak lubi on powracać do tego rodzaju zagadnień i nieraz w dodatkowych szkicach daje nam monografie moralne figur, co w obrazach wykończonych nie istnieją same przez się, ale jedynie jako tło towarzyskie, zatem można przypuszczać, że pokaże nam przy innéj sposobności, jak wyrzuty sumienia oddziaływają na charaktery szlachetne i na wyrafinowane umysły.

„Mensonges“ — oto niespodziewany tytuł powieści jaką dał Bour-

get w 1887 r. Jest to najgrubszy z jego tomów ale nie możemy powiedzieć ażeby był najlepszy. Narobił on nadzwyczaj wiele hałasu w literackiém Landernau i trzeba było już tego dobrze i raz na zawsze zdobytego stanowiska u kobiet, jakie sobie autor wyrobił, stanowiska gruntownego znawcy ich duchowych natur, aby mu przebaczyły rzuconą im obelgę. Bohaterka powieści, powabna pani Moraines, typ światowéj damy pochwycony żywcem na paryskim bruku, uosabia w nim przewrotność i brak moralnego zmysłu, a jako środek, jako narzędzie, którém się posługuje, aby zadowolnić swe zmysły i zachować jednocześnie stanowisko nieposzlakowane w towarzystwie, do którego należy, są kłamstwa. Nie pozwalając sobie na żadne dogmatyczne oceny charakteru, jakby to był niewątpliwie uczynił romansopisarz dawniejszego autoramentu, ograniczając się, jak to przystoi pisarzowi co należy do klanu „modernistów“, na zebraniu jaknajwiększéj liczby charakterystycznych szczegółów i polegając na nich, że dadzą ramy dostateczne ażeby psychologiczny portret znalazł w nich miejsce naturalne, autor stworzył kilka typów, które nie powiemy ażeby były całkowicie oryginalne, ale które są doskonałém wcieleniem osób działających w r. 1887. Żaden autor nie posiada większego odeń daru zaznaczenia chwili rozwojowéj społeczeństwa: daje istotne dokumenta do historyi wewnętrznéj naszych dni. Pani Moraines pozostanie uosobieniem paryżanki *fin de siècle.* Ma przystojnego, młodego, zdrowego męża, którego kocha, a mimo tego ma w p. Duferges podstarzałego amanta dla tego, że wydatki są ogromne w Paryżu i że podsyca on budżet rodzinny. Dramat wchodzi do jéj życia, gdy się daje porwać miłości młodego poety René Viney. On kładzie w tę miłość wszystkie swe siły serca i ducha, dla niéj jest to z początku ponętna rozrywka a następnie kajdany, które strząsnąć pospiesza. Analiza uczuć tego pięknego potworka nie zostawia nic do życzenia. Nie możemy tego powiedzieć o bohaterze powieści, poecie, co się nawet zabić nie umié. Autor przeciwstawił damie światowéj, rozwiązłéj, Colettę, aktorkę, od któréj świat moralności nie wymaga a która mimo swego cynizmu ma jéj więcéj aniżeli pani Moraines, a światu wyrafinowanemu, do którego przedarł się na swe nieszczęście bohater, grono pustych, uczciwych ale bynajmniéj nie wyrafinowanych mieszczan, rodzinę Offarel. Nie zdaje się nam, ażeby talent Bourget'a zyskiwał na tém rozszerzeniu akcyi i na wprowadzeniu wielu drugorzędnych postaci do opowiadań. Rysunek jego nie ma energicznych zarysów Michała Anioła i nabiera wyrazistości przez nagromadzenie delikatnych cieniów. Gdy dla tych ostatnich nie staje mu czasu i miejsca, schodzi do rzędu zwykłych powieściopisarzy. Mi-

mo tych usterek, nie ma wątpienia, że *Mensonges* są powieścią nadzwyczaj interesującą pod względem dyagnozy psychicznéj.

W roku zeszłym nakoniec, Bourget napisal powieść *Le disciple*, poprzedzoną przedmową, która nietylko jest kluczem do powieści ale i do charakteru autora. Występując w niéj jako spirytualista, rzuca rekawicę cynicznemu realizmowi oraz sceptyzmowi arlekina, który wywija koziołki w pośród zasad i idei, drwiąc sobie z jednych i drugich a nie rozumiejąc nawet ich życiowéj wagi. W energicznej, w gorącéj téj obronie prawd i zasad, któremi społeczeństwa żyją i jedynie żyć mogą, potępia pesymistów komedyanckich, dekadentów niedowarzonych i całe te szumowiny intelektualne, które przejdą bezpotomnie i przejść muszą, bo są jedynie chorobą i mętem na wierzch organizmu wyrzuconym. Przedmowa ta wywołała zgrozę w pośród tych kółek literackich, co sobie pochlebiały, że Bourget ciąży do nich sympatyami i że istnieje pomiędzy nimi a nim duchowe powinowactwo: odtąd już nie podobna jest im pochlebstwem tém się karmić. A sama powieść postawiła niesłychanie ważne zagadnienie moralne: wpływ doktryn filozofii racyonalnéj na moralność indywidualną. Autor pokazuje nam w osobie p. Adryana Sixte wielkiego uczonego, który w swych trzech dziełach: Psychologii Boga, Anatomii woli i Teoryi namiętności, zerwał nietylko z dogmatyzmem religijnym, ale z całą etyką i który na gruzach zburzonego przez się świata materyi i ducha, zostawia jednostkę zupełnie wyswobodzoną z więzów, samowładną panią swych namiętności i żądz, bez hamulca, bez odpowiedzialności, bez wyrzutów sumienia, bo bez sumienia wcale. Pomysł to był doskonały przedstawić tego mędrca jednocześnie w swém życiu osobistém jako baranka niewinnego, który nie zdaje sobie najmniejszéj sprawy z praktycznych następstw, jakie te doktryny jego wywołać mogą wpośród społeczeństwa: idzie na oślep z zapaloną głownią wśród prochowni i nie może pojąć, że wybuch następuje! Robert Greslou jest bohaterem powieści, on jest uczniem mistrza. Wyniańczony na jego zasadach, wczytany w jego dzieła, bierze je za ewangelię i stosuje je w życiu. Gdy popełnia dla zadowolenia swych chuci najhaniebniejszą zbrodnię i gdy ma za nią odpowiadać przed społeczeństwem, z celi więziennéj pisze memoryał do swego mistrza i tłómaczy w nim jak każdy z jego postępków był wypływem i postulatem teoryi filozoficznego nihilizmu, w dziełach Sixta zaczerpniętych. Wtedy to w duszy mistrza, co szedł za nicią bezwzględnéj, abstrakcyjnéj logiki, a nie pytał się jak się ukształtuje społeczeństwo do anarchii umysłowéj doprowadzone, następuje przełom, wtedy dopiéro zaczyna się zapytywać sam siebie, czy miał słuszność w swych wywodach, i czy on nie jest istotnie odpowiedzialnym za popełnioną zbrodnię.

Jest to istotnie tragiczny moment. gdy autor zostawia starego mędrca zagrzebanego wśród ruin swych doktryn filozoficznych.

Łatwo wyobrazić sobie rozgłos téj powieści w świecie naukowym. Powiadamy w naukowym, gdyż dla niego tylko jest ona dostępna. Bourget pokazuje w niéj zadziwiającą erudycyą filozoficzną i obraca się wśród teoryi Spinozy, Herberta Spencera i całéj filozofii współczesnéj jak na swym własnym gruncie. Szukano nawet czy Adryan Sixte nie jest portretem tego lub owego z filozofów dzisiejszych, tak jest pełno napomknień, cytat, taka atmosfera filozoficzna wieje z tego utworu. Wywiązały się żywe polemiki. Z jednéj strony stronnictwo katolickie, kościelne, wydało okrzyk tryumfu i usiłowało w Bourget'cie widziéć sprzymierzeńca, który wraz z niém doszedł do przeświadczenia o zgubnych następstwach braku wiary w dogmata; z drugiéj, obóz wolnomyślicieli zaprotestował, żeby doktryny filozofii materyalnéj miały osobnika prowadzić logicznie do popełniania bezprawi i występków. Polemika ta tém była gorętsza, że jednocześnie sądził się proces gdzie obwiniony młodzieniec zasłaniał swą zbrodnię maską doktryn pesymizmu: oba obozy chciały widziéć w powieści Bourget'a *oratio pro domo*. Broni się on od tego podejrzenia i utrzymuje, że mu szło jedynie i wyłącznie o zbadanie wpływów, jakie teorye krańcowe są w stanie wywrzeć na umysły do téj siejby wyjątkowo przygotowane, i od wszelkiéj napaści na swobodę myśli broni się jak od rzuconéj nań potwarzy. Można więc cały ten spór zostawić na stronie i wypowiedziéć sąd pochlebny o powieści, która tak silny interes wywołała w kołach, co się zazwyczaj takiemi fatałaszkami jak powieści nie zajmują.

Sam autôr widocznie zrozumiał, że poszedł za daleko w swéj naukowéj spekulacyi i że wypada co prędzéj do mniéj abstrakcyjnych, do mniéj skomplikawanych powrócić zagadnień, i opuścił filozofów, teologów, aby zrobić nową wycieczkę na pole, gdzie dotychczas plenne miewa ziarna, do serca kobiecego. Ten zamiar uskuteczniony został w powieści, którą dał nam obecnie: *Un coeur de femme* i która jest w całem słowa tego znaczeniu psychologiczném studyum, metafizycznym traktatem o dwoistéj miłości.

Cały dramat toczy się w sercu kobiety, margr. Julii de Tillières. Autor wybornie odmalował tę postać delikatną, wrażliwą, czułą, sentymentalną. Bezdzietna, młoda wdowa, żyje ze starą swą matką, i goi rany jakie jéj zadało pierwsze nieszczęśliwe małżeństwo. Otoczona przez grono poważnych przyjaciół, którzy u téj Egeryi przychodzą szukać natchnienia i odpoczynku i wszyscy są mniéj więcéj w niéj zakochani, jak się to działo z panią Recamier, pani de Tilières, biała, eteryczna, ma jednak tajemnicę sercową. Pomiędzy jéj przyjaciołmi

i poufałymi domownikami jest hrabia de Poyanne, deputowany prawicy, człowiek podniosłego umysłu i wielkich aspiracyi. Otworzył on przed nią nietylko skarby swéj szlachetnéj inteligencyi ale i rany krwawe serca: został on ohydnie zdradzony przez żonę-awanturnicę. Pani de Tillières usiłuje go pocieszyć, uspokoić i więcéj przez miłosierdzie aniżeli przez miłość, a jeszcze mniéj przez namiętność, oddaje mu się cała. Ten stosunek ukryty przed światem jest w oczach ich obojga rodzajem tajemnego małżeństwa, w którém Poyanne mieści całe swe szczęście a które pani de Tillières znosi z pewną rezygnacyą poświęcenia. Ale zdaje sobie sprawę, że to nie jest miłość prawdziwa, całkowity związek dwóch wybranych jednostek, gdy spotyka człowieka który budzi w niéj inną stronę uczuć, dotąd całkiem drzémiącą. Raymond Casal jest wielkoświatowym Don Juanem, słynnym nietylko ze swéj wytworności ale ze swych licznych awantur miłosnych: ten buduarowy bohater zarówno swą marsowatą pięknością jak aureolą zepsucia, co go otacza, zaczyna interesować sentymentalną Juliettę, w któréj drzemała wszelka zmysłowość. Naprzód chce go umoralnić, nawrócić, potém czuje, że do niego lgnie i walczy do ostatniéj chwili z tém uczuciem miłości, którego się sama przed sobą wstydzi. Gdy Poyanne widzi, że stygnie dla niego, margrabina stara się dać mu dowody przywiązania, ale wysiłki te są dla niéj męką. Nareszcie katastrofa wybucha wskutek pojedynku, jaki ma nastąpić pomiędzy dwoma rywalami. Chcąc mu zapobiedz, udaje się pani de Tillières do Casala i tam sama nie wiedząc jak i kiedy, staje się jego kochanką. Chce sobie wskutek tego odebrać życie i nie może znieść wzroku człowieka, którego kocha ale kochać nie chce, a gdy szlachetny Poyanne skazując się na wygnanie, powraca jéj wolność, wyjeżdża na samotne ukrycie, zaś po śmierci matki, raz na zawsze pomiędzy kochankiem a sobą, stawia kraty klasztoru.

Z téj treściwéj osnowy, czytelnicy nie potrafią zdać sobie sprawy z arcydzieła powieściowego, jakiém jest ten utwór Bourgeta. Są tam odcienie uczuć delikatności nie do opisania; całe opowiadanie jest, można powiedzieć, skropione łzami. Niepodobna oprzéć się wzruszeniu na widok walki wewnętrznéj, jakiéj autor czyni nas świadkami. Trzy charaktery tylko stają przed nami, ale tak drobiazgowo są wystudyowane, że raz na zawsze ryją się w pamięci i wchodzą do galeryi typów co z literatury przechodzą w życie. Henryk de Poyanne jest charakterem szlachetnym i wzniosłym, i talent autora polegał na oddaniu mu sprawiedliwości, ale nie jest ani pociągającym, ani stworzonym na kochanka. Jedyna rzecz, jakiéj się dziwić można, jest, że mu pani de Tilières ofiarowała inne uczucie niż przyjaźń i szacunek! Pojąć łatwo,

że przez samo prawo przeciwieństw przeciwstawia mu zdobywcę serc, pięknego Casal'a. Charakter tego ostatniego jest nakreślony po mistrzowsku. Rozumiemy naprzód ciekawość, jaką w nim budzi ta blada, smętna kobiéta, do zwykłych lalek światowych nie podobna, jak ma zamiar zbogacić nią galeryę swych zdobyczy, jak stopniowo jest zdjęty szacunkiem, czcią, przeniknięty poezyą co z niéj promienieje, zaczyna kochać ją prawdziwie i kończy ofiarowaniem jéj małżeństwa. Odrzucony szuka przyczyny swego zawodu, wpada na trop intrygi i sam gwałtownie druzgocze bożyszcze, co wzniósł po nad wszystkie inne. Oszołomiony został i swym tryumfem niespodziewanym i więcéj jeszcze tém, że nie miał on jutra, że został odtrącony bezpowrotnie. Logicznie charakter ten jest przeprowadzony i zachowuje swą indywidualność wyrazistą. Ale wszystkich barw subtelnych, wszystkich półcieni swéj palety użył autor do wtajemniczenia nas w grę uczuć swéj bohaterki: obraz to bez zarzutu. To co ją odróżnia od nieskończonéj ilości kobiét zawdzięczających swój byt wyobraźni twórczéj poetów i powieściopisarzy polega na tém, iż nie jest bynajmniéj tą doskonałością, tym ideałem bez żadnéj zmazy i skazy, do jakich przywykliśmy — nie w życiu wprawdzie, ale w romansach — lecz, że jest kobiétą czułą, delikatną, pełną szlachetnych aspiracyi a upadającą mimo tego nie pod wpływem żadnych potęg na nią sprzysiężonych, ale swych własnych instynktów. Świetną stroną tego serca kobiecego jest to, że nie chciało się pogodzić z upadkiem, że nie kochało ani na chwilę grzechu, że go opłaciło pokutą całéj reszty żywota.

Trzeba czytać tę powieść i odczytywać, aby zebrać całe żniwo spostrzeżeń, uwag i aforyzmów, jakie autor usiał na jéj stronicach. Nieraz zadziwiają one w pierwszéj chwili; po zastanowieniu uznaje się ich prawdę. Czasami analityczne te odcienia są motyléj lekkości, ale taki jest talent autora, że są one dla czytelnika dotykalnemi.

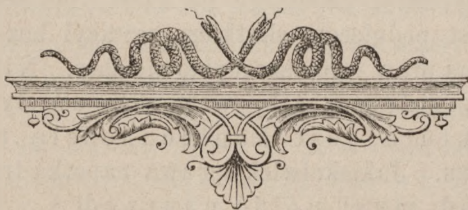
Wśród jednogłośnego hymnu pochwał, jaki powitał ostatnią powieść Bourget'a, powtórzono dwa drobiazgowe zarzuty, które mu przy każdéj dawniejszéj czyniono, mianowicie, że jest anglomanem i że z prawdziwém zamiłowaniem rozkoszuje się w szczegółach, odnoszących się do wielkoświatowego trybu życia. Anglomania Bourget'a nie razi nas bynajmniéj, gdyż nie widzimy w niéj przybranéj tylko roli, ale prawdziwe pokrewieństwo duchowe ze światem anglo-saksońskim. Czytając jego szkice z pobytu w Oxfordzie, na wyspie Wight, z wycieczek nad jeziora angielskie, jego notatki londyńskie, wiemy, że się krajowi temu przyjrzał z wielu stron i dokładnie. Obznajmiony jest nietylko z jego zwyczajami i obyczajami, ale z jego sztuką, poezyą, literaturą, filozofią. Gdy się rozwodzi nad komfortem angielskim, to

nie czyni tego dla rzucenia pyłu w oczy swym rodakom *glebae adscriptis*, ale dla tego, że jest to zewnętrzna forma cywilizacyi, z którą się przez wielokrotny pobyt w Anglii oswoił.

Co do szczegółów elegancyi i życia wyrafinowanego, które się w jego powieściach spotkać zdarza i które rażą purytańskich krytyków, to trzeba przyznać, iż autor uważa je jako składową część swych obrazów. Śmieją się z gorsetu czarno-atłasowego pani Moraines, ze złotego pióra z perłą pani Termonde, z dziewiędziesięciu par butów Casal'a i utrzymują, że trzeba być oślepionym samemu takiemi przedmiotami, aby je zauważać. Autor mógłby na swe usprawiedliwienie powiedzieć, gdyby na krytyki odpowiadał, że podług niego jeden szczegół zewnętrzny, realistyczny, umieszczony w pośród wywodów psychicznych, obudza uwagę czytelnika i daje charakteryzowanéj indywidualności natychmiast piętno odrębne.

Ale gdyby nawet zarzuty anglomanii i lubowania się w wykwintnéj formie życia były z duchową jego twórczością bliżéj splecione, aniżeli się nam to być zdaje, to nie zmniejszyłoby bynajmniéj jego talentu spostrzegawczego i delikatności jego analizy psychicznéj. Na tém polu jest bezzaprzeczenia najpierwszym z żyjących powieściopisarzy europejskich.

Ten.





LISTY CZESKIE.

XIX.

Difficile est satyram non scribere.

Ktokolwiek w ostatnich czasach obserwował umysłem przedmiotowym, spokojnym, niezamąconym bieżącemi wypadkami, sztucznie z teatralnemi efektami uscenizowane wzburzenie między młodo-czechami i wynikły stąd opłakany odmęt i niezaradność w szeregach staroczeskich posłów sejmowych, ten mi nie zaprzeczy prawa wypisania powyższéj dewizy na czele sprawozdania o różnych kolejach rokowań ugodowych w Czechach.

Jego cesarska mość Franciszek Józef 7 czerwca r. b. powiedział do Riegera, przyjmując delegacye na zamku peszteńskim: „Naród (w Czechach) jest podniecony skutkiem agitacyi bez żadnéj do tego zasady, bo nikt mu praw jego uszczuplać nie chce. Nikt o tém nie myśli. Byłoby pożądane, żeby wzburzone umysły uspokoiły się i żeby ugoda, która jest koniecnnością państwową, przyszła do skutku. Jakiekolwiek sprawa napotka trudności, musi pójść naprzód, musi pójść naprzód!

Z drugiéj strony dr. Juliusz Gregr, rzekomy władca opinii publicznéj w Czechach (mianowicie o ile tu chodzi o naród czeski), rzekł w lokalu redakcyjnym „Narodnich listów“. „Już ja będę w tém, żeby wzburzenie nie ustawało i żeby umowa nie przyszła do skutku“.

Tak się w krótkich słowach streszcza sytuacya.

Chcąc cały stan rzeczy obiektywnie ocenić, wypada przedewszystkiém odpowiedzieć na pytanie o co tu właściwie idzie? Odpowiedź będzie zarazem wyjaśnieniem słów cesarza, że zgoda w Czechach jest koniecznością państwową.

Królestwo Czeskie ma w okrągłych cyfrach 5 milionów mieszkańców, a w téj liczbie 3 miliony Czecho-słowian i 2 miliony Niemców.

Dwa miliony Niemców zamieszkuje północne i zachodnie okolice Czech, czyli tak przez nich nazwane „zamknięte niemieckie terytoryum językowe“ i ma oparcie w wielkiém, potężném cesarstwie niemieckiém, okoliczność, która przy ocenie całéj sprawy doniosłą odgrywa rolę. Te dwa miliony były zawsze niemieckie i narodowość ich nigdy w Austryi żadnéj nie doznała krzywdy. Przeciwnie, Czechosłowianie liczący obecnie 3 miliony, byli przed r. 1848 do takiego stopnia germanizowani, że jak wiadomo, nietylko Niemcy, ale i Czesi, jak np. ksiądz Dubrowsky uważali Czecho-słowian za naród wymierający; że gorliwi patryoci, którzy z całém poświęceniem pracowali nad odrodzeniem narodu czeskiego, słabą żywili nadzieję co do pomyślnego wyniku swych usiłowań i że każdy obiektywny obserwator ówczesnych stosunków w Czechach musiał sobie powtarzać: są wprawdzie w Czechii wsie czecho-słowiańskie, ale nie ma zgoła miast słowiańskich. Słowem żywioł niemiecki był w całym kraju przeważnie panującym pod względem politycznym i społecznym. Przed r. 1848 zdawało się niemożliwém, żeby żywioł czesko-słowiański w Czechii mógł mieć pretensye do stanięcia z niemieckim na równym poziomie społecznym lub politycznym.

Wszystko to trzeba sobie jasno uprzytomnić, chcąc ocenić właściwe znaczenie dzisiejszéj sprawy ugodowéj. Ja zaś na podstawie powyższego, mogę tylko dodać jako ilustracyę obecnego stanu rzeczy: Niemcy mieli niewątpliwie pewne prawo powiedzieć: „jesteśmy w Czechii narodem panującym, władcami kraju; my mamy inteligencyę; my zajmujemy dominujące stanowisko społeczne, my mamy pod względem ekonomicznym wydatne znaczenie. Czecho-słowianie, których istnieniu, właściwie nie chcemy przeczyć, są w kraju narodem tolerowanym“. Na to młodo-czesi odpowiadają dziś w r. 1890: „My Czesi, musimy być panami w kraju; wy Niemcy jesteście w Czechii tylko tolerowanym narodem. Z wami, Niemcami, nie chcemy żadnéj ugody, bo wasze tak zwane „zamknięte terytoryum językowe uważamy tylko za materyał przyszłego zczeszenia całego kraju“.

Tak dziś stoją rzeczy i między temi dwiema ostatecznościami toczy się tak zwana ugoda.

Podobnie jak młodo-czesi po naszéj stronie, stoją po stronie Niemców niemieccy narodowcy (których nazwaćby można również młodymi Niemcami) na stanowisku przeciwników ugody; jest to mianowicie stronnictwo niemieckie w Czechach, marzące o zlaniu się Cze-

chii z cesarstwem niemieckiém, lub przynajmniéj o połączeniu z niém niemieckiéj części tego kraju, partya, która na podstawie tych dążeń albo nie przyznaje narodowi czeskiemu prawa do bytu politycznego, widząc w nim zawsze materyał do przyszłéj germanizacyi, albo przynajmniéj uważa za zbyteczne wszelkie rokowania ugodowe w przedmiocie politycznego równouprawnienia Niemców i Czecho-słowian w królestwie czeskiém.

Widzimy tu więc ostro przeciw sobie zwrócone dwie ostateczności, a tak zwana ugoda ma między niemi pośredniczyć, usiłując praktycznie przeprowadzić dwie zasady:

1) że królestwo czeskie jest i pozostanie integralną częścią składową cesarstwa austryackiego;

2) że w tém królestwie równouprawnienie polityczne obu narodów kraj zamieszkujących ma być w ten sposób urzeczywistnione, ażeby prawo do istnienia każdego zostało jednakowo obwarowane, coby uniemożliwiło wrogi dwóch narodowości stosunek.

Każdy więc, kto nie zapomniał z jakich głębin politycznego i społecznego poniżenia wydźwignął się naród czeski w ostatnich 50 latach, dzięki pełnéj poświęceń pracy swoich patryotów, na ogólnie uznawane stanowisko, na którém się dziś znajduje; kto pomyśli, ile zdobył sobie ten naród od czasu, kiedy w Czechach język niemiecki wyłącznie panował w urzędzie, w szkole i w życiu społeczném, aż do chwili obecnéj, gdy posiadamy nietylko średnie zakłady naukowe czeskie, ale czeski uniwersytet, wyższą szkołę techniczną czeską, kiedy urzeczywistnia się myśl czeskiéj akademii umiejętności i sztuk; kto rozważy żeśmy zawsze uroczyście głosili i uznawali zdobycie równouprawnienia politycznego, jako cel naszych dążeń narodowych; i kto dziś widzi, że taki człowiek jak dr. Rieger, który przeszło od 50 lat pracę swoją i mienie własne najbezinteresowniéj poświęca dla dobra swego narodu, piętnowany jest publicznie przez młodo-czechów, jako „zdrajca tego narodu“ i to tylko dlatego, że chce zawrzéć ugodę z Niemcami, dla zabezpieczenia narodowi czeskiemu równych praw do egzystencyi politycznéj, kto patrzy na tych młodo-czechów występujących z nowym programem działania i agitacyi, który głosi, że Czesi muszą być panami w kraju, co znaczy to samo, jak gdyby Rieger chciał się temu prawu do panowania swego narodu sprzeniewierzyć; kto wreszcie słyszy krzyki jakiemi naród a właściwie wielka ciżba przytakuje nowemu programowi młodo-czechów, — ten ma prawo zapytać, jeżeli sam nie zupełnie jeszcze głowę stracił: „dokąd to wszystko prowadzi?“

Stary mój przyjaciel, dymisyonowany generał serbski Zach, morawianin z pochodzenia, pisał do mnie niedawno: „z d ą ż a c i e w Cze-

chach do katastrofy!“ ja zaś podzielam w zupełności to zdanie i nie waham się bynajmniéj bliżéj katastrofę określić. Jeżeli młodoczesi doprowadzą do tego, że sfery wiedeńskie powiedzą sobie: „ci Czesi w Czechii są żywiołem nietylko nieprzyjemnym, ale i niebezpiecznym z powodu jawnych dążeń ultraradykalnych i demokratycznych; jeżeli nastąpi wskutek tego w Wiedniu zwrot bardzo w Berlinie pożądany, polegający na systemacie uciskania, o ile się da, żywiołu czeskiego — w takim razie wśród tak zwanéj inteligencyi narodu czeskiego, znajdą się setki i tysiące takich, którzy dziś jeszcze są gorliwymi Czechami, a jutro nimi być przestaną, a tacy mądrze obliczający ludzie znajdą się nawet w szeregach obecnie najzacieklejszych młodoczechów. Smutne to, ale prawdziwe — i to jest właśnie katastrofa, któréj winniśmy się obawiać.

„Jakto — zagadnie ktoś może — czyż nie widzą tego, czyż nie wiedzą o tém młodo-czesi?“

W odpowiedzi, pozwolę sobie wyjaśnić nieco osobliwsze postępowanie młodo-czechów.

W tym celu odpowiem najprzód na kilku pytań, których rozstrzygnięcie może rzucić potrzebne światło na właściwe stanowisko i dążność młodo-czechów.

1) Czy młodo-czesi są istotnie przekonani, że zawarte w Wiedniu punktacye szkodę tylko przyniosą narodowi czeskiemu? Stanowczo nie. Kilku z nich, może przez nieostrożność, w toku dłuższych mów to wypowiedziało; ale jeżeli weźmiemy na uwagę, że stronnictwo narodowe czeskie domagało się z ciągłém naleganiem od 1861 r. zmiany niesłusznéj bez wątpienia ordynacyi wyborczéj do sejmu, zawsze było z wnioskami swemi odtrącane i że teraz ogólna zmiana téj ordynacyi wyborczéj została w zasadzie postanowioną — co Czechom zapewni na zawsze większość w sejmie—to nawet każdy młodo-czech musi zgodzić się, że gdyby pozostałe 10 punktów nie miało Czechom przynieść żadnego zysku, ta jedna korzyść, tak wielkiéj doniosłości, powinnaby już nas skłonić do przyjęcia ugody. Ale oprócz tego najważniejszego punktu, inne jeszcze są dla nas stanowczo korzystne; każdy zaś rozsądny człowiek przyzna, że kiedy chodzi o ugodę między dwiema spierającemi się stronami, nie wszystkie punkta mogą zapewniać korzyści wyłącznie jednéj stronie, choćby się zaś miało o młodo-czechach najniepochlebniejsze mniemanie, nie można przypuścić, żeby mieli głowy zupełnie zagwożdżone i téj prostéj rzeczy niezrozumieli.

2) Czy młodo-czesi mają istotnie głębokie przekonanie, że dr. Rieger jest zdrajcą swego narodu dla tego, że ugodę wiedeńską zawarł? Również nie! Do zdrady potrzeba stanowczego zamiaru,

nieuczciwéj woli. Zdrajcą nazwać można tego tylko, kto ze złą intencyą i ze świadomością wyrządzonéj szkody poświęca interesa i korzyści swego stronnictwa lub swego narodu, i to — jak uczy doświadczenie, dla zysku osobistego. Otóż młodo-czesi wiedzą tak dobrze jak ja, jak każdy inny Czech, że o podobném postępowaniu przy ocenie działalności dr. Riegera mowy nawet być nie może. Mimo to dr. Rieger został nazwany zdrajcą narodu już na sesyi wiedeńskiéj rady państwa przez młodo-czecha dr. Vašatego; następnie dr. Gregr ponowił w sejmie czeskim to oskarżenie, które w organie młodo-czechów „Narodnich listach“, oraz w dziennikach tego stronnictwa systematycznie jest powtarzane przy każdéj stosownéj i niestosownéj sposobności. Należyte określenie takiego postępowania pozostawiam czytelnikowi. Jeżeli zaś mam w téj sprawie własne wyrazić zdanie, muszę powiedzieć, że cała dzisiejsza akcya młodo-czechów wymierzona jest raczéj przeciwko osobie Riegera, aniżeli przeciwko ugodzie; urządzili więc poprostu na niego śmiertelną nagankę. Szlachetną zdobycz wybrano sobie na ofiarę, a dobrze przyuczone ręce pełnią też wprawnie swoją powinność ku wielkiéj uciesze politycznego motłochu, w który niestety naród czeski aż nazbyt obfituje. Wszakże już studenci w ten sposób dowodzili swéj gorliwości dla sprawy młodo-czeskiéj, że wykrzykiwali Riegerowi na ulicy szydercze uwagi a kiedy „Narodni listy“ wygłosiły hasło w zwykłym szlachetnym stylu, że Rieger dał się przekupić dobrym koniakiem hr. Taafego, powtarzano tu i owdzie wśród stronnictwa młodoczeskiego, że Rieger sprzedał za kieliszek koniaku prawa swego narodu. Ten sposób zabijania moralnie takiego człowieka jak Rieger, nie jest bądźcobądź szlachetny i wolno powątpiewać, czy naród czeski odniesie stąd istotnie jakąś korzyść; można natomiast z powodzenia téj morderczéj taktyki słuszny wyprowadzić wniosek, że wielkie masy narodu czeskiego nie chorują na zbytek szlachetności, ani inteligencyi. Zupełna niepopularność Riegera u gminu jest obecnie faktem, co wpłynęło również na usposobienie znacznéj części tak zwanéj inteligencyi, wśród któréj jest zawsze mnóstwo ludzi oglądających się skąd wiatr wieje. Ale gdyby Rieger umarł, młodo-czesi nie namyślaliby się długo i windykowaliby go dla siebie, dowodząc, że był zawsze liberalnym, a więc młodo-czechem; postąpiliby z nim tak samo jak z Havlĭckiem, którego chcieli w 1849 r. powiesić razem z Palackym, a o którym mówili późniéj i mówią do dziś dnia, że do nich należał. Ktoby zaś chciał dowiedzieć się jeszcze skąd ta nienawiść młodo-czechów do Riegera i co znaczy naganka obliczona właśnie na jego zgubienie moralne, tego mogę uspokoić zapewnieniem, że jestto u młodo-czechów sprawa osobistéj próżności, dodając je-

dnak mniéj już zaspakajającą uwagę, że występuje przytém cały zastęp kandydatów młodoczeskich na opróżnione stanowisko przywódcy narodu czeskiego, tak, że przyszłe obsadzenie tego stanowiska natrafiłoby na znaczne trudności i mogłoby wywołać niespodziewane wypadki. Wypada mi nadto nadmienić tu jeszcze, że ani jeden z licznych tak zwanych koryfeuszów młodoczeskich, nie może mieć pretensyi do poprowadzenia sprawy lepiéj, niż dr. Rieger; jeden z nich oświadczył nawet niedawno w prywatnym swoim organie, naturalnie w imieniu całego stronnictwa, a więc ku wielkiemu zgorszeniu młodoczeskich kolegów, że młodo-czesi dostawszy do ręki władzę, nie będą mogli robić nic innego, prócz prowadzenia daléj staroczeskiéj polityki; temu aspirantowi do stanowiska przywódcy było widocznie pilno wykazać, że jest *salon-* i *hoffähig*.

Wspomiéć tu wreszcie należy o fakcie bardzo znaczącym, że młodo-czesi w ten tylko sposób wymusili podpisy ludności wiejskiéj na zbiorowéj petycyi przeciwko ugodzie, iż wmawiali w ludzi, jakoby sam Rieger życzył sobie podpisania téj petycyi.

3) Czy młodo-czesi wierzą istotnie, że naród czeski mógłby na téj drodze stać się narodem panującym w królestwie czeskiém i że możnaby tym sposobem uważać 2 miliony Niemców za pozbawiony praw materyał do przyszłego zczeszenia? Jeden z nich wypowiedział tę myśl w sejmie czeskim, jak mniemam przez nieostrożność, ale niezwłocznie ją poprawił i odwołał, skoro mu tylko dr. Rieger zwrócił uwagę na znaczenie i doniosłość takiego wyrażenia. Zdaje się więc, że ten pogląd nie tkwi w młodo-czechach jako głębokie przekonanie i chyba się nie omylę, twierdząc stanowczo, że pod tym względem chodzi młodo-czechom jedynie o środek agitacyjny, za pomocą którego pragną zjednać sobie łatwe do otumanienia masy narodu. Schlebianie łatwowiernemu ludowi jest odwieczną taktyką ambitnych karyerowiczów, prawdziwi przyjaciele ludu wolą mu zawsze prawdę mówić uczciwie i otwarcie. Naród czeski był oddawna w Czechii upośledzonym a nawet faktycznie uciskanym. Jest więc tu plenny grunt dla pochlebców; tysiące ludzi oddawna uciskanych, słyszą chętnie, że nadszedł nareszcie dzień, w którym przestaną być posłusznemi sługami i zaczną w kraju odgrywać rolę panów. Wiedząc o tém młodo-czesi, posługują się tém w celu zjednania sobie względów ludu. Jeżeli chłop czeski mówi sobie: „dr. Rieger i staro-czesi nic mają wyższego celu nad zapewnienie mi równych praw z Niemcami, kiedy tym czasem dr. Gregr i młodo-czesi chcą mię zrobić panem nad Niemcami, tak, żebym miał przyjemność zgotowania Niemcom podobnego losu, jaki dawniéj sam znosić musiałem“ — to nikt nie może się dziwić, że ten chłop obie

ręce wyciąga do tego, co mu podają młodo-czesi i że oświadcza się za dr. Gregrem przeciw dr. Riegerowi. Czy chłop czeski nie dojdzie wreszcie do świadomości, że te przyrzeczenia młodo-czechów zawiodą go podobnie, jak ich zawiodły obietnice przejęcia przez państwo wszystkich długów hypotecznych i pożyczki na 2%, o to młodo-czesi mało dbają, bo chodzi im zawsze tylko o chwilowe powodzenie.

Jeżeli zatém młodo-czesi przypochlebiają się teraz ludowi wmawianiem, że nie potrzebuje zawiérać z 2 milionami Niemców w kraju ugody na podstawie politycznego równouprawnienia, bo naród czeski jest przeznaczony do zajęcia stanowiska jedynie uprawnionego władcy w kraju, to czynią to nie z rzeczywistego przekonania, ale widzą tu poprostu środek pozyskania przewagi nad dr. Riegerem i nad staroczechami.

Młodo-czesi występują teraz zupełnie stanowczo przeciwko ugodzie i używają wszystkich środków, aby tylko ugoda nie przyszła do skutku. Pobudki skłaniające ich do takiego postępowania są następujące:

1) Podrażniona próżność. Nie wezwano ich jako stronnictwa do rokowań ugodowych, jakkolwiek już w końcu 1889 r. uważali się za potężniejszych od staro-czechów. Nie dość ich w Wiedniu oceniono, czyli ściśléj mówiąc, nie chciano zwracać na nich uwagi; nazwano ich nawet „szczególném stowarzyszeniem“: chcą więc pokazać co mogą, chcą dowieść, że trzeba się z nimi liczyć, i to im się bądźcobądź powiodło, bo całe masy narodu czeskiego stoją teraz (w czerwcu 1890) po stronie młodo-czechów i występują z petycyą przeciwko ugodzie.

2) Stare dzieje. Skoro Rieger mówi t a k! młodo-czesi powiadają n i e! Jeżeli Rieger jest za taktyką abstynencyi to młodo-czesi chcą parlamentarnéj działalności; od chwili kiedy Rieger wchodzi do rady państwa, młodo-czesi gardłują za abstynencyą. Gdyby był Rieger w styczniu 1890 r. wyjechał z Wiednia i powiedział narodowi czeskiemu: „ugoda z Niemcami jest niemożliwa“ — młodo-czesi byliby natychmiast dowodzili, że ugoda z Niemcami jest nieunikniona koniecznością. Ponieważ zaś dr. Rieger zawarł ugodę w Wiedniu, więc młodo-czesi muszą bezwłocznie wystąpić przeciwko ugodzie.

Dr. Juliusz Gregr szukał już od 1863 r. najskuteczniejszego środka do podkopania dr. Riegera; wreszcie znalazł go szczęśliwie w 1890 roku. Teraz młodo-czesi powtarzają ludowi czeskiemu ustawicznie i na wszystkie tony: dr. Rieger zdradził swój naród. Dr. Rieger sprzedał prawa narodu za kieliszek koniaku! — i tym razem udało się dr. Gregrowi do tego stopnia zachwiać powagę Riegera u narodu czeskiego, że z zupełną słusznością może twierdzić, iż Rieger nie przema-

wia już w imieniu narodu czeskiego i że przestał być jego przywódcą politycznym. Jakich środków używali młodo-czesi do osiągnięcia tego celu—jest w gruncie obojętném; dla dr. Juliusza Gregra jest rzeczą główną fakt, któremu już niepodobna przeczyć: że cel długoletnich usiłowań został nareszcie osiągnięty. Dr. Rieger stracił stanowczo wszelką popularność i prawdopodobnie w krótkim czasie ustąpi zupełnie z widowni politycznéj. Gdyby to zrobił, uniesie z sobą w każdym razie najzupełniejsze poszanowanie wszystkich ludzi uczciwie myślących, uczyni to z podniosłém przeświadczeniem, że spełnił swój obowiązek w najobszerniejszém tych słów znaczeniu, jako bojownik dążący na czele swego narodu do zdobyciu mu dziejowego znaczenia i politycznego równouprawnienia; że zawsze pilnował tego obowiązku, z poświęceniem własnych osobistych korzyści, że z najuczciwszego przekonania i ze wszystkich sił pracował dla postępu i rozwoju swego narodu.

Żaden człowiek nie zrobił więcéj od dr. Riegera dla swego narodu, bo od 50 przeszło lat zużywał Rieger najbezinteresowniéj cały zapas sił, cały swój czas i śmiało rzec można całe swoje mienie na usługi swego narodu. A kiedy ostatnią swoją świetną mowę w sejmie czeskim musiał zamknąć słowami: „czci mojéj i danego słowa nie mogę dla narodu mego poświęcić“ — to sądzę, że te słowa na żaden szwank nie naraziły nieograniczonego szacunku wszystkich tych, którzy w nim zawsze czczą największego i najszlachetniejszego patryotę.

Dziś właśnie, 18 czerwca 1890 r., upłynęło trzydzieści lat od czasu jak dr. Rieger, z powodu nastąpionego wtedy zwrotu w Austryi, przedstawił j. ces. mości Franciszkowi Józefowi obszerny memoryał, stający w obronie politycznych praw narodu czeskiego, przeciwko którym wiedeńskie absolutno-policyjne rządy Kempena wystąpiły od 1852 r. z wrogą reakcyą. Ten memoryał, wręczony cesarzowi osobiście przez Riegera, może być uważany za podstawę programu politycznego narodu czeskiego, podpisała go zaś wówczas szczupła garstka obywateli praskich, bo tylko dwunastu, i mógłbym tu przytoczyć nazwiska „patryotów“, którzy późniéj, kiedy krok postawiony przez Riegera pomyślne przyniósł następstwa, występowali bardzo hałaśliwie, ale owego wręczonego cesarzowi w dniu 18 czerwca 1860 r. zastrzeżenia praw podpisać nie chcieli.

Dr. Rieger, niegdyś nieustraszony obrońca praw narodowych swego ludu, stracił dziś względy tego ludu. Słychać z tego powodu osobliwsze rzeczy. W wielu miejscowościach agitatorowie młodoczescy wmawiali w lud wiejski, że dr. Rieger chce kraj czeski podzielić na dwie części, czeską i niemiecką. Niemiecka część ma być na-

stępnie odstąpiona cesarstwu Niemieckiemu, sama zaś czeska ma stanowić królestwo czeskie, i dlatego będzie zmuszona płacić tyle podatków, ile dotąd płaciło całe królestwo. Na tém właśnie polega tak zwana ugoda! Jestto jeden z wielu środków, za pomocą których młodo-czesi podkopali powagę i znaczenie d-ra Riegera u ludu czeskiego. Pod tym względem odnieśli oni świetne zwycięstwo; o ile to powodzenie przynosi zaszczytu młodo-czechom i pożytku narodowi czeskiemu, — to znów inna kwestya. Sami Niemcy oburzeni są taką krzyczącą niewdzięcznością narodu czeskiego; ale młodoczesi nie potrzebują obawiać się dla siebie następstw złego przykładu, bo im przecież naród czeski żadnéj nie jest winien wdzięczności.

3. Trzecim motywem takiego sposobu postępowania młodo-czechów i to motywem, którego lekceważyć nie należy, są wpływy zagraniczne. W danym wypadku mamy do czynienia z dwojakiemi wpływami: francuskiemi i z tak zwanemi panslawistycznemi.

Od czasu wojny francusko-niemieckiéj 1870 — 71 r. spotykamy się tu w Czechach z francuskimi agentami dyplomatycznymi. Są to ludzie podrzędnego stanowiska, o których poseł francuski w Wiedniu prawdopodobnie nic nie wié, przynajmniéj urzędownie, i których zarówno on, jak rząd francuski w danych razach kategorycznie się wypiera. Mimo to, agenci istnieją i podniecają nienawiść przeciwko Niemcom, rozporządzając nawet na ten cel środkami pieniężnemi, a pewne okoliczności wskazują, że te środki znajdują u nas zastosowanie. Dawniéj ci agenci udawali się zawsze do d-ra Riegera, chcąc go zjednać dla swoich planów i widoków; obecnie uważają to za zbyteczne i zwracają się wprost do d-ra Jul. Gregra i do młodoczechów. Wyjaśnić to nietrudno. Zawierając ugodę z Niemcami, Rieger stracił téż wszelki kredyt i u agentów francuskich; natomiast dr. Jul. Gregr, usiłujący wszelkiemi sposobami przeszkodzić zawarciu ugody, jest właśnie człowiekiem, którego im potrzeba. Wiadomo, że wielu ludziom schlebia to i podnosi w ich własnych oczach, jeżeli mogą prowadzić tajemną, a jak im się zdaje wielką politykę. Nie uważam za potrzebne rozwodzić się nad wartością takiéj polityki, nie mogę tylko przemilczéć, że w Czechach wszyscy rozsądni ludzie pragną spokojnego i przyjaznego pożycia z sobą obu w Czechii mieszkających narodowości. Co mianowicie Francuzi spodziewają się osiągnąć tém podniecaniem nienawiści do Niemców, trudno odgadnąć, nie ulega jednak wątpliwości, że te francuskie wpływy oddziaływają na młodo-czechów.

Znajdują one zresztą z innéj strony silne poparcie i tu idzie już istotnie o wielką politykę. Przymierze francusko-ruskie i walka

wszechświatowego znaczenia Słowiańszczyzny z germanizmem występuje na tle wypadków bieżących, a udział w takich sprawach dziejowéj doniosłości jest bardzo nęcący. Walka z Niemcami jest tu hasłem, a tém samém wykluczoném być musi wszelkie pokojowe porozumienie. Przyjąwszy raz ten punkt zapatrywania, według którego nastąpić ma wielka, stanowcza walka między cesarstwem Niemieckiém z jednéj, a Rosyą sprzymierzoną z Francyą z drugiéj strony, nie trudno wywnioskować, że w takim razie istnienie państwa Austryackiego, a zatém egzystencya narodowa Czech, poważnie będzie zagrożoną. Istotnie, gdyby przyszło do takiéj walnéj rozprawy między Słowiańszczyzną a germanizmem i gdyby wskutek tego nastąpić miał podział Europy środkowéj pomiędzy te dwa szczepy, to jeden rzut oka na mapę wystarczy do przekonania się, że Czechia i Morawia musiałyby się dostać pod panowanie niemieckie. My zatém, Czesi, nie mamy żadnego powodu pragnąć takiéj rozstrzygającéj walki. Co do wojny między Niemcami a Francyą, wypada jeszcze nadmienić, że przy panujących stosunkach, byłaby to wojna między Francyą i Rosyą z jednéj, a Niemcami, Włochami i Austryą z sobą sprzymierzonemi z drugiéj strony, i że w takim wypadku innego z walki nie osiągniętoby rezultatu, prócz olbrzymich ofiar w ludziach i w zniszczoném bogactwie narodowém, my zaś specyalnie, znaleźlibyśmy się po skończeniu wojny w tym samym do Niemców stosunku, w jakim znajdujemy się dzisiaj. W obec tego, żaden rozsądny człowiek nie pragnie téj wojny i wielkie mocarstwa starają się jéj również uniknąć.

Jeżeli zatém z wyżéj przytoczonych motywów wynika, jako niezbity pewnik, że żadna praktyczna na rzeczywistości oparta korzyść nie może skłaniać nas, Czechów, do popierania dążeń i planów, nie mających nic wspólnego z podtrzymaniem naszego życia narodowego, to nie mogę prócz tego pominąć wyższych względów humanitarnego, czy téż idealnego na świat poglądu, który nam przedstawia pokojowe życie z naszymi niemieckimi ziomkami, jako istotny cel naszych dążeń. Młodo-czesi nie dają naturalnie do siebie przystępu podobnym konsyderacyom, bo te nie licują z ich osobistemi i stronniczemi interesami i nie dają żadnego zadośćuczynienia podrażnionéj ich ambicyi.

Kiedy już dr. Rieger, dr. Mattuš i Zeithammer podpisali w Wiedniu w imieniu narodu czeskiego punktacye ugody i kiedy je klub staroczeski posłów sejmowych w Pradze przyjął w zasadzie 26 stycznia r. b., jako podstawę do dalszych rokowań, nie ulegało żadnéj wątpliwości, że młodo-czesi oświadczą się przeciwko ugodzie. Wiadomo, że i pośród Niemców czeskich grupa tak zwanych narodowców niemieckich, nie uznająca praw narodu czeskiego do politycznego istnienia,

wystąpiła również przeciwko ugodzie. Z różnych stron wypowiadano z tego powodu zdanie, że rząd byłby może rozważniéj postąpił, zapraszając przedstawicieli młodoczeskich do udziału w rokowaniach ugodowych, najprzód dla zadowolnienia ich próżności, a powtóre pozyskaskania sobie i współudziału w sprawie pojednania. Ale nie należy zapominać, że rząd byłby w takim razie zmuszonym zaprosić i reprezentatów niemieckich narodowców, czego na szczęście nie zrobił, a byłoby zbytecznêm dowodzić, że ugodę między Niemcami a Czechami w Czechii, można doprowadzić do skutku jedynie na drodze rokowań między takimi przedstawicielami obu narodowości, którzy po pierwsze uważają takową za możliwą, powtóre szczerze jéj sobie życzą, nie zaś między tymi, którzy brzydzą się samą zasadą ugody i stanowczo nie chcą jéj urzeczywistnienia.

Pod tym więc względem, rząd nie popełnił żadnego błędu, zapraszając do udziału w rokowaniach ugodowych tylko takich reprezentantów obu narodowości, przy których udziale można było spodziewać się pomyślnego wyniku, trzymał zaś zdala tych, których obecność nie dawałaby téj rękojmi. Ale pod innym względem mogło się było bardzo łatwo stać coś takiego, co całéj sprawie inny nadałoby obrót, i coby przeciwnikom wytrąciło z rąk najskuteczniejszą broń, tak, że cała sytuacya inaczéjby się przedstawiała.

Faktem jest, że właściwym i głównym celem wiedeńskich rokowań rządowych było nakłonienie niemieckich posłów sejmowych do uczestniczenia na nowo w sejmie czeskim, od którego się w grudniu 1886 roku odsunęli. Gdyby to wyraźnie postawiono za cel wyłączny rokowań wiedeńskich, zgodnie z istotnym stanem rzeczy, gdyby stanowczo powiedziano, że idzie tu tylko o powrót posłów niemieckich do sejmu czeskiego, gdyby unikano wzmianki o „ugodzie między Niemcami i Czechami,“ uniemożliwionoby z góry wszelką opozycyę, bo przeciwko temu nie mógłby nikt wystąpić ani ze strony Niemców, ani ze strony Czechów, przeciwko temu niktby nie agitował i nikt nie mógłby twierdzić, że się przeszkadza wszelkiemi sposobami powrotowi posłów niemieckich do sejmu czeskiego.

Tymczasem nadano całéj sprawie jawną i zbyt wiele mówiącą nazwę „ugody,“ i skutkiem tego jedynie stać się mogło wszystko, co się późniéj stało. Młodo-czesi mogli przyjść i powiedzieć: „Rieger zawarł w Wiedniu umowę w imieniu narodu czeskiego, do czego nie miał żadnego prawa, żadnego mandatu. Nie stoi za nim naród czeski, nie stoi nawet jego większość. To, co Rieger w Wiedniu zrobił, nie ma, dla nas przynajmniéj, młodo-czechów, żadnego obowiązującego znaczenia. Rieger zawarł ugodę z Niemcami! Czy przytém zawarował

i zabezpieczył wszystkie prawa narodu czeskiego, wszystkie jego aspiracye? Gdzież jest zupełne i nieograniczone równouprawnienie języka czeskiego w urzędzie i w sądownictwie? Czy o nim zapomniał? Gdzież jest koronacya króla? Czy o niéj wcale nie mówił? Nie zabezpieczył więc Rieger praw i dążeń swego narodu, zaprzedał je, zdradził! Tak zwana ugoda jest oczywistém lekceważeniem i pokrzywdzeniem najświętszych praw narodu czeskiego; przeciwko temu musimy protestować, temu musimy przeszkodzić!

Nic już nie pomogły późniejsze zapewnienia, że chodzi tu głównie o nakłonienie posłów niemieckich do powrotu do sejmu czeskiego; że ostateczne, na wszystkie czasy obowiązujące uregulowanie i określenie wszystkich narodowych praw i dążeń Czechów nie było celem rokowań, że kwestya koronacyi na króla czeskiego, jako jeszcze niewczesna wykluczoną była z pod dyskusyi i pozostała nietkniętą; nie można już było cofnąć urzędownie użytego wyrażenia „rokowania ugodowe,“ opozycya uczepiła się fatalnéj nazwy ugoda, która miała wszystko pogodzić, a wielu rzeczy nie pogodziła, jako zatém zła ugoda powinna być odrzuconą.

Zapewne! — powie ktoś może; ale czyż młodo-czesi tego wszystkiego nie wiedzą? czy nie wiedzą, co było właściwym celem rokowań wiedeńskich? czy nie wiedzą, że tak zwana ugoda wiedeńska nie ma znaczenia ogólnego, ostatecznego zawarcia pokoju między Niemcami i Czechami w Czechii, i że nie może być uważana, za rzeczywiste załatwienie i usunięcie wszystkich kwestyi spornych między Niemcami a Czechami?

Na to muszę odpowiedziéć, że młodo-czesi wiedzą to wszystko nie gorzéj odemnie, zarówno jak i to, że dr. Rieger nie jest zdolny do zdradzenia praw swego narodu, jak i to, że tych praw nie sprzedał za kieliszek dobrego koniaku. Ale wiedziéć coś samemu, a powiedziéć to narodowi tak, jak się wié samemu — są to naturalnie dwie rzeczy różne. A kiedyż młodo-czesi mówili prawdę narodowi? Jestto wbrew przeciwne ich zwyczajowi. Bo jakżeby można było utrzymywać lud w sztucznèm podnieceniu, gdyby mu prozaicznie całą prawdę powiedziano? Tak znowu głupiemi nie są młodo-czesi, ażeby dla kultu prawdy zrzec się mieli popierania interesów swego stronnictwa. Zbyt długi list musiałbym napisać, gdybym chciał setkami cytat dowieść, jak „Narodni listy“, organ młodo-czechów, umieją się obchodzić z prawdą, ilekroć chcą ją widziéć taką, jaka im jest potrzebna; i kiedy się widzi, jak p. Edward Gregr dziś mówi, że czeskie prawo polityczne nie jest warte niucha tabaki, a jutro występuje w roli natchnionego obrońcy tego prawa, które, według jego utyskiwań, dr. Rieger lekkomyślnie

poświęcił; kiedy dr. Juliusz Gregr najprzód głosi czarno na białém, że gotów jest odstąpić cesarstwu Niemieckiemu północną Czechię [1]), a nazajutrz bez wszelkiéj przyczyny piętnuje Riegera w namiętnéj mowie, jako zdrajcę narodu czeskiego za to, że chciał się zgodzić na „rozćwiartowanie“ królestwa czeskiego, — trzeba przyjść do przekonania, że młodo-czesi nie tak znów prawdę na seryo traktują i co najwyżéj dziwić się tylko można, że w małym narodzie tyle się jeszcze prostaczków znajduje, którzy mimoto młodo-czechom we wszystkiém na słowo wierzą.

W ostatnich czasach objaw ten uwydatnił się znowu w sposób uderzający, bo gdyby naród czeski nie miał tyleż głów pozbawionych zdrowego rozsądku, tak zwane powodzenia młodo-czechów byłyby poprostu niepodobieństwem.

Czytelnicy tych listów zechcą sobie może przypomnieć, że w ostatniém piśmie przytoczyłem 11 punktów tak zwanéj ugody wiedeńskiéj. Dodałem wtedy, że z téj punktacyi możemy być zupełnie zadowoleni i zauważyłem, że jeden punkt w zasadzie tylko przyjętéj zmiany ordynacyi wyborczéj jużby nas skłonić winien do tego zadowolenia, gdyby nawet inne punkta nie zupełnie na naszą korzyść wypadły.

Wiadomo, że punktacye zawarte protokólarnie w Wiedniu 19-go stycznia r. b., zostały 26 styczn. przyjęte w Pradze przez klub staroczeski, przez klub posłów niemieckich i przez klub przedstawicieli wielkiéj własności ziemskiéj, jako podstawy projektu do prawa, który miał być pojedyńczemi punktami rozstrząsany w sejmie czeskim. Ogólnie téż uznano i w zasadzie się na to zgodzono, że wszystkie 11 punktów należy uważać za całość, która ma być albo ryczałtowo przyjęta, albo odrzucona i sądzę, że byłoby zbytecznem dowodzić bezwarunkowéj konieczności takiego postanowienia.

W klubie młodo-czeskich posłów, dr. Mattuš zdał sprawę 26-go stycznia z punktacyi ugodowych, przyczém naturalnie nie było żad-

---

[1]) W liście otwartym do profesora Włodzimierza Iwanowicza Łamańskiego pisze dr. J. Gregr dosłownie co następuje:

„Gdyby przyszło do nowego regulowania granic naszéj właściwszéj ojczyzny, moglibyśmy do tych części dawnego historycznego królestwa czeskiego, które Niemcy oddawna zaanektowali, dobrowolnie odstąpić jeszcze okręgi, położone z tamtéj strony gór i pozycyą swoją wkraczające w obszary równin cesarstwa niemieckiego. Moglibyśmy zrzec się większéj części kraju nadohrzańskiego, okręgów: Heinspach, Schlukenau, Katharinenberg, Duppau, Kratzau, Reichenberg, Pressnitz, Sebastiansberg, Rumburg, Görkau, Warnsdorf i Friedland z ludnością wynoszącą 718,868 dusz,“ („Narodni Listy“ z 22 września 1888 r.).

nych rozpraw, ani żadna nie zapadła uchwała. Dla nikogo jednak nie było tajemnicą, że stronnictwo młodo-czechów zajmie w obec ugody wiedeńskiéj stanowisko opozycyjne. Klub posłów młodo-czeskich wybrał z pośród siebie sekcye do rozpatrzenia poszczególnych punktów protokółu ugodowego. Praca tych sekcyi trwała trzy tygodnie, a jako jéj wynik, ukazał się w połowie lutego w „Narodnich listach“ manifest do ludu czeskiego, w którym cała ugoda napiętnowana była w najgwałtowniejszych i najnamiętniejszych wyrażeniach, jako zamach na prawa narodu czeskiego, ci zaś z pomiędzy czeskich przedstawicieli tego narodu (Rieger, Mattuš, Zeithammer), którzy ugodę zawarli, oskarżeni zostali o zdradę przeciwko najświętszym interesom swego kraju. W konkluzyi lud czeski był naturalnie wezwany do oświadczenia się przeciw takiéj ugodzie, do wyraźnego protestu. Dla osiągnięcia tego celu, zwołano wiece ludowe i przygotowano olbrzymie petycye zbiorowe do sejmu. „Narodni listy“ rozpoczęły z całym przyborem zaczepnéj taktyki dziennikarskiéj formalną kampanię przeciwko ugodzie i przeciw osobie Riegera, trzymając się pod tym względem z wytrwałą konsekwencyą znanéj zasady: „*Nulla dies sine linea.*“

Rząd uważał za konieczne przeciwdziałać temu postępowaniu młodo-czechów. „Manifest do narodu czeskiego“ został skonfiskowany; na zapowiadane wiece, urzędownie odmawiano pozwolenia, ale sprawa, jeżeli nie pogorszyła się przez to, to niewątpliwie nic nie zyskała. W sejmie czeskim objawia się wyraźna dążność przeciwko wszelakiéj powadze rządowéj, co jest zwykłym objawem u narodów długo i systematycznie uciskanych. Czego rząd nie chce, to musi być właśnie w naszym interesie,—bo rząd nie pragnie naszego dobra: taki jest ogólny w tych kołach pogląd i tę nieufność mas ludowych do wszelkich rozporządzeń rządu podniecają naturalnie młodo-czesi ze wszystkich sił i wyzyskują na swoją korzyść. Rieger idzie ręka w rękę z rządem! — to samo już wystarczało, żeby go u naszego ludu zdyskredytować. Do jakiego stopnia udawało się to w ostatnich czasach młodo-czechom, dowodzi na przykład dopełniony 9 maja wybór posła sejmowego w pewnym okręgu gminnym, gdzie kandydat staroczeski otrzymał 21 głosów, a młodo-czeski 121. Hasło wyborców młodo-czeskich brzmiało: Przeciw ugodzie! W okręgach wyborczych miejskich stronnictwo staro-czeskie miewało dotychczas większość znakomicie przeważającą. Dnia 19 kwietnia r. b. w okręgu wyborczym miast Mladá Boleslav, Mělnik, Turnov etc., odbył się wybór posła do rady państwa na miejsce d-ra Mattuša, który, jako dyrektor główny nowo-utworzonego „Banku ziemskiego w królestwie czeskiém,“ złożył swój mandat. I tu również, wbrew wszelkim oczekiwaniom, staro-

czeski kandydat Tonner miał tylko 1,369 głosów, gdy tymczasem młodoczeski, Erwin Spindler otrzymał 1,461, czyli przeszedł większością 92 głosów. Młodo-czesi wystąpili téż z żądaniem, żeby staro-czescy posłowie sejmowi złożyli swoje mandaty i poddali się nowym wyborom. Z przyczyn łatwych do zrozumienia, posłowie staro-czescy nie uczynili zadość temu żądaniu: ale zmienione na ich niekorzyść stosunki wywarły na ich postawę wpływ szkodliwy, również nie trudny do pojęcia. Jeżeli więc przy następnych rozprawach sejmowych nad ostatecznóm załatwieniem i ustaleniem punktacyi ugodowych stronnictwo staro-czeskie nie wystąpiło w zwartych szeregach w obec napaści młoczechów, lecz, jak to już zaznaczyłem, przedstawiało niezbyt pouczający obraz opłakanego zamieszania—to fakt ten, jakkolwiek niemniéj zrozumiały, jest niestety bardzo smutnym.

Sesya dodatkowa sejmu czeskiego, w celu rozpatrzenia niektórych projektów rządowych tyczących ugody, wyznaczona była na drugą połowę maja; ale młodo-czesi korzystali już z ogólnych rozpraw nad budżetem w radzie państwa i rozpoczęli swoją napaść na ugodę; do jakiego zaś stopnia niemiecko-czeska ugoda budzi ogólne zainteresowanie, dowodzi najwymowniéj fakt, że rozprawy nad budżetem w radzie państwa zamieniły się w gruncie rzeczy na dyskusyę nad niemiecko-czeską ugodą. Już tam rozpoczęły się osobiste wycieczki młodoczechów przeciw Riegerowi, już w Wiedniu młodo-czech, dr. Vašaty oskarżył Riegera o zdradę narodu czeskiego i chociaż nie trudno było obwinionemu tak niesprawiedliwie, obronić się śród ogólnego aplauzu, niemniéj jednak oskarżenie wywarło w Czechach wpływ, którego młodo-czesi pragnęli.

Ponieważ sesya rady państwa trwała do połowy maja, a posiedzenie delegacyi wyznaczone było na 4 czerwca, pozostał więc na sesyę dodatkową sejmu czeskiego krótki tylko czas od 18 maja do 3-go czerwca włącznie,—zatém w ogóle 14 dni.

Najwyższy marszałek krajowy, książę J. Lobkowic, zagaił posiedzenia w następne słowa:

„Zadanie, które dziś przypadło sejmowi czeskiemu, ważne jest i podniosłe, i wtedy tylko będzie spełnione, jeżeli wszyscy doń przystąpią z nastrojem umiarkowania i spokoju, dającym jedynie rękojmię powodzenia, z uczuciem, które nie będzie się uważało za podrażnione, jeżeli kto inny osiągnie nieszkodliwą dla niego korzyść, które uzna prawa własnego narodu za najskuteczniéj zabezpieczone, gdy zostaną doprowadzone do harmonii z prawami bratniéj narodowości.

„Dążyć do tego celu jest właśnie zadaniem wysokiéj izby. Co tylko da się osiągnąć w krótkim czasie, wyznaczonym obecnie na na-

sze rozprawy, to powinniśmy i pragniemy osiągnąć w tym okresie sesyi. Jeżeli wysoki sejm w ten sposób poczynać sobie zechce, w takim razie obecna sesya może być punktem wyjścia rozwoju Czech, który pod względem duchowéj i materyalnéj pomyślności daleko już za sobą zostawi to wszystko, co kraj nasz przeżył od wielu pokoleń. Dałby Bóg, żeby spełniła się ta nadzieja!

„Projekta, któremi wysoka izba ma się zająć w ciągu téj sesyi, rozdane już zostały panom członkom sejmu. Są one wynikiem narad szczupłego koła mężów zaufania, i jak każde ludzkie dzieło, pod niejednym względem zapewne jest wadliwém, obecnie mają być poddane ocenie wysokiego sejmu; gruntowne rozprawy rozpoczną się nad niemi najprzód na posiedzeniach właściwych komisyi, następnie w wysokim sejmie. Nie do mnie należy przesądzać, jakie zdanie będzie o tych projektach wyrzeczone. Żywię jednak niepłonną nadzieję, że publiczne nad niemi rozprawy rozproszą pewne obawy, które obudziły się między ludnością, że niejeden niesłuszny sąd o tych projektach ulegnie sprostowaniu i że prawdziwe ich znaczenie w właściwém przedstawi się świetle. Wtedy okaże się, że poddane opinii wysokiego sejmu projekta zawierają w sobie rozporządzenia zarówno dla obu narodów korzystne i że ani jednéj, ani drugiéj narodowości krzywdy nie przyniosą (*Oho!* na ławach młodo-czechów), że równouprawnienie nietylko przez nie nic nie ucierpi (nowe *oho!* w téj saméj stronie), ale będzie lepiéj, niż kiedykolwiek zabezpieczone. (*Oho!* wołają młodo-czesi, *To by bylo pěkné!*).

„Projekta nie urzeczywistnią wprawdzie wszystkich żądań, które naród czeski w swém sercu żywi, ale téż nie spełnią wszystkich życzeń Niemców. Jeżeli jednak obie strony ożywione są jednakową chęcią dojścia do porozumienia, — a według mego przekonania tak jest rzeczywiście — w takim razie, przyczyniwszy się do nadania tym projektom mocy prawa, wstąpimy na drogę, która jedynie prowadzić może do pożądanego celu—do pojednania między narodowościami, zamieszkującemi królestwo czeskie.“

W celu przeprowadzenia punktacyi ugodowych, rząd wniósł do sejmu cztery projekta do prawa. Pierwsze ich odczytanie odbyło się 20 maja na drugiém posiedzeniu sejmu.

1. Prawo o tworzeniu kuryi w sejmie królestwa czeskiego i zmiana § 12 ordynacyi krajowéj [1]).

---

[1]) Paragraf 12 brzmi: „Dwóch członków wydziału krajowego wybierają z łona sejmu posłowie wybrani przez wielką własność ziemską; dwóch wybierają deputowani wybrani przez miasta i przez izby przemysłowe i handlowe,

Art. I. Sejm czeski podzielony jest na trzy kurye: 1) kurya wielkiéj własności ziemskiéj. 2) Kurya czeskich okręgów wyborczych. 3) Kurya niemieckich okręgów wyborczych.

Art. II. Do kuryi wielkiéj własności ziemskiéj należą posłowie wielkiéj własności ziemskiéj i posiadacze głosów wirylnych wymienionych pod *a* i *b* § 3 ordynacyi krajowéj.

Do kuryi czeskich okręgów wyborczych mają przystąpić wybrani przez miasta, ogniska przemysłowe i gminy wiejskie, posłowie okręgów wyborczych wskazanych na liście *A* dołączonéj do tego prawa.

Do kuryi niemieckich okręgów wyborczych przystąpią wybrani przez miasta, ogniska przemysłowe i gminy wiejskie posłowie okręgów wyborczych, wskazanych na liście *B* dołączonéj do niniejszego prawa.

Posłowie izb handlowych i przemysłowych, wstępując do sejmu, winni złożyć deklaracyę, do której z wymienionych wyżéj kuryj pragną należéć. Deklaracya obowiązuje składaiącego takową na cały czas trwania jego mandatu sejmowego.

Art. III stanowi niezbędną zmianę przytoczonego § 12 ordynacyi krajowéj, dotyczącéj wyboru 8 członków wydziału krajowego, którzy teraz po dwóch wybierani być mają przez nowe trzy kurye.

Art. IV. Wszystkie wybory, które sejm ma dokonać, winny być, o ile to jest wykonalném, dopełnione przez kurye, z przestrzeganiem zasady, że wszystkie kurye wybierać mają jednakową liczbę osób.

Art. V. Dopełnione w 1889 r. w pierwszéj rocznéj sesyi sejmu wybory członków wydziału krajowego, dyrekcyi banku hypotecznego i banku krajowego, komitetu zarządzającego Muzeum królestwa czeskiego, tracą siłę, z zastrzeżeniem, że wybrani pozostać mają na swojém stanowisku aż do nowych, przez sejm dokonać się mających wyborów.

Art. VI stanowi, że do zmiany tego prawa potrzebna jest obecność trzech czwartych, wszystkich członków sejmu i zgoda dwóch trzecich z pomiędzy obecnych.

Art. VII. Prawo niniejsze wchodzi w wykonanie od dnia jego ogłoszenia.

Wspomniana w tém prawie lista *A* obejmuje 35 czeskich okręgów wyborczych miejskich i 49 takichże okręgów wiejskich, czyli ra-

---

i dwóch wybierają wyborcy wybrani przez gminy wiejskie. Pozostałych dwóch wybiéra pojedynczo cały sejm z pośród siebie".

Istniała więc według pierwiastkowéj ordynacyi krajowéj, która teraz właśnie miała uledz zmianie, kurya wielkich właścicieli ziemskich, kurya miast i ognisk przemysłowych, wreszcie kurya gmin wiejskich.

zem 84 czeskich okręgów wyborczych; lista *B*, — 30 niemieckich miejskich okręgów wyborczych i 30 takichże wiejskich okręgów — t. j. razem 60 niemieckich okręgów wyborczych. Do tego przybywają jeszcze posłowie izb handlowych i przemysłowych danéj narodowości.

W obecnym sejmie zasiada 98 posłów czeskich i 70 niemieckich, co odpowiada prawie stosunkowi obu narodowości pod względem liczby głów (w okrągłych cyfrach $^3/_5$ i $^2/_5$).

Według dotychczasowego podziału posłów sejmowych na kuryę miast i kuryę gmin wiejskich, mieli posłowie czescy w kuryi gmin wiejskich stanowczą większość (49 przeciwko 30); w kuryi miast, ognisk przemysłowych, izb handlowych i zarobkowych, większość, jakkolwiek nie tak znaczna, była zawsze po stronie Niemców, izby bowiem handlowe wybierały po większéj części przedstawicieli niemieckich. Wybory zatem dokonywane przez sejm (członków wydziału krajowego i dyrektora banku) odbywały się dotąd w ten sposób, że kurya miast wybierała Niemców, kurya gmin wiejskich Czechów. To samo na przyszłość dziać się będzie w kuryi niemieckich okręgów wyborczych i w kuryi takichże okręgów czeskich, tak, że w ogóle żadna nie zajdzie zmiana, z wyjątkiem jednéj, bądź co bądź godnéj uwagi, że ani jedna ani druga narodowość nie będzie nadal skazaną na pozostawanie zawsze w mniejszości w jednéj z kuryj. Gdyby się nawet nie uznało tego za polepszenie w dotychczasowych stosunkach, to w żadnym razie nie ma powodu do głoszenia, że nowy projekt do prawa jest pogorszeniem tych stosunków.

Projekt odpowiada w zupełności artykułowi XI punktacyj wiedeńskich, którego tytuł brzmi: „Reforma sejmowéj ordynacyi wyborczéj i utworzenie kuryj narodowych. Do tego samego art. XI stosuje się drugi projekt do prawa przedstawiony przez rząd sejmowi czeskiemu.

2. Prawo, zmieniające niektóre przepisy sejmowéj ordynacyi wyborczéj w królestwie czeskiém.

Odezwa najwyższego marszałka krajowego, dołączona do projektu, brzmi jak następuje:

„Wnosząc ten projekt, tyczący tylko zmiany ordynacyi wyborczéj dla wielkiéj allodyalnéj własności ziemskiéj, t. j. podziału korporacyi wyborczéj, wielkiéj allodyalnéj własności ziemskiéj na kilka korporacyj wyborczych, według terytoralnego rozgraniczenia i poręczając wniesienie ogólnéj reformy ordynacyi wyborczéj w chwili, kiedy przygotowawcze ku temu prace będą ukończone, rząd spełnia przyrzeczenie dane w styczniu r. b. na konferencyach ugodowych z mężami zaufania z Czechii.

Art. I. Posłowie wielkiéj własności ziemskiéj wybierani są w sześciu ciałach wyborczych. Pierwsze ciało wyborcze stanowią uprawnieni do wyboru właściciele dóbr obciążonych *fideikomisem* lub dóbr lennych, okręg wyborczy tworzy całe królestwo czeskie; punktem wyborczym jest stolica Praga.

Art. II. Uprawnieni do wyboru właściciele dóbr nie obciążonych fideikomisem i nie lennych, wybierają w pięciu ciałach wyborczych; wyborcy każdego z tych okręgów tworzą jedno ciało wyborcze.

Pierwszy okręg wyborczy: polityczne okręgi (Karlin, Vinohrady, Hożowice, Rakovnik, Louny, Slané, Mělnik, Mladá Boleslav, Ceský Brod, Smichow, Přibram). Punkt wyborczy Praga. (Ten okręg wyborczy jest całkowicie czeskim).

Drugi okręg: polityczne okręgi: Budějovice, Jindřichův Hradec, Týn nad Vltavou, Třeboň, Kaplice Krumlov, Tábor, Milevsko, Pelhřimov, Benešov, Selčany, Pisek, Blatná, Strakonice, Prachatice, Lušice, (Schüttenhofen). Punkt wyborczy Budějovice. (Ten okręg jest według większości czeskim).

Trzeci okręg: Plzeň, Kralovice, Mies, Klatovy, Přestice, Bischofteinitz, Domažlice, Eger, Asch, Falkenau, Grablitz, Joachimsthal, Karlsbad, Luditz, Plan, Tachau, Tepl, Poderham, Kaaden, Komotau. Punkt wyborczy: Eger. Okręg według większości niemiecki.

Czwarty okręg. Polityczne okręgi: Dauba, Mnichovo Hradiště, Turnov, Friedland, Gabel, Gablonz, Reichenberg, Leitmersiz, Raudnice, Teplitz, Brüx, Saaz, Aussig, Tetschen, Czeska Lipa, Rumburg, Schluckenau, Jičin, Semily, Hohenelbe, Starkenbach, Trautenau. Punkt wyborczy Reichenberg. Okręg według większości również niemiecki.

Piąty okręg wyborczy: okręgi polityczne: Chrudim, Pardubice, Vysoké Myto, Landskron, Litomyšle, Nový Bydżov, Reichenau, Senftenberg, Nové Město nad Metuji, Brandýs nad Orlici, Czáslav, Kutná Hora, Ledeč, Kolin, Poděbrady, Chotěboř, Némecký Brod. Punkt wyborczy: Chrudim. Okręg prawie zupełnie czeski.

Art. III. Korporacya wyborcza właścicieli fideikomisowych wybierać ma 16 posłów; ciała wyborcze wielkiéj własności ziemskiéj, nieobciążonéj fideikomisem wybierają w pierwszém ciele wyborczém 11, w drugiém 11, w trzeciém 11, w czwartém 9, a w piątém 12 posłów.

Artykuły: IV, V, VI, VII, VIII określają procedurę rozpisywania i dokonywania wyborów.

Art. X. Do ważności uchwały sejmowéj co do projektowanych zmian w tém prawie, potrzebną jest obecność najmniéj trzech czwartych wszystkich członków i zgoda najmniéj dwóch trzecich obecnych.

Art. XI. Prawo niniejsze wchodzi w wykonanie z chwilą ogłoszenia takowego.

Chcąc ocenić jak należy znaczenie tego prawa, trzeba pamiętać, że dążeniem tak zwanéj Schmerlingowskiéj ordynacyi krajowéj i ordynacyi wyborczéj, było zredukowanie większości ludności czeskiéj w królestwie czeskiém przy pomocy 70 posłów wielkiéj własności ziemskiéj do nieustającéj mniejszości w sejmie czeskim. 70 posłów wielkiéj własności ziemskiéj wraz z 70 niemieckimi posłami, mieli stanąć w charakterze partyi rządowéj przeciwko 98 czeskim posłom. W tym celu ordynacya wyborcza posłów większéj własności ziemskiéj była tak zorganizowana, że nietylko 16 posłów własności fideikomisowéj, ale i 54 posłów własności allodyalnéj, wybierani byli w jedném ciele wyborczém, przy czém rząd miał zawsze w ręku środki wytworzenia wygodnego dla siebie wyniku wyborów.

Od r. 1861 wytworzyły się wśród szlachty czeskiéj, a zatem wśród najwybitniejszych przedstawieli wielkiéj własności ziemskiéj dwie partye—i to nie narodowe, lecz polityczne! Jedna oświadczyła się za konstytucyą lutową 1861 r., za niemiecką centralizacyą państwa i za germańską hegemonią w Czechii, połączyła się zatém z niemiecką partyą hołdującą tym samym zasadom, z tak zwaném stronnictwém konstytucyjném. Była to niemiecka partya rządowa.

Z drugiéj strony wytworzyło się pod przewodnictwem hr. Henryka Clam-Martiniza stronnictwo opozycyi przeciwko konstytucyi lutowéj, przeciwko niemieckiej centralizacyi, w obronie historycznie ukonstytuowanéj autonomii i niezależności oddzielnych królestw i krajów, a tém samém w obronie dziejowych praw królestwa czeskiego. Nazwano je historyczną partyą szlachecką albo partyą autonomistów. To stronnictwo szlachty czeskiéj przyłączyło się naturalnie do partyi narodowéj czeskiéj i było już za czasów nieograniczonego panowania niemieckiéj partyi konstytucyjnéj tak potężne i liczne, że nie zawsze udawało się niemieckiemu rządowi w Wiedniu przeszkodzić zwycięztwu jego na wyborach; tym sposobem wynik wyborczy w wielkiéj własności ziemskiéj rozstrzygał zawsze o tém, czy Czesi czy też Niemcy będą mieli większość w sejmie czeskim. Wypada tu przypomnieć tak zwany „Chabrus“ w 1872, gdzie z obu stron usiłowano kosztem milionów, wydanych na kupno majątków, zapewnić sobie większość. Jeden jedyny głos rozstrzygnął przy wyborach wielkiéj własności ziemskiéj, czy 54, ewentualnie 70 adherentów niemieckiéj partyi konstytucyjnéj, czy téż tyluż stronników historycznéj partyi szlacheckiéj wyjdzie z urny wyboczéj i czy większość w sejmie czeskim dostanie się Niemcom czy téż Czechom.

Wszystkiemu temu kładzie ostatecznie tamę wyżéj przytoczone prawo; że zaś z pewnością prawie przewidywać można, iż w pierwszém, drugiém i piątém ciele wyborczém własności allodyalnéj będzie wybranych ogółem 34 posłów wielkiéj własności ziemskiéj, którzy we wszystkich sprawach narodowych głosować będą z deputowanymi czeskimi, gdy tymczasem 20 tylku posłów trzeciego i czwartego ciała wyborczego przyłączy się do partyi niemieckiéj, ponieważ nadto 16 posłów własności fideikomisowéj należy zwykle do historycznéj partyi szlacheckiéj, można przeto stanowczo twierdzić, że czeskie stronnictwo na podstawie tak przekształconéj ordynacyi wyborczéj wielkiéj własności ziemskiéj, rozporządzać będzie 150 głosami przeciwko jakimś 90 niemieckim, że zatém czeska większość w sejmie czeskim na zawsze zostanie zabezpieczona.

Powyższe prawo ma więc to bardzo ważne znaczenie, że, projektując je, rząd zobowiązuje się uroczyście wyrzec się tych środków, których dawniéj używały niemiecko-centralistyczne władze w celu zapewnienia niemieckiéj mniejszości w kraju sztucznéj większości w sejmie, czyli narodowéj hegemonii w kraju; że zatém ten rząd uznaje czeską większość w królestwie czeskiém a w następstwie i prawo do politycznego istnienia narodu czeskiego i że wreszcie odstępuje od wszelkich dążeń germanizacyjnych.

Wypowiedziałem już zdanie, które muszę tu powtórzyć, że każdy rozsądny Czech musiałby głosować za tak zwaną ugodą, gdyby nawet owa ugoda innéj narodowi czeskiemu nie zapewniała korzyści, jak prawo, na mocy, którego naród czeski osiąga to, do czego od 1861 r. przez całe 29 lat napróżno dążył, mianowicie przekształcenie ordynacyi wyborczéj, pierwiastkowo obmyślanéj na niekorzyść narodu czeskiego. Tymczasem wielkie masy narodu czeskiego pod przewodnictwem młodo-czechów powtarzają dziś to samo właśnie, co już kilkakrotnie wszystkie rozważne i politycznie dojrzałe żywioły w chwilach spokojnéj rozwagi stanowczo potępiły. I znów odzywa się hasło „*Aut Caezar, aut nihil!*" głoszone narodowi czeskiemu, co znaczy, żeby nic nie przyjmować od rządu, jeżeli ten rząd nie wyrazi gotowości dania narodowi czeskiemu wszystkiego, czego ten sobie życzyć może. Umieliśmy w czasach spokojnéj rozwagi potępiać szowinizm Francuzów, jako czynnik nie odpowiający wymaganiom pomyślnego rozwoju cywilizacyi europejskiéj, nie wahaliśmy się również wydać podobnego wyroku na szowinizm Niemców, nierównie nieprzyjemniejszy dla nas Czechów, a teraz, w chwili, kiedy spokojne wyrachowanie i rozważne postępowanie mogłoby jedynie zaświadczyć, że nie bez zasady rościmy

pretensyę do zajęcia poważnego stanowiska między narodami cywilizowanemi, mamy śmiałość występować sami z szowinizmem narodowym i robić wobec Niemców alluzye do zwycięskich Husytów, jak gdybyśmy zgoła nie mieli rozsądku, którym się chełpimy, lub też go teraz stracili.

3. Trzeci projekt rządowy zawiéra ustawę dla królestwa czeskiego, która zmienia niektóre przepisy o nadzorze szkolnym z d. 24 lutego 1873 r.

Ten projekt do prawa odpowiada punktowi I-mu protokółu ugodowego pod nazwą: „Skład i urządzenie rady szkolnéj krajowéj.“ Ponieważ o tym projekcie muszę niżéj mówić obszerniéj, poprzestaję teraz na téj krótkiéj tylko wzmiance.

4. Prawo obowiązujące dla królestwa czeskiego, które zmienia § 1, 2, 7 i 12 prawa z 19 lutego 1870 r. i §§ 26 i 27 prawa z 24 lutego 1873 roku, dotyczącego urządzenia i utrzymania publicznych szkół ludowych.

Ten projekt do prawa odpowiada punktowi II-mu protokółu wiedeńskiego, noszącego nazwę: „Szkoły elementarne dla mniejszości.“

Chodzi tu o jeden z najdrażliwszych punktów spornych między Niemcami a Czechami, mianowicie o zakładanie i utrzymanie szkół czeskich na tak zwaném niemieckiém terytoryum językowém i *vice versa* o szkoły niemieckie w czeskich częściach kraju.

Paragraf 1 prawa z 19 lutego 1870 r. stanowi: „Szkoła publiczna otwarta być może wszędzie, gdzie w jednéj miejscowości lub też w kilku miejscowościach i wioskach w promieniu godzinnym położonych, znajdzie się, według danych przeciętnych z pięciu lat, najmniéj 40 dzieci obowiązanych uczęszczać do szkoły, które chodzić muszą do szkoły oddalonéj więcéj, niż na 4 kilometry.

Gdyby ten przepis, zupełnie jasny i wyraźny, był wszędzie uczciwie spełniany, w takim razie otworzonoby bądź co bądź wszędzie szkołę elementarną czeską na każdych 40 dzieci czeskich i szkołę elementarną niemiecką na każdych 40 dzieci niemieckich, i nie mogłoby przyjść nigdzie do żadnych skarg i sporów. Ponieważ jednak Niemcy w Czechii, zwłaszcza po 1870 r., wbili sobie w głowę, że zamieszkana przez nich część kraju ma tworzyć „niemieckie zamknięte terytoryum językowe“ i ponieważ miasta, szczególniéj w téj niemieckiéj części kraju, rościły pretensye do nazwy „rdzennie niemieckich“, przeto stało się między Niemcami w Czechii, że tak powiem, narodowym obowiązkiem i ważnym punktem ich programu działania przeszkadzać wszelkiemi możliwemi środkami i za jakąbądź cenę, zakładaniu czeskich szkół w niemieckiém terytoryum językowém i dziś jeszcze

wzbraniają się miasta niemieckie, jak np. Brüx i Cieplice otwierać szkoły czeskie nietylko dla 40, ale dla kilkuset dzieci czeskich.

Ponieważ nadto Niemcy nie wyrzekli się nigdy całkowicie myśli ostatecznego zgermanizowania Słowian w Czechii i na Morawach, utworzono niemiecki związek szkolny, który przy pomocy znacznych środków pieniężnych, zebranych po większéj części w cesarstwie niemieckiém, postawił sobie za cel jawnie wypowiedziany, zakładanie w słowiańskich krajach szkół niemieckich dla niemieckich mniejszości, który jednak rzeczywiście inne spełnia zadanie, — bo wciąga do tych szkół dzieci słowiańskie i germanizuje je. Niemiecki związek, zwłaszcza w Czechach żywą rozwijał działalność; z drugiéj strony udawało się po większéj części Niemcom przeszkodzić założeniu czeskich szkół, nawet dla znacznéj liczby dzieci czeskich; to było powodem, że utworzył się także czeski związek szkolny, z celem zakładania i utrzymywania w niemieckich częściach kraju szkół elementarnych dla mniejszości czeskiéj. Ten związek ogranicza swoją działalność do jawnego zadania: przyjmowanie niemieckich dzieci do tak zwanych szkół Macierzy jest zasadniczo wykluczone. Rzecz naturalna, że działalność obu tych związków szkolnych, czyli innemi słowy walka niemiecko-czeska o szkoły musiałaby zupełnie ustać, gdy pierwiastkowe prawo tak wyraźnie i stanowczo było sformułowane, żeby ścisłe przeprowadzenie zawartych w niém przepisów stało się koniecznem.

Otóż taki jest właściwy cel projektu rządowego i każdy, kto tylko nie jest uprzedzony, musi i tu widzieć ważny krok ku lepszemu. Przepisy nowego prawa są tak jasne i wyraźne, że nie łatwo inaczéj je wytłómaczyć lub obejść, a ponieważ kwestya kosztów odgrywa w téj sprawie znaczną rolę, wielką ma przeto doniosłość przepis, że przewyżka kosztów poniesionych przez gminę szkolną, z powodu zakładania i utrzymania szkół z drugim językiem wykładowym (szkoły dla mniejszości), będzie gminie szkolnéj zwracana z funduszów krajowych.“

5. Prawo, tyczące rady kultury krajowéj dla królestwa czeskiego, odpowiada punktowi III-mu protokółu ugodowego, którego tytuł brzmi: „Zasady reorganizacyi rady kultury krajowéj w królestwie czeskiém.“ Projekt jest ścisłém przeprowadzeniem ugody wiedeńskiéj.

6. Prawo obowiązujące dla królestwa czeskiego o używaniu obu języków krajowych we władzach autonomicznych.

Ten projekt opiéra się na punkcie X-ym protokółu wiedeńskiego, który brzmi: „Z uwagi na oświadczenie c. k. rządu, że uchwalony przez sejm czeski projekt do prawa o używaniu języków krajowych we władzach autonomicznych, nie może otrzymać najwyższéj sankcyi,

rzeczony projekt do prawa będzie na najbliższéj sesyi sejmowéj na nowo rozpatrzony o ile wszystkie części, każda po szczególe zgodzą się, żeby miasta mające własny statut, z wyjątkiem Pragi, traktowane były jak wszystkie inne gminy.“

Znaczenie téj zgody na tém polega, żeby Niemcy nie domagali się dla miasta Reichenberga, uważanego za stolicę niemieckiego terytoryum językowego, podobnéj pod tym względem wyjątkowéj pozycyi, jak stolica kraju Praga. Jestto więc ustępstwo ze strony Niemców, które, wobec niesłychanéj agitacyi młodo-czechów, zaznaczyć wypada.

Winienem tu odrazu skonstatować fakt, że na sesyi dodatkowéj sejmu czeskiego (19 maja—3 czerwca), jeden tylko z tych sześciu projektów rządowych został załatwiony, mianowicie Nr. 3, tyczący się składu i urządzenia krajowéj rady szkolnéj.

Młodo-czesi rozpoczęli zgóry uplanowaną i systematyczną opozycyę przeciwko ugodzie wiedeńskiéj z wyżéj przytoczonych powodów. Na plan nie prędko się zdobyli i wystąpili z nim dopiéro po trzech tygodniach milczenia i namysłu. Pierwszym ich krokiem był, jak wspomniałem, „Manifest do ludu czeskiego“, w którym powiedziano: „że przyszłość naszego czeskiego narodu i Słowian austryackich jest poważnie zagrożona dzięki punktacyom ugodowym,“ i który w konkluzyi wzywa staro-czeskich posłów sejmowych do złożenia mandatów.

Ten manifest młodo-czeski był 23 lutego 1890 r. przedmiotem gruntownych narad w „Czeskim klubie“ w Pradze, gdzie zbijano go punkt po punkcie. Rezolucya przyjęta tam jednogłośnie, zawiera krótką lecz gruntowną odprawę, na dość obszerny lecz przytém dość płytki manifest. Rezolucya tak brzmi:

„Klub czeski w Pradze, który rozpatrywał 20 lutego 1890 r. manifest posłów „stronnictwa wolnomyślnego“, uchwalony z powodu ugody wiedeńskiéj, nie widzi w téj ugodzie ani zupełnego pojednania obu narodowości zamieszkujących królestwo czeskie — jestto bowiem tylko porozumienie się co do zasad, według których sporne dotychczas kwestye między obu narodowościami mogłyby być wyrównane, ani też nie poczytuje tego porozumienia za tak niebezpieczne, żeby aż grozić miało przyszłości Czechów i Słowian austryackich. Całość Królestwa pozostaje zabezpieczoną, prawa politycznego czeskiego ugoda nie dotyka; ale takie porozumienie zdaje się wytwarzać podstawę, na któréj obie narodowości z równemi prawami i w spokojnym rozwoju mogą pożytecznie pracować dla siebie samych, dla ojczyzny i dla państwa.—Rada szkolna krajowa i rada kultury krajowéj zachowują nawet przy podziale według narodowości, jednolitość we wspól-

ném prezydyum i w innych przepisach. — Senatowi niemieckiemu przy c. k. najwyższym trybunale krajowym w królestwie czeskiém, wskazana jest sfera działania według okręgów jedynie w sprawach dyscyplinarnych, które należały zawsze do państwowych władz sądowych z wykluczeniem wszelkich innych żywiołów; w sferze jednak własnéj działalności sądowéj, senat będzie rozstrzygał wszystkie sprawy w języku niemieckim, bez względu na to, w jakich okręgach zostały wytoczone.—Rozgraniczenie okręgów sądowych i administracyjnych ma nastąpić jedynie według zasad, przyjętych przez sejm czeski, z powodu wniosku posła Fačeka, za zupełną zgodą deputowanych „stronnictwa wolnomyślnego“, nie można więc ani w tym razie, ani w innych przepisach dotyczących sądów, upatrywać rozluźnienia jedności organizmu królestwa czeskiego.—Reforma ordynacyi wyborczéj, utworzenie izby handlowéj we wschodnich Czechach, prawo szkolne dla mniejszości narodowych, prawo o równouprawnieniu językowém we władzach autonomicznych są to życzenia narodu czeskiego oddawna już wypowiedziane, ugoda zaś ma je urzeczywistnić o tyle, że ścisłe przeprowadzenie tych praw pod publiczną kontrolą zostające, wydaje się zapewnioném i tym sposobem nasze mniejszości narodowe mogą być nadal zabezpieczone przeciwko wszelkiéj niesprawiedliwości i przemocy. — O wszystkich tych ważnych warunkach, mianowicie o utworzeniu narodowych kuryi sejmowych z przysługującém im prawem *veto* rozstrzygać będą kompetentne czynniki konstytucyjne i tam odpowiednio będzie działać w ten sposób, żeby wszelkie instytucye, potrzebne do doskonałego zabezpieczenia naszych interesów narodowych, stały się faktem, przyczém wypada zauważyć, że nikomu nie będzie wzbronione opierać się na drodze prawnéj wszelkim urządzeniom nieodpowiadającym swemu celowi.

„My również stoimy wytrwale na stanowisku równego prawa i jednakiéj opieki dla naszych współplemieńców na Morawie i Szląsku. i pragniemy wszędzie i zawsze ze wszystkich sił popierać ich dążenia,

„Przedstawicielstwo interesów określone jest w konstytucyi państwa, do któréj zmiany konferencye wiedeńskie nie są powołane.

„Wspólny program wymaga wspólnéj pracy, która możliwa jest jedynie przy dzielném współdziałaniu wszystkich rozważnych patryotów.

„Posłom przystoi w chwili krytycznéj wytrwać na swoich stanowiskach, nie wypada im cofać się przed trudną pracą lub przed niebezpieczeństwem ciężkiéj odpowiedzialności, ani też składać całego ciężaru téj pracy i odpowiedzialności na innych mandataryuszów, témbardziéj, kiedy parlamentarna mniejszość zaleca większości składać

mandaty wyborcom, bo tym sposobem najważniejsza z instytucyi konstytucyjnych stałaby się złudzeniem.

„Takie jest nasze przekonanie i spodziewamy się, że posłowie „stronnictwa narodowego“ (staro-czechy) nie lękają się żadnych mozołów, wytrwale daléj pracując, bronić będą zwycięsko praw narodowych i politycznych naszego ludu i nic z nich nie poświęcając, rzucą trwałe podstawy pomyślnego rozwoju swéj ojczyzny“.

Złote słowa mądrego umiarkowania i pełnego nadziei przeświadczenia wypowiedział d-r Mattuš, kończąc jak następuje swoją obronę układów wiedeńskich:

„Obstaję przy tém, że to co się stało, stało się nie pod naciskiem konieczności, lecz na podstawie głębokiego przekonania, że przez to nie kładzie się tamy rozwojowi naszego życia narodowego, że nasz naród, jeżeli ma siłę do życia i nadal prosperować będzie; twierdzę, że z najlepszą wolą i świadomością i z czystém sumieniem spełniliśmy czyn dobry, za który wszędzie przyjąć możemy odpowiedzialność i przy którym téż obstajemy“.

Te słowa umiarkowania i szczerego przekonania mniéj znalazły posłuchu i uznania w wielkich masach narodu czeskiego, aniżeli szowinistyczne podniecania i hałaśliwe hasła młodo-czechów. Już w końcu kwietnia rozesłali młodo-czesi tysiące drukowanych egzemplarzy petycyi do sejmu przeciwko ugodzie, do wszystkich gmin czeskich, a nawet do czeskich mniejszości w miastach niemieckich; połowa tych petycyi w ilości około 3000, licznemi zaopatrzonych podpisami, została istotnie wniesiona na sejm. Wyjaśniłem już jakim sposobem zdobywano podpisy; w mawiano w ludzi, że i dr. Rieger życzył sobie tych podpisów, a z drugiéj strony rzucano wszelakie postrachy o podniesieniu podatków i o tym podobnych niebezpieczeństwach, które nastąpić muszą, jeżeli ugoda ostatecznie przyjdzie do skutku.

Ponieważ zazwyczaj przy podobnych agitacyach potrzebne jest pewne stopniowanie w środkach podbudzających, ponieważ szczególniéj używane w takich razach i zużyte hasła, jeżeli mają wywrzéć pożądany skutek, muszą być zastąpione nowemi i silniejszemi, przeto i w tym wypadku, od bezzasadnego wprawdzie, ale stosunkowo łagodnego frazesu: „że przyszłość narodu czeskiego wydaje się w skutek ugody poważnie zagrożoną“, posunęli się młodo-czesi do dzikszego już nieco wykrzykniku: „że ugoda jest śmiertelnym ciosem dla narodu czesskiego“. Naturalnie, że to dr. Rieger morduje skrytobójczą dłonią swój naród, za kieliszek dobrego koniaku, podany nam przez ministra Taafego. *Sancta simplicitas!* Według Herbarta, który wszystko co

jest w swoim rodzaju doskonałem, uważa za piękne, możnaby i tu odkryć nową piękność narodową Czechów! Ale wróćmy do rzeczy!

Stronnictwa w sejmie czeskim przedstawiały pod względem liczebnym następujący stosunek:

74 tak zwanych zachowawców, t. j. wielkich właścicieli ziemskich i głosów wirylnych, 70 posłów niemieckich, 59 staro-czechów, 39 młodo-czechów, ogółem 242; musiałoby więc usunąć się przynajmniéj 61 posłów, żeby zabrakło wymaganych trzech zwartych członków. Ponieważ 74 zachowawców i 70 Niemców są za ugodą, musiałoby najmniéj 22 staro-czechów przyłączyć się do 39 młodo-czechów, żeby przeszkodzić przyjściu do skutku ugody. Rozstrzygnięcie sprawy było w rękach Czechów — wypada zaś przypomnieć tu warunek, że 11 punktów protokółu ugodowego ma być uważane za całość, która, jako taka musi być ryczałtem albo przyjęta albo odrzucona, że zatém nieprzyjęcie jednego punktu pociągnęłoby za sobą i jeszcze pociągnąć może obalenie całego dzieła ugody.

Zaznaczyłem już, że sejm czeski w swojéj dodatkowéj sesyi, od 19 maja do 3 czerwca r. b., załatwił się z jednym tylko projektem rządowym, mianowicie z prawem o reorganizacyi krajowéj rady szkolnéj.

Punkt I protokółu wiedeńskiego pod tytułem: „Skład i organizacya krajowéj rady szkolnéj“ mówi w tym przedmiocie, co następuje:

„Krajowa rada szkolna w Czechach ma się na przyszłość składać: 1) Z naczelnika kraju (Namiestnika) lub ze wskazanego przezeń zastępcy, jako prezydującego, 2) z 6 posłów wybranych przez wydział krajowy, z których 3 należéć musi do czeskiéj, 3 do niemieckiéj narodowości. Wybieralnymi są wszyscy ci, którzy mogą być wybrani do sejmu; 3) z referenta do spraw szkolnych administracyjnych i ekonomicznych; 4) z krajowych inspektorów szkół; 5) z dwóch przedstawicieli stolicy Pragi, z których jeden należyć musi do czeskiéj drugi do niemieckiéj narodowości; 6) z dwóch duchownych katolickiego, jednego ewangelickiego i jednego mojżeszowego wyznania; 7) z 4 członków stanu nauczycielskiego, z których dwóch należéć musi do czeskiéj, dwóch do niemieckiéj narodowości.

„Z pomiędzy członków objętych trzecią i czwartą kategoryą, dziesięciu tylko ma głos rozstrzygający i to takich, których prezydujący wskaże za każdym razem“.

„Taka krajowa rada szkolna składać się będzie z dwóch sekcyi, które w granicach swojéj sfery działania funkcyonować mogą samoist-

nie. Do jednéj z tych sekcyi należéć mają sprawy niemieckich, do drugiéj czeskich okręgów szkolnych.

„Naradom *in pleno* podlegają wszystkie sprawy wspólne dla szkół w całéj Czechii, jak niemniéj zakładanie tak zwanych szkół mniejszości. Po utworzeniu tych szkół, sprawy dotyczące takowych, należą, stosownie do języka wykładowego, do odpowiednich sekcyi.

Chcąc ocenić doniosłość tego punktu, trzeba wiedziéć, że krajowa rada szkolna z 1880 r., składała się 22 członków, z których 17 należało do niemieckiéj a tylko 5 do czeskiéj narodowości i że od założenia uniwersytetu czeskiego w Pradze, krajowa rada szkolna składa się z 24 członków, z których 14 należy do niemieckiéj, a tylko 10 do czeskiéj narodowości. Nadto krajowa rada szkolna miewa dotąd tylko plenarne posiedzenia, na których członkowie czeskiéj narodowości znajdują się w mniejszości.

Ktoby następnie chciał ocenić postępowania młodo-chechów na ostatniéj sesyi sejmowéj, jak również opozycyę ich przeciwko projektowi rządowemu, zgodnemu z punktem I protokółu ugodowego [1]), ten musi jeszcze wiedziéć co następuje:

W październiku 1878 r., na ósmem posiedzeniu sejmu czeskiego, posłowie staro- i młodo-czescy wystąpili z poniższym wnioskiem o zmianę artykułów o nadzorze szkolnym, zawierających przepisy co do składu krajowéj rady szkolnéj.

„Wniosek posła dr. Czelakowskiego, jego towarzyszy, co do zmiany § 40 i 41 prawa z 24 lutego 1873 r., o nadzorze szkolnym.

„Niżéj podpisani posłowie sejmowi wnoszą, ażeby dopóty, dopóki wzajemne stosunki obu narodowości w królestwie czeskiém nie będą prawnie i ostatecznie uregulowane, artykuły 40 i 41 prawa krajowego z d. 24 lutego 1873 r., tyczące składu krajowéj rady szkolnéj, brzmiały jak następuje“:

§ 40 Krajowa rada szkolna składa się:

1. Z naczelnika kraju i z wyznaczonego przezeń zastępcy jako prezydującego.

2) z 8 posłów wybranych przez wydział krajowy, należących po

---

[1]) Ten projekt rządowy jest co do składu krajowéj rady szkolnéj zupełnie jednobrzmiący z przytoczonym punktem I. Tylko pod 5 powiedzano wyraźniéj, że przedstawiciele miasta Pragi mają być wybierani przez kolegium reprezentantów miejskich, poczém dodane jest, że przy tym wyborze kolegium winno wybierać z potrójnéj liczny kandydatów przedstawionéj przez niemiecką, względnie czeską, radę szkolną okręgową.

połowie do czeskiéj i niemieckiéj narodowości. Wybranemi mogą być tylko posłowie sejmowi królestwa czeskiego;

3) z dwóch członków wybranych przez reprezentacyę gminną królewskiéj stolicy Pragi;

4) z dwóch referentów do ekonomicznych i administracyjnych spraw szkolnych;

5) z 8-iu inspektorów szkół krajowych;

6) z dwóch duchownych katolickiego, jednego ewangelickiego i jednego mojżeszowego wyznania;

7) z 4-ch członków stanu nauczycielskiego należących w połowie do czeskiego, w połowie niemieckiego szkolnictwa".

Ten wniosek, którego bronił dr. Jaromir Czelakowsky w dniu 12 października 1878 r. na jedenastém posiedzeniu sejmu czeskiego w długiéj, gruntownie motywowanéj mowie, został odrzucony przez niemiecką większość ówczesnego sejmu czeskiego.

Z broszury ogłoszonéj w 1880 r. przez dr. Czelakowskiego pod tytułem: „Reorganizacya krajowéj rady szkolnéj w królestwie czeskiém — przyczynek do rozstrzygnięcia kwestyi narodowościowéj w Pradze", okazuje się, że po tym pierwszym wniosku, w razie gdyby był przyjęty, nastąpić miał drugi, tyczący podziału rady szkolnéj na „dwa zgromadzenia kuryalne" czeskie i niemieckie.

Krótko mówiąc, posłowie narodu czeskiego (staro i młodo-czescy) dążyli już w 1878 r. do tego samego, co w maju 1890 r. ukazało się na stole sejmowym, jako projekt rządowy; należy zaś jeszcze dodać, że wnioskodawca z 1878 r. jest młodo-czechem, którego projekt ówczesne „Narodni listy" wysławiały, jako wielki czyn narodowy. Obecnie w 1890 r. przy rokowaniach ugodowych w Wiedniu, dr. Rieger przeprowadził to, co niemiecka większość sejmu czeskiego odrzuciła w 1878 r., a młodo-czesi twierdzą, że to zdrada najświętszych interesów narodu czeskiego, że to cios śmiertelny zadany temu narodowi. Dr. Rieger w styczniu 1890 r. powtórzył co do treści, a nawet w niektórych punktach dosłownie skopiował wniosek młodo-czecha dr. Czelakowskiego z 1878 r. w przedmiocie organizacyi krajowéj rady szkolnéj, ale młodo-czesi wypierają się teraz swego Czelakowskiego, ażeby tylko módz wystąpić przeciwko Riegerowi. Że dzisiejsi ich adherenci nie widzą i nie potępiają téj krzyczącéj niekonsekwencyi—jest to fakt niezbyt pochlebnie świadczący o inteligencyi narodu czeskiego.

Na posiedzeniu sejmu czeskiego z 20 maja 1890 r. wybrano komisyę z 27 członków (młodo-czesi proponowali 36 członków, co nie było przyjęte) do przygotowawczych narad i postawienia wniosku w przed-

miocie projektów rządowych, wniesionych na sejm. Ta komisya odbywała od 21 do 29 maja włącznie co dzień dwa posiedzenia i załatwiła się ostatecznie z jednym tylko projektem, tyczącym reorganizacyi rady szkolnéj. Nie będę czytelników utrudzał szczegółowém sprawozdaniem z rozpraw w téj komissyi, poprzestanę na krótkiéj uwadze, że młodo-czesi (było ich tylko 4) zastosowali przy téj sposobności wzorową taktykę obstrukcyonizmu.

Nareszcie 30 maja przedyskutowany przez komisyę projekt rządowy był przedmiotem rozpraw na sejmie, i trzeba było znów c z t e r e c h d n i z kilku wieczornemi posiedzeniami na załatwienie się z tym projektem rządowym.

W końcu przyjęto projekt wbrew opozycyi młodo-czechów i kilku staro-czechów, którzy uważali za stosowne, dla zabezpieczenia swych mandatów, zbliżyć się o parę kroków do młodo-czechów.

Jakkolwiek projekt rządowy za zgodą wszystkich stronnictw (Niemców i konserwatystów) doznał pewnych zmian na korzyść Czechów (stolicy Pradze przyznano 3 przedstawicieli w radzie szkolnéj); a ustęp stanowiący, że reprezentacya gminna przy ich wyborze ma wybierać z potrójnéj liczby kandydatów przedstawionych przez niemiecką i czeską okręgowe rady szkolne został wypuszczony, tak, że Praga będzie miała w radzie szkolnéj dwóch czeskich przedstawicieli i jednego niemieckiego reprezentanta), niemniéj jednak uchwalone przez sejm prawo o reorganizacyi krajowéj rady szkolnéj otrzymało niedawno (w końcu czerwca) sankcyę najwyższą, z czego się okazuje, że się w Wiedniu spieszą częściami ugodę do skutku doprowadzić.

Nie mogę pominąć milczeniem, że młodo-czesi do tego stopnia przepieprzyli rozprawy osobistemi napaściami na dr. Riegera, że ściągnęli na siebie potępienie nietylko zachowawców, ale i Niemców, że nawet w niemieckich kołach powstało oburzenie na tę narodową niewdzięczność Czechów. „Nasz polityczny przywódca, dr. Herbst — mówili Niemcy, został również w Czechii pozbawiony swego mandatu przez krańcowych narodowców niemieckich: ale czémże są narodowe zasługi dr. Herbsta, wobec narodowych zasług dr. Riegera!“ Ogólną niechęć obudziła demonstracya młodo-czechów, wymierzona przeciwko Riegerowi. Około 60 stronników młodo-czechów ze wsi, zebrało się 30 maja w jednym z hotelów i stąd pociągnęło ku gmachowi sejmowemu. Bocznemi wejściami udało im się wcisnąć na korytarze przy sali sejmowéj. Tam zażądali widzenia się z Riegerem — a kiedy ten się ukazał, ozwały się krzyki, żeby głosował przeciw ugodzie, gdy zaś Rieger odmówił, usłyszał, że jest nie przywódcą, lecz uwodzicielem narodu. Awanturników musiała w końcu policya usunąć.

Dr. Rieger, który przebył rok 1848, a więc tego rodzaju rzeczami nie tak łatwo daje się stropić, wypowiedział przy ogólnych rozprawach nad ugodą, jedną z najświetniejszych mów swoich, zakończoną w te słowa:

„Jestem zdania, że jako uczciwy patryota, mam obowiązek służyć ojczyźnie według przekonania. Czynię to i teraz. W ciągu całego życia nie dążyłem nigdy ani do bogactw, ani do urzędów, ani do tytułów — wiadomo nawet powszechnie, że nie przyjmowałem nigdy tego co mi dość często było ofiarowaném. Ale jedną, panowie, miałem nagrodę za uczciwą pracę: miłość i zaufanie mego narodu! Być może, iż ją w obecnéj chwili tracę, ale jakkolwiek byłaby mi drogą, nie zawaham się poświęcić ją, jeżeli tym sposobem będę mógł narodowi memu wyświadczyć przysługę, jeżeli przez to będę mógł ustrzedz mój naród od wejścia na drogę, na któréj mu grożą niebezpieczeństwa. Panowie, Karol z Żerotina stał się również niepopularnym przed bitwą pod Białą Górą, gdy ostrzegał Czechów przed projektowaném powstaniem, które krajowi nieszczęście tylko zgotuje. Z tego powodu stracił wtedy popularność; ale w historyi naszéj został rozumnym, wielkiego serca patryotą. Pragnąłbym, ażeby ten mąż służył mi za wzór przez całe życie. Narodowi memu narzucać się nie będę, a skoro występuje przeciwko mnie, chętnie ustąpię, zostawiając całą odpowiedzialność, za to i tak już ciężkie brzemię tym, którzy dotąd tylko krytykowali, i którzy późniéj, kiedy z wyboru narodu dostaną w ręce ster spraw publicznych muszą téż znieść cały ciężar odpowiedzialności i wystawić się na krytykę innych. Szczerze pragnę żeby naród nigdy tego nie pożałował i żeby dlań żadne stąd nie wynikło nieszczęście. Odpowiedzialności za to ja dźwigać nie będę. Teraz jednak chcę jeszcze pełnić mój obowiązek tak, jak mi to rozsądek i honor nakazuje. Gotów jestem dla mojego narodu wszelkie ponieść ofiary, oprócz poświęcenia mu mojéj czci i raz danego słowa“.

Rieger bronił naturalnie z męstwem przyjścia do skutku rozpoczętéj, a raczéj wskazanéj w Wiedniu ugody; a przy nim stał z równie niezachwianą stanowczością główny sprawozdawca dr. Mattuš. Nie było trudno zbić w sejmie opozycyjne motywa młodo-czechów, argumentacya ich bowiem kręciła się zawsze około bezzasadnego twierdzenia, że podział krajowéj rady szkolnéj na dwie sekcye, pociągnie za sobą rozdarcie królestwa czeskiego na dwie części. Pewien członek klubu staro-czeskiego przyszedł nawet w pomoc młodo-czechom nieocenionym istotnie argumentem, że: podział krajowéj rady szkolnéj na dwie narodowe sekcye wytworzy w kraju dwa od-

rębne narody, jak gdyby Niemcy i Czesi nie byli już oddawna dwoma różnemi narodami. Dziwna zaiste rzecz, dokąd ludzi dzielnych zresztą, ale przytém trochę ambitnych, popchnąć może niebezpieczeństwo niepopularności.

Ta obawa wiele narobiła spustoszeń w obozie staroczeskim; sprawiła ona, o czém już wspomniałem, że kilku członków klubu staroczeskiego głosowało z młodo-czechami przeciwko ugodzie. To niebezpieczeństwo, a raczéj obawa niebezpieczeństwa, miała jeszcze i inne poważne następstwa.

Ponieważ młodo-czesi głosili, że wskutek ugody zagrożone są i poświęcono prawa narodu czeskiego, przeto chciano im pokazać, że się bardzo gorliwie myśli o wzmocnieniu tych praw i pretensyi i stąd powstała w ciągu rokowań ugodowych rezolucya dr. Skardy, wzywająca rząd, żeby uznał czeski język za wewnętrzny urzędowy we władzach i sądach, jak nim jest polski język w Galicyi.

Wniosek powyższy stoi po za obrębem punktacyi ugodowych, niemniéj przeto rezolucya Skardy została uchwalona na sejmie większością wszystkich czeskich posłów i wielkich właścicieli ziemskich przeciwko głosom Niemców. Dowód to oczywisty przymusowego położenia, w jakiém znajdują się staro-czesi wobec powodzenia agitacyi młodo-czeskich, zupełnie bowiem prawidłowo należało tę rezolucyę, jako nie objętą punktami ugody, odrzucić a nawet zgoła jéj nie wnosić. Obecnie rzeczy tak stoją, że rząd jest oblegany, ażeby co do téj rezolucyi ustąpił, dla ułatwienia pozycyi staro-czechom wobec dalszych rokowań ugodowych, które w ciągu dłuższéj sesyi jesiennéj sejmu prowadzone będą.

Jaka zatém jest wogóle nowa sytuacya?

Krótko mówiąc — wcale nieszczególna. Ośmieleni dotychczasowemi powodzeniami, zamierzają młodo-czesi rozbić zupełnie i zniszczyć stronnictwo staro-czeskie, które, jak się wyrażają, składa się już z kilku „starych ichmościów“. Rozterka w obozie staro-czechów przyczynia się najskuteczniéj do wzmocnienia nadziei zwycięstwa w młodo-czechach, którzy chcą zdobyć wszystkie mandaty do sejmu i do rady państwa. Skoro w sejmie zasiądzie 98 młodo-czechów, wielcy właściciele ziemscy przyłączą się prawdopodobnie do Niemców, nie mogą bowiem iść razem z młodo-czechami, a naród czeski niewiele zyska na zwycięstwie młodo-czechów. Jeżeli i w radzie państwa zasiądą sami młodo-czesi, to upadnie większość, do któréj teraz Czesi należą, a naród i z téj zmiany nie osiągnie żadnéj korzyści.

Tymczasem w ciągu sesyi jesiennéj sejmu czeskiego ugoda posu-

nie się zapewne sporo, a wtedy może lud czeski, popchnięty na bezdroża szumnemi frazesami, przyjdzie do jakiegoś rozważniejszego zastanowienia. Ta nadzieja jeszcze nam pozostaje: *Qui vivra, verra!*

Wpływ ugody na polepszenie stosunków społecznych między Czechami a Niemcami mało jest jeszcze widoczny. Spór o zakładanie szkół czeskich dla czeskich mniejszości w miastach niemieckich, trwa ciągle; gminy niemieckie nie dopuszczają, żeby zmarłemu tam Czechowi, położony był na cmentarzu wieniec z czeskim napisem, a w Usti nad Elbą, robotnicy niemieccy poniszczyli wszystkie tabliczki stowarzyszenia upiększeń na plantacyach miejskich, dla tego, że na nich nazwy roślin wypisano w języku łacińskim i niemieckim, po łacinie u góry a po niemiecku u dołu i dla tego, że robotnicy wzięli łacińskie nazwy za czeskie.

Jedną praktyczną korzyść wypada wszakże zaznaczyć: ogólne zainteresowanie się Czechów i Niemców jubileuszową wystawą krajową, mającą się odbyć w 1891 r., w któréj Niemcy przed konferencyami ugodowemi stanowczo nie chcieli brać udziału.

Czesi zaprojektowali na r. 1891 powszechną wystawę krajową, któréj dano nazwę „wystawy jubileuszowéj“, na pamiątkę pierwszéj przed 100 laty (1791) urządzonéj wystawy produktów krajowych, z powodu koronacyi na króla Leopolda II. Nie chcąc nic słyszyć o koronacyi na króla czeskiego, Niemcy zaprotestowali natychmiast przeciw téj nazwie i oświadczyli stanowczo, że w „wystawie jubileuszowéj“ uczestniczyć nie będą. Obecnie ten punkt sporny jest już usunięty i Niemcy wezmą udział w wystawie.

O tak zwanéj wystawie krajowéj z 1791 r., czytamy co następuje w Rieger'a „Archiwum historyi i statystyki“ (I. 1792):

„Pragnąc bliżéj obznajmić jego królewską mość Leopolda II, podczas pobytu w Pradze w ciągu koronacyi, z produktami pracy i kunsztów w Czechach, ułatwić królowi przyjrzenie się całości i jednocześnie pokazać, jakie fabryki i rękodzieła doszły już do stanu kwitnącego, a jakie rodzaje nieco jeszcze w tyle pozostały, polecił im pan najwyższy burgrabia (tytuł naczelnika Czech, aż do 1848 r.) w lipcu (1791), ażeby pojedyńczy producenci z całego kraju nadsyłali swoje fabrykaty do prezydyum.

„Radca handlowy Schreyer podjął się uporządkować te produkta w przeznaczonéj na to sali alumnatu arcybiskupiego, w tak zwaném „Klementinum“.

„Jego królewska mość Leopold II w towarzystwie ich królewskich wysokości arcyksiążąt, Franciszka, Karola, Leopolda i Józefa,

udał się 14 października do sali rękodzieł, gdzie tymczasem znalazła się już jéj królewska mość królowa z kilku ministrami i najznakomitszemi kawalerami, obejrzał następnie wszystkie wyroby i produkty sztuka po sztuce, rozmawiał o różnych artykułach, rzucał pytania z których każde zdradzało wielkiego znawcę handlu i opuścił salę z oznakami najzupełniejszego zadowolenia".

Tak zwana wystawa krajowa 1791 r. była, jak widzimy, bardzo skromna; w 1891 r. wystawa ukształtuje się według wymagań nowwych czasów, więc zapewne o wiele wspanialéj.

Dr. Gabler.

Praga 29 czerwca 1890 r.





WRAŻENIA ZE ZJAZDU HISTORYKÓW,

odbytego we Lwowie d. 17, 18 i 19 lipca 1890 r.



Sprawozdanie dokładne stenograficzne utworzy spory zapewne tom drugi „Pamiętnika“, lecz zredagowanie i wytłoczenie jego przeciągnie się zapewne do końca roku bieżącego. Będzie to niewątpliwie pouczająca księga dla historyków z zawodu. Tymczasem, dla informacyi szerszego koła przyjaciół historyi, przydadzą się może pobieżne zarysy odbytéj dyskusyi nad temi referatami, których autorowie stawili się osobiście. Z liczby 41 obiecanych znalazło się bowiem w tomie I-ym „Pamiętnika“ 29 wydrukowanych poprzednio i na porządku dziennym umieszczonych, ale skutkiem niestawiennictwa pp. Rembowskiego, Al. Jabłonowskiego, Łebińskiego, Dowgirda i Wittyga przez dyskusyą przeszło tylko 24 referatów na posiedzeniach obu sekcyi, trzech oddzielnych i jedném wspólném. Należąc do sekcyi I-éj (właściwie historycznéj), nie mogłem z mocy prawa nieprzenikliwości fizycznéj, brać udziału w obradach sekcyi II-éj (sztuki i nauk pomocniczych). Stąd wyniknie jeszcze jedna ułomność niniejszego sprawozdania, że mówić będę tylko o 14-tu referatach: ale za to mogę sobie pozwolić na uwagi i sądy, jakich sprawozdanie urzędowe nie zamieści.

Spis uczestników zjazdu objął 155 nazwisk; w téj liczbie mieści się 2 Czechów: pp. Matejka Boh. i Zibrt Čeněk, którzy przybyli w charakterze delegatów od Muzeum królestwa Czeskiego i od Akademii Nauk Czeskiéj, książę Sturdza Dymitr, członek Akademii Rumuńskiéj w Bukareszcie, zapisał się na listę, ale nie zjechał osobiście. Pp. Roeppel i Caro z Wrocławia w listach lub telegramach niemieckich, p. L. Léger z Paryża po francusku i p. Jaromir Czelakowski i E. Jellinek z Pragi czeskiéj po polsku, wyrazili zainteresowanie się swoje pracami zjazdu.

Na pierwszém posiedzeniu ogólném, zagajoném o godzinie 11-éj zrana d. 17 lipca, odbyło się szybko zatwierdzenie regulaminu i obiór prezydyum, wedle propozycyi komitetu, przez aklamacyę. Kierownictwo obrad na dwu posiedzeniach ogólnych objął Stanisław hr. Tarnowski, w asystencyi prezesów honorowych: Augusta hr. Cieszkowskiego, prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego i Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego; do przewodniczenia w sekcyach powołani: prof. W. Zakrzewski i Wł. Łuszczkiewicz, dyrektor Muzeum krakow. Zastępców i vice-prezesów nie wymieniam, ponieważ nie zaszła żadna okoliczność, któraby ich do czynności powołała. Zasiadali sobie w milczeniu na wzniesionéj o parę stopni nad posadzką estradzie.

Po ukończeniu wstępnych i dziękczynnych przemówień, zajął katedrę dr. Michał Bobrzyński, żeby wygłosić swój „wykład o kierunku nowszych prac nad historyą organizacyi społecznéj w Polsce.“ Wracając myślą do odbytego w Krakowie przed 10-ciu laty pierwszego zjazdu historyków, zaznaczył, że tam wywieszone było hasło „nagiéj prawdy“ i obmyślono szereg wydawnictw źródłowych ze wskazaniem dokładnéj metody. Dziś zmieniły się stosunki o tyle, że obok opracowania źródeł, mamy na porządku dziennym szereg pytań konstrukcyjnych. Nie ma mowy o formie rządu, bo kwestya ta została już do pewnego stopnia rozstrzgniętą, a dawne predylekcye upadły. Przyszły za to nowe kwestye w dziełach Wojciechowskiego (Chrobacya), Smolki (Mieszko), Piekosińskiego (O dynastycznem szlachty polskiéj pochodzeniu), Małeckiego (Studya heraldyczne), Pawińskiego (Rządy sejmikowe etc.), Korzona (Wewnętrzne dzieje), Kętrzyńskiego (O ludności polskiéj w Prusach) i Łozińskiego (Patrycyat Lwowski). Kwestye sporne znalazły się w pojmowania najdawniejszych faz organizacyi społecznéj. Tak, nie jest należycie wyświetlonem osiedlenie plemion; potém nie wiemy, co za klasy istniały przed powstaniem państwa polskiego, w IX i X wiekach? Że istnieli książęta i niewolnicy—to pewna, ale zachodzi wątpliwość co do *haeredes* i *homines liberi*, znanych dopiéro w XII w. Wątpliwém téż jest istnienie drobnéj własności indywidualnéj. Nie mamy jasnego wyobrażenia o gospodarstwie wielkiém z owych czasów; zapewne dwór gromadził czynsze i daniny od ludności podwładnéj sobie. Znamy już dwa rycerstwa: szlacheckie i włodycze, ale nie wiemy skąd one się wzięły i w co obróciły. Piekosiński twierdzi, że rycerstwo włodycze zmarniało i do rodów szlacheckich herbowych nie weszło w czasie późniejszym. Twierdzenie to spotkało się z zaprzeczeniami. Wypadnie teraz chyba pisać biografie wszystkich osobistości, wspominanych w dyplomatach

z XIII w. i od nich prowadzić dalsze genealogie, a może dowiemy się wtedy, że włodycy przez pół dostali się do szlachty. Od w. XV-go organizacya społeczna jest już wyraźna i jasna. Zdobycie Konstantynopola przez Turków osłabia mieszczaństwo, a wielki wywóz zbóż wzmacnia szlachtę. Tylko nie są nam znane niektóre szczegóły w głąb sięgające, jak się *praedium militare* z XIV i XV-go w. rozpościera w XVI-ym? Potrąciwszy zlekka o rozszerzenie państwa na „olbrzymie przestrzenie“ wschodu, o przeistoczenie się w XVII w. szlachty na ziemiaństwo i o wiek XVIII-ty z jego usiłowaniami „naprawy złego,“ sz. prelegent zadał jeszcze pytanie, czy można przyznać wyższość historyi politycznéj nad społeczną, lub odwrotnie? Uznawszy, że każda z tych jest jednostronną, zawnioskował, iż usunąć tę jednostronność będzie zadaniem obecnéj chwili. Twórcom nowego kierunku robiono różne zarzuty, podsuwano im pewną doktrynę polityczną, nie uznano ulepszenia metody badań. Lecz te zarzuty są płonne. Fakta dowiodły, że dzisiejszy ruch nie związał się z żadną doktryną, że okazał zdolność rozszerzenia swojego programu. A gdyby nawet objawiła się jednostronność w badaniach nad formą rządu, to jeszcze wypadłoby uznać, że się przyczyniły skutecznie i pożytecznie do określenia, ile każde pokolenie zdziałało dla wzmocnienia, lub osłabienia państwa.

Rzęsiste oklaski zamanifestowały sympatyę całego prawie zgromadzenia dla utalentowanego prelegenta i urok jego świetnéj wymowy. Dyskusyi żadnéj nie było i prezes niezwłocznie zamknął to pierwsze posiedzenie ogólne. Nie wiem, czy zentuzyazmowani słuchacze zadali sobie pytanie, z jakiego powodu i w jakim celu komitet przyznał p. Bobrzyńskiemu wyjątkowy zaszczyt wykładania swoich zapatrywań i twierdzeń *ex improviso*, bez podania ich do druku w księdze referatów? Niewielu zapewne wiedziało, że były odrzucane i zwracane autorom odczyty (np. Sz. Askenazego o Polakach przed trybunałem rewolucyjnym francuskim w r. 1794), a nawet referaty z ważnemi wnioskami (np. S. Dicksteina o potrzebie badań nad rozwojem nauk matematycznych w Polsce) z zasady, że nie dałaby się nad niemi przeprowadzić skuteczna dyskusya. Przypuszczaćby można, że wyjątkowy odczyt p. Bobrzyńskiego ma wprowadzić uczestników zjazdu do wnętrza pracowni intelektualnéj, do saméj kuźni projektów i dezyderatów, przeznaczonych do roztrząsania, ale przeczy temu przypuszczeniu porządek dzienny obrad i księga referatów. Ani tu, ani tam „organizacya społeczna w Polsce“ nie była wzmiankowaną; wyliczeni pisarze byli znani wszystkim bodaj uczestnikom zjazdu tam samo zapewne, jak prelegentowi; wszestronne scharakteryzowanie „ruchu dzisiejszego“ było niemożliwe, chociażby ze względu na krótkość czasu: więc też głębszego

i organicznego związku z zadaniami zjazdu odczyt nie nawiązał. Pozostaje nam do przyjęcia domysł, że p. Bobrzyński chciał przypomnieć zgromadzeniu zasługi i zalety szkoły krakowskiéj, a tym sposobem wytworzyć przyjazną dla niéj atmosferę umysłową, w obec zapowiedzianego na sobotę referatu o błędach historyografii naszéj, t. j. téjże szkoły krakowskiéj i samego p. Bobrzyńskiego. Była to więc akcya, albo przynajmniéj mowa polityczna w sferze interesów naukowych, a komitet, ofiarując do takiego użytku mównicę zjazdu, odstąpił, jak mi się zdaje, od surowości katońskiéj w przestrzeganiu zasad programu.

Właściwe prace zjazdu rozpoczęły się po południu na posiedzeniach sekcyjnych:

I. Tarnowski hr. Stanisław przedstawił „Stan i charakter literatury politycznéj polskiéj w XVII w.“ Z omówionych w referacie rozpraw, broszur i wierszydeł wyciągnął smutną syntezę, że wiek XVII u nas nie wyrobił własnéj podstawy filozoficznéj, ani téż nie odbył pospołu ze współczesnym światem europejskim „téj umysłowéj ewolucyi, która do nowéj i żywotnéj filozofii wiodła i doprowadziła.“ Szczególnie razi rozwielmożniony od czasów Jana Kazimierza konserwatywny „fanatyzm *status quo*“, lub zrezygnowany obojętny sceptycyzm. Referat nie zawierał żadnych wniosków do uchwały, ale został poddany pod roztrząsanie. Więc Kubala wyliczył pominięte w nim broszury o poprawie Rzpltéj, o cłach, o orderze Władysława IV, w sprawie wojny tureckiéj, w sprawie Jana Kazimierza, o *colloquium charitativum*, o zatargu stanu szlacheckiego z duchowieństwem i wymienił Melchiora Stefanowicza, który zebrał trzysta kilkadziesiąt pism politycznych. Korzon zwrócił uwagę na „List Szlachcica Pruskiego do Obywatela Wielkiego Xięstwa Litewskiego dany“ (w „Bibl. Publ. Uniw. Warsz.“, 4, 18, 4, 70) bez daty i miejsca druku, ale za Jana Kazimierza napisany, ponieważ wspomina o rozejmie Sztumdorfskim z r. 1635 („od lat 26 *induciae*“), i o mandacie króla JM. „świętéj pamięci“, dotyczącym o spadku po krewnych Szpirynków, a więc o mandacie Władysława IV-go już wtedy zmarłego. Broszura ta zawiera najobfitsze zapewne na owe czasy wiadomości o handlu nietylko gdańskim, ale holenderskim i wschodnio-indyjskim, podaje porównawcze cenniki towarów, dotyka politycznych stosunków Polski ze Szwecyą i Danią, rozbiera kwestyą culagi do fundcolu, nałożonéj na Gdańsk i przedstawia stosunek prawnopaństwowy tego miasta do rządu polskiego od czasów Kazimierza Jagiellończyka, od *privilegium Casimirianum*. Wątpliwa, czy autor

był szlachcicem, ale to pewna, że pisał z punktu widzenia, a może i wedle instrukcyi mieszczaństwa gdańskiego. Tretiak podał do wiadomości broszurę z r. 1620, pisaną po klęsce cecorskiéj i drugą o sposobach obrony Rzpltéj. W ostatniém swém przemówieniu referent oświadczył, że pism o zatargu szlachty z duchowieństwem nie zalicza do politycznych i że znane mu są dwie broszury o tytułach, lecz je pominął, jako błahe.

II. Referat, a raczéj odczyt J. Bołoz-Antoniewicza o nieznanych utworach francuskich Z. Krasińskiego, pięknie wygłoszony i oklaskami nagrodzony, wywołał tylko parę uwag Tretiaka, chociaż cały zjazd otrzymał w darze wydany przez referenta zbiorek fragmentów z roku zapewne 1831-go. Chodziło o pomnożenie dzieł Zygmunta wydaniem wszystkich znanych i świéżo w Anglii odkrytych pism jego francuskich, oraz o wyświetlenie zasad, jakich się trzymać należy przy uporządkowaniu i oczyszczeniu tekstu. Kwestye takie, zarówno jak dociekanie genezy twórczości poety, wchodzą w zakres literatury; nie dziw, że historycy nie mieli tu nic do powiedzenia.

III. Stanisław Windakiewicz swoim referatem p. t. „Znaczenie szkół i uniwersytetów dla oświaty i literatury łacińskiéj w Polsce“ dopiéro dał zjazdowi odpowiednie zadanie, żądając pracy zbiorowéj dla wyświetlenia sześciu wielkiéj wagi pytań cywilizacyjnych. Motywując je, skreślił wyborny szkic pracy pedagogicznéj, która, zdaniem jego, zaczęła się w szkole dworskiéj Bolesława Śmiałego, rozwijała się szerzéj w szkołach katedralnych XIII i XIV w., potém w kolegiackich i wiejskich, aż doszła do rozkwitu w Akademii krakowskiéj XV w. Referent oblicza cyframi Polaków, udających się na uniwersytety zagraniczne, wymienia odkryte w Erfurcie, Paryżu, Montpellier, Rzymie dzieła polskich uczonych, domaga się wyśledzenia źródeł wiedzy i kierunków umysłowych, objawiających się w Polsce średniowiecznéj. Z wielką przyjemnością widzę, że młody doktór, należący do nowego pokolenia historyków, rozgląda się szerokimi rzutami oka po całéj Europie, że zatém czuje potrzebę studyowania historyi powszechnéj. . . . „Kluczem do zbadania średniowiecznéj nauki polskiéj jest historya szkół,“ rzekł referent, a przypominając przypadającą za lat 10 rocznicę 500-letnią powtórnego założenia uniwersytetu krakowskiego, żądał orzeczenia, że historya tego uniwersytetu jest „jedną z doniosłych spraw nauki polskiéj.“ Nikt nie wystąpił z opozycyą zasadniczą, tylko pod względem wykonawczym Prochaska wypowiedział uwagę, że trudném i zbyteczném by było wydawanie wszystkich bez wyjątku pisarzy-pedagogów, jak np. Macieja

z Krakowa i Kazimierza ze Skalbmierza, a St. Krzyżanowski, pracujący obecnie nad kancelaryą Przemysława II-go, byłby rad związać to wydawnictwo z badaniami dyplomatycznemi, ponieważ istnieje związek pomiędzy kancelaryą i szkołą, ponieważ magistrowie bywali kanclerzami i książęta polecali im czasem badanie wiarogodności dyplomów. Korzon, przyznając wysoką wartość tezom referenta, doradzał rozszerzenie ich na późniejsze, nowożytne wieki, celem ujęcia i wyłożenia wszelkich idei, jakie ożywiały i podniecały umysłowość narodu. Głosowanie wypadło po myśli wniosków referenta.

Tak się zakończył dzień pierwszy zjazdu.

Nazajutrz, d. 18 lipca, odbyły się II-gie i III-cie posiedzenia w obu sekcyach.

IV. Prof. Anatol Lewicki postawił pytanie: „Jakie prace do dziejów XV wieku byłyby najbardziéj pożądane?“ Zrobiwszy przegląd ogłoszonych publikacyi, zauważył, iż mniéj znanym jest okres drugi 1430—1500, a szczególnie ostatnia część jego po 1466 roku; żądał więc zarządzenia poszukiwań po archiwach za materyałem źródłowym i monografii do wyjaśnienia wielu kwestyi szczegółowych. Młodzi historycy podnieśli tę propozycyę z wielkiém ożywieniem. Papée wskazywał na archiwa królewieckie, frauenburskie, weneckie, watykańskie, domyślał się, że znajdą się ważne materyały w Dreznie, ponieważ książę saski był jednym z kandydatów do korony jagiellońskiéj i utrzymywał posła swojego w Polsce, który musiał przesyłać jakieś raporty. Nie należy zapominać o Macieju Korwinie, współzawodniku Jagiellonów do korony czeskiéj. Pomiędzy tematami do monografii szczególnie pożądanemi są studya nad sferą spraw litewskich i ruskich. Wreszcie, dotykając wydawnictwa „Monumentów H. P.“ zalecał korreferent, aby w nich zamieszczane były tylko źródła główne, oryginalne, a wszelkie notatki, dopiski i wiadomości drobniejsze, aby przekazywane były do wydawnictw Komisyi historycznéj. Kętrzyński, jako redaktor „Monumentów H. P.“, godził się na to z nadmienieniem, że gotów jest drukować drobniejsze rzeczy w tomie dodatkowym. Zwracał też uwagę na liczne relacye agentów krzyżackich w różnych krajach, wzmiankujące nieraz o agentach polskich za granicą. Korzeniowski zawiadamia, że odpisy ze stosunków krzyżackich znajdował w Rzymie, w archiwach Watykańskiém i konsystorskiém, że w wydanych przez kawalera de Simoni dokumentach z archiwum genueńskiego znajdują się wiadomości o stosunkach z Polską. Radził zajrzéć nawet do Raguzy. W powtórnym zaś głosie żądał drukowania w „Monumentach H. P.“ interesujących Polskę wyciągów z dzieł ob-

cych. Korzon podał jako temat do monografii dokładniejsze zbadanie, czém byli *„juniores“*, uważani dotychczas za stronnictwo ludzi młodych, którém się otoczył Kazimierz Jagiellończyk w czasie zaburzeń cerekwickich i układania statutów Nieszawskich 1454 r. Posługując się analogią z XVI i późniejszych wieków, należałoby domyślać się pod tą łacińską nazwą, tak często używanego późniéj w terminologii sejmowéj wyrażenia: „młodsi bracia“ t. j. szlachty, posłów ziemskich w przeciwieństwie do „starszéj braci“ t. j. do senatorów. Właśnie rok 1454 jest datą pierwszego wystąpienia szlachty w akcyi prawodawczéj. Prof. Balzer przeczy takiemu wykładowi, ponieważ pomiędzy juniorami Długosz wymienia kilku senatorów. Windakiewicz, Korzeniowski i Papée wypowiedzieli jeszcze kilka dezyderatów, co do wydawnictwa materyałów, Referent obiecał uczynić im zadość w tomie 2-im swojego „Kodeksu Listów z XV w.“ Dyskusya była już zakończoną, gdy nadszedł hr. Cieszkowski i, mniemając, że nie zwrócono dotychczas uwagi na archiwa włoskie, zalecał pilne w nich poszukiwania do kwestyi sojuszu z Wenecyą i do dziejów Władysława Warneńczyka. Dokument obioru tego króla na tron węgierski jest obcięty i sfałszowany przez Długosza; trzeba wynaleźć korespondencyę kardynałów Cesariniego i Izydora, a te wyświetlą niewątpliwie istotny charakter wyprawy tureckiéj. Sędziwy historyozof przywiązuje wielką wagę do wieku XV-go. „Przełomów w historyi, tak samo jak w przyrodzie, nie znamy, ale wiek XV-ty jest początkiem ewolucyi.“

Zjazd przyjął jednomyślnie wnioski referenta.

V. Prof. Ludwik Kubala na wstępie energicznego referatu swojego „O wydawnictwie źródeł historycznych XVII wieku“ zamieścił ważkie spostrzenie, że wśród wydanych ostatniemi czasy źródeł i materyałów historycznych „uderza brak najpotrzebniejszych.“ Na pierwszém miejscu kładzie akta publiczne państwa, zawierające się przeważnie w metrykach koronnéj i litewskiéj. Wspomniawszy z wdzięcznością o wydanych przez A. Pawińskiego aktach do panowania Stefana Batorego, rozwija plan uzupełnienia Dogiela, który z sześciu zamierzonych tomów wydał tylko trzy: I, IV i V, bo reszta nagromadzonych materyałów spłonęła. Następnie żąda wydania karty geograficznéj i aktów rubieżnych w celu dokładnego oznaczenia każdorazowych granic Rzpltéj, jak to rozpoczął tenże Dogiel w r. 1758 w swoich *Limites Regni* etc.; obecnie, pracując nad traktatem Polanowskim, sam referent nie może dobadać się granicy od Desny aż pod Wiaźmę. Potém żąda wydania instrukcyi laudów sejmikowych, którym na wieki XVII i XVIII większą wartość przyznaje, niż dyaryu-

szom sejmowym, gdyż bez nich historyk „będzie widział w instytucyach Rzpltéj, w obradach i uchwałach sejmowych, w polityce rządu tylko zamieszanie, słabość i niedołęstwo. Zamiast liczyć się z rzeczywistością i z obowiązku swego tłómaczyć wypadki, będzie porównywał stan Rzplitéj z dzisiejszemi porządkami potężnych państw w Europie i patrzał w całą przeszłość naszą oczami cudzoziemca, przez pryzmę naszego upadku“. Chciałby jeszcze referent mieć spis dóbr kościelnych szlacheckich i królewszczyzn, oraz wydanie kilku drugorzędnych źródeł i zbiorów w całkowitym tekście, lub regestach.

Wszyscy mówcy dzielnie dopomagali referentowi informacyami i radami do osiągnienia dezyderatów w praktyce. Parczewski zapewniał, że spis wsi na wiek XVII da się zebrać z akt pruskich, z lustracyi królewszczyzn i dóbr duchownych. Mańkowski donosił o księgach dóbr Lachowice prowadzonych w XVII w. tak, że można ocenić szkodę przez inwazye tatarskie zrządzaną. Prochaska przypominał, że wiadomości o części metryki większéj kor. w Moskwie i o całym Dogielu były podane przez niego w „Ateneum“. Czermak donosi, że 5,000 dokumentów znalazł w archiwum prywatném Górskich; podobnych znajdzie się w kraju więcéj, proponuje więc skatalogowanie całego materyału, wydawanie listów porządkiem wybitnych osobistości, żąda wreszcie ogłaszania materyałów zagranicznych, ale nie tak rozwlekle i bez wyboru jak to uczynił p. Kluczycki (co do tego zarzutu p. Kluczycki się bronił i otrzymał łagodzące wyjaśnienie). Dembiński popierał badanie stosunków z Francyą i Hiszpanią, o których, jak mniema, nie wiemy „nic absolutnie“. Chrzanowski Leon (poseł) zaleca przedewszystkiém wydrukowanie metryki. Parczewski wykazuje możliwość skróceń przez opuszczanie formuł powtarzających się jednostajnie. P. zawiadamia, że metryka koronna, jest już zregestowana w 13 tomach, które się przechowują w Cesarskiéj bibliotece publicznéj w Petersburgu. Korzeniowski zwraca uwagę na archiwa rodów magnackich. Prof. Zakrzewski widzi niejasność w wyrazie „Metryka“: czy to ma być samo archiwum koronne, czy wszystko, co z kancelaryi królewskiéj wychodziło? Komisya historyczna już uchwaliła uzupełnienie metryki z dyaryuszów XVI i początków XVII w. Jako dyrektor jéj wydawnictw, ofiaruje wszelką gotowość do ułożenia i wykonania ogólnego planu. Hr. Cieszkowski nie chce kłaść nacisku na sam wiek XVII; zawiadamia, że w Wenecyi znajdują się w 18 voluminach raporty tygodniowe posłów rzplitéj weneckiéj; ponieważ księgi te są już po rogach zbutwiałe, więc kazał wszystkie 18 voluminów przepisać. W ostatniém swém przemówieniu Kubala, odpowiadając na słyszane uwagi, odrzuca

wydawnictwa akt zagranicznych, bo mamy ich dosyć: Dogiela, Albentrandi'ego, Lukasa, Walewskiego, Waliszewskiego i t. d.

VI. Prof. Balzer objaśniając referat swój „W sprawie wydania zbioru ustaw polskich średniowiecznych", robi obrachunek znanych sobie od epoki piastowskiéj do r. 1506 tekstów prawodawczych i dochodzi do wniosków, że dotychczas ogłoszono drukiem zaledwo połowę a może i część trzecią. Żąda więc w 4-ch wnioskach, aby zjazd uchwalił nowe całkowite i krytyczne wydanie pod kierunkiem komisyi prawniczéj przy Akademii umiejętności. Prof. Bobrzyński sądzi, że takie żądanie (szczególnie § 2) jest przedwczesne; komisya prawnicza naradzała się nieraz, lecz napotkała wielkie przeszkody. Wypada najprzód przeszukać dokładniéj archiwa. Potém wypadnie określić jasno, jakie pomniki uznane być mają za akta prawne, a jakie za historyczno-polityczne. Tyczy się to szczególnie przywilejów, jak np. Wacława z 1291 na rzecz kościoła Koszyckiego, Jedlińskiego i przywilejów specyalnych, których znaleść można tysiące. Prof. Wojciechowski mówi o odkrytéj przez siebie, a najdawniejszéj może ustawie Bolesława Krzywoustego co do Pomorza nad-odrzańskiego z r. 1122 czy 1123. Żywot Ś. Ottona, przez Herborda pisany, zawiera wyraźny dekret (*Ego Bolezlavus dux Poloniensis decrevi*) w postaci listu do Szczecina. Więc zbiór żądany można byłoby zacząć od XII w. Parczewski wytyka referentowi, że przytoczył zamało uchwał wiecowych; te znajdą się w księgach sądowych z XV i XVI w. aż do otwarcia trybunału i w dyplomataryuszach. Balzer usuwa nieporozumienia z pp. Bobrzyńskim i Parczewskim za pomocą dodatkowych wyjaśnień, proponuje dla ułatwienia, aby uczeni korzystali z przedsiębranych podróży do różnych miast dla poszukiwania ksiąg średniowiecznych w archiwach i ponownie zaznacza pilną potrzebę wydania zbioru.

VII. Referat prof. Semkowicza o potrzebie i sposobie wydania ważniejszych źródeł, znajdujących się w miejskiém archiwum we Lwowie, nosi cechę lokalną i dałby się załatwić na posiedzeniach towarzystwa historycznego, lub komisyi historycznéj. Lubo dyskusya [1]) znacznie rozszerzyła zakres tematu pierwotnego, bo ogarnęła wszystkie archiwa miast prowincyonalnych w Galicyi, domagając się od zjazdu dyrektywy do organizacyi należytéj i zinwentaryzowania dokumentów; trudno było jednakże osiągnąć uchwały praktyczne,

---

[1]) Przemawiali: Papée, St. Krzyżanowski, Kubisztal, Balzer, Prochaska, Zych i Drzewicki.

zwłaszcza, że sprawą tą zajął się już wydział krajowy, a nikt z członków zjazdu nie posiadał pełnomocnictwa od władz miejskich.

VIII. Papée zawarł „najważniejsze dezyderaty do dziejów Rusi czerwonéj za czasów rzplitéj“ w 4-ch wnioskach: 1) do dziejów osadnictwa, 2) rozwoju gospodarstw ziemskich, 3) kościoła ruskiego, 4) organizacyi obrony od Tatarów. Nadto domagał się wydania ukrytych jeszcze w rękopiśmie, oraz lepszego opracowania wydrukowanych już latopisów ruskich. Wyrzut, wypowiedziany w referacie, że dla wydania kilku pism greckich, znajdujących się w księgozbiorze stauropigii, trzeba było posyłać oryginały do Niemca, prof. Zimmermana w Hermansztacie, pobudził prof. Szaraniewicza do wyjaśnień. Stauropigia lwowska posiada 70 manuskryptów greckich, niezmiernie trudnych do odczytania z powodu skróceń i odmian językowych z różnych epok. Są przecież pomiędzy rusinami poważni uczeni, których należy do takiéj pracy zawezwać dla dobra nauki. Prof. Szaraniewicz, przypomniawszy obecnym, że sam należy do najdawniejszych członków akademii umiejętności z pierwszego kompletu, poparł swoje żądanie tak serdecznemi i zacnemi słowy, że zgromadzenie odpowiedziało na nie gorącemi oklaskami. Czarnik dodał nowy wniosek, aby gromadzono materyały i pisano monografie do dziejów Galicyi po r. 1772, aż do ostatnich czasów. Wszystkie wnioski zostały przyjęte.

IX. Referat Ant. Prochaski „O wydawnictwie pomników dziejopisarstwa litewsko-ruskiego“ jako téż rozprawa, p. t. „Latopis litewski, rozbiór krytyczny“ (Lwów, Gubrynowicz 1890 str. 58) poruszyły świéżo wynurzającą się kwestyę co do głównego źródła historyi Litwy, znanego dotychczas w wydaniach Daniłowicza wileńskiém z r. 1825 i Popowa z r. 1854 w tomie II „Zapisek“ 2-go wydziału akademii nauk petersburskiéj. Prof. St. Smolka wystąpił w VIII tomie pamiętnika akademii umiejętności ze znakomitą epokową, analizą tego latopisu. Niestety! nieobecność jego na zjeździe przeszkodziła załatwieniu zarzutów i wątpliwości podniesionych przez p. Prochaskę na podstawie świéżo wynalezionego w bibliotece poznańskiéj manuskryptu. Przybyły nadto inne jeszcze rękopisma, odkryte w ostatnich chwilach przez P. Więc sprawa nie jest jeszcze dojrzałą. Prochaska domagał się tylko, aby latopis ów został wydany w najbliższym tomie „Monumentów P. h.“ na pierwszém miejscu, jak tylko ukończone będzie porównanie i opracowanie wszystkich manuskryptów.

X. Br. Dembiński, jeden z nielicznych przedstawicieli i rzeczników historyi powszechnéj, wymownie motywował „Kwestyę soboru narodowego w Polsce w wieku XVI“. Wnioski referatu zmierzały do wydania kodeksu: 1) listów i pism z pierwszéj połowy XVI w.

dla wyświetlenia przyczyn reformacyi i 2) dalszego ciągu Tomicyanów. F i n k i e l, przyklaskując tym żądaniom, rozszerzał je, wskazując na synody protestanckie, z których trochę dał prof. uniw. warszawskiego Lubowicz, i na konfesye przedłożone królowi, z których jedna znajduje się w Ossolineum. Jedném słowem, pożądanym jest *Codex Reformationis Polonicae.* Referent chętnie nato przystał, a zjazd wyraził swoją aprobatę.

Na tém zakończył się dzień drugi obrad.

Pozostawał trzeci, ostatni, a raczéj jedno poranne posiedzenie obu połączonych sekcyi, wieczorne bowiem, ogólne, miało być zamknięciem zjazdu. Załatwienia oczekiwały cztery referaty rozleglejszego od wszystkich poprzednich zakresu, więc obadwaj przewodniczący zawezwali sekcye do wczesnego zgromadzenia się, na godzinę 9½.

XI. Prof. Ksawery L i s k e, z powodu ciężkiéj choroby nieobecny fizycznie, ale przez działalność przygotowawczą w organizowaniu i przez codzienne relacye, albo i przez urzędowe delegacye obcujący duchowo ze zjazdem, dał do odczytania referat p. t.: „W jaki sposób dałby się rozbudzić i rozwinąć ruch naukowy na prowincyi?“ Twórca towarzystwa historycznego we Lwowie, przeważnie z własnych uczniów złożonego, nakreślił z właściwym sobie zmysłem praktycznym plan ukonstytuowania kółek naukowych w odpowiednich miastach i miasteczkach Galicyi. Wniosek ten został skwapliwie i z zapałem przyjęty.

XII. Referat Tadeusza K o r z o n a p. t. „Błędy historyografii naszéj w budowaniu dziejów Polski“ budził znaczne zainteresowanie, ale też i rozdrażnienie, albowiem szeregami wyjątków z dzieł Szujskiego, Bobrzyńskiego, Walewskiego i wielu innych historyków szkoły krakowskiéj, wykazywał krańcowe i wzajemnie wykluczające się sądy o królach, poczynając od Bolesława Chrobrego i Kazimierza Wielkiego, aż do Jana III, oraz o najważniejszych wypadkach dziejów narodowych, jak wytworzenie się sejmu, ruch reformacyjny, Unia Lubelska, sprawa Lubomirskiego, sojusze z państwami obcemi. Na epokę Stanisława Augusta poglądy ks. Kalinki zostały zaprzeczone. Co do Szujskiego, zaznaczony został kontrast pomiędzy pracami z epoki, poprzedzającéj rok 1868 a późniejszemi z katedry uniwersyteckiéj. Źródło takiéj anarchii umysłowéj referat widzi w politykowaniu, w zerwaniu łączności naukowéj z poprzedniemi szkołami, Naruszewiczowską i Lelewelowską, w niedostatecznéj znajomości historyi powszechnéj, wreszcie w zaniedbaniu studyów filozoficznych i historyozoficznych.

Otrzymawszy wyraźne od wielu uczestników zjazdu wypowie-

dzenie walki, Korzon musiał przybrać wojowniczą postawę i zagaił dyskusyę w tych słowach:

„Dzięki wybornemu pomysłowi ogłoszenia drukiem referatów przed zaczęciem zjazdu, mogę nie czytać referatu swojego, przypuszczając, że doszedł już do wiadomości każdego z obecnych tu uczestników. A jednak i przy takiém udogodnieniu pozostanie jeszcze trudność niemała w przeprowadzeniu gruntownéj dyskusyi w ciągu kilkudziesięciu minut, jakiemi rozrządzać nam wolno. Wiem, że w referacie znajduje się kilka kwestyi zawiłych, rozległych, niewyczerpalnych—*une mer à boire*, jakby powiedział Francuz. Wiem również, że z pióra mojego spłynęła gorycz piołunowa, a nie śmiem obiecywać, aby i z ust moich obecnie miód popłynął. Czyż mamy atoli zakończyć tę sprawę, niewątpliwie poważną i ważną, fajerwerkiem frazesów i wrzawą uczuć wzburzonych?

„Co do mnie — pragnę umożebnić osiągnienie gruntownych konkluzyi i uchwał przy szybkiém posuwaniu się skazówek zegara. W tym celu obmyśliłem następne uproszczenia, które śmiem zaproponować oponentom moim do łaskawego uwzględnienia.

„A. Sprawdźmy, czy trafnie, czy dokładnie, czy rzetelnie określonym został przezemnie ujemny rezultat pracy, przez zastęp uczonych mężów, który się nazwał, czy został nazwany „szkołą nową krakowską“, w okresie czasu, poczynającym się bibliograficznie od r. 1867 t. j. od wydania znanéj przedmowy ks. Kalinki. W téj czynności sprawdzania nie będę przeszkadzał oponentom moim, lecz owszem radbym nawet pomagał im przeciwko sobie samemu, gdyby się nadarzyła możność logiczna.

„B. Jeśli jednak stwierdzone zostanie istnienie smutnego zjawiska, uznajmy już bez dyskusyi, że to jest klęska, którą usunąć jak najrychléj należy za wszelką cenę, największemi wysileniami umysłów naszych. Ja podałem w referacie projekt naprawy, lecz nie dyskutujmy zasad jego, bo nie skończylibyśmy sporu z pewnością i narazilibyśmy się na zarzut obstrukcyonizmu. Pp. oponenci niech raczą poprzestać na krytyce wniosków, które odczytać muszę.

„Drugi zjazd historyków:

I. Nagania stosowanie do badań i do wykładu dziejów frazesu Cycerona: *Historia est magistra vitae*, a w razie konieczności przytoczenia tych słów w jakimkolwiek związku myśli, zaleca dodawać przestrogę, że dla życia mistrzostwo historyi nie różni się zgoła od mistrzostwa wszelkiéj innéj nauki czystéj, a nie dorównywa użyteczności nauk stosowanych, gdyż zadaniem jéj jest tłómaczyć nam świat

dzieł ludzkich, uczyć nas pojmowania odziedziczonych tak z najodleglejszéj, jak z bliższéj przeszłości, a mieszczących się w istocie naszéj zasobów wiedzy i woli.

II. Odrzuca subiektywizm utworzonéj w ostatniém 20-leciu szkoły krakowskiéj w sądzeniu i wykładzie zjawisk dziejowych, wybujały tak dalece, że zamiast określania cech wieku, faktu lub działacza historycznego, członkowie jéj wysuwają żarliwość swoją dla wyznania katolickiego, uległość swoją kościołowi rzymskiemu, lojalność swoją względem dynastyi, obronę pewnéj formy rządu, zalecanie pewnych sojuszów, sympatye lub antypatye dla pewnych narodów, niechęć do pewnych kierunków naukowych lub filozoficznych — jedném słowem, sprawy swoje osobiste, zatracając samą treść nauki, która zarówno potrzebną i pożyteczną jest kuryi rzymskiéj, dynastyom i narodom.

III. Gdy szkoła średnia dostarczała i dostarcza zaledwo nomenklatury i zewnętrznych rusztowań historyi powszechnéj, a reforma rdzenna w tym dziale pedagogiki nie daje się przewidziéć w bliskiéj przyszłości, w każdym zaś razie byłaby spóźnioną dla pracującego obecnie pokolenia: przeto pożądaném jest, aby „Kwartalnik historyczny“, nie poprzestając na istniejącéj już „Bibliografii z literatury zagranicznéj“, wprowadził do swego programu studya i sprawozdania z całego obszaru wiedzy historycznéj; nadto aby Towarzystwo historyczne utworzyło sekcye: 1) historyi powszechnéj i 2) teoryi i filozofii historyi, aby słuchało referatów tak jednéj, jak drugiéj na swych posiedzeniach ogólnych, aby zachęcało do rozpowszechniania sprawozdań i opracowań w kołach szerokich przez popularne pisma lub odczyty“.

„C. Ponieważ roztrząsane w referacie pomysły i sądy noszą nie jakąś cechę ogólnikową, lecz nazwisko autora t. j. osoby żyjącéj, lub zmarłéj fizycznie, ale duchowo wśród nas przebywającéj, zachodzi więc niebezpieczeństwo, aby nie zmącił nam czynności powyżéj określonych pierwiastek osobisty. Celem odwrócenia tego niebezpieństwa oświadczam i dyktuję do protokółu, żem nie doznał szkody, krzywdy, a nawet najlżejszego ubliżenia od żadnéj z osób, w referacie wymienionych i od żadnéj z osób tu, w sali téj zasiadających. Nadto wyznaję, że w kilkukrotném osobistém zetknięciu się ze ś. p. Szujskim odczuwałem ciepło serdeczne, jakie od niego promieniowało zawsze naokół. Jemu zapewne zawdzięczam zaszczyt nadania cechy akademickiéj moim badaniom nad epoką Stan. Augusta. Nie tyle może, co inni, oceniam wartość funduszu nakładowego i troskliwéj opieki nad edycyą, bo to należy do sfery obowiązków publicznych, ale głęboką wdzięczność czułem i czuję za to, że drukowano

bez żadnych zmian i oporu pracę, która wyraźnie zaprzeczała ogłaszanym spółcześnie pracom ks. Kalinki. Gdy przyszło do kart ostatnich, czując cierpkość swojego stylu, zgłosiłem się sam do następcy ś. p. Szujskiego, sekretarza jeneralnego akademii, obecnie nam przewodniczącego prezesa, z gotowością zrobienia poprawek tam, gdzieby żądano, lecz nie żądano odemnie zmiany ani o jedną literę. To wystarczy może do wyjaśnienia, że pomimo nomenklatury osobistéj, wszystkie omawiane myśli i sądy stanowią dla mnie abstrakcye naukowe, najzupełniéj nadające się do roztrząsania w tém oto zgromadzeniu. Zaczynajmy więc".

Przemowa ta była przyjęta głuchém milczeniem i nie wywarła podobno żadnego wpływu na oponentów.

Korreferent urzędowy, prof. Balzer oświadczył najprzód, że nie zdoła zawrzéć odpowiedzi swojéj w 15-minutowym czasie przez regulamin oznaczonym. Prezes zaproponował, aby w tym wypadku udzieloną została korreferentowi dyspensa nieograniczona, co téż nastąpiło znaczną większością głosów. Swobodnie więc, częstemi aplauzami zachęcany, rozpoczął korreferent obronę historyografii nowszéj od protestacyi przeciwko oskarżeniu o niedostateczną znajomość historyi powszechnéj, opartemu na „jedynym" dowodzie z usterek wyszukanych w artykule Szujskiego [1]). Zresztą „czy nasza wina, że mała liczba pracowników może się poświęcać naukom, że brak nam funduszów na wyprawy naukowe, podróże, wykopaliska? I szkoła średnia w Galicyi nie jest tak złą, nie uczy samych dat i faktów. Przeczył korref. istnieniu „Szkoły krakowskiéj", bo do tego potrzebni byliby: 1) kierownik, 2) uczniowie, 3) jedna zasada, jednolity kierunek, a nic podobnego ref. nie wykazał, przeciwnie zestawiał same sprzeczności." „Jest to „walka z wiatrakami". Do szkoły zaliczeni są i tacy, którzy nic spólnego z Krakowem nie mają, jak Świeżawski, albo Edward Bogusławski, którego wyraźnie potępił prof. Smolka, pisząc recenzyę jego historyi polskiéj w „Kwartalniku historycznym". Protestował następnie korref. przeciwko wyrażeniu: „kłamiemy". Naród może nam powiedziéć chyba, że się mylimy, ale dobréj wiary nam nie odmówi. Przytaczając szereg sprzeczności, ref. potępia wszystkie sądy zarówno, wytwarzając wciąż łamigłówki logiczne, bo z sądów sprzecznych jeśli jeden jest zły, to drugi musi być dobry. A jakiżto jest ów szczęśliwy kraj, gdzieby historya wypowiedziała swe ostatnie słowo. I czy pożądaną jest niewolnicza jednostajność w sądach? Czy niebyłaby objawem marazmu? Istniała niegdyś i w Polsce jednomyśl-

[1]) Cfr. str. 12 referatu, przypisek.

ność, kiedy wszyscy przepisywali Kadłubka albo przedstawiali Jagiełłę wedle opowieści Długosza. Dziś wypada zmienić wnioski pod wpływem ukazujących się nowych materyałów. Nie dziw, że Szujski musiał inaczéj sądzić reformacyę w r. 1880, gdy ogłoszone zostały Hosyana, niż w 1860, kiedy to źródło nie było znaném. Zresztą ułomność i niedostateczność umysłu ludzkiego może usprawiedliwić niejedną sprzeczność. Korref. odpycha też zarzut, jakoby Szujski naciągał historyę do widoków teraźniejszości; w takim razie praktykowałby już nie Cycerońską, ale odwrotną zasadę, że *vita est magistra historiae.* Nie pojmował też historyi „na wywrot“, tylko uznawał metodę wstecznego wnioskowania, jak to się zwykle dzieje np. przy wyciąganiu materyału historycznego z podań i pieśni. W konkluzyi godził się na uchwalenie trzeciego wniosku referenta z poprawką, lecz żądał odrzucenia dwu pierwszych, albowiem zjazd nie jest powołany do uchwalania lub odrzucania sentencyi filozoficznych, jak *Historia est magistra vitae*, albo *Die Weltgeschichte ist das Weltgericht*, albo *Eppur si muove* [1]), ani też obarczyć może historyków z Krakowa zarzutem subiektywizmu. Tak samo subiektywni są historycy z Warszawy i z Londynu. Różnią się może tém, że pierwsi są więcéj związani z katolicyzmem i że są zwolennikami silnego rządu, a przeciwnikami anarchii. Każdy historyk musi oświetlać wypadki ze swego punktu widzenia. Dzieje się to i za granicą np. w dziele Thiersa. Wzajemne potępianie jest niepotrzebne. Książka Bobrzyńskiego np. jest pisana nie dla wyrostków i dzieci i nie jest niebezpieczną. Zresztą referent nie udowodnił dwóch zarzutów, a bez dowodu nie może być wydawany werdykt.

Potém prof. Balzer zażądał powtórnie głosu, żeby oświadczyć, że polemikę tę prowadził z przykrością, ponieważ osobiście żywi dla referenta szacunek: podaje do wiadomości słowa jego, napisane w jednym z listów z Warszawy: „Będę się czuł szczęśliwym, jeśli mię przekonacie, że pogląd mój jest zbyt pesymistyczny“.

Piotr Chmielowski wskazywał, że główna i owocna myśl referenta mieści się nie w trzech przedłożonych do uchwały punktach, lecz na str. 9 w słowach: „Przykładając miarę naukową do prac naszych, przekonamy się, że chlubić się nam wolno tylko z edytorstwa i badań monograficznych, ale całokształtu dziejów Polski, ani określeń przydatnych do konstrukcyi ogólnéj nie posiadamy wcale. Mamy porządną cegielnię, lecz budownictwa uczyć się jeszcze musimy“. Podobną fazę

---

[1]) Ta ostatnia sentencya w istocie nie kwalifikuje się do żadnéj uchwały, ani dyskusyi, ponieważ przez Galileusza wyrzeczoną nie była, jak to zaznaczył Korzon w „Historyi Nowożytnéj“ tom. I. str. 392 na podstawie świeżych publikacyi.

przebywały nauki przyrodnicze. Ale umysł ludzki potrzebuje uogólnień i prawd. Te powinny być rozstrząsane na zjazdach. Zbiegiem okoliczności ta sama myśl została wyrażoną w referacie p. Finkla, domagającym się podręcznika. Podręcznik to właśnie uogólnienie.

Ksiądz Skrochowski uprzedza, że się postawi na stanowisku filozofów i będzie „rąbał“. Jestto jeden z epizodów rozległéj walki pomiędzy subiektywizmem i obiektywizmem. Jeden Bóg jest obiektywny, a dla człowieka-historyka wystarcza, żeby dążył do prawdy. Referent stawia zarzut Szujskiemu: „Bo czyż mógł urzeczywistnić wymagania takie, przewodnik szkoły, poddający politykę królów, spory i pragnienia różnorodnéj ludności federacyjnego państwa pod cenzurę duchowną jednego wyznania?“ (str. 13). Mówca zna tylko dwa stanowiska naukowe: 1) że jedyną religią prawdziwą jest katolicyzm; 2) nie wiém, czy jest prawdą. Ale pyta, czy może historyk być obiektywnym i prawdziwym, jeśli mniema że katolicyzm jest nieprawdą? W referacie p. Korzona widzi mówca krzyk subiektywizmu przeciwko wszystkim subiektywizmom nie zgodnym z jego pojęciami.

Dembiński wyznaje wdzięczność dla referenta za rzucenie kwestyi. We Francyi Bourdot w swojéj *Histoire des historiens* przyszedł téż do postulatu: *histoire à refaire*, chce odrodzić ją przez statystykę dla wykrycia praw dziejowych. Ale wpada w subiektywizm, zabarwiony pesymizmem. Nie godzi się mówca na dwa pierwsze wnioski referenta, ale popiera uprawę historyi powszechnéj i filozoficzne przygotowanie, zaleca nawet konkursa do ożywienia takich studyów.

Ksiądz Załęski T. J. zrzeka się zamówionego głosu, ponieważ chciał to samo powiedziéć, co ks. Skrochowski.

Mańkowski zwraca się przeciwsko ks. Skrochowskiemu, twierdząc, że możliwe są przecie sądy obiektywne. Wynurza przytém żal do referenta za zarzut zrobiony szkołom galicyjskim.

Parczewski proponuje z motywami stosownemi, aby Zjazd uznał się niekompetentnym do rozstrzygania większością głosów takich kwestyi, jakie się zawierają w dwóch pierwszych ustępach rezolucyi.

Prof. Bobrzyński chciał proponować przejście do porządku dziennego nad temiż dwoma wnioskami, ale przyłącza się do propozycyi Parczewskiego.

Mając sobie ofiarowany głos, stosownie do § 9 regulaminu, Korzon oświadczył, że naukowa konieczność nie zmusza go do przemawiania, ponieważ wystarczają cytaty, przytoczone w referacie. Nie widzi téż interesu osobistego nawet w popieraniu wniosków swoich, bo rola jego jest ukończona z chwilą, w któréj sformułował i drukiem

ogłosił te wnioski. Nie chodzi mu przecież ani o jakiś program wyborczy, ani o krępowanie myśli nakazami Zjazdu. Mógłby więc nie nadużywać uwagi szan. zgromadzenia; chyba na żądanie dostarczy dodatkowych wyjaśnień.

Na to odezwały się wołania: „Prosimy!“

Oświadczył więc, że nie twierdził, aby szkoła krakowska nie posiadała elementarnych wiadomości z historyi powszechnéj. Wybrał przykład pomyłki co do podróży gnieźnieńskiéj cesarza Ottona III dla tego tylko, że popołnili ją dwaj znakomici uczeni, Szujski i Walewski, co właśnie jest wskazówką psychologiczną, że nie posiadali wyrobionych i ustalonych w umyśle obrazów z historyi powszechnéj. Zawiodła ich pamięć, jak tylko nie zajrzeli do kronik w czasie pisania. Niepotrzebnemi też były protestacye w obronie gimnazyów galicyjskich, bo referent ich nie zna, a więc krytykować nie może, miał zaś na myśli niedostateczny wykład historyi w szkołach całéj Europy z powodu mylnego pojmowania nauki. Zaprzeczenie co do nazwy i istnienia szkoły krakowskiéj było przewidziane; referent przytoczy więc obecnie z przygotowanéj notatki takie ustępy, które wystarczyć mogą nawet za meldunek policyjny (czyta).

Bobrzyński, W imię prawdy dziejowéj, 1879 r. Warszawa, str. 40: „Zastęp młodych historyków, którzy mają na swojém czele Szujskiego i Kalinkę (a więc są kierownicy i uczniowie)... stanowisko, które oni zajmują, metoda, którą się posługują, jedna jest i taż sama... reprezentują oni siłę! Smolka, Słowo o Historyi, w Szkicach, serya I, 1882, str. 283: W Bobrzyńskiego „Dziejach“ „wiele poglądów jest wyrazem ogólnego i jednolitego sądu całego grona dzisiejszych naszych historyków, czyli tak zwanéj nowszéj szkoły naszéj historycznéj“; str. 284: „Wyrobiły się w cechu historycznym zapatrywania, na które godzą się niemal wszyscy, do cechu należący, choć szersza publiczność nie miała jeszcze sposobności z niemi się zapoznać!“ Str. 285: „Myśl przewodnia książki — brak silnéj władzy rządowéj przyczyną upadku naszego... wszyscy towarzysze zawodu na to się zgodzą“. (A więc jest jedna zasada, jednolity kierunek, jest i nazwa szkoły nowszéj; nie ma tu wprawdzie wyrazu „krakowskiéj“, ale czyż potrzebném jest wskazywanie ulicy i liczby na domu?).

Co do członków szkoły. Słyszałem, że nie zaliczano do niéj Walewskiego. Ale redakcya „Przeglądu Polskiego“ drukując jego artykuł p. t. „Dumanie Polaka“ etc. dodała następny przypisek (zeszyt X czerwcowy, 1872, str. 346—347): „Dzielimy się z czytelnikami naszymi zakończeniem dzieła właśnie opuszczającego prasę: Historya wyzwolonéj Rzpltéj wypadającéj pod jarzmo domowe... (1655—60) przez

Ant. Walewskiego c. k. profesora historyi powszechnéj w Uniw. Jagiell. Szanowny autor, którego poprzednie tomy téjże saméj, na największe rozmiary i wyczerpującéj, nadewszystko zaś na zupełnie nieznanych źródłach opartéj pracy, polecaliśmy gorąco uwadze koła czytelników naszych, zwracał się w „Dumaniach“ ku chwilom obecnym, a czyni to z takim zasobem głębokich myśli i spostrzeżeń politycznych i społecznych, że liczymy sobie za prawdziwy zaszczyt umieszczenia ich w piśmie naszém i t. d.“ Co do Edw. Bogusławskiego, prof. Smolka napisał w istocie surową recenzyę, ale w téjże recenzyi powiada, że p. Bogusławski zna tylko dwa dzieła o historyi polskiéj -- Szujskiego i Bobrzyńskiego; czy inne jakie czytywał? tego z książki jego nie widać. Podobnych dowodów nie posiada ref. co do Świeżawskiego, więc jeśli szkoła nie chce go przyjąć, nie może jéj narzucić (śmiechy i trochę oklasków). Przechodząc do kwestyi obiektywizmu, ref. nie może przyjąć stanowiska, ofiarowanego historykom przez ks. Skrochowskiego, bo zmuszony byłby wykluczyć ze swego cechu pogan, jak Tacyt, Polibiusz, Tukidides i Herodot. Historya musi wprawdzie wytłómaczyć co jest katolicyzm, ale musi téż znać takie czasy, kiedy katolicyzm nie istniał, musi podawać wiadomość o wszystkich wiarach i wyznaniach. Ale gdyby ktoś pytał: jakie wyznanie jest prawdziwém, a był sam katolikiem, wtedy historyk powiedziéć może: „Idź z tém pytaniem do ks. Skrochowskiego“ (śmiechy i trochę oklasków). Łączenie z nauką względów religijnych, moralnych, politycznych, społecznych i t. p., prowadzi tylko do takiego rezultatu, do jakiego doszliśmy, t. j. że czarne jest białém jednocześnie. Trzeba wyamputować historyę ze wszelkich związków postronnych, zadaniu nauki obcych. Historya musi miéć przecież własny cel, własną treść i metodę, jeśli ma być nauką wedle zasadniczych określeń filozofii. Bronicie panowie maksymy, że historya jest mistrzynią życia. Lepszą mistrzynią dla nas byłaby arytmetyka, szczególnie reguła procentu, a przecież nikt nie żąda, aby wykład procentu składanego był uzupełniany uwagami, że nie należy zaciągać pożyczek na procent składany, że trzeba wystrzegać się lichwy i t. p. Podobnież nie może być przydatną nauka polityczna szkoły krakowskiéj o potrzebie silnego rządu, ponieważ historya musi przedstawić szereg wszelkich, silnych czy słabych rządów, musi tłómaczyć właściwości konstytucyi aragońskiéj z dziwną władzą *Justizy*, i rozwój konstytucyi angielskiéj i to aż do takiéj mety, żeby czytelnik, czy uczeń zrozumiał jasno różnicę pomiędzy temi formami rządu a urządzeniem monarchii perskiéj, co większa — żeby nie mógł nawet przez pomyłkę przypuścić, że ukształtowanie ostateczne rządu parlamentarnego dokonało się pod berłem Daryusza.—Na tém referent

urwał, słysząc ostrzeżenia prezesa, że czas, regulaminem pozwolony, upłynął.

Głosowanie okazało, że Zjazd uznaje się niekompetentnym co do dwóch pierwszych wniosków referatu i przyjmuje trzeci z poprawką prof. Balzera.

Po krótkiéj pauzie zjazd zasiadł do wysłuchania dwóch ostatnich referatów.

XIII. Prof. Maryan Sokołowski mówił „o znaczeniu i potrzebie badań nad historyą handlu w Polsce,“ wyliczając istniejące już w literaturze prace i podnosząc wysławianą jednomyślnie przez wszystkich prawie referentów monografię Wł. Łozińskiego p. t. „Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie.“ Leonard Lepszy żądał przedewszystkiém tabel ewaluacyjnych dla określenia wartości pieniędzy w Gdańsku, Krakowie i Warszawie. Balzer proponował zużytkować w tym kierunku seminarya historyczne uczniów uniwersyteckich. Parczewski żądał nietylko cen żyta, ale téż ziemi i wszelkich zbóż podług kontraktów dzierżawnych, ingrosowanych w znacznéj liczbie w księgach sądowych. Korzon ostrzegał, że ewaluacya Czackiego jest oparta na dukacie gdańskim 12-złotowym i że do oznaczenia siły nabywczéj pieniędzy na całéj przestrzeni Rzpltéj, trzeba mieć ceny zbóż i chleba z różnych miejscowości, ceny innych artykułów żywności, mieszkań, wyrobów rzemieślniczych, koni, furażu i pracy ludzkiéj. Referent, dziękując za uwagi wyrażał nadzieję, że da się zbudować historya kulturalnego rozwoju miast naszych.

XIV. Ludwik Finkel wniósł pytanie: „Jakiego podręcznika historyi polskiéj koniecznie nam potrzeba i jaką drogą dojść do niego?“ Chodzi referentowi o zestawienie zdobytych ostatniemi czasy wiadomości i materyałów, za pomocą przeglądów ułożonych w ten sposób, jak Zakrzewskiego książka o Stefanie Batorym (1887), lub może *Jahrbücher des deutschen Reichs*. Prof. Lewicki żąda dzieła 3-tomowego, o 60 arkuszach druku, zawierającego kontrowersyę i cytaty z literatury. Tarnowski widzi potrzebę dostarczenia ogółowi i młodzieży wiadomości o urządzeniach wewnętrznych państwa i urzędach, bo zdarza się słyszéć na egzaminach o prymasie kijowskim i t. p. niedorzeczności. Bobrzyński dotyka trudności wykonania pracy żądanéj. Głosowanie zatwierdziło pomysł podręcznika w rodzaju książki Zakrzewskiego o Batorym. Przy znużeniu i pośpiechu, dyskusya nie wyczerpała kwestyi, przedłożonych przez referenta i nie wyjaśniła saméj idei podręcznika. Uchwała téż nie okazała troskliwości o młodzież, o masę łaknącą wiedzy, lecz dogodzić chciała tylko historykom, specyalistom, chociaż ci z powołania swojego muszą wciąż informować

się różnemi drogami o nowych odkryciach i teoryach. Dla nich zresztą nawet wzorowa książka Zakrzewskiego wystarczyć może na czas krótki, dopóki nie urośnie nowa góra materyału i nie ukaże się nowa jakaś znakomita monografia.

Na drugiém posiedzeniu ogólném wygłaszano mowy pożegnalne. Następny zjazd był zapowiedziany na rok 1900-ny do Krakowa, ale hr. Cieszkowski zapraszał poprzednio do Poznania na rok 1895.

Powiédzmy jeszcze słówko o stronie zewnętrznéj, społecznéj i towarzyskiéj odbytego wiecu naukowego.

Któżby wątpił o gościnności Lwowian? Komitet zjazdu spotykał przyjeżdżających uczestników na dworcu kolejowym i ofiarował mieszkania w domach prywatnych, Koło literackie otworzyło swoje salony przybyszom na cały czas pobytu bez żadnych formalności i uczciło zjazd wieczorną ucztą; Towarzystwo Historyczne wydało również wieczór w Kasynie miejskiém, hr. Jerzy Dunin Borkowski uraczył kilkadziesiąt osób wykwintnym obiadem, nareszcie po zamknięciu zjazdu odbyła się uczta składkowa, na któréj mocno rozgrzały się serca przy szampanie i na wymowne zaklęcie czcigodnego, honorowego prezesa, hr. Augusta Cieszkowskiego, prysnęły wszystkie zatargi o „szkołę krakowską.“ W ogóle zaś polemika była utrzymywana w tonie wytwornym, i łagodziła ją delikatność wzorowa i uprzejmość względem przeciwników.

Wśród stosunków tak miłych ja jeden tylko trzymałem się odpornie i zapowiadałem gościnnym gospodarzom: „Poznacie, co to niewdzięczność!“ Czuję bowiem oddawna urazę do Piasta za to, że miodem i jadłem kupił sobie koronę. Boję się tedy wciąż, abym nie dał się sam przekupić i zdobywam się na podejrzliwe spostrzeżenia. Tak np. gorszyłem się, że codziennie nakazywany był uczestnikom zjazdu „strój uroczysty“, t. j. frak z białym krawatem. Zdawało mi się, że nietylko w pismach, ale i w praktyce historycy galicyjscy chcą uprawiać politykę, że przybierają postać i zwyczaje mężów stanu. W pamięci mojéj stawał ów uczony asceta, który mieszkał w ubogiéj izdebce, ubierał się w bluzę wyrobniczą, sam rytował tablice numizmatyczne i mapy geograficzne, nie przyjmował zaprosin do królewskiego pałacu.

Ponieważ działalność zjazdu zamknęła się w sali ratuszowéj, więc nie nadarzyła się żadna sposobność do obserwowania, czy reprezentanci nauki cieszą się sympatyą ludności. W Niemczech, przy zabawach ogrodowych i wycieczkach w okolice widziałem dekorowane ulice, a nawet po wsiach transparenty i bramy tryumfalne z napisami: *Willkommen! Heil den Jüngern der Wissenschaft!* i t. p. We Lwowie

powiewała chorągiew na ratuszu i jedyna flaga na Kasynie miejskiém przez jeden wieczór; w innych lokalach trzeba było dopytywać się odźwiernych o miejsce uczty. Mieszczanie zaś zachowywali się z zupełną obojętnością względem wyfrakowanych przechodniów.

Nareszcie w układzie porządku dziennego i prowadzeniu dyskusyi przebijały się, jak podejrzéwam, taktyka stronnictw politycznych ze szkodą dla operacyi naukowych i naśladownictwo form parlamentarnych, czasem zbyteczne albo niestosowne. Dlaczego np. niektórzy mówcy nazywali zjazd „Wysokiém Zgromadzeniem“, kiedy w świecie naukowym ozdobą wysokich umysłów powinna być skromność? Po co marnowano czas na wzajemne komplementa i nadużywano figury retorycznéj, zwanéj „*captatio benevolentiae*“?

Protestując raz jeszcze przeciwko maksymie, że „historya jest mistrzynią życia,“ wynurzam życzenie, aby historycy nasi nie dbali o krawców, ani o pokusy sfer politycznych wielkiego świata, aby całą cześć i cały swój zapał skierowali ku czystéj, bezinteresownéj, surowéj nauce, aby posiedli raczéj uznanie i miłość u mas ludności po miastach i siołach.

Tadeusz Korzon.





SIABROSTWO,

JAKO JEDNA Z FORM RODOWEGO POSIADANIA ZIEMI W KRAINACH LITEWSKO-RUSKICH RZPLITEJ.

J. Łuczycki — „Siabry i siabrynnoje ziemlewładieńje w Małorosii". S.-Peterb. 1889 r.

W ziemiach litewsko-ruskich zgasłéj Rzplitéj uderzają badacza, jéj stosunków wewnętrznych, pomiędzy innemi właściwościami lokalnemi, osobliwie pewne, zupełnie odmienne od powszechniéj znanych, a wysoce charakterystyczne, formy posiadania ziemi, a w następstwie tego i oparte na nich warunki ekonomiczne, oraz pełen urozmaicenia społeczny ich wyraz. Wobec nieustannego tu zwierania się ze sobą i oddziaływania wzajemnego dwóch prądów życiowych, mianowicie — wpływu potężnego, ogarniającego wszystko, rozwoju ogólnego Rzplitéj, co szedł górą, z przeciwnéj zaś strony — bijącéj wciąż z dołu fali tradycyi i starego domowego obyczaju, nie dającego się upośledzić, a cóż dopiéro wykorzenić, spotykały się tu i splatały ze sobą formy posiadania niby z dwóch różnych światów pochodzące. Co więcéj — same te fale bijące z dołu, w każdéj niemal ziemi osobnéj rozległego w. księstwa płynęły pierwotnie z innego źródła: ani Prawda ruska, ani Statut litewski, nie zdołały ich do jednego koryta sprowadzić czy stłumić. Występowały tam wciąż w grze żywéj, nietylko różnice wynikające z odmiennych przyczyn geograficznych i plemiennych, lecz nadto takie, co pochodziły z innego chronologicznie stopnia rozwoju tychże samych nawet pierwiastków społeczno-ekonomicznéj kultury, zatrzymujących się to dłużéj, to krócéj, względnie do miejscowości na pierwszych stadyach, fazach.

Ale z tego powodu właśnie, że owe wszystkie przeróżne fazy,

wytwarzające odmienne formy posiadania tegoż samego typu, zostają ze sobą z natury rzeczy w naściślejszym związku, że i formy te same wzajem się dopełniają i tłómaczą, dają one przez to badaczowi możność dojścia drogą zestawień i porównań, do wyświetlenia też i ciemniejszych dlań faktów tam, gdzie one okazują się być tylko złomkami jakiegoś przebrzmiałego zwyczaju czy instytucyi zamarłéj, która za to gdzieś na kończynach kraju lub w głuchych ustroniach żyje jeszcze pełném życiem i przedstawia obraz stosunków ekonomiczno-społecznych zupełnie wyraźny.

Zaczém, wobec wszelakiego zagadnienia z tego zakresu, niedającego się rozwiązać bezpośrednio, pozostaje sposób niezawodny w odwołaniu się do żywych wzorów z innéj bratniéj krainy lub z innéj epoki. Wśród takich zagadnień do rozwiązania nie dających się należycie wyświetlić, wśród pytań z zakresu form posiadania, form prastarych, a dotąd nie dość wyjaśnionych, w społeczno-ekonomicznym ustroju ziem litewsko-ruskich, zajmuje poważne miejsce Siabrostwo, Siabry.

Jest to forma posiadania głęboko zwyczajem wkorzeniona, przez prawo uznawana wyraźnie, lecz wpisaném ustawodawstwie nie unormowana wcale.

Wzmianki o siabrach spotykamy w aktach urzędowych litewsko-ruskich dosyć często, nawet w Statucie litewskim. Nasuwają one badaczowi przed oczy, za każdym razem fakta ekonomiczne i społeczne innego jakiegoś od znanych dokładniéj rodzaju i typu. Ale znaczenia ich istotnego określić — nikt się dotąd śród nas nie poczuwał w obowiązku czy mocy. Zaledwie ubocznie tylko wspomniał o siabrach ks. Tad. Lubomirski w swém „Starostwie Rateńskiém", gdzie tak wybornie scharakteryzował bliską siabrostwa spółkę dworzyszczową poimienników, ale od niego odmienną— pomimo, iż poważny ten badacz bierze je wyraźnie za jednoznaczne. Że siabry są to równie współuczestnicy w posiadaniu jakiegoś kęsa ziemi — to dla każdego widoczne; nie dadzą się oni atoli utożsamić z poimiennikami. Czém się jednak oni właściwie różnić mieli od znanych już wspólników, trzymających ziemię uległą innym formom posiadania, jakiego rodzaju, charakteru było samo ich uczestnictwo, zostawało to dotąd wciąż rzeczą do wyjaśnienia.

W naszych osobistych badaniach spotykaliśmy się również z tą formą posiadania, pod postacią „uczestników" (p. Źródła Dziej. t. V. Starostwo Lubeckie); ale, że obchodziły nas wtedy (we wstępie) jedynie „Starostwa ukrainne" wogóle, nie zatrzymywaliśmy się nad tym przedmiotem, jako stanowiącym osobną kwestyę samą w sobie, nadto

odnoszącą się do trybu posiadania w paru już tylko zaledwie królewszczyznach. Doniosłość kwestyi tém niemniéj rozumieliśmy należycie, dopatrując w fakcie samym pozostałość jakiejś prastaréj, opartéj na zwyczaju instytucyi, któréj wyjaśnienie doprowadziłoby do bogatych zdobyczy naukowo-historycznych i na polu ogólnie ekonomiczném i ściśle społeczném. Na razie zaś wytłómaczyłoby jeszcze dotykalniéj sprawę przeobrażenia się pewnéj warstwy bojarów zamkowych na ziemian z alodyalną własnością dziedziczną, a zarazem proces tworzenia się téj własności z nadań lennych na prawie wojenném i t. p. Brakowałoby nam jeszcze ku temu dostatecznych podstaw źródłowych; wypadało tedy czekać na zwiększenie się zasobu faktów, dopatrywać pośrednich nawet wskazówek.

Dodamy nawiasem, iż nie powinno to obudzać żadnéj wątpliwości, gdy się przypomni, że w naszych, wyżéj wskazanych źródłach (Źr. Dz. t. V) na oznaczenie wyraźnego posiadania ziemi spólnie całemi rodami, występuje termin „uczestnicy“, nie „siabry“; ze Statutu litewskiego bowiem wiemy, iż są to synonimy. Spotykamy tam zarazem takie wyrażenia charakterystyczne, jak „kilka albo kilkanaście uczestników albo siabrów“ do jednéj rzeczy lub téż „bracią niedzielną albo uczestników to jest siabrów“ i t. p. Wreszcie i co do samych faktów owych źródeł naszych — okazuje się, ze świadectw późniejszych (opis Rumianc.), iż potomkowie tych samych bojarów, co tam (t. V) występują, wyraźnie lub tylko domniemalnie, jako „uczestnicy“, zwani są jeszcze po upływie półtora wieku „siabrami“.

Powoli przecie mnożyły się w różnych wydawnictwach źródła i z wyraźniejszemi wzmiankami o „siabrach“ z czasów dawnych. Ale mimo to nie zjawiło się w naszém piśmiennictwie dotąd nic, coby o ten przedmiot szczególnie potrącało.

Zanim to nastąpi, winien być przynajmniéj u nas pilnie zaznaczanym każdy krok ku większemu wyjaśnieniu przedmiotu tyle nas obchodzącego, zrobiony gdzieindziéj.

Ożywieni tém przekonaniem, zwracamy też uwagę interesowanych na świeżo wydany po rusku, szkic historyczny prof. Jana Łuczyckiego pod tyt. „Siabry i siabrowskie posiadanie ziemi w Małorosyi“.

Prof. Łuczycki właśnie jest jednym z badaczy historycznych kijowskich, który obok zadań ogólniejszego znaczenia z zakresu dziejów powszechnych, oddaje się wyłączniéj śledzeniu ewolucyi społeczno-ekonomicznego stanu Zadnieprza w epoce po-andrusowskiéj. Co więcéj — bada je źródłowo i ze stanowiska ile można obiektywnego, dopytując przedewszystkiem, po za powszednią drobiazgowością obja-

wów, działania ogólnych praw socyalnych w chaosie kozaczego i niekozaczego odmętu. Z samej natury zaś przedmiotu styka się bezpośrednio z zadaniami naszych badaczy życia wewnętrznego Rzplitej; snuje on jakby tylko dalszy ciąg rozwoju społeczno-ekonomicznego tego odłamu Ukrainy, który od drugiej połowy XVII-go w. znalazł się w innych od reszty Rusi południowej warunkach. Bo też i życie tam samo, mimo nowych warunków, trzymało się spodnim swym prądem starych podstaw, bo i fale nowej tam ludności przynosiły z sobą ze starych ognisk prawej Dniepru strony obyczaj stary. Stąd prace prof. Łuczyckiego mają dla nas i tę jeszcze wagę względną, że na tém Zadnieprzu późniejszém ocalały, przechowały się, zakrzepły nieraz, takie formy bytowe, jakie po tej stronie Dniepru już były zanikły, a których znaczenie w życiu dawniejszém Rusi, z dotychczasowych u nas ułamków archiwalnych, nie łatwe do określenia wyraźnego — jak to zachodzi właśnie i z kwestyą „siabrostwa“. Nadto prof. Łuczycki z konieczności wkracza swemi studyami w dziedzinę historyczną i Ukrainy wogóle, z epoki niepodzielnego nad nią zwierzchnictwa Rzplitej.

Jakież są przecie zdobycze naukowe poważnego badacza w kwestyi nas obchodzącej?

Opierając się na danych, jakich mu dostarczyły nietylko akta urzędowe (ułamek „Opisu Małorosyi“. Rumiancowa 1766—68) i kilka archiwów prywatnych, lecz i żywe zabytki starego rodowo-ekonomicznego porządku, przechowującego się do niedawna w pewnych miejscowościach północnego pasu ukrainnego Zadnieprza — prof. Łuczycki przyszedł do następnych wyników swych badań nad siabrostwem:

Oto w pierwotnej istocie swej, niezależnie od wpływów postronnych i nieuniknionych w biegu czasu ewolucyi, siabrostwo czyli posiadanie ziemi obyczajem siabrów, było niewątpliwie osobną i oryginalną formą posiadania ziemi wogóle, różną i od ściśle gminnej i bardziej jeszcze od indywidualnej—rodzinami, chałupami.

Podstawą onego pierwotną wspólność krwi a potém i „braterstwo“ z wyboru, „nazwane“, rodzina szersza, złożona, jurydyczna, pomnożona członkami do rodu przybranymi ze strony.

Powstawało ono jako skutek rozpadnięcia się takiej jedynej pierwotnie, choć już złożonej nieraz rodziny na oddzielne grupy rodzin czy dymów, związanych wzajem wspólnością pochodzenia, które przedstawiały już przez się „ród“, „plemię“, lecz przy rozpadnięciu się zachowały wspólne posiadanie kęsa ziemi pradziadów.

Jak każde wspólne posiadanie, tak i siabrostwo nie wyłączało podziałów, owszem wymagało takowych, lecz w odmienny niż w in-

nych rodzajach posiadania sposób. Ziemie, posiadłości wspólne, rozdrabiane w pewnych swych częściach, dzielone były pomiędzy uczestników grupami w chwili pierwotnego podziału na schedy równe; potém zaś przy dalszém rozpadaniu się tychże grup, proporcyonalnie do swych sched, to jest stosownie do wielkości „uczestnictwa“, czyli prawa użytkowania każdéj nowowytworzonéj grupy „wstępem“ zwanego.

Podział siabrów odznaczał się bardziéj jeszcze odrębnemi cechami. Gdy bowiem przy podziale zwykłego majątku odbywał się rozdział niepowrotny, następowało przejście działów na pełną własność oddzielającéj się z rodzinnego ogółu osoby, tu zupełnie inaczéj. Tu tylko powierzchowne formy podobne do form późniejszego podziału rodowego, istota rzeczy wręcz przeciwna. Najprzód podział nie znosił wcale spólności majątkowéj. Ziemia zostawała po dawnemu własnością wspólną, uważana była za taką, tak była zwaną. Każdy siabr czy każda grupa rodzinna otrzymywali mocą podziału tylko prawo użytkowania odpowiednio przypadającéj na nie cząstek w schedzie, prawo uczestnictwa (udziału) pewnego określonego stopnia (np. $^1/_5$ $^1/_{10}$ $^1/_{12}$ i t. p.) we wszystkich bez wyjątku użytkach, stanowiących schedę, przynależność spólnéj grupy rodzinnéj, przed jéj rozczłonkowaniem dalszém.

Cząstki téż nie były stałą, niezmienną posiadłością téj lub innéj grupy, lecz przechodziły zwykle od jednéj do drugiéj peryodycznie drogą „przedziałów“, a każda grupa miała prawo nie do określonego kawałka ziemi, lecz jedynie do cząstki idealnéj pewnego wymiaru, we wszystkich bez wyjątku użytkach i gruntach.

Posiadanie obyczajem siabrów różniło się od ściśle gminnéj formy, najprzód nierównością rozmiaru ucząstków używalnych, powtóre — swobodą alienacyi i przedaży działów, jak w łonie związku, między siabrami, tak i w ręce obce za zgodą siabrów. Od formy zaś posiadania indywidualnéj— dymami, rodzinami, różniło się ono tém, że władanie ucząstkami nie było stałém, niezmienném, nie było związaném z raz odgraniczoną przestrzenią danego gruntu, lecz zmieniało się, dzieliło się między dymami, z których każdy miał prawo do uczestnictwa nie zaś do saméj ziemi, czyli wyraźniéj — użytkował z idealnego nie zaś realnego działka ziemi; nadto jeszcze — że, chociaż nierównomierne wogóle, użytkowanie z działków było względnie proporcyonalném do sched pierwotnych.

Co wszystko, dodamy tu od siebie jeszcze, zbliża wielce siabrowstwo do południowo-słowiańskiéj „zadrugi“, znamieniem któréj charakterystycznėm jest, jak wiadomo (p. Wisła t. III, zesz. I-y „Zadru-

ga“ Br. Grabow.), porządek spadkowy, polegający na tém, że serbskie i bułgarskie zadrugi dzieliły się i dotąd się dzielą nie według liczby głów, ale według linii pokoleń,—do czego należy nieodbicie znać szczegółowo całą genealogię swojéj zadrugi.

W obec czego wyraźném też jest, że sam termin „siabry“ (siabr, *sebr*, *szaber*, u Litw. *sabras*, tyle co druh, towarzysz, spólnik, sąsiad i t. p.) oznaczał pierwotnie, podług dosadnego określenia prof. Ł., rodzinę, która:

miała prawo uczęstnictwa w użytkowaniu majątku, należącego do całéj pospólni krewniaków, na mocy węzła pokrewieństwa swego z grupą rodową, węzła rzeczywistego czy domniemanego tylko;

daléj, posiadała skutkiem tego prawo głosu na zgromadzeniach siabrów i przy rozdziale majętności;

nakoniec, użytkowała w majątku ogólnym z téj jedynie cząstki uczęstnictwa, jaka na nią przypadała w schedzie téj gałęzi rodu, któréj ona część stanowiła, a która, przy podziale pierwotnym, otrzymała była swój określony udział użytkowania idealnego we wszystkich bez wyjątku przynależnościach odnośnego związku siabrów.

Oto co nam dają w ogóle ostatnie wyniki badań nad siabrami, w ustronnym zadnieprskim zakącie staréj Kijowszczyzny.

Dla żywszéj ilustracyi, skreślonéj powyżéj ogólnéj charakterystyki posiadania obyczajem siabrów, pozwolimy tu sobie podać za prof. Łuczyckim jeden z bardziéj typowych przykładów podobnego posiadania w historycznym ciągu faktycznych jego ewolucyi.

Oto wieś Bieliki—pierwotnie osada bojarska, ziemiańska starostwa J. K. M. „Ostrzskiego“, po „ruinie“ zaś — dzielnica kozacka „sotni osterskiéj.“ Czas powstania osady téj nieznany, to pewna tylko, iż powstała ona z nadania hospodarskiego bojarowi Bielikowi, ciążącéj do zamku w Ostrzu, „ziemi Łukarzewskiéj.“ Potomkowie tego Bielika, Bielikowie bacznie pilnowali swych praw i, obyczajem ówczesnym, wyrabiali sobie wciąż nowe królewskie potwierdzenia nadawczego aktu, tak 1560, 1594, 1600 r. i późniéj. Do końca w. XVI Bielikowie stanowią widocznie jedną rodową grupę bojarską. Jeszcze 1616 r. znajdujemy zaznaczone w Lustracyi (p. „Źródła dziej.,“ t. V, 99, 100): „Ostrów i bór i uroczyszcze Łukarzewskie — na to opowiadali się mieć prawa Bielikowie, bojarowie ostrzscy, z czego służbę wojenną służą i insze wszystkie powinności bojarskie do zamku ostrzskiego oddają...“ Wprędce atoli ród ten rozpada się na 8 grup rodzinnych: 3 grupy Jarmoliczów, 2 Smoliczów i 3 Bilikowiczów, dla których wszystkich społem wydane zostało przez króla Władysława IV-go potwierdzenie prawa władania ziemią, otrzymaną przez ich

„przodka“ Bilika. Do początku w. XVIII, kiedy już część ziemi została rozdzieloną pomiędzy grupami rodzinami skutkiem „umowy polubownéj,“ wszystkie grunty, należące do rodu Bielików: pola orne, sianożęci, łąki, lasy i t. d., znajdowały się we wspólném posiadaniu wszystkich. W „Opisie“ 1766 r., w rubryce w. Bieliki znajdujemy: Bilikowcy mają pod swą osiadłością ziemię (pola orne i sianożęci) we władaniu spólném oprócz tych (działków), które mocą polubownéj umowy wydzielone, przy chałupach podane—nadto lasy, przy wsi leżące, im, byłym bojarom Bilikowiczom, przywilejami nadane... A z tych gruntów znajduje się we wspólném ich władaniu pole, wskazane przy ich chałupach, sianożęcie blizko wsi w uroczysku Dubrowskim i przy rzeczce Łukarewce i dwa lasy, budulcowy i opałowy, przy Żurawlinem błocie i w deśniańskim ługu.“ W r. 1766 wieś składała się z 10 dymów, w rzeczywistości zaś z 8 grup rodzinnych, gdyż dymy 2 i 3 opisu, oraz 7 i 8 władały spólnie, a nierozdzielnie „spadającą na nich“ ziemią. W przeciągu czasu do r. 1766 proces rozosobnienia odbywał się *crescendo*; gdy nie mało ziemi, w któréj miały prawo uczęstnictwa oddzielne grupy farm rodzinne, dostało się drogą przedaży w obce ręce; co więcéj, proces ten odbywa się i wewnątrz oddzielnych grup rodzinnych, chociaż jeszcze bardzo słabo. Skutkiem rozpadnięcia się rodziny zbiorowéj, rodu, na oddzielne dymy, lecz z zachowaniem wspólnego posiadania, na rzecz każdéj grupy przypadła we wspólnych użytkach część ósma, odpowiednio do tych 8 grup, które wytworzyły się w w. XVII. Posiadacz jednego takiego nadziału sprzedał 1745 r. swoją schedę „wszystkiego w nosowskiéj Dubrowce, w ługu dębowym, w borze do Nosowszczyzny, w polu orném, w jeziorach i w innéj od mieszkańców Bielikowców ze wszystkich dóbr ósmą część.“ Nie określa on w tranzakcyi granic sprzedawanéj schedy, ponieważ wskazane przezeń uroczyska stanowiły wspólną własność wszystkich krewniaków. Sprzedaż jego zawierała się jedynie w ustąpieniu drugiéj osobie przysługującego mu prawa uczęstnictwa we wszystkich pożytkach dziedziny swych siabrów. We dwa lata późniéj dwie rodziny wchodzące do składu jednéj grupy rodzinnéj, składającéj się z 6 rodzin, sprzedają swe prawa uczęstnictwa, lecz już nie w rozmiarze $^1/_8$ części całości, $^1/_3$ téj ósméj, to jest $^1/_{24}$ cząstkę, na nie „spadającą.“

Otóż mamy przed sobą typowy wzorzec posiadania obyczajem siabrów, opartego na podstawie krewieństwa. Roztacza się przed naszemi oczyma w ciągu paryset lat prawie cały proces społeczno-ekonomicznéj ewolucyi w owéj staréj wojenno-bojarskiéj, z nadania królewskiego, osadzie. Widzimy tu na początku jedną grupę rodzinną, władającą nierozdzielnie całą, należącą do rodu Bielików ziemią.

W XVII w. rodzina ta pierwotna przeobraża się na rodzinę zbiorową, na ród, który się rozpada na 8 grup rodzinnych, przedstawiających znów każda osobną rodzinę zbiorową, lecz ciągle jeszcze używających ziemi wspólnie. U świtu w. XVIII-go grupy te, jak widzimy, rozdzieliły się na osobne dymy, to zaś ich wzrastające wciąż potém rozosobnienie wyrażało się w polubownym rozdziale części wspólnych gruntów, na własność zupełną, indywidualną, pomiędzy dymy. Poczém, dodać należy, z biegiem czasu, przy zmianie warunków polityczno-społecznych na Zadnieprzu w ogóle, prąd ten ku zindywidualizowaniu własności ziemskiéj bierze ostatecznie górę i spólność siabrów, w pierwotném słowa znaczeniu, znika.

Rozumiemy dobrze, że podany powyżéj wzorzec siabrostwa, mimo że tak typowy, nie ilustruje przecież zarówno wszystkich stron charakterystycznych posiadania tym trybem, wszakże dla braku miejsca nie możemy tu ich przytaczać więcéj, odsyłając zainteresowanych specyalniéj kwestyą, do samego studyum poważnego badacza.

Z innéj zaś strony, po odsłonięciu już choć głównych zrębów i istoty siabrostwa, ciekawą z kolei niezmiernie staje się rzeczą — zbadać na ile instytucya ta była po staréj Rusi ogólną, kiedy, jak i gdzie zamierała, zanikała lub przeobrażała się w instytucye innego typu.

Ale łatwém to wcale nie jest!

Samo szerokie rozpowszechnienie terminu „siabr“, w najrozmaitszych onego formach gramatycznych i specyalnych znaczeniach, nietylko po przestworach staro-ruskich, niczego nie dowodzi. Wprawdzie pierwiastek tego wyrazu, choć może obcy, nie słowiański (Miklosich), wkorzenił się w nasz grunt głęboko, gdy przyswoił go nawet język polski miejscami; a z drugiéj strony—zaniesiono go aż na Sybir. Znaczenie atoli jego obecne to zbyt ogólne, to za specyalne jakieś — przyświadcza czemu innemu, nie zaś złomkom funkcyonującéj niby kiedyś, w każdém daném miejscu, gdzie się ten wyraz spotyka, wywróconéj przez czas, staréj instytucyi ekonomiczno-społecznéj, jaką ten wyraz przedewszystkiém oznacza. Że mogła być ona w pewnéj oddalonéj epoce historycznéj ogólną po całéj Rusi staréj — przypuszczenie tego nie sprzeciwiałoby się pojmowaniu przez nas siabrostwa, jako jednéj z faz ewolucyjnych wspólnego posiadania ziemi w ogóle. Nawet na Rusi Czerwonéj jeszcze pod koniec XIV-go w. (1378) występuje ktoś „z całym rodem, plemieniem swojém“ (Akta grod. i ziem., t. II, nr. 9). Tém łatwiéj się zaś na to zgodzić, o ile nowe odkrycia dowodnie też świadczą, że nietylko u Słowian południowych, w postaci „zadrugi,“ lecz i u zachodnich, lechickich—w Czechach i na Szląsku — jak o tém

świadczą wyraźne ślady, podobnież porządki rodowego posiadania istniały („Wisła," t. III, zesz. I—„Zadruga"). Nie przeczy temu i znany powszechnie fakt etnograficzny, że Rusina dzisiejszego charakteryzuje nawet nieprzemożone usposobienie do wyosobnienia jego rodziny i posiadłości, do dzielenia takowéj bez granic; historya bowiem wskazuje natomiast, że to objaw społeczno-psychiczny wcale nie od tak dawna datujący się i zupełnie niezależny od jakichś wyjątkowych cech narodowego charakteru ruskiego. Co więcéj, fakta spólności życia, „w jednym chlebie," gospodarki rodziną szerszą, zbiorową, dają się spotykać dziś jeszcze i nawet na stepowém (połtawskiém) Zadnieprzu.

Przypuszczamy tedy i my w zasadzie możliwość szerszego rozpowszechnienia siabrostwa po Rusi staréj; wszakże gdy zadaniem naszém świat faktów udowodnionych, opartych na świadectwach źródłowych, mniéj dorywczych, a nadto odnoszących się do czasów nam bliższych, o które i autor szkicu o Siabrach potrąca—nad tą właściwie stroną jego badań zatrzymać się nam nieco poważniéj wypada.

Otóż najprzód, biorąc pod rozwagę stopień doniosłości i dostateczność znanych nam już, oraz zdobytych przez prof. Łuczyckiego faktów i ograniczając się tylko na takowych, pytamy, czy nie zawiele on wyniki ich generalizuje? Czy dlatego np. że Statut litew.—owo prawo obowiązujące wszystkie zarazem ziemie w. księstwa z przed unii — fakt siabrostwa zaznacza, można je uważać za wspólne dla wszystkich tych ziem--nie mówiąc już o obcej im Rusi? Właściwie bowiem widzimy jego istnienia ślady i dowody autentyczne, dokumentowe. przedewszystkiém w ziemiach naddnieprskich, wyraźniéj — oprócz Owruczczyzny z téj strony Dniepru, jedynie w północno-zachodnim pasie ukrainnego Zadnieprza, czyli téj cząstce Siewierszczyzny, która za litewskich jeszcze czasów przyłączoną została do województwa kijowskiego. Nie może ono tedy nawet zarówno charakteryzować ani Siewierszczyzny właściwéj, ani szerokiéj połaci kijowskiéj (resp. perejasławskiéj), która do tego obrębu wcale nie należała, a bywa z nią zespalana niesłusznie przez miejscowych badaczy.

Obok tego, piśmienne źródła wskazują nam siabrów jedynie w królewszczyznach, wśród bojarów zostających pod przysądem zamkowym, a którzy po odpadnięciu od Rzpltéj przeobrazili się na kozaków, a z czasem i na ziemian (dworianów). Wypadłoby tedy zawnioskować, że siabrostwo nawet w tych dzielnicach Rusi, gdzie je nam akta wskazują, istniało tylko wśród warstw ludności względnie wolnéj, bojarskiéj, wojenno-ziemiańskiéj, nie poddańczéj wcale; na ziemi królewskiéj nie pańskiéj; nadto w pasach kraju bardziéj bezpiecznych, zatém sprzyjających osiadłości stałéj. Stąd widzimy je i w Kijow-

szczyznie tylko dokoła zamków Owrucza, Lubecza, Ostrza, lecz nie Białéj Cerkwi, Perejasławia, lub innych strażnic stepowych, o ciągle ruchomych osadach i niestałém tyle zaludnieniu. Nie odrzucamy możności istnienia téj formy posiadania, przy pewnych warunkach, i śród poddanych— królewskich, duchownych, pańskich; mamy potemu wskazane i fakta—np. w Owruczu z r. 1514, jako „poddani pospolito żyją“, ale było to chyba rzadkiém i odnosi się do wcześniejszéj niż wiek XVI, doby. W owym wieku zwyczaju tego trzymają się przeważnie bojarowie. Pozostałość to może tylko powszechniejszego dawniej porządku—zgoda, ale na nią jedynie fakta wskazują.

Co do Zadnieprza stepowego, stamtąd wskazówek archiwalnych nie mamy; późniejsze tam wogóle warstwy osiedlenia. Perejasław wskrzeszony późno, młodszy od Ostrza i Lubecza, dokoła jego zamku siedzących na królewskich ziemiach bojarów już nie ma, nie widać téż wśród świeżéj coraz przybyszów fali i starych „uczestników“, siabrów. Nowy tam zupełnie świat dostrzegamy. Wprawdzie i późniéj, w pierwszéj dobie po oderwaniu się od Rzplitéj przy masowym przelewie ludności z prawego na lewy brzeg Dniepru, nowe osady powstają przeważnie na zasadach wspólności gminnéj (p. tegoż prof. Ł. wskazany u góry „Sbornik materjałow“ i t. d.), ale to nie siabrostwo przecie. Wywołała formę tę nową ekonomiczno-społeczną sama doraźna konieczność wojennego sadowienia się chyba. Może to wreszcie i powtórzenie uprzedniego gdzieś porządku domowego, lecz w takim razie ciekawe będzie, gdzie on dotąd istniał na prawym brzegu, wśród jakich warstw: bojarów, co z siebie kozaczącym się poddanym przykład dają, czy nieposłusznych kozaków ze starszéj doby? Wątpliwa téż czy to chęć ożywienia porządków przechowanych w podaniu lub téż wyraz zapędu wymarzonych wśród kozaczyzny ideałów.

Biorąc zatém na uwagę powyżéj dotknięte względy, zaznaczmy tu wyraźnie, że w badaniach dalszych ewolucyi form posiadania ziemi wogóle, przestrzegać winniśmy pilnie uwydatniania należytego wszelakich różnic, zawarowanych odmiennemi warunkami miejscowości i czasu. Jak w danym razie np. różnicy nawet pomiędzy północnym, leśnym pasem Kijowszczyzny a pasem południowym, stepowym z téj i z tamtéj strony Dniepru; przypuszczać bowiem należy, że jeżeli kiedy istniała tu i tam pospólność posiadania, była przecie w odcieniach onego różnica dotykalna. Wogóle téż Ruś stara, tak szeroka, tak złożona i urozmaicona w swém wnętrzu już od samego zawiązku w niéj społeczeństwa politycznego, musiała teraz tém bardziéj zróżniczkować stosunki swe podstawowe, społeczno-ekonomiczne w każdéj ze swych licznych dzielnic, im one nas bliższe co do czasu. Uwzględnia-

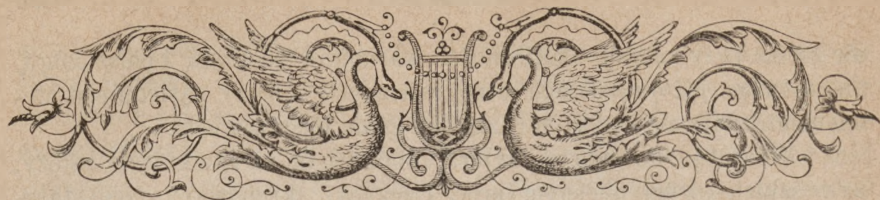
nie zatém przy każdéj okoliczności warunków geografii i chronologii, nie mówiąc już o różnicach etnograficznych między sąsiedniemi plemionami, zdaje się być tu bardziéj niż gdzie nieodzowném.

Wracając do samego autora, dodać nam na zamknięcie należy, że w szkicu swym obecnym prof. Łuczycki skrępowany niedostatecznością źródeł, słusznie powstrzymuje się od wypowiedzenia ostatecznego sądu o siabrostwie. Wziął on był sobie, jak powiada, na ten raz za zadanie: wykazać tylko najbardziéj charakterystyczne rysy małoruskie trybu posiadania przez siabrów, przedstawić pewne najbardziéj uwydatniające się strony form i porządków onego, dać ile można pełne określenie jurydyczne saméj instytucyi posiadania obyczajem siabrów, dla wyróżnienia jéj od innych instytucyi podobnych i t. d. W ostatnim zaś wyniku, przez zdobycie, już za pierwszém niejako dotknięciem, tylu ciekawych wielce i ważnych rezultatów, rozbudzić żywsze zainteresowanie się tą kwestyą i podniecić szersze koło badaczy dziejów wewnętrznego rozwoju staréj Rusi do poważniejszego, głębszego onéj traktowania. Tém bardziéj, że zdaniem autora, ostateczne wyjaśnienie instytucyi siabrostwa może miéć znaczenie nawet szersze dla historyi postępowéj zmiany form posiadania ziemi wogóle.

Dla nas atoli, praca poważna uczonego kijowskiego stąd przedewszystkiém nabiera znaczenia, że żywsze przezeń potrącenie kwestyi siabrów winno przyczynić się do podniecenia i naszych badaczy, by ci daléj, swoją drogą, uzbrojeni niezbędną tu nadto metodą śledzeń wsteczną, wzięli się tém usilniéj do wyświetlenia istoty, przeobrażeń i rozwoju jednego z tylu różnorodnych u podstawy pierwiastków społeczno-ekonomicznych, na których spoczęła budowa zgasłéj Rzplitéj!

Aleksander Jabłonowski.





ROMUALD HUBE
I JEGO DZIAŁALNOŚĆ NAUKOWA.

Dnia 13 sierpnia r. b. złożone zostały na cmentarzu Powązkowskim zwłoki ostatniego profesora b. królewsko-aleksandrowskiego uniwersytetu w Warszawie, jednego z najuczeńszych prawników naszych, a wiekiem pomiędzy nimi najstarszego. Długi jego żywot, wypełniony do końca pracą naukową, specyalną, dla wielu ludzi dzisiejszego pokolenia jest wcale nieznany lub znany bardzo mało; dla tego widziało się nam słusznem przypomnieć pokrótce dzieła, które z pod pióra zmarłego wyszły.

Ród Hubów pochodzi z dawnej ziemi kaliskiej, a mianowicie z powiatu nakielskiego, zwanego także Krainą, gdzie w mieście Złotowie dziad Romualda, Jakób Hube [1]) był urzędnikiem sądowym miejskim. W małżeństwie jego z Teresą Brzuchalską urodził mu się w r. 1779 syn, Michał, późniejszy referendarz stanu († 20 kwietnia 1840 r. w Paryżu), który jako urzędnik przebywał najprzód w Poznaniu, a potém osiadł w Warszawie i tu poślubił Maryannę Płońską. Z tego związku przyszedł na świat 7 lutego 1803 roku Romuald Hube [2]). Pierwsze początki nauki pobierał Romuald w Dreznie, ojciec jego bowiem urzędował wtedy w biurze ministra sekretarza stanu Stanisława Brezy. Epopea napoleońska nie wywarła, jak się zdaje, szczegól-

---

[1]) Sobieszczański w „Encyklopedyi“ wielkiéj Orgelbranda daje mu imię Jan; wolałem jednak pójść za wskazówką, udzieloną mi przez żyjącą dotąd wnuczkę jego, p. Annę Jaworowską.

[2]) Według kościelnéj metryki chrztu, ks. Józef Dobrowolski, *vicarius praesentatus* parafii Św. Jana, 20 marca 1803 r. ochrzcił dziecię, któremu nadano imiona Romuald-Jan-Ferdynand, a rodzicami chrzestnemi byli „*generosus dominus Joannes Potocki camerarius et Anna de Dobrskie Potocka*“.

nego wpływu na Romualda: czy to, że umysł jego był jeszcze zbyt dziecinny, czy dla tego, że natura przeważnie do refleksyi usposobiona, opiérała się urokowi tryumfów wojownika, zresztą już na schyłku będących, czy może pod wpływem głosów krytycznych, które się w sferach niewojskowych naszego społeczeństwa coraz częściéj słyszéć dawały. Raz tylko słyszałem z ust jego wspomnienie, że dziesięcioletnim będąc chłopcem, biegał wraz z młodszym bratem, Józefem, nad brzeg płynącéj niedaleko od ich mieszkania Elby, aby zobaczyć cesarza Francuzów, który przyjeżdżał tam, kierując wznoszeniem bateryi i bystro rozglądając się po okolicy, nucił półgłosem jakąś wcale nie melodyjną improwizacyę. Dalsze ukształcenie przez jakiś czas pobierał młody Hube, jak mi powiadał, w liceum warszawskiém, które wtedy podobno w pałacu Saskim się mieściło, za rektorstwa Lindego; skończył szkoły u Pijarów w Krakowie, bardzo wcześnie, skoro już 1 grudnia 1819 r. mianowany został aplikantem w prokuratoryi generalnéj a 20 października 1820 r. przeszedł na aplikacyę do sądu policyi poprawczéj powiatu warszawskiego wydziału I-go. Jednocześnie uczęszczał do uniwersytetu, słuchając kursów prawnych, które ukończył w r. 1821 ze stopniem magistra prawa, i w tym stopniu mianowano go aplikantem trybunału cywilnego województwa mazowieckiego (9 sierpnia 1821). Pełniąc te obowiązki (do 23 marca 1823) pracował w dalszym ciągu nad zdobyciem wiedzy, ale mu to nie wystarczało. Umyślił tedy udać się do uniwersytetu berlińskiego, posiadającego wielu znakomitych profesorów, wśród których szczególnie słynął Fryd. Karol Savigny, autor klasycznego dzieła „*Das Recht des Besitzes*“, które właśnie wówczas po raz czwarty z pod prasy drukarskiéj wyszło (1822). Hube wyjednał sobie w tym celu od namiestnika Zajączka urlop półroczny (12 sierp. 1823), który mu następnie przedłużony został. W Berlinie słuchał wykładów Hegla, Steffensa, Bockha i Rittera; przeważny jednak wpływ musiał wywrzéć nań Savigny, o ile z podobnego kierunku prac słynnego mistrza i zdolnego ucznia sądzić można [1]).

Pomimo jednak tego podobieństwa, pomimo czci dla mistrza,

---

[1]) W życiu Savignego i Hubego dostrzedz można wiele rysów wspólnych; uderzającą najprzód jest wczesna ich dojrzałość umysłowa: Savigny miał lat 24 kiedy wydał znamienite „Prawo posiadania“, Hube w 23 roku życia stanął na katedrze uniwersyteckiéj. Obadwa przedsiębiorą liczne podróże naukowe dla poszukiwania nieznanych źródeł do historyi prawa. Obaj dożyli wieku sędziwego, Savigny żył lat 82, Hube 87 z górą. Inny też głośny prawnik, Gustaw Hugo, założyciel historycznéj szkoły badań prawnych, doczekał się również lat późnych, umarł bowiem 80-letnim starcem.

Hube nie stał się ślepym jego naśladowcą, zachował właściwą sobie, jeśli tak rzec wolno, fizyonomię umysłową, poglądów Savigne'go na społeczne zadania prawodawcze, wyłuszczonych w głośném piśmie „*Vom Beruf unserer Zeit für Gesetzgebung und Rechtswissenschaft*“, wcale nie podzielał. Owszem wyraźnie uznawał potrzebę reform wymaganych przez rozwój społeczny, przez ducha czasu i postęp badań naukowych; bacznie śledził każdy krok naprzód uczyniony na polu kodyfikacyjném w Europie; oświadczał się z życzeniem, abyśmy na tém polu starali się stworzyć coś rozumnie oryginalnego. Berlin więc otworzył Hubemu tylko szersze wrota wiedzy prawniczéj, ale pęt duchowych mu nie narzucił. To niezależne, krytyczne nawet, stanowisko względem nauki niemieckiéj zachował nasz badacz do końca życia.

Gdy po dwuletniéj nieobecności wrócił do Warszawy, komisya wyznań religijnych i oświecenia publicznego, (w któréj prezydował Stanisław Grabowski), „polegając na danych przez radę król.-warsz. uniwersytetu, JP. Hube zaletach ze zdolności i moralności“, wezwała go 12 sierpnia 1825 r. na lektora w wydziale prawa. Hube wykładał tu historyę prawa, mianowicie rzymskiego i niemieckiego; w rozkładzie prelekcyi na rok 1828 czytamy, że prócz tego wykłada zastępczo prawo kryminalne, co mu zlecone zostało wskutek zgonu prof. Klem. Urmowskiego († 4 paźdź. 1827); w planie zaś wykładów na rok następny 1828/9 dodana jest jeszcze historya prawa francuskiego.

Od roku 1828 zaczęło u nas wychodzić w zeszytach miesięcznych czasopismo pod tyt.: „Themis Polska, czyli pismo nauce i praktyce prawa poświęcone“. Hube należał do jego założycieli i najgorliwszych współpracowników [1]). Oprócz osobnych rozpraw pomieszczał tu recenzye, sprawozdania lub krótkie notatki z literatury prawnéj zagranicznéj [2]).

Po odbyciu dysputy publicznéj przyznał mu uniwersytet stopień doktora obojga prawa 12 maja 1829 r., a wkrótce potém komisya wyzn. i ośw. „przekonawszy się z raportu rady król.-warsz. uniwersytetu, iż JP. Romuald Hube, doktor ob. pr., wykładający dotychczas

[1]) Wydawcami „Themidy polskiéj“ byli: August Heylman, K. A. Hoffman, Józef i Romuald Hubowie, J. Korytkowski, W. A. Maciejowski, J. Maciejowski, Wincenty Majewski, J. Mędrzecki, J. Rudnicki, Aleksander This, Jan Kanty Wołowski, T. Wołowski i Cypryan Zaborowski, „Themis“ wychodziła przez lat trzy, w pierwszym roku zeszyty ukazywały się co miesiąc, w drugim co dwa miesiące, w trzecim co miesiąc; całość stanowi 8 tomów.

[2]) Ob. „Themis“ tom I, str. 82—96. Zdaje się, że i recenzye, w dalszych tomach pomieszczone, są pióra Hubego. Wnoszę o tém ze względu na rodzaj dzieł omawianych, które w zakres zajęć naukowych Hubego wchodziły. Na pewno jednak twierdzić tego nie można, bo recenzye są zwykle bez podpisu.

historyę prawa, dopełnił z zaletą warunków, konkursem do wakującéj... katedry prawa kanonicznego i kryminalnego ogłoszonym przepisanych, mianuje“ go stałym profesorem wspomnianych przedmiotów, 30 lipca t. r. Od tych obowiązków, pod koniec tytularnych jeno, uwolniony został 25 grudnia 1832 r. w skutek nowéj organizacyi szkół publicznych, wedle któréj uniwersytet ulegał zamknięciu. W ciągu tego okresu czasu, Hube w wolnych chwilach robił wycieczki do różnych zagranicznych ognisk naukowych. Tak np. w r. 1828 był w Pradze czeskiéj, gdzie zabrał znajomość w Wacławem Hanką; w drugiéj połowie 1830 r. otrzymał urlop sześciomiesięczny do Włoch.

Zakres jego obowiązków profesorskich znalazł równoległe odbicie w kierunku dokonanych wówczas przezeń prac piśmienniczych. Rozpoczął od prawa rzymskiego, drukując w r. 1826 „*Domitii Ulpiani fragmenta libri regularum singularis*“ (8-o, str. 58). Wzorując się na wydaniach Hugona, dla użytku akademików, do każdego paragrafu dodał do tekstu paralele ze źródeł przedjustyniańskich (np. z Cycerona) lub z Instytucyi Justyniana, oraz z Festa i Isidora Grammatyków; nieliczne przytoczenia z Pandektów uznaje Hube za fragmenta Ulpianowe. Ważniejsze lekcye kodeksu watykańskiego, nie wprowadzone do tekstu, podał wydawca w przypiskach.

Po Ulpianie przyszła koléj na Gaja. Młody profesor ogłasza „*Gaji Institutionum commentarii IV ad fidem secundae editionis berolinensis editi*“ (Warsz. 1827). W przedmowie podany jest krótki życiorys Gaja, wykaz jego prac, oraz opis manuskryptu werońskiego, w r. 1817 przez Niebuhra odkrytego, w którym przechowały się Instytucye Gaja.

Trzecie dzieło z téjże gałęzi nauki prawa, nosi napis „*De furtis doctrinam ex iure Romano explicavit historice et dogmatice R. Hube*“ (Warsz. 1828). Treść jego widoczna już z samego tytułu, niepotrzebuje tu być szerzéj przywodzoną; nie zaszkodzi jednak dodać, że obszerne i pochlebne sprawozdanie z tego dzieła napisał Cypryan Zaborowski, późniejszy kolega Hubego, w drugim okresie jego profesorskiego zawodu.

Dzieło pomienione jest pośredniém ogniwem pomiędzy pracami dotyczącemi prawa rzymskiego a pismami w przedmiotach kryminalnych, które z kolei wymienić mi należy. Pierwsze tu miejsce zajmuje rozprawa „O teoryach prawa kryminalnego“ (Warsz. 1828, 4-o). Recenzyę téj pracy pomieściła ówczesna „Gazeta Polska“ (1828 r. Nr. 67). Ten sam przedmiot obszerniéj rozwinął, jak zobaczymy, autor w innému swém dziele. Daléj idzie „Wykład zasad o usiłowaniu występku, z zastosowaniem do kodexu karnego Król. Polsk.“. (Themis Polska,

styczeń 1828, I. 30—62). Potém ukazało się rozstrząsanie pytania: „Czy chłostę podług przepisów art. 219 i 226 uważać należy za obostrzenie, czyli za podstawienie kary więzienia na podpalaczy i złodziei?" (Themis, luty 1828, I. 176—186). Rozprawka ta wywołała ostrą krytykę w „Gazecie Polskiéj" z dnia 5 i 6 maja 1828 (NN 125. 126). W Nr. 145 tegoż dziennika z dnia 28 maja t. r. krytyk podznaczony literami *J. F.* wyraził przeciwne wywodom autora zdanie, że chłosta według art. 219 jest zaostrzeniem kary zamknięcia. To znowu dało Hubemu pobudkę do rozważenia kwestyi: „Jak tłomaczyć wypada art. 323 Kodexu Kryminalnego?" (Themis, czerwiec 1828, II. 255—268). Następnie ogłosił rozprawy: „O działaniach bezprawnych ze względu na wolę osoby działającéj" (Them. listopad 1828 i styczeń 1829, t. IV. 130—180 i V. 31—93); „Artykuł 227 Kodexu Karnego (dozwalający zamieniać areszt na karę pieniężną) jak stosowany być powinien?" (Them. 1829, V. 365—387); przeciw zdaniu Hubego, który wybór z pomiędzy dwóch tych rodzajów karyp rzyznawał sędziemu, polemizował pan W. B. (Them. styczeń 1830, VII. 97—108). „Kilka uwag nad art. 154 Kod. Kar. K. P." (Them. 1829. VI. 395—414); chodziło tu o definicyę kradzieży gwałtownéj, któréj zdarzające się zbyt rozciągłe tłomaczenie usiłuje autor zacieśnić, tak ze względów humanitarnych jak i utylitarnych, przyczém wiele gruntownych myśli wypowiada.

Rozprawy powyższe możnaby uważać za przypadkowe ekskursy, jakiemiś szczególnemi przyczynami wywołane, autor ich bowiem czas swój poświęcał głównie opracowaniu dzieła większych rozmiarów, które wydał pod tytułem „Ogólne zasady nauki prawa karnego" (1830, 8^{0}, kart 4 i str. 482). Na czele pomieszcza tu Hube wywód filozoficzny pojęcia występku i kary, wywód, który był rozwinięciem myśli podanych ogólniéj w dawniejszéj jego pracy (O teoryach prawa krym.); potém idzie wywód historyczny tegoż pojęcia na Wschodzie, w Grecyi i Rzymie, u narodów średniowiecznych i nowożytnych, wpływ na nie humanitarnego ruchu w w. XVIII i filozofii niemieckiéj w bieżącym; wreszcie wywód dogmatyczny pojęcia występku i kary. Drugą połowę dzieła zajmuje wykład zasad kodeksu z 1818 roku. Dzieło to kreślił Hube z właściwém mu umiarkowaniem w sądach i bez uprzedzenia przedstawił poglądy rozmaitych szkół i kierunków. Nie znam w piśmiennictwie naszém podobnie zupełnego wykładu prawa karnego.

Do osobnego działu zaliczyć wypada napisany w końcu r. 1827 artykuł „Ostanie nauki prawa w naszych czasach" (Them. lipiec 1828, III. 1—17). Osobno téż stoją „Uwagi nad systematem kodeksu cywilnego francuskiego" (Them. maj 1829, V. 297 i oddzielne wydanie str.

35). Z powodu podjętéj wtedy przez sfery rządowe reformy naszego prawodawstwa, autor wyraża zdanie, że taka reforma nie powinna być dziełem jednego człowieka, ale rezultatem pracy zbiorowéj, opartéj na „własnéj praktyce sądowéj“, na zasadach wydobytych „z pojęć nam właściwych“, gdyż wtedy tylko prawodawstwo „będzie do potrzeb kraju zastosowane“. Nie dosięgnie tego celu, „kombinacya kilku lub kilkunastu kodeksów zagranicznych“. Tezy te zaznaczają, jak mi się zdaje, nowy zwrot w działalności naukowéj Hubego. Nie chcę bynajmniéj twierdzić, żeby one były wyłącznie skutkiem bezpośrednim studyów naszego autora w dziedzinie praw słowiańskich, mniemam jednak, że się nie obyło tu bez ubocznego przynajmniéj ich wpływu, jakkolwiek główną treścią téj rozprawy jest wytknięcie wadliwości zachodzących w układzie kodeksu Napoleona, które widzieli również prawnicy francuscy i niemieccy.

Rozprawa ta nie minęła bez zwrócenia na się uwagi uczonych jurystów. August Heylman pisze niebawem swój „Wywód zasad ogólnych nauki prawa i prawodawstwa“ (Them. styczeń, 1830, VII, 1—55), w którym roztrząsa krytycznie i zwalcza niektóre poglądy Hubego, ten zaś broni się w piśmie pod tyt. „Niektóre uwagi nad historyą nauki prawa“ (Them. luty, 1830, VII, 157—207).

Z rozpoczętym przez Hubego w roku 1828/29 wykładem uniwersyteckim historyi prawa francuskiego jest w związku jedna rozprawka: „O prokuratorach we Francyi“ (Them. kwiecień, 1828, II, 1—32).

Przejdziemy teraz do innéj dziedziny badań.

Objawy odrodzenia naukowego u Słowian, ukazujące się na początku bieżącego stulecia, nie odrazu były przez nas dostrzeżone, nie brakowało jednak faktów, wskazujących analogiczny ruch myśli naszéj: dość przytoczyć nazwiska Jana Potockiego, Surowieckiego, Czackiego, Bandtkiego, Rakowieckiego, Kucharskiego. Krótki pobyt w Pradze czeskiéj w 1828 r. dał Hubemu sposobność do zaznaczenia swéj działalności i na téj niwie. W styczniu roku następnego drukuje on wiadomość „O starożytnych zbiorach praw czeskich“ (Them. 1829, V, 1—15), gdzie na podstawie przygotowanego do druku przez Wacława Hankę wydania praw ziemi czeskiéj, opisuje pokrótce tak zwaną księgę Rozemberską, komentarz ułożony do niéj przez Andrzeja z Dube, rad zemskeho prawa, pokorę wrażedlnika i wilkierze miasta Pragi z XIV-go wieku; nadto przedstawia według tekstu przepisy o pojedynku sądowym, oraz obraz przewodu sądowego w sprawach o zabójstwo. W związku z tém była następna rozprawa: „Pokora podług praw polskich i czeskich“ (Them. 1829, t. VI, 287—316). W tymże roku Hube zrobił pierwszy krok w ogłaszaniu źródeł prawa,

wydrukował bowiem pięć dyplomatów z lat 1227—1418, oświadczając zamiar publikowania i nadal dyplomatów z epoki poprzedzającéj Kazimierza Wielkiego (Them. 1829, VI, 415—425), co jednak do skutku nie doszło. Wreszcie ukazała się rzecz „O dawnych pisarzach prawa karnego w Polsce“ (Warszawa, 1830, 4-to), któréj nie miałem nigdy w ręku.

Nastąpiła pewna przerwa w tak ożywionéj działalności piśmienniczéj Hubego: w r. 1830 wyjechał on, jak już wiemy, do Włoch, nie dla wojażu tylko, lecz dla nowych studyów. Powróciwszy do kraju, przygotował on w r. 1831 odczyt o konstytucyi 3 maja, a będąc już wtedy członkiem Towarzystwo Przyjaciół Nauk, wygłosił go na publicznêm posiedzeniu, na którém Towarzystwo Mickiewicza do grona swego zaprosiło. Temat odczytu nasunął prelegentowi (wedle słów jego) ks. Ad. Czartoryski.

Tymczasem wykłady w uniwersytecie przerwano, a „Themis“ wychodzić przestała; istnieje wszakże wskazówka, że i w téj epoce Hube nie zarzucił zajęć naukowych. Kilka słów o tém.

Uniwersytet warszawski w r. 1830 ogłosił konkursowe dla objęcia katedry historyi prawa zadanie: Wywód praw spadkowych beztestamentowych, podług praw rzymskich, germańskich i słowiańskich. Z pomiędzy rozpraw na ten temat napisanych, wydział prawa przyznał pierwszeństwo rozprawie Józefa Hubego, brata Romualda. Z obszernéj téj pracy ogłoszona została drukiem część tylko jedna, ale najważniejsza, bo zawierająca poszukiwania samodzielne autora: „Wywód spadków podług dawnych praw słowiańskich.“ Zajmuje ona cały szósty poszyt tomu VIII-go „Themidy polskiéj,“ czyli ostatni zeszyt tego czasopisma, odpowiadający grudniowi 1830 r., wydany jednak dopiéro w r. 1832. Dlatego téż nazwisko autora opuszczono pod tekstem i tylko w spisie rzeczy zostało ono zaznaczone; dlatego „Dodatek do powyższéj rozprawy“ (str. 498—516), wypracowany przez Romualda Hubego, nie nosi w „Themidzie“ żadnego podpisu i o autorstwie jego dopiéro z niemieckiego przekładu całego dzieła dowiedzieć się można było; dlatego wreszcie w „Spisie rzeczy objętéj w Themidzie polskiéj,“ ogłoszonym w r. 1836, i samą rozprawę i „Dodatek“ do niéj całkiem pominięto.

W drugiéj połowie 1833 r. powołany został Hube do Petersburga, wraz z Cypryanem Zaborowskim i Cichorskim, dla zajęcia się zamierzonemi pracami kodyfikacyjnemi. Ograniczyło mu to znacznie czas, jaki dotąd poświęcał wyłącznie badaniom ściśle naukowym, ale nie zdołało całkiem od nich oderwać. Pobyt w Petersburgu dostarczył mu zresztą nowego dla nich materyału w bogatych zabytkach

piśmiennych naszéj przeszłości, jakie się w Bibliotece Publicznéj, w Muzeum Rumiancowa (przeniesioném późniéj do Moskwy), oraz w innych zbiorach publicznych i prywatnych przechowują. Hube uważnie począł się w nich rozglądać i robić własnoręcznie liczne odpisy i wyciągi, które mu w czasach następnych posłużyły za podstawę do dzieł, późniejszemi laty ogłaszanych. Zajęcia urzędowe zaznajomiły go bliżéj z prawodawstwem ruskiém, oraz z pomnikami prawnemi Wołochów, Ormian, Gruzinów, to jest ze stosunkami, o których literatura zachodnio-europejska albo nic, albo bardzo mało pouczyć go mogła. Horyzont więc jego umysłowy musiał się rozszerzyć.

Po kilku latach zaczęły się okazywać tego owoce.

W r. 1839 wydrukował bezimiennie w „Tygodniku Petersburskim“ (N-ra 42 i 44) niewielką, ale ciekawą rozprawkę pod napisem: „Statuta ziemi krakowskiéj.“ Na podstawie ośmnastu rubryk, zapisanych pod tytułem „*Statuta Cracoviensia*“ w synodyku arcybiskupa Jarosława Bogoryi, oraz rękopisu Pawła Kostki z r. 1463, Hube wyprowadził wniosek, że 18 artykułów statutów Kazimierza W. w kodeksie B. IV, analogicznych z pomienionemi rubrykami synodyku, są utworem prawodawczym krakowskim, pochodzącym z XIII-go wieku. Odkrycie rubryk było dla badań nad historyą statutów faktem ważnym, ale zbudowana na nim hypoteza nie zdołała się w nauce utrzymać.

Tymczasem zaszedł fakt, który przysporzył Hubemu obowiązkowéj pracy, ale do poszukiwań naukowych tém więcéj przywiązał. Dnia 22 kwietnia 1840 r. zapadło postanowienie, na mocy którego założono w uniwersytecie petersburskim dwie katedry do wykładu praw obowiązujących w Królestwie, a 27 lutego roku następnego powierzono te katedry Hubemu i Zaborowskiemu w charakterze profesorów ord. Pierwszy objął wykład prawa karnego, administracyjnego i historyi prawa, drugiemu przypadało prawo cywilne i ustawy z niém związane. Przygotowanie kursów zajmowało z konieczności dużo czasu. Mamy też do zaznaczenia w téj epoce tylko dwa jego pisma: jedno po niemiecku p. t. „*Ueber die Zustände der neuen juristischen Litteratur in Russland*, drukowane w „*Kritische Zeitschrift für die Rechtwissenschaft und Gesetzgebung*“ (r. 1842, t. XIV, str. 87—94), którego nie zdarzyło mi się mieć w ręku, — a drugie po polsku „O jurisprudencyi“ w „Tygodniku Petersb.“, 1844 r.

Wyjazd na czas dłuższy do Rzymu położył kres profesorskiéj działalności Hubego; przez lat też kilka żadną on pracą piśmiennictwa naszego nie zbogacił. Dopiéro w r. 1852 ukazała się bezimiennie w „Bibliotece Warsz.“ (t. 41, str. 101 i nast.) rzecz: „O najdawniej-

wydrukował bowiem pięc dyplomatów z lat 1227—1418, oświadczając zamiar publikowania i nadal dyplomatów z epoki poprzedzającéj Kazimierza Wielkiego (Them. 1829, VI, 415—425), co jednak do skutku nie doszło. Wreszcie ukazała się rzecz „O dawnych pisarzach prawa karnego w Polsce“ (Warszawa, 1830, 4-to), któréj nie miałem nigdy w ręku.

Nastąpiła pewna przerwa w tak ożywionéj działalności piśmienniczéj Hubego: w r. 1830 wyjechał on, jak już wiemy, do Włoch, nie dla wojażu tylko, lecz dla nowych studyów. Powróciwszy do kraju, przygotował on w r. 1831 odczyt o konstytucyi 3 maja, a będąc już wtedy członkiem Towarzystwo Przyjaciół Nauk, wygłosił go na publicznėm posiedzeniu, na którém Towarzystwo Mickiewicza do grona swego zaprosiło. Temat odczytu nasunął prelegentowi (wedle słów jego) ks. Ad. Czartoryski.

Tymczasem wykłady w uniwersytecie przerwano, a „Themis“ wychodzić przestała; istnieje wszakże wskazówka, że i w téj epoce Hube nie zarzucił zajęć naukowych. Kilka słów o tém.

Uniwersytet warszawski w r. 1830 ogłosił konkursowe dla objęcia katedry historyi prawa zadanie: Wywód praw spadkowych beztestamentowych, podług praw rzymskich, germańskich i słowiańskich. Z pomiędzy rozpraw na ten temat napisanych, wydział prawa przyznał pierwszeństwo rozprawie Józefa Hubego, brata Romualda. Z obszernéj téj pracy ogłoszona została drukiem część tylko jedna, ale najważniejsza, bo zawierająca poszukiwania samodzielne autora: „Wywód spadków podług dawnych praw słowiańskich.“ Zajmuje ona cały szósty poszyt tomu VIII-go „Themidy polskiéj,“ czyli ostatni zeszyt tego czasopisma, odpowiadający grudniowi 1830 r., wydany jednak dopiéro w r. 1832. Dlatego téż nazwisko autora opuszczono pod tekstem i tylko w spisie rzeczy zostało ono zaznaczone; dlatego „Dodatek do powyższéj rozprawy“ (str. 498—516), wypracowany przez Romualda Hubego, nie nosi w „Themidzie“ żadnego podpisu i o autorstwie jego dopiéro z niemieckiego przekładu całego dzieła dowiedzieć się można było; dlatego wreszcie w „Spisie rzeczy objętéj w Themidzie polskiéj,“ ogłoszonym w r. 1836, i samą rozprawę i „Dodatek“ do niéj całkiem pominięto.

W drugiéj połowie 1833 r. powołany został Hube do Petersburga, wraz z Cypryanem Zaborowskim i Cichorskim, dla zajęcia się zamierzonemi pracami kodyfikacyjnemi. Ograniczyło mu to znacznie czas, jaki dotąd poświęcał wyłącznie badaniom ściśle naukowym, ale nie zdołało całkiem od nich oderwać. Pobyt w Petersburgu dostarczył mu zresztą nowego dla nich materyału w bogatych zabytkach

piśmiennych naszéj przeszłości, jakie się w Bibliotece Publicznéj, w Muzeum Rumiancowa (przeniesioném póżniéj do Moskwy), oraz w innych zbiorach publicznych i prywatnych przechowują. Hube uważnie począł się w nich rozglądać i robić własnoręcznie liczne odpisy i wyciągi, które mu w czasach następnych posłużyły za podstawę do dzieł, późniejszemi laty ogłaszanych. Zajęcia urzędowe zaznajomiły go bliżéj z prawodawstwem ruskiém, oraz z pomnikami prawnemi Wołochów, Ormian, Gruzinów, to jest ze stosunkami, o których literatura zachodnio-europejska albo nic, albo bardzo mało pouczyć go mogła. Horyzont więc jego umysłowy musiał się rozszerzyć.

Po kilku latach zaczęły się okazywać tego owoce.

W r. 1839 wydrukował bezimiennie w „Tygodniku Petersburskim“ (N-ra 42 i 44) niewielką, ale ciekawą rozprawkę pod napisem: „Statuta ziemi krakowskiéj.“ Na podstawie ośmnastu rubryk, zapisanych pod tytułem „*Statuta Cracoviensia*“ w synodyku arcybiskupa Jarosława Bogoryi, oraz rękopisu Pawła Kostki z r. 1463, Hube wyprowadził wniosek, że 18 artykułów statutów Kazimierza W. w kodeksie B. IV, analogicznych z pomienionemi rubrykami synodyku, są utworem prawodawczym krakowskim, pochodzącym z XIII-go wieku. Odkrycie rubryk było dla badań nad historyą statutów faktem ważnym, ale zbudowana na nim hypoteza nie zdołała się w nauce utrzymać.

Tymczasem zaszedł fakt, który przysporzył Hubemu obowiązkowéj pracy, ale do poszukiwań naukowych tém więcéj przywiązał. Dnia 22 kwietnia 1840 r. zapadło postanowienie, na mocy którego założono w uniwersytecie petersburskim dwie katedry do wykładu praw obowiązujących w Królestwie, a 27 lutego roku następnego powierzono te katedry Hubemu i Zaborowskiemu w charakterze profesorów ord. Pierwszy objął wykład prawa karnego, administracyjnego i historyi prawa, drugiemu przypadało prawo cywilne i ustawy z niém związane. Przygotowanie kursów zajmowało z konieczności dużo czasu. Mamy téż do zaznaczenia w téj epoce tylko dwa jego pisma: jedno po niemiecku p. t. „*Ueber die Zustände der neuen juristischen Litteratur in Russland*, drukowane w „*Kritische Zeitschrift für die Rechtwissenschaft und Gesetzgebung*“ (r. 1842, t. XIV, str. 87—94), którego nie zdarzyło mi się mieć w ręku, — a drugie po polsku „O jurisprudencyi“ w „Tygodniku Petersb.“, 1844 r.

Wyjazd na czas dłuższy do Rzymu położył kres profesorskiéj działalności Hubego; przez lat téż kilka żadną on pracą piśmiennictwa naszego nie zbogacił. Dopiéro w r. 1852 ukazała się bezimiennie w „Bibliotece Warsz.“ (t. 41, str. 101 i nast.) rzecz: „O najdawniej-

szych statutach synodalnych polskich," gdzie pierwszy raz ogłosił statut uchwalony w r. 1233 na synodzie sieradzkim, zwołanym przez arcybiskupa Pełkę. Obok tekstu łacińskiego dołączono tu i polski przekład, który dostarczył Ant. Czajkowskiemu, następcy Hubego na katedrze uniwersyteckiéj, tematu do wielce ostréj, nieraz jednak słusznéj krytyki. Recenzya ta, z powodu nadmiernie drastycznéj formy, nie była wcale drukowana; znam ją tylko z rękopisu, którego mi recenzent udzielił do przejrzenia. Dodać jednak winienem, że ów przekład dokonany był nie przez Hubego, i że prof. Czajkowski zająwszy się usterkami tłómacza, na ważność zabytku, który Hube odkrył, wcale nie zwrócił uwagi.

W tymże jeszcze roku wydał Hube bezimiennie ważny „Przyczynek do objaśnienia historyi statutu wiślickiego" („Bibl. Warsz.", 1852, tom 49-ty i w osobnéj odbitce). Podejmuje on tu pytanie, poruszone już w r. 1839, i rozwija je szerzéj i daléj, a to na podstawie trzech nieznanych przedtém kodeksów Biblioteki petersburskiéj, oraz dwóch kodeksów Stronczyńskiego. Krótka ta, ale doniosła rozprawa była ostatnim głosem, jaki został wypowiedziany w nauce przed ukazaniem się pomnikowego dzieła A. Z. Helcla. Z Hubem téż tylko i z Lelewelem przeprowadza głównie polemikę swą Helcel. Niektóre poglądy wypowiedziane w téj rozprawie, uległszy pewnéj modyfikacyi, szerzéj wyłuszczone zostały w późniejszém dziele naszego autora, o którém w swojém miejscu znajdzie się wzmianka.

Upłynęło znowu cztery lata, po których Hube ogłosił drukiem ustawy dwunastu synodów duchowieństwa polskiego, zwoływanych od r. 1233 do 1406 („*Antiquissimae constitutiones synodales provinciae Gneznensis maxima ex parte nunc primum e codicibus manu scriptis typis mandatae.*" Petropoli, 1856, 4-to, pag. VIII, 222), dzieło przypisane Piusowi IX-mu. Przypadek chciał, że w tym samym czasie Helcel, drukując pierwszy tom „Starodawnych prawa polskiego pomników," pomieścił w nim także zabytki ustawodawstwa kościelnego w Polsce, według autentycznego tekstu, znajdującego się we Wrocławiu i wydał wszystkie ustawy, ogłoszone przez Hubego; tylko statut legata Filipa, wydany na synodzie w Budzie 1279 r., okazał się w wydaniu petersburskiém pełniejszym o 55 paragrafów; z czego korzystając Helcel, przedrukował je stamtąd w dodatku do swego dzieła.

Skutkiem zmian zaprowadzonych w zarządzie Królestwa w roku 1861, Hube powrócił do Warszawy, a w listopadzie tegoż roku objął obowiązki dyrektora głównego, prezydującego w świeżo wskrzeszonéj komisyi wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Wśród rozmaitych zajęć, dążących do przekształcenia całego szkolnictwa krajowe-

go, o których niepodobna mi tu rozprawiać, zwrócił uwagę na zaniedbany stan Biblioteki Głównéj: dla braku odpowiednich funduszów, przez długie lata żadnych ona zakupów czynić nie mogła i w wielu działach przedstawiała smutne braki. Zarządził więc zaraz nabycie rozmaitych dzieł, wystawianych na licytacyą w Lipsku. W ten sposób w r. 1862-im przeszedł na własność naszéj biblioteki, między innemi, rzadki rękopis prawa salickiego.

Poruszone wówczas myśli rozmaitych reform w prawodawstwie obowiązującém, sprawiły, że Hube zwrócił się na pole kryminalistyki, na którém w młodych latach wiele, jak widzieliśmy, pracował. Owocem tego zwrotu były „Studya nad kodeksem karnym 1818-go roku,“ których „część pierwsza“ wyszła z druku w Warszawie w r. 1863 (małe 8-vo, str. 190). W sześciu rozdziałach mówi autor: o genezie tego kodeksu, o systemacie kar, o skutkach kar, o podziale przestępstw, o stosunku kar do przestępstw i o władzy sędziego w zastosowaniu kar; w wykładzie tym rozwinął zadziwiająco obszerną znajomość ustaw karnych, które w różnych krajach Europy wtedy obowiązywały. Pozwoliła mu ona przy rozbiorze każdéj poszczególnéj kwestyi na szerokie zastosowanie metody porównawczéj; porównywa téż co chwila rozporządzenia naszego dawnego kodeksu z rozmaitemi innemi; rozważa krytycznie zachodzące między niémi różnice i wreszcie oświadcza się za jedną lub drugą ustawą, stosownie do tego, którą uznaje za zgodniejszą z przyjętym systematem — jeżeli chodzi o układ kodeksu, lub która jest humanitarniejszą — jeśli mowa o szczególnym rodzaju, czy stopniu kary. Porównawcza ta praca nie jest jednak próżnym popisem erudycyi, i sięga tylko tam, gdzie spodziewa się wydobyć myśl czy wzór jakiegoś ulepszenia; dlatego jeden z kodeksów nie używany jest wcale do porównań [1]). Część druga tego dzieła obejmować miała zapewne rzecz o poszczególnych przestępstwach, nie ukazała się jednak, gdyż i myśl reformy kodeksu niebawem spełzła na niczém, a nasz badacz zamknął się w gabinecie i zabrał do dzieła, nie mającego bezpośredniéj łączności z zadaniami życia praktycznego chwili ówczesnéj.

Jakoż niebawem ogłasza Hube swoje uwagi o powstaniu zbioru „Formuł Sirmondzkich“ i o stosunku ich do formuł Markulfa, do czego dał mu pobudkę wspomniany powyżéj rękopis prawa salickiego. Twierdzi tu autor, że zbiór sirmondzki nie powstał w jednym czasie, że się składa z trzech części, z których dwie pierwsze odnieść można przynajmniéj do wieku VI-go, że trzecia zaś powstała przed końcem

---

[1]) Po dziewięciu latach poświęcił owemu pominiętemu kodeksowi osobną książkę.

wieku VIII-go naszéj ery i że przeznaczone były dla użytku w prowincyi Turońskiéj. Krótki ten artykuł („Bibl. Warsz.“, wrzesień, 1863) dał początek nowemu szeregowi prac uczonego autora nad dziejami prawodawstw narodów zachodnich, już bowiem w r. 1865 ukazało się „Prawo burgundzkie, historya jego powstania i ocenienie nowéj jego edycyi“ (Warsz., 8-vo, str. 58). Edycyą ową krytyczną wydał w r. 1863 Blume, profesor w Bonn, nadając prawu burgundów całkiem nowy układ, niezgodny z oddziałami, przyjętemi przez Du Tilleta, który się przecież wspierał na rękopisie watykańskim. Gdyby się zdanie Blumego utrzymało, cała historya prawa burg. przedstawiłaby się w innéj postaci. Hube podejmuje polemikę z profesorem niemieckim i podaje swój wywód genezy różnych części pomienionego prawa, co na dodanéj w końcu dzieła tablicy unaocznił. (Edycya francuska w roku 1867-ym).

We dwa lata późniéj ukazał się w druku tekst prawa salickiego z rękopisu, znajdującego się niegdyś w kolegium Clairmont w Paryżu, który późniéj przeszedł na własność Meermana, a w końcu zakupiony na licytacyi książek po prof. Kellerze w Lipsku, dostał się do Warszawy. Hube wydał go w dwóch edycyach: polskiéj („Prawo salickie podług tekstu rękopisu Biblioteki głównéj warszawskiéj,“ 1867, 8-vo, str. LXXXIX i 47) i francuskiéj (*La loi salique, d'après un manuscrit de la Bibliothèque centrale de Varsovie. Précédée d'une préface et d'une notice sur un manuscrit de la Lex emendata de la Bibliothèque Impériale de Saint-Pétersbourg.* Vars., 1867, 8-vo, p. XXI i 47). Wydanie przygotowane dla czytelników polskich mniéj z tym przedmiotem obeznanych, poprzedzone jest wstępem historycznym, w którym krytyka tekstów i obraz rozwoju prawa salickiego, obszernie zostały przedstawione. W wydaniu francuskiém, przeznaczoném dla specyalistów, szczegóły dotyczące stopniowéj formacyi prawa salickiego pominięto, natomiast podano tu rozbiór czwartego tekstu ogłoszonego przez Pardessus. Przy sposobności nadmienić można, że i nad prawem wisygockiém robił Hube studya jeszcze w Petersburgu, ale rezultatu ich drukiem nie ogłosił.

W przerwach czasu, które chronologicznie dzieliły powyższy szereg prac genetycznie związanych, wydał nasz autor w r. 1864-ym: „*Extrait du cataloque de la Bibliothèque du Sénateur Hubé. Cinquième partie*,“ rzecz, która jest czémś więcéj, aniżeli suchym katalogiem, podaje bowiem wiadomości o licznych statutach miast włoskich; w połowie XVI-go wieku każde znaczniejsze miasto we Włoszech posiadało swój układ systematyczny praw organicznych, cywilnych i karnych, a nie mieć własnego statutu było dla miasta pewnego rodzaju ubliżeżeniem. Jakiemi drogami tak rozstrzelone w miastach i całych pro-

wincyach ustawy doszły do ujednostajnienia w nowoczesném królestwie włoskiém—o tém zwięźle opowiedział autor w broszurce p. t.: „Kodeks cywilny włoski z roku 1865“ (Warsz., 1866, 8-vo, str. 39), w któréj przedstawia nadto system układu, przyjęty w tym utworze prawodawczym i zaznacza w nim te pomysły, które odznaczają się nowością w obec innych kodeksów, jak np. regulowanie spadku nieruchomego po cudzoziemcu, nie podług przepisów włoskich, lecz podług praw kraju, którego cudzoziemiec był obywatelem. (Edyc. franc., 1872).

Badawczy umysł Hubego nie mógł zamknąć się raz na zawsze w pewnych ściśle zamkiętych granicach geograficznych; nie sprzeniewierzając się rozpoczętym kiedyś studyom, lubił robić jednak wycieczki w sfery mniéj znane, jeżeli była nadzieja wydobycia na jaw faktów nowych, lub lepszego oświetlenia rzeczy, w nauce nie dość jeszcze jasnych. W takim razie nasz badacz porzucał epokę wczesnego średniowiecza, odkładał na bok *leges barbarorum* i związane z niemi kwestye naukowe, i z germańskiego zachodu przerzucał się choćby do południowéj czy wschodniéj Słowiańszczyzny. W tym samym 1867-ym roku, w którym ogłaszał prawo salickie, rozpatruje on w Wiedniu katalog ksiąg i rękopisów, które po śmierci Szafarzyka dostały się do Muzeum czeskiego w Pradze, a dostrzegłszy wśród rękopisów zawierających „Zakonnik“ serbski Duszana, wzmiankę o zbiorku postanowień, przypisywanych Justynianowi, dotąd nie drukowanym, zamierza go ogłosić, zabiéra się do badań nad tym zabytkiem prawnym, praca rośnie mu pod ręką, rozszerza swój zakres i oto w r. 1868 ukazało się dzieło: „O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko-byzantyńskiego u narodów słowiańskich. W dodatku Excerpta serbskie z praw rzymsko-byzantyńskich“ (8-vo, str. III i 89). „Co kiedyś Savigny zamierzał sobie zrobić dla Zachodu Europy — powiada autor w przedmowie — to w skromniejszych rozmiarach, ale jak mam przekonanie, w pełniejszéj mierze, daję dla ludów słowiańskich.“ We wstępie scharakteryzowano główne pomniki prawodawczych usiłowań byzantyńskich, jak Ekloga z r. 740 i jak *Leges colonariae*, rodzaj kodeksu sielskiego dla ludności rolniczéj, jak Prochiron z r. 870 i niektóre późniejsze Nowelle; wreszcie zbiory ustaw kościelnych, jak zbiór kanonów Jana Scholastyka, Nomokanon Focyusza i Syntagma Wlastaresa. Następnie przechodzi autor kolejno różne krainy słowiańskie: Bulgaryę, Serbię, Czarnogórze, Ruś, Dalmacyę i Chorwacyę, Czechy, Szląsk i Polskę, zaznaczając wszelkie, jakie znalazł, dowody lub ślady wpływu prawa rzymskiego. Drukując w końcu tekst Excerptów serbskich, podaje autor obok, dla porównania, wyciągi z zabytków rzymsko-byzantyńskich, na których Excerpta się wspierają, oraz ich przekład polski.

W pracy téj korzystał z pomocy lingwistycznéj profesorów Papłońskiego i Mierzyńskiego, co sam z podziękowaniem zapisuje [1]).

Z kilku lat następnych znam tylko jeden artykulik Hubego: „Wiadomość o sądach bożych czyli ordaliach w dawnéj Polsce“, wydobytą z rękopisu biblioteki miasta Elbląga. Pomieściła ją „Biblioteka Warszawska“ w zeszycie sierpniowym 1868 r. Pracował wtedy autor nad historyą praw karnych słowiańskich, którą rozpoczął od historyi prawa ruskiego (część I, str. III, 214, wyszła w 1870; część II, str. 168 i II w r. 1872). Znajdujemy tu między innemi szczegółowo opisane zawiłe drogi, które praca kodyfikacyjna od r. 1839 do 1845 przechodziła, zanim się z niéj wyłonił kodeks kar głównych i poprawczych. Dla poznania i ocenienia udziału Hubego w téj robocie—źródło to jedyne.

Dalsze tomy téj historyi nie wyszły; natomiast napisał Hube kilka prac mniejszego zakresu: 1) recenzyą kodeksu dyplomatycznego Tynieckiego, wydanego we Lwowie przez W. Kętrzyńskiego i St. Smolkę („Bibl. Warsz.“, kwiecień 1872); 2) „Pogląd na nowsze prace około wyjaśnienia historyi praw Słowian południowych“, (w tymże miesięczniku, tegoż roku i w osobnéj odbitce, str. 24); 3) „Kilka aktów oryginalnych sądowych z wieku XIV-go i XV-go“ (tamże, 1873, i w odbitce, str. 23 z tablicą podobizn); 4) „Statut Wartski Władysława Jagiełły“ (tamże, zeszyt czerwcowy 1874 str. 438—445).

Pisma te nie stanowiły jedynego, plonu téj epoki życia Hubego. Współcześnie bowiem prowadził studya przygotowawcze do dzieła poważniejszych rozmiarów, które wyszło na świat w końcu r. 1874. Było niém „Prawo polskie w wieku trzynastym“ (Warsz. 8-o, str. VII, 271 i V), rzecz oparta na źródłach, ułożona systematycznie a opracowana z wielką starannością.

Hube wykazał tu właściwe mu przymioty: trzeźwość w poglądach, ostrożność w wyprowadzaniu wniosków ogólniejszych i wstręt do hypotez. Żałowaćby można, że zupełnie pominął całą sferę prawa publicznego, ale stawiać dziełu zarzutu z téj przyczyny niepodobna. Książka przyjęta została przez krytykę z uznaniem i stanowi dotąd jedyny w tym przedmiocie podręcznik.

---

[1]) Pracę tę warszawianin Aleksander Stekert przełożył na język francuski pod tyt.: *Droit romain et gréco-byzantin chez les peuples slaves* etc. Paris et Toulouse 1880, p. 62.

Mniejszą rozmiarem, ale równéj ważności była następna z kolei rozprawa „Statuta Nieszawskie z 1454 roku“ (Warsz. 1875, 8-o, str. 54), do którój dało powód dzieło dra Bobrzyńskiego, o tymże przedmiocie napisane. Hube rozwija tu własny pogląd na ów pomnik prawodawczy, tłumaczy jego znaczenie, i genezę, oraz stosunek do przywileju cerebwickiego i petytów opockich, których tekst z rękopisu Mateusza Petersolca, dotychczas niedrukowany, w końcu dodaje. Tegoż roku ogłasza 73 polskie „Roty przysiąg krakowskich z końca wieku XIV“ („Bibl. Warsz.“ i w os. odbitce, str. 28) według pisowni oryginału i w dzisiejszéj transkrypcyi; nadto materyał faktyczny, w rotach zawarty, przelewa w zajmujący obraz ówczesnego życia społecznego.

Wśród prac, odnoszących się do historyi prawa, wyjątkowym epizodem wydawać się może książka pod tyt. „Kościół parafialny, stary i nowy w Radomsku“ (Warsz. 1876, 8-o, str. 71 i XLVII, z dwoma drzeworytami); ale tłómaczą nam ten epizod dalsze wyrazy karty tytułowéj: „Podał ich opis i opowiedział historyą Romuald Hube, prezydujący w dozorze kościelnym;“ tłómaczą i dokumenta, w liczbie czternastu tu ogłoszone, a które dla badacza przeszłości nie będą zapewne obojętne.

Rok następny przyniósł nam tylko krótką rozprawę, „O datach nadawanych statutom Kazimierza Wielkiego“ („Bibl. Warsz.“ 1877 i w os. odbitce, str. 21). Było to widoczną zapowiedzią, że w pracowni uczonego prawnika przygotowuje się znowu dzieło szerszego zakresu. Jakoż zapowiedź ta nie zawiodła i w r. 1881 ujrzeliśmy „Prawo polskie w XIV wieku. Ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego“ (Warsz. 8-o, str. III, 226, LXVI i V). Zabrałoby to zbyt wiele czasu i miejsca, gdybym chciał przedstawić treść dzieła, choćby i w pobieżnym nawet zarysie; muszę więc poprzestać na wzmiance, że mamy tu pogląd na rządy Kazimierza, historyą powstania, przekształcenia i obrobienia statutów, a daléj systematyczne zestawienie rozporządzeń statutowych. Ostatnią część stanowią teksty: statutu wiślickiego, wielkopolskiego oraz dygiestów krakowsko-wielkopolskich. Część ta wyszła i w osobném odbiciu pod napisem „*Statuta Kazimiri Magni Regis Poloniae e codicibus manuscriptis typis mandata*“ (str. 68).

Trzy archaiczne wyrazy: „Wrożda, wrożba i pokora“, stanowią tytuł badań nad ciekawą instytucyą prawa karnego w czasach prastarych („Ateneum“ 1884. III, 477—499). Powraca tu sędziwy autor do przedmiotu, którego niegdyś, przed półwiekiem zgórą dotykał, będąc profesorem wszechnicy warszawskiéj. Ileż to w ciągu tak dłu-

giego okresu zaszło zmian i w życiu i w nauce, zmian niekoniecznie równoległych! Materyał faktyczny nauki wzbogacił się znacznie przez odkrycie różnych dawnych zabytków, metody badawcze udoskonaliły, wiele mylnych poglądów umiejętna krytyka odrzuciła. Oczywiście, postęp ten i w pomienionéj rozprawie naszego autora odbić się musiał — widoczne to jest mianowicie w użyciu bogatszego zasobu źródeł.

W rozprawach towarzystwa naukowego w Pradze (zamienionego obecnie na Akademię czeską) pomieścił Hube tegoż roku artykuł pod napisem: „Księgi ziemskie i grodzkie wieku XIV w Polsce“ („Pojednáni král. české společnosti nauk. Rzada VI, dil 12; Trida pro filos., dějep. a filol. č. 6“ i w osobnéj odbitce, 4-o, str. 8). Artykuł ten dawał wskazówkę, do jakiéj dziedziny skierował autor swe badania, których plony cokolwiek poniżéj wymienię. Tu zaś wspomnę idący w kolei chronologicznéj krótki przyczynek do historyi prawa kanonicznego pod tyt. „Dwa rękopisy średniowiecznego zbioru praw kościelnych, gnieźnieński i krakowski“ (w „Bibl. Warsz.“ i w oddzielnéj odbitce, 1885, str. 9).

Następuje teraz bodaj czy nie najznakomitsza praca Hubego: „Prawo polskie w XIV wieku. Sądy, ich praktyka i stosunki prawne społeczeństwa w Polsce ku schyłkowi XIV wieku“, rzecz ukończona w połowie 1885 a ogłoszona drukiem w następnym roku (Warsz. 1886, 8-o, str. IV, 410, 110, V i 2), dzieło mozolnych a obszernych badań nad rękopiśmiennemi księgami sądowemi, rozdzielonemi po rozmaitych archiwach. Układem swoim odpowiada ono zupełnie „Prawu pols. w wieku trzynastym“, tak, iż za dalszy ciąg jego uważane być może. Pełniejszém jest jednak o tyle, że autor wspierając się na materyałach prawie wyłącznie rękopiśmiennych, uznał za stosowne załączyć w dodatkach zbiór rot przysiąg, aktów i formularzy.

Po ukończeniu każdéj większéj pracy, Hube natychmiast stawiał sobie nowe jakieś zadanie, a wybór tematu, przy jego niepospolitéj erudycyi, nigdy nie był trudny. Wybór zależał od zasobu materyałów, od ich większéj lub mniejszéj dostępności, lubo i znaczne przeszkody go nie zrażały, gdyż umiał je przezwyciężać. I obecnie przeto, po wydaniu „Sądów i ich praktyki“, nie złożył wcale pióra, ale jak dawniéj wnet założył sobie opracować genezę prawa salickiego. Zadanie niepoślednie, nad którém się tylu uczonych francuskich, niemieckich, angielskich i włoskich mocowało, — nie mogło być jednym tchem dokonane. Praca musiała posuwać się zwolna, czasem się zatrzymywać, a wtedy badacz korzystał z chwil wolnych i robił wy-

cieczki w dziedzinę prawa polskiego lub innych Słowian. W ten sposób w r. 1888 wyszedł ponownie „Zbiór rot przysiąg sądowych“, poprawiony i powiększony z akt sieradzkich, piotrkowskich i dobrzyszyckich, tak, iż obejmuje 1140 rot, wraz z lingwistystycznèm opracowaniem ich przez profesora Brücknera (Warsz. 8-o, str. VI i 160). Pod skromnym znowu nagłówkiem „Wyrok lwowski roku 1421“ (Warsz. 1888, 8-o, str. 43), ogłosił Hube oprócz tego wyroku i trzech innych aktów, pogląd na sądownictwo Rusi Czerwonéj od wieku XIV do połowy wieku XV. Wreszcie w roku zeszłym podał w „Ateneum“ wiadomość o nowym „Kodeksie Czarnogórza“, zredagowanym przez prof. Bogiszyća (zeszyt marcowy 1889, str. 390—501); rzecz ta przez p. Gąsiorowskiego została na język ruski przełożona (Peterb. 1889, 8-o, str. 24).

Na tém się kończy mój spis bibliograficzny rzeczy drukiem ogłoszonych, który zapewne do tego, żeby był zupełny, rościć pretensyi nie może [1]). Nadmienić jeszcze winienem, że Hube w badaniach nad prawem salickiém nie ustawał, że w roku zeszłym kazał w Berlinie wydrukować po niemiecku konspekt téj pracy, w niewielkiéj liczbie egzemplarzy, dla rozdania między specyalistów. Praca posunęła się tak daleko, iż redakcyą dzieła po polsku miał prawie już wykończoną i pozostawało mu tylko poczynić pewne uzupełnienia i przełożyć całość na język niemiecki, w którym zamierzył ją publikować. Słabość przedśmiertna wytrąciła mu pióro z dłoni. Zgon nastąpił 9 sierpnia wieczorem.

Czytelnik jeśli miał dość cierpliwości do przeczytania powyższego spisu, nie poweźmie wprawdzie dokładnego wyobrażenia o naukowych zasługach zmarłego, wynieść wszelako musi przekonanie o niezmiernéj jego pracowitości. Mógł on bez przesady retorycznéj powiedzieć, że hasłem życia jego było: *nulla dies sine linea*; ale tego nie mówił nigdy, dalekim był bowiem od wszelkiego pyszałkowstwa, choćby nawet autorskiego. Owszem, odznaczał się prostotą i uprzejmością w obejściu z ludźmi, bez względu na ich wiek czy stanowisko. Słusznie też adwokat K. Dunin w mowie nad trumną jego powiedział, że do każdego, kto obiecywał pracą swoją przyłożyć się do rozwoju piśmiennictwa naukowego, Hube zbliżał się z szacunkiem, z radą, pomocą,

[1]) Nie mogłem np. podać bliższéj wiadomości o recenzyi dzieła Lelewela, ogłoszonéj r. 1830 w „*Zeitschrift für wissenschaftliche Kritik*“, ani o pracach pomieszczanych w innych czasopismach niemieckich, jak w wydawnictwie Mittermegera (o czém p. Rembowski wspomniał w Tygodn. illustr. 1890, Nr. 33). nigdy mi się bowiem nie zdarzyło ich widzieć.

zachętą [1]). Więc i biblioteka jego, bardzo niegdyś zasobna, stała otworem dla potrzebujących jakiegoś dzieła, o czém piszącego te słowa doświadczenie wieloletnie przekonało. Otwartą też była ręka jego, dla potrzebujących wsparcia. Świadczy o tém wieczysty fundusz, przeznaczony na wydawanie posagów sierotom z instytutu Św. Kazimierza, wychodzącym za mąż za rzemieślników. Taki żywot obejdzie się bez tuzinkowéj z ust moich pochwały.

St. Ł.



[1]) Jak pilnym był Hube dostrzegaczem wszelkich u nas objawów naukowych, choćby z jego specyalnością nie związanych, przekonywa naprzykład ten drobny fakt, że gdy p. J. Radliński pomieścił w „Ateneum“ (1877, III, 408) artykuł o napisie króla moabskiego Meszy, Hube porównał zaraz przekład tego napisu z wersyą odczytaną przez Renana, a przetłómaczoną przez Clermont-Ganneau, i ogłosił zaraz sprostowany i uzupełniony przekład w tymże miesięczniku (Aten. 1877, IV, 436, artykuł podznaczony mylnie literą *K.*). — Gdy przed czterdziestu laty Rzyszczewski i Muczkowski drukowali w Warszawie „*Codex diplomaticus Pol.*“. przesłał im liczne, swojém staraniem sporządzone odpisy dyplomatów, które w skład tego wydawnictwa weszły.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Krzyżanowski Stanisław: „Dyplomy Bolesława Wstydliwego dla katedry krakowskiéj. Przyczynek do dyplomatyki polskiéj XIII-go wieku.“ Z trzema tablicami w fototypii. Kraków, 1890. (Osobne odbicie z VIII t. „Pamiętnika wydz. filoz. histor. Akad. umiejętności), 4-to, str. 12.

Pierwszych zawiązków umiejętności, którą zowiemy dyplomatyką, szukać należy w okoliczności, że już w czasach bardzo odległych starano się sprawdzać autentyczność dokumentów, zwłaszcza w procesach, gdzie wzgląd ten był rozstrzygający. Sposoby wykazywania autentyczności dokumentów, polegające w wiekach średnich na ogólnych kryteryach (czy pieczęć należycie przytwierdzona, czy nie ma skrobań na pergaminie), a nie zupełnie dostateczne, zaostrzył humanizm, rozwijały je zapasy naukowe w czasie reformacyi, które wydoskonalały coraz więcéj zmysł krytyczny. Tę doniosłość praktyczną przestała dyplomatyka posiadać od rewolucyi francuskiéj i czasów napoleońskich, a stała się umiejętnością dla celów naukowych. W dziedzinie nauki historycznéj zależy na ocenieniu dyplomu, jako źródła historycznego, nietylko pod względem, jego wartości historycznéj, ale i prawnéj, bo dyplom średniowieczny był zarazem i dokumentem prawnym. Wykazanie przeto procesu jego powstawania pojedyńczo i w grupach, zbadanie strony formalnéj i wyciągnięte z tego spostrzeżenia o czynnikach, jakie nań działały, z pośród jakiego otoczenia mógł wyjść lub wyszedł, a zawsze w połączeniu z jego treścią wewnętrzną, któréj autentyczność stwierdzić tylko mogą lub nie — oto zadanie dyplomatyki. Podwaliny trwałe do téj umiejętności rzucił Jean Mabillon w dziele: *De re diplomatica libri IV* r. 1681, a odtąd pogłębiana rozwija się coraz świetniéj, począwszy od prac uczonych, którzy wyszli ze szkoły „*Ecole de chartes*“. założonéj w Paryżu w roku

1821. W téj umiejętności świetne rezultaty osiągnęli Francuzi (Leopold Delisle), Włosi, Hiszpanie, a najznakomitszym dyplomatykiem niemieckim jest obecnie Leopold Sickel, profesor uniwersytetu wiedeńskiego i dyrektor Instytutu dla historyi austr., który opracował dyplomatykę cesarzów z dynastyi karolińskiéj i saskiéj, a nadto postawił kilka zasad niezmiernéj doniosłości dla dyplomatyki. Pomijając znakomitych wydawców źródeł historycznych francuskich, niemieckich, czeskich i in. (wyłączając Węgry, bo tu dyplomatyka nie jest uprawiana, a wydawnictwa historyczne tutejsze wiele pozostawiają do życzenia), należy wspomniéć o znakomitém dziele, stanowiącém dzisiaj podstawę do dalszych badań nad dyplomatyką prof. uniw. berl., Harry Bresslau'a: *Handbuch der Urkundenlehre für Deutschland und Italien*, I. B., Leipzig, 1889, 8-vo, str. XXIV i 992. Dotąd był cenionym także podręcznik Paolego: *Programma di paleografia diplomatica*, a II zjazd historyków polskich uznał potrzebę przetłómaczenia go i na język polski.

U nas dyplomatyka poczyna się dopiéro rozwijać. Mamy wprawdzie historyczne wydawnictwa krytyczne, które i innym nie ustępują, ale na systematyczne studya dyplomatyczne mało dotychczas poświęcono uwagi. Rozpoczęte polemiką o autentyczności dokumentów przez Helcla i Bielowskiego, mają dalszy ciąg w polemikach tego rodzaju, prowadzonych przez d-ra Piekosińskiego, Kętrzyńskiego i Papéego. Wartość rozpraw z zakresu dyplomatyki posiadają recenzye p. Piekosińskiego, pomieszczone w „Przeglądzie krytycznym.“ Pierwszą oddzielną rozprawą z dyplomatyki polskiéj jest gruntowna praca prof. d-ra B. Ulanowskiego: „O założeniu klasztoru św. Andrzeja w Krakowie i jego najdawniejszych przywilejach“ (z 3 tablicami), Kraków, 1887, 4-to, str. 41 i obecnie rozprawka p. Krzyżanowskiego, który wyszedłszy ze szkoły włoskiéj i prof. Sickla obejmuje nowo utworzoną katedrę do paleografii i dyplomatyki na uniwersytecie krakowskim.

Niebawem (znajdująca się obecnie pod prasą) ukaże się większa praca tegoż autora („Kancelarya Przemysława II-go“) z zakresu dyplomatyki polskiéj, do któréj drobny przyczynek znajdujemy w rozprawce na czele wypisanéj. Omawia ona 5 dyplomów Bolesława Wstydliwego dla katedry krakowskiéj, t. j. oględowski z 1252 r. 27 sierpnia, chroberski z 1254 r. 18 czerwca, zawichojski z 1255 r. 17 kwietnia, obejmujący dwa poprzednie o rozszerzonym tekście, krakowsko-beszowski z 1255 r. 18 maja i 5 września i sandomierski z 1258 r. 13 czerwca. Dokument oględowski nie dochował się osobno, znamy go tylko z chroberskiego, w który jest wciągnięty i jak p. Krz. utrzymuje, w całości tutaj przejęty. Wprawdzie ta okoliczność, że doku-

ment oględowsko-chroberski, jak i zawichojski pisane są jedną ręką i podniesione przez p. Krz. poprawki w zawichojskim co do obecności jednego świadka, zdawałaby się przemawiać za powyższém przypuszczeniem, jednak jeżeli się przypatrzymy bliżéj dokumentowi „samemu oględowskiemu“, to w tekście jego uderza niejednostajność, a poczęści i sprzeczność (obowiązki względem służenia księciu w czasie jego wycieczek na polowanie), coby świadczyło, że oględowski nie doszedł nas w pierwotnéj formie. Nie odnosi się to naturalnie do tych uwolnień, które już przed Bolesławem Wstydliwym kościół krakowski posiadał, (*Cod. d. cathedr. Crac.*, I, nr. X, XX), a które w dyplomie Bolesława są przytoczone. Podobne postępowanie, jak w stronie formalnéj dyplomu oględowsko-chroberskiego, znaleść można w bulli Inocentego III-go z r. 1215 (l. c., nr. X), w któréj papież potwierdza przywileje nadane przez książąt kościołowi polskiemu. Mimo słów bowiem: *ad rei autem notitiam pleniorem tenorem litterarum ipsarum presentibus duximus annotandum qui est talis*, nie można w bulli téj upatrywać objętych w pełnéj formie przywilejów, tylko ich treść główną. Jeżeli przypuszczenie p. Krzyżanowskiego co do dokumentu oględowskiego nie może być pewném, a może i przez to, że dla lepszego rozświetlenia potrzebaby objąć większą grupę dokumentów tegoż księcia, a jeszcze bardziéj rozebrać część prawno-historyczną omawianych dyplomów, co p. Krz. w téj pracy wyłączył, to natomiast spostrzeżenia strony formalnéj nad dyplomami chrober. i zawichoj. są słuszne, a skontrolować je można na 2 załączonych fototypiach obu dyplomów. Jeden z dyplomów zawichojskich, których dochowało się 3 egzemplarze, jak wykazuje p. Krz., był podstawą dla papieskiego potwierdzenia, a tu podaje autor, w jaki sposób z niego przy potwierdzeniu korzystano.

Rozebranie tych dokumentów na części późniejsze i wcześniejsze ma większe znaczenie dla początkowych dziejów rozwoju swobód kościelnych w Polsce. Widoczna tu walka między stanem świeckim i duchownym, widać co i jak zyskiwało duchowieństwo dla swego sądownictwa. Sam książę czyni większe ustępstwa na rzecz kościoła, aniżeli baronowie z jurysdykcyi sądowéj i t. d.

Kilka podanych uwag o przywilejach beszowskim i sandomirskim uzupełnia opis tychże w wydaniu p. Piekosińskiego. Na końcu pracy zestawione są porównawczo dyplomy oględowsko-chroberski i zawichojski. P. Krz. drukując je, starał się w pisowni oddać je wiernie, kilka odmianek graficznych umieścił nawet w notach, w tekście natomiast mimowolnie nie wszędzie wierność ta jest zachowana. Drobiazg to jednak małoznaczący. Błędem drukarskim jest już tylko na str. 3 *baronorum* zam. *baronum*. Dla objaśnienia dodaję w końcu, że zdanie:

„aktykacya mówiąca o pieczęciach“ (str. 4) znaczy: sposób wyrażenia się w dokumencie o przywieszeniu u tegoż pieczęci.

Ad. Chmiel.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Zofia z Poznańskich Daszyńska:* **Zürichs-Bevölkerung im XVII J.**, Bern, 1889. Na pracę p. Daszyńskiéj pod powyższym tytułem zwracamy uwagę nietylko z powodu, że jéj autorka jest rodaczką naszą, ale więcéj jeszcze dlatego, że w rozprawie téj stosowana jest nowa, w historyi dobijająca się prawa obywatelstwa metoda statystyczna. O ile zajmowanie względem wypadków dziejowych etycznego lub politycznego stanowiska chwili, doprowadzić może do ujemnych rezultatów, o tyle stosowanie metod, które stanowią zdobycz naszych czasów, a często nawet z odmiennéj dziedziny przeniesionemi zostały, będzie pożądaném, jako podejmowanie pracy przy pomocy ulepszonych sposobów, które słusznie uprawniać nas mogą do oczekiwania na ściślejszy i bogatszy rezultat. Metoda statystyczna używana dotąd była w historyi wyłącznie niemal przez ekonomistów [1]), daje ona jednak wyniki, mające istotną wartość wtedy dopiéro, gdy stosowaną jest przez historyka fachowego i jeżeli na poparcie jéj podane są badania dziejowe. Pracy omawianéj przyznać musimy, że obok umiejętnego władania statystyką, oparta jest na właściwém korzystaniu ze źródeł, autorka bowiem oparła ją wyłącznie na źródłach z XVII w., przeważnie rękopiśmiennych. Takiemi były spisy ludnościowe miasta Zurichu z 1637 i 1671 r., z których pierwszy zwłaszcza, w zupełności odpowiada używanéj ogólnie, aż do połowy naszego stulecia, metodzie spisywania ludności podług schematów, obejmujących wszystkich mieszkańców domu. Przy pomocy ówczesnéj topografii miasta można go było sprawdzić. Spisy były imienne, obejmowały przeto płeć każdéj jednostki, a oprócz tego wiek, stanowisko w rodzinie, rodzaj zajęcia i pochodzenie. Przez porównanie z księgami ludnościowemi, które w Zurichu prowadzono już od r. 1526, uzupełniła autorka braki w tychże, a systemem kartkowym udało się jéj ująć ludność w dwóch mniéj więcéj o jedno pokolenie odległych od siebie momentach XVII wieku. Jako rezultat autorka otrzymuje dla Zurichu w 1637 roku 11,140 mieszkańców, przyrost zaś w XVII-ym wieku w ciągu lat trzydziestu wynosi 25%, kiedy tenże przyrost w takim samym okresie w XIX-ym w.

---

[1]) Historycy, jak prof. Pawiński, Korzon, stosują u nas tę metodę od lat wielu. *Przyp. red.*

wynosił 123½%. Powolność dawniejszego wzrostu ludności przypisać należy szczupłemu napływowi elementów z zewnątrz, któremu w XVII i XVIII stuleciu w Zurichu, jak i wszędzie, stawiano zapory. Wedle świadectw spisów nowoprzyjmowanych obywateli, liczba tychże w ciągu XVII w. ciągle się zmniejszała, ludność zaś napływową stanowili wyłącznie czeladnicy, terminatorowie i służba prywatna. Napływała przeważnie ludność kantonu, tylko czeladnicy i terminatorowie przybywali tłumnie z innych części Szwajcaryi i z Niemiec.

Ciekawém jest również, że wówczas już spotykamy obywateli miasta w bardzo oddalonych krainach, a mianowicie w Holandyi i jéj posiadłościach, nawet w Australii. Konsekwentnie téż już od owego czasu rozwijały się dwie części miasta, mała i wielka. Pierwsza już dzięki położeniu swemu, stanowiła zawsze ferment wprowadzający zmiany do średniowiecznych urządzeń. Tam była główna siedziba ludności napływowéj, tam warsztat rzemieślnika zamieniał się w rękodzielnię, a czeladnicy i uczniowie w robotników najemnych. Porównanie owych dwóch części miasta, które i dziś konserwatywną i postępową nazwaćby można, przewija się przez ciąg całéj pracy, dając wskazówkę, w jaki sposób odbywać się może ewolucya w organizmie miejskim. Odmiennemi od dzisiejszych były w XVII w. stosunki płci i wieku, uderza nas mianowicie olbrzymia przewaga kobiét, którą i dziś odznaczają się jeszcze po części miasta szwajcarskie. Na 100 mężczyzn wypadało 121—122 kobiét. Co do wieku, to osoby niżéj lat 18-tu stanowiły o 12% więcéj, w stosunku do reszty ludności miasta od 18—65 r., a zatém w latach produktywnych o 14% więcéj ich było, niż dzisiaj. Stosunki stanu cywilnego są podobne do dzisiejszych, z tą różnicą, że spotykamy znacznie więcéj wdów. — Oprócz spisów ludnościowych autorka korzystała jeszcze z ksiąg kościelnych dla określenia ruchu ludności i na podstawie tychże dochodzi do ciekawego wniosku, że urodzeń było więcéj, niż obecnie (na 1,000 ludności 40.7, w 1880 r. 34), wypadki śmierci daleko liczniejsze, a przewyżka urodzeń nad zejściami wynosiła zaledwie 0.1% rocznie. Ostatni rozdział rozprawy daje obraz zajęć ludności, zwłaszcza płci męzkiéj, do czego posłużyły p. Daszyńskiéj księgi i akta miejskie, kasowe, archiwa kościelne i t. p. Na końcu dowiadujemy się, że oświata w Zurichu stała niezwykle wysoko, jak na owe czasy: czytać i pisać umiało 37% ludności, a uczniowie płci obu stanowili 10% téjże. Dodać tu należy, że wszelkie cyfry podawane są z możliwą ścisłością, a za okres porównania służyły lata od 1850—1880 r. Jeżeli stosunki jednego miasta uważać będziemy za typ dla innych z tego samego okresu i w podobnych warunkach rozwoju, a przyjąć to musimy, to dokładne i na tle

historycznem oparte przedstawienie ludności mieć będzie znaczenie nie antykwarskiego zabytku, lecz przyczynku do mechaniki dziejów. Takie właśnie znaczenie ma praca p. Daszyńskiéj, któréj fachową krytykę pozostawić musimy historykom bliżéj obeznanym z materyałami źródłowemi, z jakich powstała. *Karol J. Nitman.*

= *Dr. Leo*, **Finanse Galicyi oraz projekt reformy skarbu krajowego.** Kraków, 1890. Autor rozpoczął swą interesującą monografię od słów króla Leszczyńskiego: „nie spodziewajmy się żadnego *successum* najlepszych obrad naszych, póki *subsistet defectus principalis* w skarbie.“ Powtórzył zaś dr. Leo te słowa dlatego, że rozprawianie o zadaniach przyszłego sejmu galicyjskiego, i stawianie coraz to nowych a kosztowniejszych postulatów polityki krajowéj, bez pomyślenia o środkach finansowych na ich przeprowadzenie, uważa za bezowocne marnowanie drogiego czasu, za łudzenie siebie i całego społeczeństwa.

Nasamprzód przystępuje dr. Leo do porównawczego studyum budżetów prowincyonalnych krajów koronnych, wchodzących w skład monarchii austryackiéj. Z tego studyum pokazuje się, że Galicya ponosi rocznie na wydatki krajowe około, a nawet przeszło 10 milionów reńskich, gdy tymczasem Czechy wydają o ½ miliona reńskich więcéj. Lecz Galicya wydaje rocznie na pokrycie długów 6½ miliona, gdy tymczasem Czechy na ten sam cel wydają zaledwie 79,000 guldenów. Tym sposobem galicyjski budżet wydatków na właściwy zarząd kraju, na cele szkolne, zakłady dobroczynne i sanitarne, na drogi, na różne wreszcie cele polityki ekonomicznéj, mieści się obecnie w skromnéj sumie 3½ miliona złr. Jest to budżet rzeczywiście miniaturowy na ludność 6½ milionową, rozsiadłą na wielkim obszarze 78,496 kilometrów kwadratowych ziemi.

Następnie rozpatruje autor pojedyńcze wydatki budżetowe w Galicyi, porównywa je z podobnemi wydatkami w innych krajach koronnych. Potém zaś, trzymając się zawsze metody porównawczéj, przechodzi do dochodów. Autor zauważył, że w ciągu lat dwudziestu podniosły się dodatki krajowe do podatków państwowych z sumy 985,592 złr. do sumy 3,622,500 złr. W naturalném zaś i koniecznéem następstwie naprężenia stopy podatkowéj w jednym kierunku, zaczęło się objawiać wyraźne i niepokojące przeciążenie podatkowe. Gdy suma zaległości podatkowych wynosiła w r. 1877 w Galicyi 296,234 złr., w r. 1887 podniosła się do wysokości 886,898 złr.

Dr. Leo twierdzi téż, że ze stanowiska możności ekonomicznéj, usprawiedliwioném i pożądaném jest uzupełnienie krajowego systemu

podatkowego podatkami konsumcyjnemi. Wzgląd zaś na równorzędne obciążenie klas ekonomicznie silniejszych, wymagałby nadto zaprowadzenia nowych form podatkowych. Mogłyby być niemi albo t. zw. podatki zbytkowe, albo też podatek majątkowy, w postaci odpowiednio zreformowanego podatku od spadku.

Podaliśmy tylko kilka szczegółów z pracy dr. Leo, aby przekonać, jakie żywotne kwestye dla Galicyi porusza i rozbiéra. Dodać wszakże winniśmy, że autor dał się poznać w rzeczonéj monografii, finansom Galicyi poświęconéj, jako sumienny i wykształcony teoretycznie badacz. Wykład w jego książce jest jasny, rozumowanie logiczne, wiadomości teoretycznie obfite, a język poprawny. *A. R.*

= **Z pod wieży Eiffel**. Wrażenia i opisy skreślił *Jerzy Mycielski*. Kraków, 1890, 8-vo, str. 244. — Autor, bawiąc zeszłego roku w Paryżu, w czasie wystawy powszechnéj, robił sobie doraźne notatki, które mu posłużyły do sprawozdania o wystawie, przeznaczonego dla jednego z czasopism. Nie inżynier, nie technik, w szczegółowe przedstawienie widzianych przez się wynalazków, lub ulepszeń, zaprowadzonych w produkcyi fabrycznéj téj lub owéj gałęzi przemysłu, wdawać się nie chciał. Poprzestał tedy na skreśleniu ogólnego charakteru i znaczenia wystawy, jéj cech zewnętrznych i wrażeń, jakich przy jéj zwiedzaniu doznawał. Poza-europejskie części świata, uderzające oryginalnością, dostarczyły, względnie biorąc, więcéj wrażeń naszemu podróżnikowi, aniżeli stara Europa. Dział sztuk pięknych, szczególniéj zaś malarstwo, bardzo obszernie są traktowane i zajmują połowę przeszło książki, która zwolennikom lżejszéj lektury powinna się podobać, łączy bowiem przyjemne z pożytecznem.

= **Wojna rzeczypospolitéj** polskiéj z Turcyą w latach 1672 i 1673. Przez *Konstantego Górskiego*. Warsz., 1890, 8-vo, str. 66, z czterema planami.—Nie wielu posiadaliśmy pisarzy, którzyby zajmowali się pracą dziejopisarską ze stanowiska specyalnie wojskowego i odpowiednio ku temu byli przygotowani. Pan Górski jest takim specyalistą i lubo niezbyt dawno wystąpił w charakterze historyka wojskowego, wiele już prac swoich ogłosił. Krytykę kierowniczéj czynności wodzów i wykonawczéj sprawności wojsk—specyalista oczywiście inaczéj przeprowadzić może, aniżeli badacz książkowy, który spędza życie w swéj bibliotece. Dlatego życzyć należy, żeby szanowny autor w pracy dotychczasowéj i nadal nie ustawał.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Aforyzm ekonomiczny.—Dowód z wody wiślanéj.—Co to jest kolej u nas. — Czego się lękają obywatele od Białegostoku do Mławy. —- Niewłaściwe spuszczenie nosa na kwintę.— Co nam zrobić może tani chléb i konkurencya zbożowa. — Przesilenie rzemieślnicze w miastach. — Lombard jako ratunek siły wytwórczéj. — Nietęgie spojenie dwu prawd.—Właściwa rola lombardu. — Wysoki procent w tanim kredycie. — Niebezpieczna strata czasu. — Ujemne środki ratunkowe. —Co mogą zrobić sami rzemieślnicy.— Bezużyteczność nowych motorów i potrzeba usunięcia skał.— Emigracya z Łodzi.—Co z nią zrobić należy?—Hurtowne wychowanie dzieci.

Rozwój ekonomiczny jakiejś miejscowości jest niemożliwy przy braku dróg komunikacyjnych.

Dla uspokojenia i przejednania surowych ekonomistów pośpieszam dodać, iż nie podaję się bynajmniéj za wynalazcę prawdy, w powyższym aforyzmie zawartéj. Wiem o jego wieku sędziwym a jestem najmocniéj przekonany, że mogą oni zacytować conajmniéj tuzin autorów, którzy na wiele lat przed urodzeniem ojca mojego, już to odkryli i ogłosili. Owszem, chodzi mi nawet o zaznaczenie, iż prócz drobnéj cząstki dowodów, jakie tu pobieżnie przytoczyć mogę, za słusznością twierdzenia przemawia powaga powszechnego i utrwalonego uznania.

Powołam się tylko na parę względów, i nie wątpię, że czytelnicy potrafią sami wysnuć z nich siatkę dokładniejszego rozumowania i dowodzenia. Rzecz jest i dostępna i nie zawiła.

Żadna większa wytwórczość ograniczać się nie może do zaspakajania potrzeb własnych. Gdzie dowóz i wywóz trudne i kosztowne, tam warunki współzawodnictwa z miejscami szczęśliwszemi niepodobne. Największe bogactwa natury, jak równie skarby energii ludzkiéj, marnieć będą, jeżeli nie znajdą możności zużytkowania i zbytu.

Wszyscy pamiętamy dobrze te czasy, kiedy trzeba było ratować ofiary wezbranéj Wisły, a jednocześnie stróże kłócili się z kucharkami

o dostęp do wodociągów, gdyż rury były niewystarczające. Zupełnie prawie tak samo rzecz się ma z bogactwami.

Mamy kilka rzek, tytułowanych w geografiach spławnemi, ale żadna z nich, prócz Wisły i cząstki Narwi, nie ogląda i długo jeszcze oglądać nie będzie statków parowych. Jak zaś te statki kursować mogą po Wiśle (nie mówiąc już o Narwi), wiemy z tegorocznéj praktyki, kiedy łodzie, jadące na Saską Kępę, utykają na mieliznach. Przemysł musi miéć drogi pewne i nigdy niezawodzące. Do morza daleko. Pozostają więc nam koleje żelazne, jako jedyne środki komunikacyjne. To téż stanowią one konieczny warunek rozwoju ekonomicznego. Miejscowość pozbawiona dotychczas kolei, cieszyć się tylko winna, gdy ją nareszcie dostanie. Témbardziéj spodziéwaćby się tego można było, że nie sprawdziło się już tyle obaw i przepowiedni podobnego rodzaju. Doprawdy bardzo to dziwne, iż można się spotkać jeszcze ze zdaniem innném. A jednak świéżo spotkaliśmy się. Korespondent „Gazety Warszawskiéj“ z Tykocińskiego, oświadcza, że projektowana koléj z Białegostoku do Mławy nie jest dla tamtego zapadłego kąta ani ważną, ani pożądaną, ani pożyteczną. A racye są takie: posiadamy młyn parowy, dwa browary, niepotrzebujemy więc na zboże szukać nabywców daléj, znajdujemy ich na miejscu, „przeciwnie koléj ułatwić może przywóz zboża z południowych gubernii Cesarstwa, gdzie na niezmiernych obszarach czarnoziemu produkcya ziarna o wiele jest tańszą i obfitszą“.

Rozumowaniu temu niejaki pozór słuszności nadają taryfy nowe, które na zbożu nadwiślańskiém i nadnarwiańskiém zaciężyć mogą, jak balast, utrudniający ruchy w zabiegach konkurencyjnych. Ale przedewszystkiém dłużéj prawdopodobnie kolei niż pewnego układu taryfowego, który przy narodzinach już znalazł wielu różnych przeciwników, który zależny jest od wielu okoliczności tak niemal zmiennych, jak pogoda jesienna. Powtóre, skutki nowéj arteryi komunikacyjnéj nie dadzą się obliczyć z góry, gdyż te najczęściéj ukazują się późniéj, wywołane dopiero przez samą arteryę.

Fakty bynajmniéj nie usprawiedliwiają obaw tego rodzaju, bodaj czy jest wiele miejscowości, którym by zaszkodziło połączenie ze światem koleją. Przedewszystkiém koniecznie Galicya byłaby zginęła z kretesem, gdy ją połączono kolejami nietylko z bogatszemi, ale, co ważniejsza, lepiéj zagospodarowanemi częściami Austryi, a jednak to jest datą wzrostu (powolnego, co prawda) dobrobytu; zresztą, czy jest linia, przeciwko któréj podobny wzgląd postawićby się nie dał.

Nie poruszałbym tego, tak dziwnego zdania—tyle krąży błędnych mniemań, które oddawna powinno już było uprzątnąć i doświadczenie

i teorye, a niepodobna wszystkich prostować,— ale w głosie tym słyszę charakterystyczny objaw przysłowiowéj niezaradności naszéj. Nadzieja kolei powinna była przedewszystkiém wywołać myśl i chęć do skorzystania z niéj; żydzi ze wszystkich miast i miasteczek, poczynając od Białostoka aż do Mławy, z pewnością ostrzą już zęby i łamią głowy nad wyspekulowaniem jaknajwiększego zarobku. Otwiera się pole do zużytkowania pracy, pomysłowości, energii—trzeba szczególnego uzdolnienia, aby wynaleść powód do zgryzoty i kassandrowych przewidywań.

O wiele lepiéj, bez porównania pożyteczniéj byłoby spodziewać się deszczu złotego z przeróbki w młynie parowym, browarach, taniego ziarna, zdala nadesłanego, przejąć się tą myślą, powziąć postanowienia i wcześnie zabrać się do odpowiednich przygotowań; zbadać rzecz i czekać w pełnym rynsztunku, co przyszłość przyniesie: dobro — to potrafić je wyzyskać, zło — to potrafić je zwalczyć, nie zaś zaczynać od spuszczenia nosa na kwintę.

Nie pójdzie piwo i mąka, to może pójdą owoce, o wielkiém zapozapotrzebowaniu których na północ i wschód niedawno pisał znowu p. Jankowski. Zawiodą owoce, to z biédy może się nauczymy w końcu robić sami chociaż najprostsze garnki gliniane, w które dotąd zaopatrują nas Czechy: „węgry“ roznoszą po jarmarkach, a w Warszawie za Żelazną Bramą sprzedają ich podobno („Kurjer Codzienny“) za 30,000 rs. rocznie! Niechby zresztą poczęto wyrabiać tylko koziki, które stanowią prawie wyłączną własność naszą narodową, bo je każdy krakowiak ma na rzemyku u pasa, a mazur nosi w kieszonce, a które wciąż sprowadzamy z zagranicy. Nie wierzyłbym temu, gdyby nie świadectwo „Gazety Rzemieślniczéj“, która fakt ten, rozgłoszony przez wiele pism, stwierdziła.

Naturalnie rajskie to życie: przez faktora sprzedać sąsiadowi jęczmień, a kupić odeń przez szynkarza piwa, popijać je od świętéj Anny do świętego Jakóba i Pana Boga chwalić. Ale czy przy takiéj gospodarce wszyscy synowie mieć będą na piwo przez całe życie? Czy pierwszy lepszy nieurodzaj nie pogrzebie na wieki spokoju i zamożności? Czy pod bokiem nie zaczną się plenić Niemcy, eksploatując te bogactwa, koło których wyrośliśmy, a których dojrzeć nie jesteśmy zdolni?

W najgorszym nawet razie przewóz taniego ziarna z daleka nie będzie miał za skutek jedyny niebezpieczeństwa dla szkatuły obywatelskiéj. Stanieje chleb, stanieje robotnik, produkcya mniéj kosztować będzie; na miejscu konkurencya zawsze okaże się możliwą. Przywóz zboża przy najniższych nawet taryfach jest kosztowny, bo

i do kolei dostawić trzeba i pośredników znaleść i na ryzyko się narazić, które raz znaczny zysk, a drugi raz klęskę przyniesie.

A jeszcze daléj. Peryodycznie co pewien czas dzwonimy zębami wobec widma konkurencyi to zaatlantyckiéj, to indyjskiéj, to południowéj. Ale raz już czas nareszcie pogodzić się z koniecznością; jeżeli bardziéj urodzajne części naszego globu mogą świat cały wykarmić, na mniéj urodzajnych ludzie muszą i powinni zaprzestać mało produkcyjnéj pracy. Powiększenie się bogactwa, tańszy chleb nieszczęścia nie sprowadzą. Nieszczęściem jest może, że biedniejszy zamiast pomocy dostaje wiatr w oczy. No, ale cóż na to biadanie pomoże. Lepiéj raz już za punkt wyjścia zarówno w rachubach ogólnych, jak i przy wychowaniu dzieci przyjąć, iż się przy rolnictwie nie utrzymamy. Niedawno jeden z najznakomitszych znawców handlu zbożowego utrzymywał w „Słowie“ (choć na to dowodów nie podał), iż Królestwo nie ma już zboża na sprzedaż, lecz go sprowadzać potrzebuje. Narody, które od rolnictwa przeszły do przemysłu, nie zubożały przez to i dziś nie żałują sielskiéj przeszłości. Przybyliśmy na granicę przesilenia przy warunkach niepomyślnych — prawda! Témbardziéj więc czasu trwonić nie należy na łamanie rąk i zawodzenie żalów.

W niejakim stosunku z tą sprawą pozostaje myśl, podniesiona świeżo w „Warszawskim Dniewniku“, a dotykająca czułych stron życia codziennego. Wypada się jéj przyjrzéć.

Punkt wyjścia jest mniéj więcéj taki. Dawniejsze lata, pomyślniejsze, dały bodźca wytwórczości przemysłowéj w miastach i dobroczynnie wpłynęły na rozwój przedsiębiorczości. Obecnie czasy są gorsze, nawet złe, przebywamy kryzys, błogie nabytki przeszłości zwarzyć się i zmarniéć mogą. Należy przyjść z pomocą zagrożonemu żywiołowi miejskiemu i wesprzéć „siłę wytwórczą“ Warszawy. Ratunek autor upatruje w tanim kredycie. „W obecnym czasie—czytamy—przedsięwzięto wiele środków celem uczynienia tańszym kredytu dla ludności wiejskiéj i dla wiejskiego wytwórcy. Należy się spodziewać, że państwo zaspokoiwszy tę najważniejszą, szczególniéj u nas, potrzebę, uzna może za właściwe w ten lub inny sposób przyjść również z pomocą rozwojowi taniego kredytu w miastach. Dopóki jednak to się nie stanie, miasta same winny pomyśléć o sobie i to, naturalnie, nie z jakichś względów filantropijnych, lub z rachuby gospodarczéj“. Jak się z dalszego wywodu okaże słowo: miasta, oznacza właściwie zarząd miejski. Postawiwszy tak kwestyę, autor kreśli projekt akcyi ratunkowéj. Streszczamy go całkiem obiektywnie.

Ludność płaci wysokie procenty lichwiarzom, przez to słabnie jéj siła podatkowa i maleją możliwe dochody miasta. Interes więc

budżetu wymaga, aby jedna część sumy, pochłanianéj przez lichwę, wpływała do kas magistratu i używana była na potrzeby ludności, a druga aby pozostawała w rękach mieszkańców. To jest, trzeba ażeby miasto samo uorganizowało racyonalnie lombard. Instytucya dotychczasowa, nosząca to miano, zaspokaja zaledwie 3—4 procentów istniejących potrzeb, a może nawet tylko 1%. Innemi słowy Warszawa nie ma wcale lombardu miejskiego.

A tymczasem — tani kredyt to doskonała operacya finansowa; przyniosłaby ona ulgę ludności i mogłaby stanowić poważną rubrykę w dochodach miejskich. Gdyby magistrat otrzymywał ćwierć tylko dochodów, dziś przez lichwiarzy ściąganych, to i tak stanowiłoby to 100,000 rs. rocznie. Autor nie żąda monopolu lombardowego, pragnie tylko, aby lombard miejski zadosyć czynił połowie potrzeb kredytowych ludności, aby posiadał 10—15 filii w różnych dzielnicach i aby operacye swoje prowadził w sposób praktykowany w kasach prywatnych, t. j. był równie łatwy i dostępny, wolny od zbytecznych formalności.

Na otwarcie jednéj filii nie trzeba więcéj nad 50 tysięcy, na początek można założyć tylko 4 filie, t. j. przeznaczyć 200 tysięcy rs. Sumę taką łatwo będzie znaleźć, udzielą jéj instytucye finansowe państwa, w gorszym wypadku kapitaiści prywatni wobec dobréj lokacyi i pewności wysokiego zysku. Lichwiarze również operują zapożyczonemi kapitałami i płacąc po 6—12% rocznie, sami mają 30% i 84%. Gdyby magistrat pobierał 2% na miesiąc, dochód stanowiłby przy zwyczajnych obrotach lombardowych conajmniéj 45000 rs., a przy 3% — conajmniéj 72 tysiące.

Na zakończenie autor wyraża nadzieję, iż wobec pewnéj uciążliwości i kłopotów dla magistratu, jakie pociągnie za sobą otworzenie i zarząd lombardu, wobec gwałtownéj i pilnéj potrzeby taniego kredytu dla Warszawy, skarb państwa zechce udzielić potrzebnych funduszów w formie pożyczki, która „w istocie swojéj — cytujemy teraz dosłownie—nie różniłaby się niczém od pożyczek, udzielanych przez rządowe instytucye kredytowe miejskim przedsiębiorstwom handlowo-finansowym, albo drogom żelaznym, zupełnie w tym samym celu, na zaliczki na zastaw zboża.

Poszczególne zdania w powyższém dowodzeniu mówią o faktach zbyt dobrze znanych, stawiają postulaty dość często i oddawna przez wszystkie pisma i wygłaszane, aby ktokolwiek mógł się na nie nie zgodzić. Obie części artykułu, wzięte pojedyńczo, jako osobne całości, przyjęte być mogą całkiem bez dyskusyi.

Że przesilenie ekonomiczne może zakłócić punktualność w wypłacaniu podatków, albo sprowadzić i inne jakie niepożądane skutki —

to oczywista; że należy myśleć o środkach pomocy dla klasy rzemieślniczéj i robotniczéj — kwestyi ulegać nie może; że sprawa jest i ważna i pilna — nikt przeczyć nie będzie.

Z drugiéj strony rozszerzenie lombardu miejskiego jest myślą ze wszech miar trafną i urzeczywistnienie jéj byłoby bardzo pożądane. Magistrat może i powinien się tém zająć. Wszelkie środki, przedsiębrane przeciwko lichwie, są straconym zachodem, dopóki ludność u lichwiarzy szukać ratunku musi w chwilach naglącéj potrzeby, a jedna jest droga ratunku — uczynić lichwiarzy zbytecznymi. Pokaźna pozycya w dochodach miasta z procentów lombardu byłaby również bardzo pożądaną i mogłaby zapobiedz wkładaniu na mieszkańców nowych ciężarów.

Pytanie tylko nasunąć się może, czy obie części zostały właściwie spojone? Nie jest zupełnie widoczném w jaki sposób lombard, t. j. kasa, gdzie pożyczki wydają na fanty, przyczynić się może w czémkolwiek do podtrzymania „siły wytwórczéj“ ludności miejskiéj w chwilach przesilenia? Kredyt lombardowy, jeżeli nawet niezawsze, to w każdym razie w przeważnéj ilości wypadków, używany bywa na przeżycie; wynika to z jego natury i z położenia klasy ubogiéj, doń się uciekającéj. Co do lombardu zanieść może podupadający szewc, krawiec, ślusarz? jakieś znoszone a niechby i nowe palto, w najlepszym razie, zegarek srebrny. Otrzyma sumkę nieprzenoszącą 10 rubli. O podniesieniu jego produkcyi i siły wytwórczéj za parę rubli lub kilka złotych, mowy być nie może. Wyłączyć naturalnie należy jakieś wypadki nadzwyczajne. Nawet wobec potrzeby nabycia materyału surowego wrazie niespodziewanego zamówienia, zasiłek lombardowy zwykle nie stanowi ratunku. Majster, mający robotę ciągle, korzysta z stałego kredytu w sklepach i fabrykach, majster bez roboty zwykle już nie ma w domu nic do zastawiania i bierze zadatek od stalującego lub otwiera sobie kredyt u kupca.

W założeniu środkiem ratunkowym był kredyt tani. Kredyt zaś lombardowy jest bardzo drogi. Wedle projektu wynosić ma 24 a może 36% rocznie. W drobném przedsiębiorstwie, w wypadku gdzie kapitał stanowi istotnie czynnik ważny, gdzie może podnieść „siłę produkcyjną“ klasy całéj wytworów, tam pożyczka lombardowa opłacić się nie może (znowu usuńmy wypadki wyjątkowe), bo przedsiębiorca-pracownik nie wyciągnie z nakładu tak wysokiego zysku. Pożyczka oczywiście wtedy tylko opłacić się i wspomódz może, jeżeli się za nią płaci np. 5%, a wziętego kapitału wyciąga, dajmy na to, 8 lub 10%.

Z różnych więc względów pomoc z lombardu stać się nie może pierwiastkiem wytwórczości. Wedle zaś dosyć zgodnego zdania eko-

nomistów, jedynie pożyczka zaciągnięta i użyta na powiększenie wytwórczości przynosi korzyść znaczenia ogólnego, między innemi powiększa możność podatkową. Pożyczka na przeżycie ważną jest tylko dla jednostek w ich potrzebach indywidualnych, jako ratunek narazie od kłopotów; czynnika zaś płodnego w skutki w życiu ekonomicznem społeczeństwa bynajmniéj nie stanowi.

Nawiasem zauważymy, iż powoływanie się na pomoc, okazaną przez kredyt tani rolnictwu nie stanowi argumentu i nie może być uważane za wskazówkę, gdyż inny jest stosunek rolnika do kredytu a inny całkiem rzemieślnika, skutkiem tego, że rolnik pracuje na warsztacie nieruchomym.

Rzecz więc tak się przedstawia: gwałtowna i pilna potrzeba pomocy wytwórczości i klasie rzemieślniczéj w Warszawie, stanowi fakt niewątpliwy i uznany. Lombard miejski jako środek ratunkowy — wedle naszego rozumienia rzeczy — nie jest bynajmniéj lekarstwem na tę chorobę; gdyby zaś został przyjęty jako takie lekarstwo, sam prawdopodobnie nie zaradziłby niczemu, a jednocześnie usunąłby zupełnie lub na plan drugi środki inne, t. j. spowodowałby szkodliwą stratę czasu, kiedy niewiele jest chwil do zmarnowania.

Uważaliśmy za nasz obowiązek kronikarski podniesienie téj ważnéj kwestyi podkreślić dla uwagi publicznéj, oczywiście jednak nie możemy wdawać się w tém miejscu szczegółowo w roztrząsanie środków innych. Spodziéwać się należy, iż sprawa ta będzie przedmiotem niejednego jeszcze artykułu w niejednem piśmie.

Dla zaokrąglenia jednak myśli naszéj dodamy, iż historya gospodarki publicznéj najbardziéj zdaje się zalecać w takich wypadkach środki z charakterem ujemnym niejako, więc usunięcie przeszkód, krępujących usiłowania osób bezpośrednio zainteresowanych, położenie kresu przywilejowi jakiemuś lub monopolowi faktycznemu. Wziąwszy do serca i do rozumu sprawę upadku wytwórczości rzemieślniczéj należałoby może przedewszystkiém dobrze poznać i bestronnie rozważyć tego rodzaju warunki i względy.

W danym wypadku w żaden sposób zapomnieć nie można o szkołach rzemieślniczych. Zarówno teoretycy jak i praktycy, zgromadzenia rzemieślnicze, jak i rządy uznały je za niezbędny czynnik dla rozwoju rękodzieł i podniesienia rękodzielników. Rzecz jest całkiem u nas przygotowaną do wprowadzenia w czyn. Wszystkie instytucye i osoby kompetentne dały swój głos i mniéj więcéj doszły do zgody. Dotąd jednak nie słychać nawet o usiłowaniach inicyatywy prywatnéj—musi ją coś tamować.

Wreszcie byłoby niesprawiedliwością nie widzieć usiłowań sa-

méj klasy rzemieślniczéj i zresztą klas innych ku osłabieniu złych skutków przesilenia. Témbardziéj o nich zapominać nie wypada, że tu jedynie spotykamy niejakie przekroczenie granicy rady i rozpraw, a spotykamy się z czynem.

Parę tygodni temu przy kilkudziesięciu biurach pocztowo-telegraficznych w Królestwie Polskiém otwarte zostały kasy oszczędności. W spisie znajdujemy nawet maleńkie miasteczka i osady, przypuszczać tedy wypada, iż niebawem pożądany ten nabytek otrzymają również miejscowości inne.

Wobec korzyści materyalnych i wpływu moralnego oszczędności, życzyć sobie naturalnie należy jaknajgoręcéj, aby kasy od pierwszéj chwili zyskały zaufanie i popularność wśród mieszczan i wieśniaków. Składanie złotówek na książeczkę jest bardzo proste i łatwe, dobre skutki oszczędności czuć się dają bardzo prędko, ludzie nie tylko się łatwo wciągają, lecz nawet poczynają w niéj smakować. Chodzi w danym razie może tylko o początek, o wyrobienie nałogu. Do głębszych warstw ludności sama wiadomość, a jeszcze bardziéj dokładna informacya przedostać się może z trudnością. Przytém ani w Czyżewie, ani w Myszyńcu nikomu dotychczas znanym nie jest ze skutków praktycznych rezultat operacyi z kasą oszczędności, a tymczasem początek jest ryzykowny, bo wymaga złożenia pieniędzy. Przy podejrzliwości klas mniéj oświeconych, zrozumiałéj i naturalnéj, obawiać się można, jeśli nie stronienia zupełnego od kasy przez czas jakiś, to przynajmniéj małego popędu. Na klasy inteligentne spada obowiązek informacyi i zachęty bądź radą, bądź przykładem. Nawet ludzie niekoniecznie potrzebujący składać pieniądze w biurach pocztowych powinni dla pociągnięcia innych nabyć sobie książeczki.

Jeszcze może większy obowiązek mają pisma codzienne i ludowe rzecz tę dokładnie wytłómaczyć i nowe kasy oszczędności uczynić popularnemi wśród czytelników swoich.

Komisyi wydelegowanéj w roku zeszłym przez zjazd prawników do zbadania przyczyn i skutków emigracyi, przybył nowy fakt dostępniejszy, niż inne do poznania, gdyż się odbywa na wielką skalę w jednéj miejscowości. Jest nim masowa emigracya robotników z Łodzi, Pabianic, Zgierza do Brazylii, więc w te strony, które w roku zeszłym ekonomistom zalecał p. Kłobukowski, jako najbardziéj odpowiednie. Podobno magistrat łódzki jest oblegany przez żądających paszportów, wielu się przemyka ukradkiem przez granicę, wielu władze wracają napowrót, co zresztą — jak wiadomo — w większości wypadków tylko rzecz odracza.

Dotychczasowe informacye grzeszą tym samym brakiem, jaki

niegdyś w Soplicowie podkomorzy wyrzucał astronomom: donoszą co i jak się robi, ale mało się zajmują d l a c z e g o? W epoce mody na interwiew'y i w czasach ogórkowych, kiedy reporterya musi wynajdywać pożary, a po sensacyjne nadzwyczajności sięgać aż do pozaprzeszłorocznych kuryerów, można było spodziewać, iż przyjdzie komuś szczęśliwa myśl pojechania na miejsce w celu rozpytania dokładnego i robotników i agentów owych (o ile się da) jak rzeczy stoją. Byłoby ciekawém np., czy emigracyę wywołuje konieczność ekonomiczna, nędza, czy też widoki zysków i większego dostatku. Co ajenci obiecują robotnikom, jakich używają środków, co wywiera skutek najpewniejszy? W jaki sposób odbić się może to na interesach przemysłu, na stosunku plemiennym ludności i t. d.

Chociaż co prawda, choćby pojechali nasi sylfowie, to nie wiedzielibyśmy tak samo nic, jak teraz. Jedenby nie dojechał, drugi nie zrozumiał, a wszyscy pisząc, o taką drobnostkę jak ścisła prawda, wcaleby się nie troszczyli. Powinnaby może komisya wydelegować jakiego członka swojego na miejsce. Skupianie samych cyfr, jakkolwiek pożyteczne, nie jest jeszcze wystarczającém.

Powtórzymy tu raz jeszcze, cośmy powiedzieli wyżéj: nie narzekać, lecz korzystając ze sposobności uczyć się należy.

Jednocześnie z kilku źródeł dowiadujemy się o emigracyi innéj, również mającéj cechy epidemii, mianowicie żydzi wileńscy zamyślają przesiedlać się do Palestyny. Stało się to pod wpływem namów znanego (podobno) działacza izraelskiego Jaffego, który przemówił do uczucia i wyobraźni, przypomniał przeszłość, obudził pragnienie oglądania téj ziemi, gdzie stała niegdyś świątynia narodowa i gdzie spoczywają prochy ojców. Złożono już 10,000 rs. na zakup ziemi i przygotowania do emigracyi trwają nieustannie. Noszą one— o ile sądzić z gazet można — cechy całkiem poważnego i spokojnie obmyślanego postanowienia. Korespondent „Słowa“ świadczy, że ruch jest natury pietystycznéj i ogarnia staroświeckich, „pobożnych“ izraelitów.

Wiadomo, że wśród żydów, w największych nawet głębinach tłumu chałatowego, tliły nieustannie idealne iskry tęsknoty do ojczyzny, opuszczonéj przed wiekami, a niezapomnianéj dotychczas. Zjawisko to bardzo jest dziwne i zapewne niepomyślne, bo stanowi ważną podwalinę wyodrębnienia się, ma w sobie jednak coś nawet pocieszającego, świadcząc, że nie samym tylko chlebem człowiek żyje.

Iluż uczonych sili się na dowiedzenie, że jedyną sprężyną czynów ludzkich, jedynym czynnikiem ruchu historycznego są potrzeby materyalne życia i użycia? Ilu powieściopisarzy wysila talent, aby wykazać marność natury człowieczéj, pozującéj czasem przed światem

na szlachetność, a niskiéj gdy pozostaje sama z sobą. Czy nie jest pocieszającym obok tego widok całego plemienia obdarciuchów, brudasów, od których nawet miano oszustów niełatwo oddziérać się daje, grzęznących i tonących na błotnistych ścieżkach w wiecznéj, gorączkowéj, nieraz przymusowéj pogoni za zyskiem; czy nie jest pocieszającym widokiem, gdy naraz rzucają codzienne zabiegi, zapominają o lichwie i handlu, oddają się pod władzę uczucia najbardziéj ludzkiego, stanowiącego kontrast najwyższy z ich życiem i postacią nawet, zwracają oczy ku ideałowi, mniejsza o to, jakie jest praktyczne znaczenie jego? Ta nieśmiertelna jakaś nić, łącząca z ziemią naddziadów, nie stargana i może nie nadwątlona przez oddalenie, wypadki i czas, jest czémś bardzo dziwném, jeżeli nienadzwyczajném.

Nie wdaję się w społeczne znaczenie zjawiska, obchodzi mnie tylko psychiczna jego strona. Wykazywać dodatnie cechy żydów, dowodzić istnienia wśród nich pierwiastków szlachetnych, stawianie ich za przykład pod jakimkolwiek bądź względem, byłoby stratą bezskuteczną czasu i papieru; chciałbym tylko jedno ustępstwo uzyskać, że to jest dziwny naród, i nie z samego tylko błota ulepiony, jak w siebie i innych wmawiają jego przeciwnicy.

Świéżo uzyskała znowu jedna osoba pozwolenie na otwarcie w Warszawie nowego zakładu zajęć pożytecznych i zabaw dla dzieci w wieku od lat 4—7-miu. Zakładów takich mamy już kilka, chociaż może odpowiednio do zapotrzebowania jeszcze zamało.

Lus.





NEKROLOGIA.

† **Seweryn hr. Uruski,** urodzony w Galicyi, był marszałkiem szlachty gubernii warszawskiéj, a potém członkiem rady stanu Królestwa Pol. W szóstym dziesiątku lat bieżącego wieku, kiedy sprawa włościańska stała się najgłówniejszym przedmiotem zajęcia dla wszystkich niemal umysłów, troszczących się o dobro publiczne, Uruski wbrew stronnikom systemu oczynszowania, oświadczył się za bezwarunkowém uwłaszczeniem, czém wzbudził żywe bardzo dyskusye. Walcząc za swojém przekonaniem, ogłosił w r. 1857 pismo pod tyt. „Polemika o kwestyi włościańskiéj w r. 1856—1857“, a następnie wydał obszerne ale niedokończone dzieło (wyszedł tylko tom I-szy): „Sprawa włościańska, wyjątki z nowożytnych polskich ekonomistów“ (część pierwsza, 1858 r., część druga 1860). Zmarł 16 sierpnia r. b. w Pizie, mając lat 73.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.*—Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Августа 1890 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM”

w kwartale III-cim 1890 r.

1. *D-r Józef Biliński.* **Stan nauk lekarskich** za czasów akademii medyko-chirurgicznéj wileńskiéj, bibliograficznie przedstawiony. Przyczynek do dziejów medycyny. (Praca uwieńczona). Warszawa, nakł. Tow. Lekars. 1889, 8-o, str. 908 i III.
2. **Kanony logarytmów** Hoene-Wrońskiego. Wydał *S. Dickstein* (z 6-ma tablic.). Warszawa, wydawnictwo redakcyi „Prac matematycznych“, 1890, 8-o, str. III i 30.
3. **Tablice logarytmów** Hoene-Wrońskiego. Wydał *S. Dickstein.* Warszawa, wyd. redakcyi „Prac matematycznych“, 1890, 8-o, str. 15 i tablica.
4. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, wydany pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego* i *Władysława Walewskiego.* Zeszyt 121, tom XI. Warszawa, 1890, wielkie 8-o, str. 80.
5. **Wojna rzeczypospolitéj Polskiéj** z Turcyą w latach 1672 i 1673. Przez *Konstantego Górskiego.* Warszawa, 1890, 8-o, str. 66 i 4 tabl.
6. **Fata morgana.** Opowiadanie ze wspomnień szkolnych przez *Gamastona.* Kraków, nakł. G. Gebethnera i S-ki, 1890, 8-o, str. 275.
7. *Marya Rodziewiczówna.* **Ona.** Powieść. Warszawa, nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1890, 8-o, str. 222.
8. *Marya.* **Z dziejów boleści.** Nowele: Wyrobnicy pióra. Czarne rękawiczki. Warszawa, nakł. „Biblioteki romansów i powieści“, 1890, str. 232.
9. **Stosunki i wzajemne sądy** Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, napisał *Antoni Mazanowski.* Warszawa, nakł. księg. G. Centnerszwera, 1890, 8-o, str. 122.
10. *Herbert Spencer.* **Instytucye obrzędowe,** stanowiące część IV Zasad socyologii. Z drugiego wydania oryginału przełożył *J. K. Potocki* (wydawnictwo „Głosu“). Warszawa, 1890, wielkie 8-o, str. 207.
11. **Kwestyonaryusz** w sprawie czytelnictwa ludowego. Napisali *Antoni Potocki* i *Zygmunt Wasilewski* (wydawnictwo „Głosu“). Warszawa, 1890, str. 24.
12. **Co i jak nasz lud czyta?** Kwestyonaryusz w sprawie wydawnictw ludowych. Przez *M. Brzezińskiego* (wydawnictwo „Głosu“). Warszawa, 1890, str. 16.
13. **Księgarnia Stanisława Giejsztora.** Dział antykwarski. 7 katalog zbiorowy dzieł dawnych i wyczerpanych, od № 1 do № 11787. Warszawa, nakł. księg. St. Giejszrota, 1890, 8-o, str. IV i 160.
14. **Ueber Kant's transscendentale Aestetik,** eine kritische Untersuchung zur Erlangung der philosophischen Doctorwürde... vorgelegt von *Marian Massonius* aus Minsk. Leipzig, 1890, 8-o, str. XI i 178.
15. **Sprawozdanie ósme** z czynności komitetu zarządzającego kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia d-ra medycyny Józefa Mianowskiego. Za rok 1889. Warszawa, 1890, 8-o, str. 104.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Oboźna, 5.

